

Nowa, niższa cena

14,99 zł



Dallas Schulze

Tylko
Jessie

MIRA NR 5 05/05 CENA 14,99 ZŁ W TYM 0% VAT INDEKS 324531

W imię przyjaźni,
w imię miłości...

*Z*ycie Matta, znanego fotografa, nagle zawisło w próżni. Podróż do rodzinnego miasteczka w Kalifornii miała być wędrownką przywracającą wiarę w sens wykonywanego zawodu, a także próbą powrotu do korzeni. Okazała się czymś znacznie więcej...

Od najmłodszych lat Matt przyjaźnił się z Jessie, razem dorastali, zawsze traktował ją jak młodszą siostrę. Teraz Jessie pragnie mieć dziecko, jednak ten, którego skrycie kocha, jest żonaty. Na szczęście stary i zaufany przyjaciel, Matt, wydaje się idealnie nadawać do roli ojca...

Jessie i Matt biorą szybki ślub, co wywołuje w miasteczku duże poruszenie. A bohaterowie zamieszania coraz częściej zadają sobie pytanie, czy ich wypróbowana przyjaźń zamieni się z czasem w miłość...



ROMANS

www.harlequin.pl

ISBN 83-238-2216-6



CENA 14,99 ZŁ

Tytuł oryginału:
Loving Jessie
Pierwsze wydanie: *MIRA BOOKS, 2002*

Redaktor serii:
Grażyna Ordąga

Korekta:
Ewa Popławska

© 2002 by Dallas Schulze

© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin
Enterprises sp. z o.o. Warszawa 2005

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji
części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu
z Harlequin Enterprises II B.V. ,

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek
podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych lub umarłych -jest
całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy MIRA jest zastrzeżony.

Wydawnictwo Arlekin - Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie:
COMPTEXT®, Warszawa

Druk: ABEDIK

ISBN 83-238-2216-6
Indeks 324531
MIRA 5

PROLOG

Zostać najstarszą na świecie dziewicą? Tego nie miała w planach. Nie składała wieczystych ślubów czystości, nie paliła ofiarnych kadzideł na ołtarzu żadnej bogini. I co? Za tydzień skończy trzydzieści lat. Wejdzie w następną dekadę nietknięta niczym poranny śnieg.

Ponure myśli odebrały jej tak skutecznie ochotę do snu, że usiadła w pościeli, brodę oparła na kolanach i tęym wzrokiem zapatrzyła się w mrok. Sama jestem sobie winna, snuła niewesoły monolog wewnętrzny. Gdybym chciała, dawno pozbyłabym się problemu. Owszem, miała po temu nie jedną okazję. Spotykała się przecież z facetami, atrakcyjnymi, przystojnymi. Każdy chętnie poszedłby z nią do łóżka. Wszystko prawda, tyle że nie seks, czy raczej jego brak, stanowiły problem Jessiki Sinclair.

W każdym razie nie tylko seks, poprawiła się w myślach i wydała z siebie żałosne westchnienie.

Człowiek nie powinien tęsknić za czymś, czego nigdy nie zaznał, to nielogiczne. A jednak miała wrażenie, że doskonale wie, za czym tak bardzo tęskni. Czytała w kolorowych pismach o sztuce dochodzenia do dziesięciu orgazmów za jednym zamachem, oglądała filmy, a w nich wydane na pastwę chuci pary tarzające się w jedwabnej pościeli. Seks był wszędzie, nie można wiecznie udawać, że się go nie widzi.

Dobrze, zgoda, chodziło o seks. Ale też o coś jeszcze.

Męża. Dziecko. Dom. Jak już, to wszystko. Kompleksowo.

To właśnie przez te kompleksowe ambicje zamiast spać, popadła teraz w ponurą zadumę. Siedziała w swojej pościeli, w swoim pokoju, w swoim rodzinnym domu, w swoim łóżku, którego nigdy z nikim nie dzieliła.

Zanościło się na to, że chyba nigdy z nikim nie będzie już dzielić żadnego łoża.

Nie żeby uważała, że obcować z kimś, w biblijnym sensie, można dopiero po ślubie, jeśli jednak miałoby już przyjść co do czego, chciałyby oddać najpierw duszę oraz to, no, serce, a dopiero potem ciało. Pogląd zapewne staroświecki, ale jak człowiek wychowywany przez dziadka mógłby nie mieć staroświeckich poglądów? I tak, za sprawą dziadka była do tyłu o jedno, dwa pokolenia. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że zakochała się głupio i beznadziejnie.

To nie fair. Obiekt melancholijnych westchnień

nie miał zielonego pojęcia, że został obdarzony uczuciem. Nie mógł nawet nim wzgardzić ani go odrzucić. Pewnie byłby mocno zaskoczony i zakłopotany, gdyby wiedział, co dzieje się w sercu Jessiki. Dlatego też robiła wszystko co w jej mocy, by się nie domyślił, że mała Sinclair durzy się w nim od czasów szkolnych.

Zacisnęła powieki, walcząc z napływającymi do oczu łzami. Nie, nie będzie płakać. Dość się napłakała przez minionych kilkanaście lat. Beczenie nic nie da, tylko zapuchnie jej twarz, a nos zrobi się czerwony.

Odrzuciła kołdrę stanowczym ruchem i wstała. Żadnych szlochów. Pięć lat temu, kiedy Reilly McKinnon ożenił się z inną, poprzysięgła sobie, że nie uroni już ani jednej łzy z jego powodu, i słowa, jak na razie, dotrzymała.

Podeszła na bosaka do okna. Godzina była późna, dobrze po północy, wysoko na bezchmurnym niebie wisiał okrągły księżyc, różany ogród dziadka tonął w srebrzystej poświacie.

Środek lata, przyroda w pełnym rozkwicie, powietrze przesycone uderzającymi do głowy zapachami kwiatów. Tuż pod oknem Jessie rosła blanchefleur, stara róża damasceńska o słodkim zapachu. Dziadek zasadził ją na czternaste urodziny Jessiki. Róża marzeń, tak ją wtedy nazwał. Miał rację. Jessie nie zliczyłaby tych wszystkich wieczorów, kiedy skulona na ławce we wnęce okiennej oddawała się słodkim marzeniom.

Chwilę się wahała, w końcu powoli otworzyła

okno. Od śmierci dziadka minęło już pół roku, a ona ciągle nie mogła spokojnie patrzeć na jego ukochany ogród. Wykonywała niezbędne prace, pielęła, podlewała. I uciekała stamtąd czym prędzej.

Rosarium było przedmiotem szczególnej dumy i radości Lelanda Sinclaira. Jednak dzisiejsza noc, przesycona zapachem kwiatów w pełnym rozkwicie i wilgotnej ziemi, wywoływała w pamięci słodkie jak woń róż wspomnienia.

Jessika uśmiechnęła się do siebie, usiadła na podokiennej ławce, spojrzenie utkwiła w zalanym srebrnym światłem ogrodzie.

Być może to śmierć dziadka uświadomiła jej, jak wiele marzeń nie udało jej się zrealizować. Kiedy odszedł, mały domek stał się pusty. Mały, a jednak za duży dla jednej osoby. Pusty dom, puste życie. Chryste, co za okropne, przygnębiające określenie.

To wszystko przez Pamelę Sue Jenkins, pomyślała i uśmiechnęła się krzywo. Pammie Sue z rozwichrzonymi jasnymi włosami, zębami, na widok których każdy ortodonta wpadłby natychmiast w twórczy zapał. Już w szkole irytująca, w miarę upływu lat stała się chyba jeszcze bardziej nie do zniesienia.

„Następna bułeczka w piecu - oznajmiła radośnie, kiedy Jessie wpadła na nią dzisiaj w supermarkecie, i poklepała się po brzuchu z taką dumą, jakby to ona wynalazła ciążę. - Joe tak się cieszy, mówię ci. Nie przyzna się, ale po cichu liczy, jestem pewna, że tym razem będzie chłopiec. Nie żeby nie kochał CiCi i Sammy Jo, nazywa je swoimi aniołkami”. Tu uśmiechnęła się z pobłażaniem do małych aniołków,

które pracowicie zrzucały z półki kolejne opakowania papierowych ręczników. Małe aniołki, sześciu- i ośmioletni, wdały się, niestety, w mamusię: te same rozwichrzone jasne włosy, te same wytrzeszczone błękitne oczy. I ten sam koński zgryz.

Jessie, zawstydzona, że tyle w niej zgryźliwości dla dawnej koleżanki, pogratulowała Pammie serdeczniej, niżby tego wymagały okoliczności.

„Dzięki. To głupie, ale, wiesz, nie mogę już się doczekać tego dziecka - Pammie westchnęła i zatrzepotała rękami. - Wiesz, są kobiety wprost stworzone do tego, żeby być matkami. Podziwiam te, które, jak ty, pracują, robią karierę, ale ja nie mam do tego głowy”.

Pełen samozadowolenia, zaprawiony lekceważeniem i pogardą ton, z jakim to powiedziała, oznaczał, że „te, które pracują”, są w oczach Pammie bezdyskusyjnie istotami niższego gatunku. Zaśmiała się perliście i ponownie poklepała po brzuchu, na znak, że tam tkwi prawdziwy cel życia każdej kobiety. „Ja nie jestem stworzona do robienia kariery”, dodała, by uściślić swoje stanowisko w kwestiach jak najbardziej fundamentalnych.

Jessie mogła co prawda powiedzieć, że praca na pół etatu, polegająca na przygotowywaniu deserów dla gości dobrej, ale skromnej restauracji, niewiele ma wspólnego z „robieniem kariery”, doszła jednak do wniosku, że szkoda zachodu. Chciała uwolnić się od Pammie, zanim złapie ją skurcz mięśni, zmuszanych siłą do uśmiechu. Starannie ukrywając zżerającą ją zazdrość, raz jeszcze pogratulowała maszy-

nie do robienia dzieci udanego poczęcia i pożegnała się.

Myślała, że szybko zapomni o niefortunnym spotkaniu. Kilka głębokich, uspokajających oddechów w drodze na parking, kilka minut relaksu w nagrzanym od słońca samochodzie, szybkie przejrzenie w myślach listy wszystkich rzeczy, które już osiągnęła w życiu i z których mogła się cieszyć, i biedny umysł wrócił do normy.

W końcu rodzenie dzieci nie jest dla współczesnej kobiety jedyną drogą do samorealizacji. Miała ciekawą pracę. Dzięki spadkowi po dziadku, przy rozsądnym gospodarowaniu zasobami, nie musiała się martwić o pieniądze. Miała swój domek, miała swoje hobby, wiernych przyjaciół. I była zdrowa. Czego jej brakowało do szczęścia?

Niczego, powiedziała sobie rezolutnie i przekreśliła kluczyczek w stacyjce.

A jednak teraz w nocy jej ochronna tarcza gdzieś znikła i Jessie znowu zbierało się na płacz. Jeśli miała być szczerą, oddałaby wszystko, by zamienić się miejscami z Pamelą Sue. To znaczy, mogłaby zrezygnować z rozwichrzonych blond włosów i świegotliwego głosiku. Ale mąż i dzieci... Bardzo chętnie.

Mieć własną rodzinę.

I miałyby tę swoją rodzinę, gdyby kiedyś, przez nieuwagę nie pozwoliła dziecięcemu zadurzeniu przeistoczyć się w coś znacznie poważniejszego i głębszego. Mało tego, gdzieś w głębi duszy hołubiła cichą wiarę, że jeśli tylko całym sercem będzie pragnęła, by jej marzenie się spełniło, tak właśnie się

sianie. Ale w życiu rzadko tak bywa. Nie wystarczy pragnąć, żeby mieć.

Całe nieszczęście w tym, że nie wiedziała, jak się odkochać, choć jej miłość obiektowi gorących uczuć najwyraźniej nie była do niczego potrzebna. Nie, poprawiła się w myślach: jej miłość pozostała najzwyczajniej niezauważona.

Nawet gdyby Reilly nie ożenił się z tą cholerną miss piękności, i tak nadal widziałby w Jessie małą Sussie, która wszędzie za nim łąziła. Traktował ją z serdeczną wyrozumiałością, co bolało znacznie bardziej niż ewentualna nienawiść. Nienawiść to pasja, a z dwojga złego lepsza pasja niż obojętność.

Jessie z westchnieniem wyciągnęła się wygodnie na podokiennej ławeczce, zaplotła ręce za głowę, zamknęła oczy i wsłuchiwała się w nocną ciszę. Trzydziestka na karku, a ona niepokalana jak w dniu narodzin. Jaka się urodziła, taka umrze. Własnych uczuć pewnie nie uda się jej odmienić. Próbowała, zawsze bezskutecznie. W końcu musiała uznać prawdziwość starego porzekadła: serce nie służy i nakazów rozumu nie słucha. A marzyć każdemu wolno, to nie jest zabronione.

Mąż, dziecko...

Żeby mieć to ostatnie, można się obyć bez pierwszego...

Gwałtownie otworzyła oczy. Że też wcześniej na to nie wpadła.

Świat idzie naprzód. Dzisiaj człowiek nie musi wychodzić za mąż, żeby mieć dziecko. Usiadła, przejęta genialną w swej prostocie myślą. Krew

zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Może nie o tym dokładnie marzyła, ale dla zrealizowania swoich marzeń, choćby tylko częściowo, trzeba iść z życiem na pewne kompromisy.

Maleństwo. Bobas. Dziecko. Rodzina - niepełna, ale trudno. Może to mieć, nie wiążąc się na stałe z żadnym facetem. Nie wiedziała, jak się zabrać za realizację genialnego pomysłu, jednak rzecz nie powinna nastęrczać trudności.

Życie potrafi być wredne. Człowiek robi plany, stara się je realizować, niby wszystko idzie dobrze, po czym okazuje się, że jest akurat na opak.

Reilly McKinnon oparł łokcie na kolanach i wbił wzrok w wytarty dywan.

Oszust. Najwyczejniejszy w świecie oszust. To ma być aubusson? Pozwolili sobie wcisnąć zwykłego audubona. Dana tak się podnieciła, kiedy znalazła tę szmatę. W sam raz do twojego gabinetu, orzekła z wypiekami na twarzy. Proszę bardzo. Nie zwracał uwagi, co ma pod nogami, ale kiedy już zdarzyło mu się spojrzeć, nie był w stanie pojąć, jak można wydać taką furę pieniędzy na coś, co już w chwili kupna wygląda, jakby nadawało się tylko na śmietnik. Jednak Dana była tak zadowolona z siebie, kiedy rozłożyli domniemany skarb na dębowej podłodze gabinetu, że musiał głośno chwalić trafność wyboru. Zachwycał się kunsztownym wzorem, subtelną kolorystyką i szlachetnym splotem, zapewniał, że o czymś takim właśnie marzył.

Byli wtedy zaledwie rok po ślubie i pozwoliłby

pomalować ściany w swojej jaskini na różowo w zielone groszki, gdyby tylko miało to uszczęśliwić Danę. Nadal tak czuł, tyle że dzisiaj trzeba by czegoś więcej, żeby zaświeciły się jej oczy. Prawdę powiedział, nie pamiętał, kiedy po raz ostatni widział ją naprawdę szczęśliwą.

Nieprawda, pamiętał doskonale, kiedy wszystko się zmieniło. Kiedy i dlaczego.

Podniósł się gwałtownie, nie mógł długo usiedzieć bez ruchu, potrzebował zajęcia, nawet jeśli miało być to tylko chodzenie w kółko po pokoju. Było późno, dobrze po północy, w wielkim domu panowała absolutna cisza. Poza lampą na biurku nie zapalił innych świateł; półmrok dobrze współgrał z jego nastrojem. W ten sposób łatwiej zatopić się w niewczesnych rozmyślaniach, pomyślał nie bez zgrzytliwości pod własnym adresem.

Za to, że w jego małżeństwie źle się działo, mógł winić tylko siebie. Okazał się głupcem, patentowanym idiotą, jakiego świat nie widział. Oparł łokieć o gzyms nad kominkiem, zamknął oczy, potarł czoło między brwiami, usiłując odgonić wzbierający ból głowy.

Jeden błąd. Jeden kretyński, niewybaczalny błąd i stracił, co miał najdroższego.

Otworzył oczy i spojrzał na stojące na kominku zdjęcia. Chryste, wszystkie, co do jednego, powinny trafić do muzeum lepszych czasów. Rodzice na rok przed śmiercią ojca. Zdjęcie ślubne: Dana w sukni z długim trenem, z lekko przechyloną głową, uśmiechnięta tym pięknym uśmiechem, który jeszcze teraz,

pięć lat później, zapierał mu dech w piersiach. Amatorskie zdjęcie zrobione w czasie miesiąca miodowego: oczy Dany bardziej błękitne od Morza Śródziemnego za jej plecami, twarz opromieniona szczęściem. Dawno już nie widział podobnego wyrazu na twarzy żony.

Przeniósł spojrzenie na kolejną fotografię, przedstawiającą dwóch młodych mężczyzn i dziewczynkę: cała trójka uśmiechała się do obiektywu. Dziwne miny, jakby za moment mieli wybuchnąć histerycznym śmiechem... co też prawdopodobnie uczynili, kiedy tylko zamknęła się migawka aparatu.

Reilly wziął zdjęcie do ręki, podszedł do lampy, gdzie światło było trochę lepsze. Usiadł na skórzanej kanapie i oddał się wspomnieniom.

Boże, ile to już lat... Jaki był wtedy młody. Wszyscy byli młodzi. On i Matt mogli mieć wtedy... ile? Po dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata? Czyli Jessie musiała mieć jakieś czternaście: długie nogi, wielkie brązowe oczy, włosy koloru toffi związane w koński ogon. Zdjęcie zrobione było latem; tuż przed wyjazdem nad morze. Obiecali Jessie, że nauczą ją surfować. Pamiętał, jak z niej pokpiwali, mówiąc, że nie może być prawdziwą Kalifornijką, jeśli nie potrafi utrzymać się na desce.

Zdjęcie zrobił jej dziadek, na chwilę przed tym, jak mszyli w drogę. Upozowali się przy starym pickupie Matta, tak by było widać deski umocowane na dachu samochodu.

Reilly uśmiechnął się do własnych wspomnień. Radio w gracie Matta nie działało, wyśpiewywali

więc piosenki Beach Boysów. Wymyślali nowe słowa, a zawodzili tak, że Brian Wilson pewnie zapłakałby z rozpaczy, gdyby ich usłyszał.

Lekcje surfingu zakończyły się umiarkowanym sukcesem. Prawdę powiedziawszy, kompletną klapą. Jessie ani razu nie ustała na desce dłużej niż pięć sekund, a on i Matt bez przerwy musieli wyławiać ją z Pacyfiku. Matt wyławiał, bo Reilly zajęty był pewną rudowłosą w czerwonym bikini, której numer telefonu usiłował zdobyć z zaparciem godnym lepszej sprawy. Nie pamiętał już, jak rudzielec miał na imię, nie pamiętał nawet jej twarzy, pamiętał natomiast, jak w drodze powrotnej wyśpiewywali „Nine-ty-nine Bottles of Beer on the Wall”.

Fajnie im było razem, naprawdę fajnie i nigdy nikomu nie przeszkadzało, że Jessie jest o tyle młodsza od niego i Matta, ani że jest dziewczyną. Jakoś... pasowała do nich. Traktowali ją jak młodszą siostrę i prawdziwą przyjaciółkę. A Matt... ? Matt był jego najlepszym przyjacielem od czasów szkoły podstawowej. Przyjaźń przetrwała czasy studiów, nadal trwała, chociaż nie widzieli się... Właśnie, kiedy się spotkali ostatnio? Odchylił głowę na oparcie kanapy, próbując sobie przypomnieć, kiedy to było. Trzy, cztery lata temu?

Nie. Po raz ostatni widzieli się na ślubie Reilly'ego. Pięć lat temu. Matt przyleciał wtedy z drugiego końca świata, był drużbą. Pięć długich lat. Aż trudno uwierzyć, że tyle czasu minęło. Sporadyczne rozmowy telefoniczne, czasami kartka z pozdrowieniami wysłana z jakiegoś zapomnianego przez Boga

i ludzi miejsca, którego nikt przy zdrowych zmysłach nie odwiedziłby z własnej i nieprzymuszonej woli.

Nie potrzebowali zapewnień o dozgonnej przyjaźni. Zawsze mogli na siebie liczyć i ta świadomość im wystarczała.

Jessie została w Millers Crossing. To znaczy, wyjechała na kilka lat, skończyła w Paryżu renomowaną szkołę kulinarną, ale potem wróciła do ich miasteczka. Ją, w przeciwieństwie do Matta, widywał często. Powiedzmy, od czasu do czasu. Właśnie, kiedy to widział ją ostatnio? Chyba w Dzień Niepodległości. Całe miasteczko spotkało się na świątecznym grillu. On był z Daną, zobaczyli Jessie stojącą w kolejce po churro, takie latynoskie faworki. Zażartował, że chce sprawdzić, czym może jej zagrozić konkurencja, co ją bardzo rozśmieszyło. To było miesiąc temu. A wcześniej...? Wcześniej widzieli się na pogrzebie jej dziadka, w lutym. I to miało być często? Zabawne, jak łatwo można stracić kontakt z ludźmi, z którymi, zdawałoby się, łączą nas serdeczne więzy. Nawet jeśli żyją tuż obok nas, zupełnie blisko.

Boże, jaki był zmęczony. Zrobiło się późno. Dana śpi na górze, w ich wspólnym, jak na razie, łóżku. Mógłby pójść na górę, położyć się obok niej, ale po co? Jaki by to miało sens? Przestał się dla niej liczyć. Już jej nie zależało. Nie powiedziała tego wprost, nie dała do zrozumienia jednym słowem czy choćby spojrzeniem, że najchętniej przeniosłaby się do oddzielnej sypialni, ale gdyby propozycja wyszła od niego, przyjęłaby ją bez wahania, był tego pewien.

Zamknął oczy, przestał walczyć ze zmęczeniem. Wiele by dał, żeby znowu być tym dwudziesto-trzyletnim chłopakiem ze zdjęcia, który nie miał większych zmartwień niż to, czy pamięta słowa „Ninety-nine Bottles of Beer on the Wall”.

Matt Latimer wlał ostatnie krople przedniej dwudziestojednoletniej Chivas do plastikowego kubka i wzdrygnął się na tę profanację. Powinien był zostawić na wierzchu jedną szklaneczkę, tymczasem wszystko już było spakowane i czekało w skrzyniach na pojawienie się ciężarówki z firmy przewozowej.

Mógł jeść pizzę prosto z pudełka, proszę bardzo, ale kiedy człowiek zaczyna pić szlachetną whisky z plastikowego kubka, oznacza to, że zbliża się koniec cywilizacji. Wzruszył ramionami i uniósł kubek do ust. Na pohybel cywilizacji. Jakby było czego żałować. Wszak i tak zeszała na psy.

Kiedy poczuł miłe ciepło rozlewające się w żołądku, omiół obojętnym spojrzeniem pokój. Jego dom. Przez ostatnich osiem lat wracał tu na krótki odpoczynek po kolejnych misjach. Chyba nigdy nie spędził tu więcej niż dwa tygodnie jednym ciągiem. Dopiero w ostatnich miesiącach, z konieczności, zaszył się na dłużej w „swoim domu”, co nie wzbudziło w nim jakiegoś szczególnego sentymentu do tego miejsca.

A jednak mieszkał tu osiem lat i chyba powinno to odcisnąć jakiś ślad na wnętrzach, nawet jeśli wszystkie rzeczy zostały już spakowane.

Nic nie zostało. Żadnych dziur po gwoździach

w miejscach, gdzie wisiałyby jego dyplomy, gdyby kiedykolwiek zamierzał je powiesić. Żadnego wytartego miejsca na dywanie przed kominkiem, gdzie siadywałby wieczorami w swoim ulubionym fotelu. Cóż, nigdy nie siadywał przed kominkiem... Żadnych obitych naroży od trzaskania drzwiami. Jednym słowem nic, co wskazywałoby, że ktoś przemieszkał tu niemal całą dekadę. Jeszcze nie wyjechał, a już wydawało się, że ten dom opustoszał wieki temu.

Przeszedł nerwowym krokiem przez salon i stanął przy oknie. Kiedy wystawiał mieszkanie na sprzedaż, jedną z zachęt dla potencjalnych kupców był „zapierający dech w piersiach widok na zatokę Elliot”. Chwytniwy frazes, kryjący w sobie odrobinę prawdy. Jeśli stanąć przy lewej framudze i pochylić głowę, dało się dojrzeć zatokę, ale Matt zamiast wyciągać szyję niczym żuraw, wolał poprzestać na panoramie Seattle. Teraz, w nocy, mgła rozmywała światła wielkiego miasta w widmową poświatę.

Ściskając w dłoni kubek z whisky, zadawał sobie pytanie, ilu mieszkańców Seattle stoi teraz w ciemnych oknach tak jak on, ilu woli raczej wpatrywać się w śpiące miasto niż iść do łóżka, gdzie czekały na nich senne koszmary.

Upił łyk, przez chwilę smakował szlachetny trunk w ustach, w końcu pozwolił mu spłynąć do przełyku. Zabawne. Jako dziecko nie bał się ciemności. Nie wierzył, że w szafie mogą kryć się złośliwe gobliny, a pod łóżkiem czają się potwory. Nie dostawał gęziej skórki z powodu niespodziewanych nocnych hałasów. Może dlatego, że musiał, jak reszta

rodziny, radzić sobie z całkiem realnymi i upiornymi napadami pijackiej agresji swojego ojca. Dopiero teraz, dobiegając czterdziestki, zaczął lękać się tego, co mogą kryć ciemności.

Koszmary zaczęły się przed trzema miesiącami, krótko po tym, jak wrócił ze szpitala. Na początku zdarzały się raz, dwa razy w tygodniu, nie częściej. Budził się w środku nocy zlany zimnym potem, roztrzęsiony, a przed oczami miał jeszcze sceny jakby żywcem wyjęte z jakiegoś horroru. Pamięć i wyobrażenia spletały się w tych wizjach tak ściśle, że nie sposób było oddzielić to, co realne, od tworów imaginacji.

Próbował lekceważyć koszmarnie sny, przechodzić nad nimi do porządku dziennego, tak jak nauczył się ignorować ból w ramieniu. Spychał i ból i koszmary na dno świadomości i zatrząskiwał drzwi.

Pomagało.

Do czasu.

Do czasu wmawiał sobie z powodzeniem, że to tylko krótka przerwa, po której znów wróci do pracy. Udało mu się nie pamiętać ani o odniesionej ranie, ani o koszmarach. Udawał, że nie zauważa coraz grubszej warstwy kurzu na torbie, w której woził aparat. Dopiero późną nocą kłamstwa przestawały pomagać, a mrok, zamiast ukrywać, obnażał prawdę.

Żadna tam przerwa w pracy. Był wypalony, wydrażony, pusty. Każde inne, równie wyświechtane, określenie byłoby tu na miejscu, a wszystkie oznaczały to samo. Życie, które budował przez ostatnie piętnaście lat, sypało się w gruzy na jego

oczach. Już nawet nie potrafił trzymać prawidłowo aparatu - zdawał się nie pasować do jego nieporadnych dłoni. Seattle, to mieszkanie, wszystko, co powinno być swojskie i przynosić poczucie bezpieczeństwa, nagle okazywało się obce i wrogie.

Obrócił kubek w dłoni, patrząc na rozkołysaną whisky. Nie trzeba było skończyć medycyny, żeby postawić diagnozę. Średnio inteligentny szóstoklasista potrafiłby powiedzieć mu, w czym leży problem: zespół posttraumatycznego zaburzenia równowagi psychicznej, ostatnio szalenie modny termin. Były i inne określenia: nerwica frontowa, zespół wyczerpania wojennego, stres opóźniony. Mógł pójść do swojej lekarki, poprosić, żeby przepisała mu jakieś niebieskie albo różowe pigułki szczęścia i od razu poczułby się lepiej. Powinien był tak zrobić. Nie wyciągał przecież sam kuli z ramienia, to dlaczego uparł się sam walczyć z problemami psychicznymi?

- Skretyniały macho - mruknął i podniósł kubek do ust. Żadnych pigułek. Zachowa się jak prawdziwy mężczyzna. Porzuci dotychczasowe życie i może uda mu się schronić przed mrocznymi cieniami. Twardzi faceci wiedzą kiedy wziąć nogi za pas. To będzie ucieczka twardziela.

Zorganizowana ucieczka, pomyślał, patrząc na stertę pudeł piętrzącą się w pokoju. Na szczęście miał dokąd uciekać. Dwa tygodnie temu rozmawiał ze swoim starszym bratem i Gabe niby od niechcienia wspomniał, że przydałby mu się ktoś do pomocy. Niedawno kupił dom i zamierzał go gruntownie wyremontować.

Matt zaczął od razu opowiadać, że musi wracać do pracy, ma zobowiązania, jest spóźniony, postrzał w Kosowie pokrzyżował mu plany, musi jechać do,, zrobić zdjęcia dla... - paplał jak najęty.

Gabe przyjął wykręty za dobrą monetę, ale tak naprawdę Matt nie miał żadnych zobowiązań, nigdzie nie musiał jechać, nikt nie zamawiał u niego zdjęć i prawdę powiedziawszy, było mu to najzupełniej obojętne. Niech ktoś inny nadstawia karku i dokumentuje okropności pogrążającego się w obłędzie świata. On swoje zobaczył, a teraz najwyższa pora zająć się czymś innym.

- To interesujące, Latimer. - Uśmiechnął się kwaśno. - Fotoreporter z nagrodą Pulitzera zamienia aparat na młotek. Bardzo rozsądny wybór. Jeśli to zrobisz, stary, nikomu nie przyjdzie do głowy, że rozpadasz się na kawałki.

Może udałoby mu się namówić Reilly'ego McKinnona, żeby dał mu pracę na którejś z jego budow. W końcu dwadzieścia pięć lat przyjaźni do czegoś zobowiązuje. Stawiałby domy i gwizdał na przechodzące dziewczyny, dorobił się brzucha od nadmiaru piwa, twarz ogorzałaby mu od słońca. Może po wbiciu kilku tysięcy gwoździ znowu zaczęłby sypiać normalnie, nie zrywałby się, ilekroć strzeli gaźnik w przejeżdżającym samochodzie, i patrząc w lustro, nie zastanawiałby się już, czy wszystko nie potoczyłoby się inaczej, gdyby...

- Nie - powiedział głośno, przerywając tok myśli. „Gdyby” to słowo głupców. Co się stało, to się stało. I już się nie odstanie.

Matt powoli przechylił głowę i wypił resztkę miodowej barwy whisky. Musi zostawić za sobą przeszłość i funkcjonować dalej.

O ile potrafi.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mattowi się nie spieszyło. Droga, którą powinien przebyć w dwa dni, zajęła mu tydzień. Próbował sobie wmawiać, że w ten sposób czerpie przyjemność z jazdy, ale nigdy nie był dobry w okłamywaniu samego siebie. Tak naprawdę podjąwszy już decyzję o powrocie do domu, natychmiast zaczął kwestionować jej słusność. Im bardziej zbliżał się do Millers Crossing, tym skrajniejsze targały nim uczucia. Z jednej strony nadzieja, że tutaj zazna wreszcie spokoju, z drugiej niezachwiana pewność, że jego rodzinne miasteczko może mu zaoferować wszystko... oprócz spokoju.

I tak włókł się na południe wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, niczym pięciolatek, którego rodzina wysłała na niedzielne nabożeństwo. Zatrzymywał się, żeby podziwiać zapierające dech w piersiach widoki, które nic go nie obchodziły, ba, nawet ich nie zauważał. Przesiadywał w fast-foodach, a potem

męczyła go zgaga, stawał, by napić się kawy, która nie zasługiwała na to miano. Zbaczał z trasy, by zwiedzać atrakcje turystyczne, choć od samego patrzania na te cuda robiło mu się niedobrze.

Pomimo tego typu heroicznego wysiłku dotarł w końcu na obrzeża miasteczka, w którym się urodził i gdzie spędził pierwsze dwadzieścia trzy lata życia.

Millers Crossing w swoich początkach było po prostu nie tyle miasteczkiem, co skupiskiem kilku sklepów, punktów skupu i hurtowni obsługujących farmerów z Salina Valley. Tu przyjeżdżało się kupić sól, cukier, pastę do butów i gwoździe, tu można było zaopatrzyć się w wiadra, łańcuchy i grabie, zatankować benzynę i wypić kawę w przydrożnym barze. Położone przy całkiem widokowej, przelotowej drodze nad Pacyfik, miasteczko powoli się rozrastało, osiągając szczyt rozkwitu w czasach powojennej prosperity lat pięćdziesiątych, kiedy samochody były ogromne, benzyna tania, a całe społeczeństwo rozbijało się limuzynami. W Millers Crossing powstało wtedy kino, kilka moteli i kilka centrów handlowych obsługujących przejezdnych, przyjezdnych oraz tubylców.

W połowie lat sześćdziesiątych jakiś przedsiębiorca z Los Angeles wpadł na pomysł, że trzeba tu koniecznie wybudować luksusowy hotel, gdzie zatrzymywaliby się ci, którzy szukają romantycznej oprawy dla swoich miłosnych uniesień. Jak rzekł, tak zrobił. „Gospoda pod Wierzbą” stanęła na wzgórzu z jakże romantycznym widokiem na pole golfowe i... autostradę. W fantazyjnym stylu hiszpańskich misji,

będącym wariacją na temat tradycji meksykańskich i latynoamerykańskich, gdzie w tle pobrzmiwa nuta hiszpańskiego baroku. Przeładowane ornamentem jasnoróżowe tynki i sztukaterie, dachy z czerwonej dachówki, zwieńczone łukiem otwory drzwiowe, dziedzińce, krużganki, szemrzące fontanny, detal Z kutego żelaza, palmy... Tubylcy kręcili nosami i przepowiadali przedsięwzięciu rychłe bankructwo, ale, o dziwo, cukierkowa „Gospoda pod Wierzbą” zdobyła sobie tak zwaną renomę i zjeżdżały do niej na miesiąc miodowy młode pary nawet z drugiego końca Stanów. Wanny w kształcie serca i lustrzane sufity były miłym ustępstwem na rzecz tych, którym od romantycznych uniesień bliższe są uciechy zmysłowe.

Miejscowi kupcy szybko się zorientowali, że nowożeńcy mają wyjątkową skłonność do pozbywania się pieniędzy i tak, w ślad za hotelem zaczęły w Millers Crossing wyrastać sklepy z nikomu niepotrzebnymi, pamiątkami, butiki, restauracje i salony piękności. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy większość miasteczek Salina Valley dotknęła recesja, Millers Crossing miało się całkiem dobrze.

W takim to miejscu dorastał Matt. Kapał się w sztuczny jeziorze sąsiadującym z polem golfowym, uczył się prowadzić na wąskich polnych drogach. Tu pierwszy raz zobaczył kobiece piersi, kiedy Marcy Woolbridge pozwoliła, by z niej ściągnął koszulkę cheerleaderki. Kilka tygodni później pozwoliła zdjąć z siebie kolejne części garderoby

i wtedy obydwójce po raz pierwszy mogli przekonać się empirycznie, na czym polega seks. Był wtedy przekonany, że to nie seks, tylko miłość, ale Marcy, osoba o trzeźwiejszym umyśle, nie podzielała tych iluzji. Wkrótce zostawiła Matta dla Billa Macy'ego, który był kimś, bo miał w planach studiować prawo na Harvardzie, a kto studiuje prawo na Harvardzie, praktycznie należy już do amerykańskiej elity, nawet jeśli przeżywa moment buntu jak Oliver Barrett III z „Love Story”. W każdym razie Matt po stracie ukochanej pocieszał się myślą, że niewierna będzie musiała przejść przez życie jako Marcy Macy.

Szkoła średnia wyglądała dokładnie tak jak przed laty, podobnie biblioteka miejska, gdzie zamiast zbierać bibliografię do prac semestralnych, łąpał okiem na dziewczyny. Dobrze trzymał się basen miejski, gdzie Matt dorabiał jako ratownik; stały na swoim miejscu elewatory Dickersona, w których latem po skończeniu szkoły dźwigał worki z ziarnem, dzielnie ignorując awanse pani Dickersonowej. Tylko ze strachu przed imponującą posturą pana Dickersona oraz przez szacunek dla ślubów małżeńskich nie wyładował z nią na sianie.

Dostrzegał też zmiany. W miejscu gdzie była kiedyś kręgielnia, teraz stał supermarket, a stary dom towarowy Woolwortha podzielili między siebie właściciele małych sklepów z antykami. Generalnie jednak wszystko wydawało się znane, swojskie i poczuł się tak, jakby cofnął się o kilkanaście lat. Złudzenie było tak silne, że nie zdziwiłby się, gdyby zza kolejnego rogu wyłonił się on sam, odpowiednio młodszy.

Mój Boże, ostał się nawet bar „U Erniego”. Matt zdjął nogę z pedału, uśmiechnął się szeroko. Ile godzin tu spędził, zapychając się hamburgerami i sącząc koktajle mleczne. Stara knajpa wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Dla dopełnienia obrazu przed barem stał... tak, ten sam samochód, który też przed wyjazdem z Millers Crossing skręcił niemal do ostatniej śrubki i na powrót złożył, przywracając grat do życia.

Nie, to niemożliwe. Na ulicach nie roіło się co prawda od pierwszych mustangów, ale nie należały znowu do aż takiej rzadkości. Z drugiej strony ile wiśniowych mustangów może jeździć po Millers Crossing? Nawet jeśli to ten, z pewnością zmienił właściciela, Jessie musiała się go pozbyć dawno temu. Nie jeździłaby tym samym wozem przez trzynaście lat.

Niemniej jednak skręcił na parking. A co tam, w końcu od San Jose nie miał nic w ustach. Gabe nie czekał na niego, bo Matt nie powiedział bratu, że przyjeżdża. Na wszelki wypadek zostawił sobie furtkę, w razie gdyby jednak się rozmyślił i nagle zmienił plany na dalsze życie. Nie było żadnych powodów, dla których nie mógłby zajrzeć na chwilę do Erniego.

- Jessiko Sinclair, podła z ciebie kobieta. Jeśli jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie, zapłacisz za swoje grzechy. - Lurene Washington odsunęła talerzyk gestem osoby, która odpycha od siebie najgorsze pokusy.

dobrze się jej żyło w rodzinnym miasteczku, ani za dużym, ani za małym, w sam raz. Tu się czuła u siebie, a jak zatęskniła za kulturą przez duże „K”, zawsze mogła wyskoczyć do San Francisco albo, poświęcając trochę więcej czasu na podróż, do Los Angeles.

Układ z Lurene nie mógł być lepszy. Jessie przez cztery dni w tygodniu przygotowywała desery dla restauracji i dla firmy cateringowej, którą Lurene niedawno założyła. Nie zarabiała oszałamiających sum, ale dzięki spadkowi po dziadku tym akurat nie musiała się martwić. Mogła eksperymentować w kuchni, a Lurene dzięki jej eksperymentom zwiększała obroty, toteż obydwie były zadowolone z takiego układu.

Jej przyjaźń z Lurene była dodatkowym plusem, chociaż poza słabością do wysokokalorycznych deserów i starych filmów z Bogartem właściwie nic ich nie łączyło. Lurene dobiegała pięćdziesiątki i wyróżniała się zaprawionym dobrodusznym cynizmem spojrzeniem na świat. Dwa razy wychodziła za mąż - raz, miała wtedy około dwudziestu lat, za gitarzystę rockowego, który wybierając tę profesję, widział oczyma wyobraźni Ignące do niego hordy fanek. I Ignęły, owszem, a on się nie wzbraniał. Drugi mąż dla odmiany był księgowym, uosobieniem wszelkiej solidności, porządnym obywatelem. O ile w pierwszym związku kotłowało się od namiętności, to w drugim nikt by się ich raczej nie doszukał, ale za to Lurene nie musiała się martwić, w czym łożku harcuje akurat jej mąż. I słusznie, bo kiedy ob-

macywał recepcjonistkę ze swojej firmy, czynił to na biurku we własnym gabinecie.

Lurene uznała, że dwie próby wystarczą, zabrała połowę pieniędzy, które odkładali na kupno domu i przeniosła się do Millers Crossing. Nie myślała o kupowaniu restauracji, nie była nawet pewna, czy chce zostać w Kalifornii. Minęło pięć lat, w czasie których stała się restauratorką pełną gębą, właścicielką raczkującej firmy cateringowej i serdeczną przyjaciółką Jessie.

Naprawdę mam dobre życie, myślała Jessika. Mam przyjaciół, swój domek, pracę, którą lubię. Pragnąc czegoś więcej wręcz nie wypadało, a jednak, cóż robić, chciała więcej. Dużo więcej. Nie wiedziała tylko, jak swoje marzenia zrealizować. Powiedzieć sobie, że chce mieć dziecko, to jedno, ale jak tego dokonać, kiedy na horyzoncie nie widać żadnego potencjalnego partnera.

- Oto facet, na widok którego człowiek musi zrewidować twarde postanowienie bycia singlem - mruknęła Lurene, a Jessie podniosła na nią zdumione spojrzenie, przestraszona, że przyjaciółka ma zdolności telepatyczne. Jednak Lurene utkwiała wzrok gdzieś ponad jej ramieniem, a oczy zabłysły jej pożądaniem tak czystym i gorącym, że Jessie musiała się uśmiechnąć. Zaciekawiona powoli obróciła się na wysokim stołku i zerknęła na obiekt zainteresowania Lurene.

Mógł mieć około metra dziewięćdziesięciu i sylwetkę, na której każde ubranie leżało jak należy i która zapierała dech w piersi wszystkim kobietom.

Mężczyzna ubrany był w wytarte niemal do białości džinsy i szary, pamiętający lepsze czasy T-shirt. Gęste, prawie kruczoczarne włosy z przodu opadały niedbale na czoło, z tyłu sięgały karku. Jessie ze swojego miejsca nie mogła dojrzeć, jaki kolor mają jego oczy, ale wiedziała, po prostu wiedziała, że muszą być błękitne.

- Wysoki, ciemnowłosy i przystojny. Po prostu wzorcowy - stwierdziła Lurene radośnie, - W niektórych stanach takie obcisłe džinsy muszą być zabronione prawem. A te ramiona na pewno...

- Matt - zawołała Jessie półgłosem, przerywając monolog Lurene, i zsunęła się ze stołka. - Matt!

Na dźwięk swojego imienia Matt napiął mięśnie - reakcja obronna, odruchowa, niekontrolowana, i tym bardziej irytująca. Dawno temu w jakimś małym afrykańskim kraju, który z monotonną regularnością zmieniał nazwę, fotografował zaprzysiężenie prezydenta, kiedy nagle w samym środku uroczystości zaczął się krwawy przewrót. Matt usunął się na bok i dalej fotografował. Był tak pochłonięty tym, co rozgrywa się przed obiektywem, że dopiero kilka godzin później, po powrocie do hotelu, zobaczył, że torba, w której nosił sprzęt, jest przestrzelona na wylot. Brakowało dosłownie kilku centymetrów, żeby sam przeszedł do historii, razem z uwiecznionymi na kliszy wydarzeniami... Teraz natomiast drgnął jak wystraszony królik tylko dlatego, że ktoś nieoczekiwanie wypowiedział jego imię.

- Matt.

Przemagając irytację, spojrział na idącą ku niemu kobietę i szeroko otworzył oczy.

Co prawda doszedł do wniosku, że Jessie z pewnością nie jeździ już tym starym mustangiem, ale w głębi duszy liczył na to spotkanie. W pamięci zachował dziewczynę o włosach koloru toffi, wielkich brązowych oczach, długich nogach i ciepłym uśmiechu. Owszem, były włosy w kolorze toffi, wielkie brązowe oczy, długie nogi i ciepły uśmiech, ale... Zapamiętał kilkunastoletnią dziewczynkę, a teraz patrzył na dojrzałą kobietę o intrygujących kształtach. I te nogi... W Matcie, jeszcze zanim zdążył się wzruszyć, obudziło się prawdziwe męskie zainteresowanie.

- Tak się cieszę. - Najwyraźniej nie dostrzegając, że przyjaciel trwa w stanie osłupienia, Jessie objęła go serdecznie.

Przytuliła się do niego piękna kobieta.

Nie, poprawił się w myślach, żadna piękna kobieta, tylko mała Jessie Sinclair, która wszędzie za nim łąziła, za nim i za Reillym. Owszem, stała się piękną kobietą, ale akurat ten fakt nie powinien mieć dla niego znaczenia.

- Kiedy przyjechałeś? - Lekko się odchyliwszy, spojrzała mu w twarz.

- W tej chwili. - Trzymał dłonie na jej ramionach, wpatrywał się w nią i próbował zapanować nad umysłem wytraconym z równowagi rażącą dysproporcją między obrazem zachowanym w pamięci i rzeczywistym. Właściwie dlaczego spodziewał się zobaczyć tyczkowatego podlotka? Przecież po wyjeździe z Millers Crossing widział ją kilka razy, chociażby na ślubie Reilly'ego, pięć lat temu, ale

wtedy zamienili zaledwie parę słów. Miał świadomość, że „urośła”, a jednak w pamięci tkwił uparcie obraz małej Jessie, długonogiej smarkuli o wielkich brązowych oczach. Matt jakoś nigdy nie pomyślał, że z biegiem czasu należałoby wprowadzić do tego obrazu pewne aktualizacje.

Jessie spoważniała, uśmiech znikł z jej twarzy.

- Dobrze się czujesz? Wiem od Gabe'a, że byłeś ranny. Mówił, że to nic groźnego, ale i tak się martwiłam. Dawno już powinieneś przyjechać. Mam świetny przepis na rosół z kury z mnóstwem czosnku. Wiem, że postrzał to nie przeziębienie, ale rosół z czosnkiem na pewno dobrze by ci zrobił. Skoro pomaga na przeziębienie i grypę, musi pomagać i na inne świństwa, a już na pewno chroni przed wampirami. Żaden wampir nie zbliży się do kogoś, kto jadł moją zupę. To znaczy, wampirów akurat nie musisz się bać, chyba że byłeś w Transylwanii...

Matt nadal opierał dłonie na ramionach Jessie i słuchał wypływającego z jej ust potoku słów. Wreszcie naprawdę poczuł się w domu, dopiero teraz wiedział, że wrócił. Co prawda przez chwilę miał wrażenie, że to obca osoba, ale nie, stała przed nim ta sama Jessie co kiedyś, paplająca z szybkością karabinu maszynowego. Usta same złożyły mu się do uśmiechu.

Jessie tymczasem z poważną miną poklepywała go po rękach, jakby szukała śladów postrzału.

- Nie za wcześnie wstałeś z łóżka? - martwiła się.

- Sam przyjechałeś? Prowadziłeś całą drogę z Seattle aż tutaj? Powinieneś być przylecieć, zamiast

wyprawiać się w podróż samochodem. Wyjechałabym po ciebie do San Jose, gdyby Gabe akurat nie miał czasu. Typowy facet. Żaden z was za nic się nie przyzna, że potrzebuje pomocy. Powinieneś...

Wywody Jessie przerwał serdeczny śmiech. Spojrzała Mattowi w twarz i całe napięcie, dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo była spięta, opadło z niej w jednej chwili. Wszedł do restauracji z miną poważną, chmurną i czujną. Zdawał się obcy i dopiero śmiech uczynił go na powrót dawnym Mattem. Takiego go zapamiętała. Nigdy nie był wesołkiem, ale przed chwilą przypominał... Jessie szukała właściwego określenia. Przypominał osaczonego. Zanim się nie uśmiechnął, wyglądał jak człowiek osaczony, prześladowany przez jakieś sobie tylko znane upiory.

A może tylko mi się wydawało, pomyślała, wpatrując się w uśmiechniętą teraz twarz Matta.

- Gadam głupstwa?

- Olimpijskie - oznajmił Matt z solenną powagą.

- Bo jestem zaskoczona, że cię widzę. - Jessie spoważniała. - Powiedz, jak się czujesz, ale naprawdę.

- Naprawdę dobrze.

Zobaczył powątpiewanie w jej oczach i dodał:

- Jedna dziurka po kuli. Nic wielkiego.

- Gabe mówił, że z Kosowa zabrał cię wojskowy samolot. Wracając pod opieką lekarza. Straciłeś podobno dużo krwi.

Zakłopotany troską w głosie Jessie, opuścił ręce i cofnął się o krok.

- Brzmi gorzej, niż było w rzeczywistości. Nic mi nie jest, czuję się świetnie - skłamał.

Jessie nie sprawiała wrażenia przekonanej, ale o nic więcej już nie pytała. I chwala Bogu, pomyślał Matt. Bo też niewiele więcej mógłby jej powiedzieć. Z pierwszych dni po postrzale prawie nic nie pamiętał. Chciałby móc powiedzieć to samo o dniach bezpośrednio poprzedzających fatalny strzał.

Dla oderwania myśli od złych wspomnień, rozejrzał się po restauracji. Wnętrze zmieniło się od czasów, kiedy urzędował tu z Reillym przy barze, lustrując okiem znawcy wchodzące dziewczyny. Pożółkłe linoleum zastąpiły panele w biało-czarną szachownicę, a kanapy przy stolikach, kiedyś obciążone czerwoną, mocno zniszczoną skórą, teraz miały turkusowe obicia i wykończenia z lśniącej chromowanej stali. Na ścianie za barem wisiało jednak to samo stare lustro, a nad szafą grającą te same, opatrzone autografami zdjęcia różnych znokumitości. Ricky Nelson, jak dawniej, walczył o lepsze z Gene'em Simonsem i Wayne'em Newtonem.

- Ernie sprzedał knajpę pięć lat temu - powiedziała Jessie, widząc, że Matt ocenia zmiany. - Powiedział, że przenosi się w okolice Mojave i zostanie pustelnikiem.

- W sam raz zajęcie dla niego - przytaknął Matt. Ernie był małym, zasuszonym staruszkiem, który traktował każde zamówienie jak niedopuszczalną ingerencję w jego życie. - Ernie nigdy nie należał do szczególnie towarzyskich.

Jessie parsknęła śmiechem.

- Dziadek mówił, że Ernie uczynił ze złych manier prawdziwą sztukę.

Na wspomnienie dziadka Jessie z twarzy Matta zniknął uśmiech.

- Żałuję, że nie mogłem być na pogrzebie. Przepraszam, Jessie. - Mocno uściśnął jej dłoń. - Dowiedziałem się po wszystkim.

- Nie przepraszaj. - Jessie uśmiechnęła się smutno. - Dostałam twoją kartkę. Wiesz, że dziadek nie lubił tych wszystkich napuszonych ceremonii.

- Wiem, ale przyjechałbym ze względu na ciebie. Na te słowa Jessie podejrzenie zapiekły oczy. Zawsze mogła liczyć na Matta, chyba nawet bardziej niż na Reilly'ego. Ten ostatni miał mnóstwo dobrych chęci, potrafił obiecać nawet gwiazdkę z nieba, ale potem coś go rozpraszało i o wszystkim zapominał. Matt nigdy o niczym nie zapominał i, bywało, wyręczał przyaciela w spełnianiu różnych obietnic. To właśnie Matt, nie Reilly, nauczył ją prowadzić samochód.

- Widziałeś Ermingardę? - zapytała, zmieniając temat. Nie chciała rozmawiać o śmierci dziadka. - W zeszłym tygodniu kazałam ją wywoskować.

- Widziałem. Dlatego się zatrzymałem. - Matt pokręcił głową. - Nie mogę uwierzyć, że ciągle jeździsz tym gratem.

- Tym gratem? - obruszyła się Jessie, dotknięta do żywego. - Ten grat to klasyczny mustang z sześćdziesiątego siódmego roku. Ermingarda przeszła gruntowny lifting w salonie Nortona. Norton osobiście się nią zajmował.

- Bardzo dokładnie i troskliwie się nią zajął - przytaknął Matt pod nosem. - Knykcie sobie do kości poobcierałem, remontując silnik. Ermingarda

stała na nogi, a ja powinienem był poddać się rozległym przeszczepom skóry.

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty, bo Ermingarda nadal jest na chodzie. - Dopiero teraz dotarło do Jessie, jak bardzo się cieszy, że znowu widzi Matta. Był ważną osobą w jej życiu. Jedną z najważniejszych, pomyślała i już po raz drugi od chwili, kiedy Matt wszedł do restauracji, łzy napływały jej do oczu. Usiłując ukryć wzruszenie, ujęła Matta pod ramię i przytuliła się do niego.

- Poznaj Lurene. To ona odkupiła bar od Erniego, razem z przepisem na jego chili, co było dużym sukcesem.

Matt starał się nie zwracać uwagi, że czuje na ramieniu pierś Jessie. Myśl o piersi w powiązaniu z osobą Jessie wydawała mu się mocno niestosowna. To pewnie z powodu stresu, rozgrzeszał się w duchu. Zbyt wiele nieprzespanych nocy, i pozbawiony odpoczynku umysł zaczyna szwankować. To jedyne wytłumaczenie, gdyby było inaczej, pewnie nawet by nie zauważył, że Jessie w ogóle ma piersi.

- Lurene, to Matt Latimer, mój stary przyjaciel. Matt, to Lurene Washington. Matt - tu ponownie zwróciła się do Lurene - nauczył mnie prowadzić samochód i udało mu się nawrzeszczyć na mnie nie więcej niż osiem, dziewięć razy.

- Raz. Tylko raz na ciebie krzychałem - poprawił ją Matt. - Kiedy chciałaś mnie zabić.

- Drobnym wypadek. - Jessie lekceważąco wyduła wargę i posłała Mattowi krzywe spojrzenie. - To było całkiem niewielkie drzewo.

- Wydawało się całkiem wielkie, kiedy zanosilo się na to, że zaraz przebiję je na wylot - zauważył Matt kwaśno, po czym udając, że nie słyszy syknięcia Jessie, wyciągnął dłoń do Lurene. - Jakim cudem wydobyłaś z Erniego jego sekretny przepis na chili? Użyłaś rozgrzanych do czerwoności szczypiec czy zaaplikowałaś mu skopolaminę?

Lurene wybuchnęła śmiechem.

- Musiałam mu obiecać, że kiedy już podpiszemy umowę, nigdy się do niego nie zwrócę po żadne rady czy sugestie w sprawie lokalu.

Matt pokiwał głową ze współczuciem.

- Zawsze ten sam Ernie. Nie wygląda na to, żeby złagodniał z wiekiem.

- Przynajmniej nie strzelał na widok nowego klienta w drzwiach. - Lurene oparła się o bar. O tej porze, po południu, w restauracji nie było nikogo. Miała się czym zająć, ale w ciągu tych pięciu lat nauczyła się, że trzeba korzystać i robić sobie małe przerwy w pracy, jeśli tylko nadarza się okazja. - Twierdził, że przepis na chili jest więcej wart niż cały ten lokal. Podobno próbowała go od niego odkupić jakaś wielka korporacja. Chcieli rozwinąć przemysłową produkcję chili Erniego i sprzedawać je w sklepach.

- Wcale się nie dziwię - powiedział Matt. - Spotkałem kiedyś w Bejrucie reportera, który był w naszym miasteczku. Pisał o zanieczyszczeniu rzek na tym terenie, ale najlepiej zapamiętał chiliburgery Erniego. Nie powiedział tego dosłownie, ale miałem wrażenie, że jeśli woda z rzeki pozytywnie wpływa na smak chili, to on osobiście zakazałby jej oczyszczania.

Na twarzy Lurene odmalowało się rozbawienie.

- Raczej nie wykorzystam stwierdzenia twojego znajomego jako sloganu reklamowego, choć uważam, że to komplement. - Siadaj, wędrowcze, a ja ci zaserwuję sławnego chiliburgra Erniego ze wszystkimi dodatkami.

Co prawda zatrzymał się koło knajpy, wmawiając sobie, że zgłodniał, ale tak naprawdę nie planował obiadu. Dopiero propozycja Lurene uświadomiła mu, że od wielu godzin nic nie jadł.

- Chętnie - powiedział, sadwiąc się na stołku przy barze. Dobrze jest wrócić do domu.

- Myślałam, że jesteście przyjaciółkami. - Lurene posłała Jessie pełne wyrzutu spojrzenie i oparła się o półkę za barem.

Matt właśnie wyszedł i Jessie wpatrywała się jeszcze w drzwi. Na twarzy miała błogi uśmiech, a w sercu radość, że znowu zobaczyła dawnego przyjaciela. Kwaśna uwaga Lurene dotarła do jej rozanielonej świadomości z niejakim opóźnieniem. Jessie obróciła się gwałtownie na stołku.

- Słucham? - zdumiała się.

- Przyjaciele nie mają przed sobą sekretów. - Lurene zaczęła bębnić długimi, szkarłatnymi paznokciami o blat.

- Sekretów? - Jessie nic nie rozumiała. - Jakich sekretów? - Lurene posłała znaczące spojrzenie w stronę wyjścia. - Matt? - Jessie uniosła brwi. - Matt nie jest żadnym sekretem.

- Nie mam do ciebie pretensji - oznajmiła Lurene

z godnością, nie zważając na osłupiałą minę Jessie.

- Gdybym ja знаła takiego faceta, na pewno nie chciałabym się nim z nikim dzielić.

- Dzielić się? - Jessie wybuchnęła śmiechem.

- On nie jest... To... po prostu Matt.

- Po prostu Matt? Na jego widok człowiek zaczyna wierzyć, że nie wszyscy atrakcyjni faceci wymarli. Nawet ty musiałaś to zauważyć.

- Oczywiście, że... Chciałam powiedzieć, że tak, jest przystojny.

- Przystojny? - Teraz Lurene unosiła wysoko brwi. - Jest boski.

- Pewnie tak. - To głupie, dlaczego czuję się zmieszana, zbeształa się Jessie w duchu.

- Opowiedz mi wszystko. Nie pomini żadnego pikantnego szczegółu. Dociekliwe umysły dążą do pełnego poznania. - W głosie Lurene rzeczywiście była taka żądza pełnego poznania, że Jessie znowu parsknęła śmiechem.

- Niewiele jest do opowiadania. - Jessie zaczęła przesuwać opuszką palca rozsypane na blacie drobinki soli. - Miałam osiem lat, kiedy poznałam Mlatta. Dziadek przeszedł właśnie na emeryturę, nie uczył już w szkole, zaczął udzielać prywatnych lekcji, zajął się na poważnie ogrodnictwem. Matka Reilly'ego... - Podniosła wzrok na Lurene. - Poznałaś Reilly'ego McKinnona?

- Jasne. Wysoki, przystojny blondyn. Ma piękną żonę. Miss Ameryki czy coś takiego.

- Druga wicemiss - poprawiła przyjaciółkę i zaraz pożałowała swoich słów. Tyle było w nich

niepotrzebnego jadu. Podjęła swoją opowieść, nie dając Lurene czasu na komentarz. - W każdym razie pani McKinnon poprosiła dziadka, żeby zaprojektował na nowo jej ogród. Mniej więcej w tym czasie ja pojawiłam się w miasteczku i zamieszkałam z dziadkiem. Zabierał mnie ze sobą do McKinnonów. Były akurat wakacje, Reilly miał mnóstwo wolnego czasu. Przyjaźnił się z Mattem. Chyba było im mnie żal, bo wszędzie zabierali mnie ze sobą. Musiałam doprowadzać ich do szału, ale nigdy nie dali mi tego odczuć. Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, wzięwszy pod uwagę różnicę wieku, ale uważałam ich za swoich przyjaciół.

- Czasami wiek nie ma znaczenia.

- Pewnie masz rację - przytaknęła Jessie, po czym szybkim ruchem zgarnęła sól z blatu na dłoń i wysypała ją na pusty talerz Matta. - W każdym razie tak wyglądał początek naszej przyjaźni. Zaprzyjaźniliśmy się, co nie znaczy, że byliśmy nierozłączni, ale mogliśmy na siebie zawsze liczyć. Tego lata kiedy skończyłam szesnaście lat, dziadek kupił mi Ermingardę, a Matt i Reilly przeprowadzili gruntowny remont wozu. To znaczy, remontował głównie Matt - poprawiła się z uśmiechem i coś ją musiało rozbawić, bo w oczach zapaliły się wesołe iskierki. - Nie wiem, jak udało mi się przeżyć tamte wakacje. Byłam taka podniecona, że mam wreszcie swój samochód. Taki samochód. Musiałam doprowadzać Matta do szału, bo ciągle wisiłam mu nad głową wypytywałam, co robi, narzucałam się z pomocą, niecierpliwiłam się, kiedy wreszcie skończy i będę mogła usiąść za kierownicą.

- Musi być z niego naprawdę miły facet - podsumowała Lurene. - Dziwne, że nie zakochałaś się w nim po uszy.

- Nie, ja zawsze... - Jessie w ostatniej chwili ugryzła się w język i pokręciła głową. - Zawsze widziałam w Matcie tylko przyjaciela. Wiem, że jest bardzo przystojny, ale nigdy tak na niego nie patrzyłam.

Zadzwonił dzwonek nad drzwiami i do restauracji weszła pięciosobowa rodzina. Lurene wyprostowała się, sięgnęła po menu.

- Kochanie, idź do okulisty, bo coś jest nie tak z twoimi oczami. Osobnik, który wyszedł stąd przed chwilą to stuprocentowy mężczyzna. Mężczyzna w najlepszym gatunku. - Uśmiechnęła się, poprawiła kunsztownie uczesane platynowe włosy, gotowa podejść do gości. - Gdybym nie poprzysięgła sobie, że dożyję swoich dni w celibacie, chętnie przekonałabym się, czy nie zechciałby trzymać butów pod moim łóżkiem. Z drugiej strony nie wiem, jak wpływałby na moje samopoczucie fakt, że budzę się co rano u boku faceta bardziej urodziwego ode mnie.

Jessie zsunęła się ze stołka, wzięła swoją szklankę i talerz Matta. Dziwne, ale uwagi Lurene wytrąciły ją z równowagi, odrobinę, ale jednak. Wiedziała, że Matt jest przystojny, oczywiście. Wystarczyło spojrzeć, nikt nie musiał jej tego mówić. Tyle tylko, że rzeczywiście nigdy nie patrzyła na niego w ten sposób i kiedy teraz o tym myślała, czuła się jakoś niewyraźnie.

Kręcąc głową zaniósła naczynia do kuchni.

Bzdura. Nie powinna w ogóle zastanawiać się nad słowami Lurene. Co za różnica, czy Mart jest piękny jak Adonis, czy przypomina trolla? Liczy się tylko to, że jest jej przyjacielem i że wrócił do domu.

Kiedy był dzieckiem, jego rodzice mieszkali w przyzwoitym domku w przyzwoitej okolicy, pełnej identycznych przyzwoitych domków. Ojciec pracował w dziale kredytów w Millers Savings and Loan, czyli miejskiej kasie oszczędności. Matka poprzestała na tradycyjnej roli gospodyni domowej. Sprzątała, prała i gotowała codziennie przyzwoite, pełnowartościowe posiłki. Ojciec codziennie chodził do pracy w garniturze i pod krawatem, regularnie płacił rachunki, w każdą sobotę strzygł trawnik, w wyznaczonych terminach oddawał samochód do przeglądu. Mieli, jak należało, dwoje dzieci, dwóch chłopców, którzy przyszli na świat w przyzwoitym, świadczącym o mądrym planowaniu rodziny, odstępie pięciu lat. Z pozoru wszystko wyglądało przerażająco normalnie.

Matt nie potrafił powiedzieć, ile miał lat, kiedy zorientował się, że normalne matki nie wypijają dziennie pół butelki wódki, a normalni ojcowie po powrocie z pracy nie sięgają po pas jako instrument wychowawczy.

Nie wracał myślami do tamtych czasów, a jeśli już, to dziękował bratu, dzięki któremu przetrwał: intelektualnie, emocjonalnie, może nawet fizycznie. Gabe był jedyną osobą w rodzinie, na którą mógł liczyć. W Gabie zawsze miał oparcie. Nic dziwnego,

że teraz, kiedy chciał się zaszyć w bezpiecznym miejscu, pomyślał o domu brata.

Nie był tam jeszcze. Gabe kupił dom zaledwie przed rokiem. Pięć kilometrów za miastem, przy drodze prowadzącej ku wzgórzom, dwa akry strome-go jak pionowa ściana terenu... I dom, zbudowany w latach sześćdziesiątych przez kilkoro hipisów, którzy szukali więzi z ziemią, naturą i wsią. Okazało się, że ziemia nie podziela ich tęsknoty za harmonią. Lawina błota po wiosennych deszczach zabrała kur-nik. Dwa lata później na farmie wybuchł pożar. Dom ocalał, ale spłonęło kilka starych pickupów, van i zabudowania gospodarcze. Hipisi wynieśli się do bardziej przyjaznego San Francisco.

Przez następnych trzydzieści lat nieruchomości co rusz zmieniała właścicieli; znalazła się nawet przedsięwzięcia para, która chciała tu stworzyć plantację marihuany. Stworzyła, po czym rząd skonfiskował farmę, a potem Gabe odkupił ją od władz. Kochał samotność, cenił sobie prywatność i stąd pewnie bardziej zauroczyła go bezлюдna okolica niż sam dom.

Pojawił się na ganku w tym samym momencie, kiedy Matt otworzył drzwiczki swojego wozu.

Bracia nie byli do siebie podobni. Mierzący metr osiemdziesiąt pięć Matt należał do wysokich, ale Gabe był od niego o dobre dziesięć centymetrów wyższy. Matt miał niemal kruczoczarne włosy, Gabe znacznie jaśniejsze. Kiedyś powiedział, że jego twarz musi stanowić bliski karykatury kolaż kilku twarzy, bo nic ta do niczego nie pasowało. Była to wyjątkowo

trafna uwaga. Za duży nos, zbyt wygięte usta, zbyt głęboko osadzone oczy.

Matt poczuł, jak wzruszenie chwyta go za gardło. Jeśli w ogóle gdziekolwiek miał dom, to właśnie tu. Nie myślał o samym budynku, który, przynajmniej na pierwszy rzut oka sądząc, sprawiał takie wrażenie, jakby za chwilę miał się rozsypać. Chodziło o brata. Tak, zawsze mógł liczyć na Gabe'a i chyba nigdy mu nie powiedział, jak bardzo go kocha.

- Niech cię cholera. Widzę, że jednak będę musiał zaminować drogę - zawołał Gabe, schodząc po wypaczonych schodach. Nawet jeśli zaskoczył go widok brata, nic po sobie nie pokazał. - Inaczej ciągle będą się tu pojawiać jacyś postrzelency.

- Jeśli cię to pocieszy, to zgubiłem tłumik na tych wybojach. Zamierzasz coś zrobić z tą drogą, czy tylko ją zaminujesz?

- Po co mam coś robić? Zawarłem umowę z warsztatem sprzedającym tłumiki, dostaję niezły procent. - Gabe spojrzał na Matta i zachmurzył się. - Wyglądasz okropnie, braciszku.

- Dziękuję. Ja też się cieszę, że cię widzę. - Matt sięgnął na tylne siedzenie po torbę podręczną. Wszystko inne mogło poczekać do jutra. - Ciągłe szukasz najmity?

- Jasne. - Gabe zapewne chciał wiedzieć, dlaczego Matt w końcu zdecydował się przyjechać, ale nie zadawał pytań. Odebrał od brata torbę, nie zważając na jego dość słabe protesty. - Głodny?

- Nie. Po drodze zatrzymałem się „U Erniego”. Zjadłem specjalność zakładu.

- W takim razie zawiozę cię na płukanie żołądka

- zaproponował Gabe cierpko, przyprawiając brata o śmiech.

- Chyba przeżyję. - W zapadającym zmierzchu niesły się z dąbrowy pierwsze tony nocnej serenady świerszczy. - Widziałem Jessie.

- Robi desery dla nowej właścicielki. - Gabe otworzył drzwi siatkowe, unosząc je odruchowo, żeby nie zablokowały się na wypaczonej podłodze.

- Tak mówiła. Poczęstowała mnie nawet jakimś sernikiem. Właśnie upiekła. Niezły. Dorosła Jessie... śmieszne.

- Zdażyła dorosnąć, zanim wyjechałeś - zauważył Gabe przytomnie.

- Aha. - Matt nie potrafił powiedzieć, dlaczego fakt osiągnięcia przez przyjaciółkę wieku dorosłego, tak zaprzętał jego myśli.

Wnętrze domu nie przedstawiało się wiele lepiej niż droga dojazdowa: wypaczone podłogi i framugi okienne, kominek gotów lada chwila zamienić się w stertę kamieni.

- Jest tu coś, co nie wymaga natychmiastowego ratunku? - zainteresował się Matt.

- Twoja głowa. Nic jej już nie pomoże. - Gabe przeszedł przez otwór, w który kiedyś zapewne wprawione były drzwi. - Zrobiłem całą hydraulikę i instalację elektryczną. Mamy już ciepłą wodę i światło. Łazienkę prawie skończyłem, robię teraz kuchnię. Pomyślałem, że to najważniejsze, reszta może poczekać.

- Ciepła woda i żarcie to podstawa - zgodził się Matt i wszedł za bratem do małego pokoju. Stało tu

wąskie łóżko i pamiętająca lepsze czasy komoda. W oknie nie było zasłon, ale był za to wytarty i chyba niezbyt czysty chodniczek przed łóżkiem. Matt rozglądał się zachwycony. Nigdy nie miał lepszego mieszkania.

- Dzięki, Gabe - wykrztusił, walcząc z chwytającym za gardło wzruszeniem. - Jest wspaniale.

- Nie dziękuj. Tak cię zaprzęgnę do roboty, że zapomnisz, do czego służy tyłek. - Gabe uściśnął brata za ramię i wyszedł.

Matt stał chwilę bez ruchu na środku zakurzonego, zrujnowanego pokoju i rozkoszował się nieznanym dotąd uczuciem.

Był w domu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dana McKinnon od zawsze wiedziała, że ma spełniać oczekiwania, wiedziała też jakie. Mama każe jej ładnie się uśmiechać do obiektywu - to pierwsze wspomnienia. Kiedy skończyła dziesięć lat, nie potrafiła już powiedzieć, ile razy słyszała to polecenie. Były i inne. Nie pobrudź się. Nie potargaj włosów. Nie marszcz czoła. Nie biegaj, bo upadniesz i będziesz miała podrapane kolana. Dopiero jako dorosła kobieta uświadomiła sobie, jak wiele zakazów ją obowiązywało. Żyła w świecie pełnym ograniczeń. I podporządkowywała się im.

Matka Dany była osobą o ograniczonych możliwościach i nieograniczonych ambicjach. Najmłodsza córka stała się narzędziem realizacji tych ostatnich. Roxanne Andrews odznaczała się tak zwaną miłą powierzchownością, mąż należał do przeciętnie urodziwych, dwójka dzieci mieściła się w normie estetycznej. Aż, niczym cud genetyczny, pojawiła się

Dana, dziecko tak niezwyklej urody, że ludziom na jej widok zapierało dech w piersiach.

Roxanne szybko się zorientowała, jakim potencjałem dysponuje, i tak Dana, skończywszy sześć miesięcy, reklamowała już odżywki dla niemowląt. W wieku dwóch lat została fotomodelką, prezentowała ekskluzywne i bardzo drogie ubranka dla dzieci. Ambicje Roxanne zostały wystawione na pierwszą próbę, kiedy okazało się, że najlepsi nauczyciele nie uczynią z Dany następnej Jodie Foster. Pogodziwszy się z tym, że - ubrana w kreację Very Wang, w naszyjniku od Tiffany'ego - nie będzie oglądać córki odbierającej swojego pierwszego Oscara, skierowała wciąż niezaspokojone ambicje ku bardziej osiągalnym celom - konkursom piękności.

Kiedy inne dziewczynki robiły babki z piasku i zadzierzgały pierwsze przyjaźnie z innymi dziewczynkami, Dana brała lekcje tańca i chodzenia po wybiegu. Nie wolno jej było biegać ani bawić się, żeby przypadkiem nie oszpecić pięknego ciała pasudną blizną. Spędzała długie godziny przed lustrem, ćwicząc perfekcyjny uśmiech, odsłaniający ani za dużą, ani za małą liczbę zębów. Jej życie zaczynało się i kończyło na pielęgnowaniu własnej urody oraz matczynych ambicjach.

Wiedziała, instynktowną mądrością dziecka, że matka ją kocha za jej urodę, a miłość osiąga apogeum, kiedy córeczka wygrywa kolejny konkurs. Robiła więc wszystko, by zawsze wygrywać. Rodzeństwa prawie nie znała, ojciec kojarzył się jej wyłącznie z pobłażliwym uśmiechem i okazjonal-

nym klepaniem po głowie. To nie miało znaczenia. Najważniejsze, żeby matka była zadowolona. A była wtedy, kiedy córka przywoziła do domu szarfy i korony.

I tak Dana wyrastała w przeświadczeniu, że uroda jest wszystkim, co ma do zaoferowania. Kiedy Reilly McKinnon poprosił, by za niego wyszła, domyśliła się, co nim powodowało. McKinnon był przystojny, uroczy, miał dobre pochodzenie - typ faceta, który podoba się kobietom, a także ich matkom. Jeśli wybrał akurat ją, to tylko i wyłącznie ze względu na urodę. Przyjęła to jako rzecz oczywistą bo była w nim po uszy zakochana. Poza tym po raz pierwszy w życiu dzięki swojej urodzie miała zdobyć coś wyłącznie dla siebie.

Jest takie irytujące wschodnie porzekadło: uważaj, by nie spełniły się twoje marzenia. A może to cygańska kłątwa? Dana z westchnieniem wlała solidną porcję whisky do szklaneczki. Wschodnie czy cygańskie, nie należało go lekceważyć.

Kątem oka dojrzała swoje odbicie w lustrze nad barkiem i z całych sił zacisnęła szklanekę w dłoń. Miała ochotę cisnąć szkłem w tamtą kobietę. Zamknęła na chwilę oczy, wzięła głęboki oddech, jak przed wyjściem na wybieg. Kiedy je ponownie otworzyła, mogła już obojętnie spojrzeć w lustro.

Nie było w niej próżności. Nasłuchawszy się przez całe życie, jak inni analizują jej walory fizyczne, potrafiła oceniać swój wygląd z takim samym bezosobowym chłodem, z jakim naukowiec ogląda pod mikroskopem badany przez siebie okaz.

Miała trzydzieści cztery lata, za dużo, by stawać do konkursów, ale nadal była piękną kobietą.

Jasnozłote włosy o odcieniu, który nazywa się czasem szampańskim blondem. Kiedy je rozpuściła, opadały gęstymi falami niemal do pasa, ale rzadko je teraz nosiła rozpuszczone. Zazwyczaj były upięte w węzeł, jak dzisiaj. Prosta, niemal surowa fryzura, świetnie podkreślała klasyczny owal twarzy.

Oczy błękitne jak bezchmurne niebo.

Długie, ciemne rzęsy.

Krótki, prosty nos.

Pełne usta o pięknym wykoju.

Jednym słowem, twarz klasycznie piękna, taka, która skutecznie opiera się zmiennym kaprysom mody.

Ale to nie wystarczyło do zdobycia tytułu, którego tak desperacko pragnęła jej matka. Nie wystarczyło też, by utrzymać małżeństwo. Twarz w lustrze może i była bliska ideału, ale to wszystko za mało.

Usłyszała kroki w holu i szybko wychyliła whisky, jakby chciała nią spłukać wzbierający w gardle szloch. Kiedy Reilly wszedł do salonu, przywitała go z opanowanym wyrazem twarzy. Jeszcze teraz, po pięciu latach małżeństwa, po wszystkim, co między nimi zaszło, serce jej drgało na widok Reilly'ego. Kiedyś takie drgnienie oznaczało czystą radość wywołaną świadomością, że on jest jej, należy do niej; dzisiaj radość mieszała się z urazą i żalem. Już nie potrafiła rozdzielić tych uczuć. Szybko odwróciła głowę w obawie, że mąż wyczyta w jej oczach targające nią emocje.

Reilly zdążył zauważyć wrogą reakcję żony. Zaboląła go, ale nie dał nic po sobie poznać. Podszedł do Dany różnym krokiem, jakby zamiast niechęci dostrzegł na jej twarzy uśmiech, jak dawniej... To moja wina, powtórzył sobie w duchu. Tylko do siebie mógł mieć pretensje o to, co się stało.

- Jak lunch? - zapytał, udając, że wszystko jest w porządku. Miał ochotę wziąć Danę w ramiona i przytulić. Czas... Trzeba czasu i cierpliwości. Przrzekł sobie, że poczeka, nie będzie niczego przyspieszał na siłę, da jej chwilę oddechu.

- Męczący. - Dana odsunęła się. Czuła, że kurczowo zaciska szklankę w dłoni, dlatego rozluźniła palce. Po wyjściu za mąż zaangażowała się w pracę dla rozmaitych organizacji charytatywnych. Nie miała porządnego wykształcenia, żadnego wyuczonego fachu ani też żadnych ambicji zawodowych, ale świadomość, że pomaga ludziom, dawała jej wystarczającą satysfakcję, może nawet większą niż robienie kariery. Reilly powiedział kiedyś żartem: „Tyle lat powtarzałaś jurorom na konkursach piękności, jak to chcesz coś zdziałać dla pokoju na świecie, że w końcu w to uwierzyłaś”.

Tak, Reilly kiedyś żartował, w jego oczach zapalały się wesołe iskierki, których próżno by teraz tam szukać. Na myśl o tym zrobiło się jej smutno. Coś straciła...

- Margaret Docherty - zaczęła spokojnym, starym modulowanym głosem - zaproponowała, żeby zmniejszyć liczbę łazienek o połowę i obniżyć w ten sposób koszty budowy. W jej przekonaniu bezdomni

będą tak uszczęśliwieni, kiedy dostaną dach nad głową, że nie będzie im przeszkadzać wyczekiwanie w kolejce.

- Ciekawe, zważywszy, że kilka lat temu wybudowaliśmy jej dom z czterema sypialniami i sześcioma łazienkami.

Reilly wszedł za bar i wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej. Odkręcając nakrętkę, zerknął mimo woli na szklanczkę w dłoni Dany. Pierwsza whisky czy już kolejna z rzędu? To następna zmiana, jaka dokonała się w ostatnich miesiącach. A może nie? Może tylko dopatrywał się problemu tam, gdzie go nie było?

- Margaret najwidoczniej boi się, żeby bezdomni nie mieli zbyt luksusowych warunków, bo gotowi się przyzwyczaić. Ludzie w ich sytuacji powinni z pokorą przyjmować wszystko, co im się da.

Dana zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju, co chwilę przystając. Tu poprawiła abażur, tam wyprostowała lekko przekrzywiony obraz. Czuła na sobie spojrzenie Reilly'ego, obserwowała ją, w jego oczach kryły się pytania, na które nie mogła odpowiedzieć. Miał prawo je postawić. Miał prawo? - pomyślała w nagłym przypływie irytacji. Niby dlaczego? Dlaczego miałyby zadawać jej jakiegokolwiek pytania?

Nie, jest niesprawiedliwa. Niepotrzebnie się wścieka. Sama powiedziała, że to zamknięta sprawa. Rozpaczliwie chciała, żeby tak właśnie było - zamknąć ten rozdział, odhaczyć i nigdy już do tego nie wracać. Nie jego wina, że nie potrafiła.

- Co ustaliliście? Zmniejszycie liczbę łazienek

w schronisku? - zapytał, usiłując podtrzymać rozmowę.

- Nie. - Dana dopiła resztkę szkockiej. - Powiedziałam, że schronisko ma świadczyć o pracy naszej komisji i nie będę firmować własnym nazwiskiem partactwa.

- Bardzo słusznie. - Reilly uniósł butelkę w toaście i przysiadł na oparciu fotela. W dżinsach, w szarym T-shircie, bosy, z lekko zmierzwionymi włosami, wyglądał irytująco atrakcyjnie. Irytujące było także to, że zwracała uwagę na jego wygląd. - Odwołanie do snobizmu to najskuteczniejsza metoda perswazji.

- W każdym razie niechybnie trafiająca Margaret do przekonania. - Dana podeszła do baru i nalała sobie następnego drinka. Kiedy się odwróciła, napotkała zdziwione spojrzenie Reilly'ego.

- Chyba trochę za wcześnie? - Powiedział to niby lekko, ale minę miał zafrasowaną.

Dana, jakby na przekór, uniosła szklanczkę, upiła solidny łyk i dopiero spojrzała na zegar na kominku.

- W Nowym Jorku dochodzi siódma - oznajmiła rwardo i zaraz pożałowała, że wypowiedziała te słowa, w dodatku takim tonem.

- Dano, ja...

Melodyjny dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych nie pozwolił mu dokończyć zdania. Spojrzył niechętnie w stronę holu. Wiedziała, że nie ma najmniejszej ochoty nikogo wpuszczać, ona przeciwnie, była szczęśliwa, że niespodziewany gość prze-rwał żalosną rozmowę. Dzięki temu zyska chwilę

czasu na zebranie myśli. Kiedy ruszyła ku drzwiom, Reilly poderwał się z fotela.

- Ja otworzę - rzucił ze złością.

Z ulgą patrzyła, jak Reilly wychodzi z pokoju. Zaskoczyła ją własna złość. Co innego żyć z ciągłym poczuciem urazy, co innego dawać ujście zrodzonej z niej złości. Powinnam trzymać emocje na wodzy, pomyślała, patrząc na trzymaną w dłoni szklaneczkę. Nawet nie zauważyła, kiedy nalała sobie kolejnego drinka. Brak opanowania to paskudna rzecz.

Nigdy nie należy się śmiać zbyt głośno, nigdy nie wolno płakać w obecności innych i nigdy, w żadnym wypadku, nie okazywać złości. Nawet wtedy, gdy inna dziewczyna zdobywa koronę, o którą tak desperacko walczyłaś.

Nawet wtedy, gdy twój mąż sypia z kimś innym.

Chyba powinien był jednak wcześniej zadzwonić. Matt wsadził ręce do kieszeni, pokiwał się na piętach i wbił spojrzenie w zamknięte drzwi.

Dom wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała: otynkowany na biało, z niebieskimi sztukateriami, dach z czerwonej dachówki. Nawiazania do tradycji hiszpańskiej, w ogóle śródziemnomorskiej, były wszechobecne w architekturze kalifornijskiej. Podobnie jak meksykańskie palmy, którymi wysadzono ulicę, i wielki eukaliptus na trawniku przed wejściem. Żaden z tych elementów nie był rodzimy, ale to właśnie urok Kalifornii. Zapożyczenia traktowane jako coś oczywistego i własnego.

Kiedyś po prostu pchnąby drzwi i wszedł, bez

dzwonienia. Kiedyś, w czasach szkolnych, rezydencja McKinnonów przy Sycamore Street była jego drugim domem, a właściwie pierwszym. Takiego domu pragnął dla siebie. I takich rodziców jak Libby i Bill McKinnon.

Od tamtych czasów wiele się zmieniło. Ojciec Reilly'ego nie żył już od dziesięciu lat, a matka, ku zdziwieniu wszystkich, przeniosła się do Santa Fe i otworzyła żłobek.

Dziwne, że wszystko nadal wyglądało tak swojsko, skoro tyle się zmieniło. Tak, jednak powinien był najpierw zadzwonić. Usłyszał, że ktoś podchodzi do drzwi. Za późno na odwrót, chyba żeby zanurkował w krzewy koło ganku.

Drzwi się otworzyły. Na twarzy Reilly'ego odmalowało się najwyższe zdumienie i zaraz potem rozjaśnił ją szeroki uśmiech.

Niektóre rzeczy nie zmieniły się ani na jotę.

- Jak się czujesz, stary? - zapytał Reilly, kiedy Matt w końcu usadowił się w przepastnym fotelu koło kominka.

O ile na zewnątrz dom prawie się nie zmienił, o tyle wewnątrz zaszły radykalne zmiany. Zdjęto miękkie wykładziny, odsłaniając podłogę z dębowych desek. Stare meble zastąpił komplet utrzymany w ciepłych koralowych tonach przełamanych chłodnym błękitem, dobrze współgrających z obramowaniem kominka wyłożonym meksykańskimi kaflami. W wysokich oknach zawisły nowe zasłony w wesoły kwiatowy wzór.

- Nieźle. - Matt z uśmiechem odebrał od Dany dobrze schłodzone piwo i mrugnął do niej, na nowo oszołomiony jej urodą. - Dzięki.

Przed pięciu laty przyleciał na ich ślub prosto z Afganistanu. Tam krew i zniszczenie, tu koronki, kwiaty, radosna ceremonia. Nie miał czasu się przestawić, odnaleźć w tym pogodnym, szczęśliwym świecie. Odegrał swoją rolę, wręczył we właściwej chwili obrączki, wypił toast za zdrowie młodej pary, zamienił kilka zdań ze starymi znajomymi. Śmiał się, żartował, bawił, ale cały czas miał wrażenie, że patrzy na wszystko z boku. Tak jakby był jednocześnie i uczestnikiem, i widzem spektaklu. Dostrzegł niezwykłą urodę panny młodej, owszem, ale i ona wydała mu się wtedy kolejnym, trochę nierealnym elementem spektaklu.

Nawet teraz Dana wydawała się nierealna. W tunice z niebieskiego lnu, w delikatnych sandałkach, długonoga i opalona, przypominała mu młodą Grace Kelly - piękna, niedostępna i chłodna.

- Kiedy przyjechałeś? - zagadnęła tym swoim dobrze ustawionym głosem.

- W sobotę.

- Mieszkałeś ostatnio w Seattle, prawda? - Dana usiadła w fotelu naprzeciwko Matta, złączone kolana odchyliła lekko na bok, nogi skrzyżowała w kostkach - pełna elegancji poza. Matt zaczął się zastanawiać, czy ta kobieta kiedykolwiek się odpręży, przestaje myśleć o sobie, zapomina o dobrej prezencji. - Po Seattle nasze upały muszą być niemałym szokiem dla organizmu.

- Po Seattle szokiem dla organizmu jest samo światło słoneczne - zauważył Matt cierpko.

- Nieźle wyglądasz, jak na faceta, który dostał kulkę. - Reilly przerwał paplanie o pogodzie. Z na wpół opróżnioną butelką mineralnej w dłoni przysiadł na oparciu fotela Dany.

- Bo to była mała kulka - skłamał Matt. Wiele by dał, żeby wszyscy wokół raz na zawsze zapomnieli o jego ranie, popadli w tej kwestii w nieuleczalną amnezję. Sam by o niej najchętniej zapomniał, gdyby potrafił.

- Myślałem, że dziennikarze są nietykalni - zapisał Reilly. - Jak to się stało?

Matt nieznacznie wzruszył ramionami.

- Pech. Znalazłem się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. I nie zdążyłem się uchylić.

Każdemu tak odpowiadał, począwszy od szefa, skończywszy na niezliczonych lekarzach, którzy go badali. I była to prawda, w każdym razie tyle prawdy, ile chciał ujawnić, tym razem jednak czuł dziwną chęć, żeby opowiedzieć więcej, może nawet wszystko. Gdyby byli sami... Ale nie byli. Może to i lepiej, uznał. Wrócił do domu, żeby zapomnieć o sprawie, a nie poddawać ją gruntownej analizie.

- No to powiedz, co u ciebie nowego.

Jeśli to miała być próba zmiany tematu, to mało subtelna. Znał Reilly'ego i jego upór. Przyjaciel gotów był drażnić temat pomimo jawnej niechęci Matta. Ledwo jednak zerknął na żonę, uznał sprawę postrzału za zamkniętą.

Mieli mnóstwo innych tematów. Reilly pokrótce

zreferował Mattowi, co słycać u starych znajomych. Kto wytrwał w małżeństwie, kto się rozwiódł, kto wyjechał, kto wrócił, komu urodziły się dzieci, czyje poszły do szkoły średniej. Po pięciu latach spędzonych w Millers Crossing Dana znała niemal wszystkich, o których wspominał Reilly, i dorzucała swoje trzy grosze tam, gdzie jego zawodziła pamięć. Słuchając ich relacji, Matt uświadamiał sobie z przykrością, jak szybko płynie czas.

Niedługo stuknie mu czterdziestka i czym mógł się pochwalić? Niezliczonymi nagrodami, które niewiele dla niego znaczą, sprzętem wartym tysiące dolarów, którego nie był w stanie w tej chwili używać, dziurą po kuli w ramieniu...

Kiedy przedzierał się przez dżunglę albo odmrażał tyłek w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu, kiedy fotografował głodujące dzieci i cierpiących na megalomanię dyktatorów, kiedy usiłował uchronić się przed najrozmaitszymi chorobami tropikalnymi, ludzie, z którymi chodził do szkoły, zakładali rodziny, wychowywali dzieci, budowali swój świat.

Co nie znaczy, że małżeństwo jest receptą na spełnione życie. Sząc piwo, przyglądał się siedzącej przed nim parze. Stanowili widok zbyt piękny, żeby był prawdziwy. Reilly, ciemny blondyn o wyrazście zielonych oczach i twarzy, która zapewniłaby mu dobry start w Hollywood. I Dana, z jej chłodną doskonałą urodą. Gdyby kiedykolwiek miał zrobić im portret fotograficzny, zatytułowałby go z całą pewnością „Idealna para”.

A jednak, im dłużej na nich patrzył, tym mniej odpowiedni zdawał się ten tytuł.

Nic oczywistego, nic, co rzucałoby się w oczy. Jakieś ledwo uchwytno drobiazgi. Fakt, że Dana siedziała tak, by nie musnąć przypadkiem ramienia Reilly'ego. Reilly też uważał, by jej nie dotknąć. Co chwilę spoglądał na nią ale ani razu jej nie dotknął. Dana unikała nie tylko dotyku, ale i wymiany spojrzeń.

Może to nic nie znaczy, pomyślał Matt. Prawdopodobnie, ale jeśli jednak tak, musi chodzić o jakiś drobiazg. Mogli się na przykład pokłócić. Nawet szczęśliwe małżeństwa sprzeczą się od czasu do czasu. Ale czy to powód, by Reilly miał sińce pod oczami? Cokolwiek myślała i czuła Dana, ukrywała to za wystudiowanym, chłodnym uśmiechem, ale Reilly nie był tak dobrym aktorem.

Ale co on wie o małżeństwie? Całe życie przeżył samotnie, nigdy nawet nie planował ożenku. Nigdy aż tak bardzo się nie zaangażował, by myśleć o stałym związku.

- Pamiętasz Bulla Muellera? - Pytanie Reilly'ego wyrwało Matta z zamyślenia.

- Jasne - przytaknął. - Grał w obronie w naszej drużynie uniwersyteckiej. Największe stworzenie, jakie widziałem, nie licząc tych w zoo.

- Ujawnił w zeszłym roku swoje preferencje seksualne i teraz mieszka w Long Beach z projektantem ogrodów, Chuckiem.

- Dość późno się na to zdecydował.

- Ano tak - zaśmiał się Reilly. - Zawsze

przyznawał, że jest gejem, wiedzieliśmy o tym, ale uznał, że lepiej będzie ogłosić to wszem i wobec. Słuchaj - zmienił temat - może urządzimy przyjęcie? Zaprosimy starych znajomych, przywitasz się ze wszystkimi.

- Wcześniej czy później odezwę się do przyjaciół. - Matt doskonale wiedział, że to nieprawda. Właściwie większość znajomych, o których wspominał Reilly, niewiele go obchodziła. Nie to, żeby ich unikał, ale też nie zamierzał odnawiać z nimi kontaktów.

- Musimy urządzić przyjęcie - ciągnął Reilly, puszczając mimo uszu słaby protest Matta. - Co ty na to, kochanie? Możemy chyba zorganizować imprezę, prawda? W przyszłą sobotę?

- Oczywiście - zgodziła się Dana, nie patrząc na męża.

- Naprawdę szkoda zachodu - spróbował pohamować ich zapędy Matt, z góry wiedząc, że to na nic.

- Nie będzie żadnego zachodu - oznajmił Reilly z pewnością człowieka, którego doświadczenie w wydawaniu przyjęć sprowadzało się do skrzyknięcia kumpli w akademiku na męskie spotkanie przy piwie. - Catering załatwi nam przyjaciółka Jessie. Wiesz, ta, która kupiła knajpę Erniego.

- Lurene - wpadł mu w słowo Matt, a widząc zdziwioną minę Reilly'ego, dodał: - Wpadłem do Erniego zaraz po przyjeździe.

- Na chili? - zapytał Reilly pół żartem.

- Zobaczyłem samochód Jessie przed barem i zatrzymałem się. Byłem pewien, że dawno już go

sprzedała, ale okazuje się, że nie. - Matt z uśmiechem pokręcił głową. - Wierzyć się nie chce, ale ciągle nim jeździ.

- I w nim zostanie pochowana - dodał Reilly z serdeczną kpina. - A więc widziałeś się już z Jessie.

- Tak. Świetnie wygląda. - Świetnie, to za mało powiedziane, pomyślał Matt, wspominając z jakąś irytacją długie do nieba nogi i krągłe piersi. I nogi, i piersi Jessie zbyt mu zaprzętały myśli w ostatnich dniach. Do cholery, przecież to tylko Jessie. Odchrząknął. - Bardzo się ucieszyłem, kiedy ją zobaczyłem.

- Trudno uwierzyć, że to ten sam chudy podłotek, który wszędzie się za nami włóczył, co?

- Taa. - Matt robił wszystko, by o tym nie zapomnieć.

- Kiedy wyjechała do Paryża, byłem pewien, że wróci w wysokiej białej czapce, żeby przez resztę życia zajmować się wyrabianiem ekierok i przyrządzaniem zupy cebulowej.

Matt próbował to sobie wyobrazić. Czapka szefa kuchni zawsze wydawała mu się pretensjonalna, jakoś nie pasowała do Jessie, która chyba nie potrafiłaby zachować powagi w czymś takim na głowie.

Reilly nachylił się do Matta.

- Pamiętasz, jak kiedyś wymusiła na nas, żebyśmy zabrali ją pod namiot, i od razu pierwszego dnia wpadła do strumienia?

- Wpadła dwa razy - przytaknął Matt, uśmiechając się na to wspomnienie. - A następnego dnia na szlaku zjechała ze ścieżki prosto w rów pełen błota.

- To było jak przekleństwo - zachichotał Reilly.
- Modliliśmy się, żeby odstawić ją w całości do domu.

Matt pokręcił głową.

- Ale jej udało się skrócić nogę, kiedy już schodziliśmy na parking, i musieliśmy ją znosić prawie z samego szczytu góry.

- Miała wtedy... ile? Jedenaście? Dwanaście lat? Była jeszcze dzieciakiem, ale nie uroniła jednej łzy.
-W głosie Reilly'ego zabrzmiała nuta podziwu. - Ja miałem ochotę usiąść i płakać, a ona dowcipkowała.

Dana podniosła się gwałtownie, na jej ustach pojawił się uprzejmy uśmiešek.

- Muszę zająć się kolacją. Jeśli masz ochotę, zostań - zwróciła się do Matta. - Wystarczy i dla ciebie.

- Dziękuję za zaproszenie, ale będę za chwilę jechał. Obiecałem Gabe'owi, że w drodze powrotnej zrobię jeszcze zakupy.

- Zadzwoimy do ciebie, jak już będziemy wiedzieć, co z przyjęciem. - I Dana wyszła z pokoju, nie zaszczycając męża ani jednym słowem czy spojrzaniem.

Matt zerknął na Reilly'ego i szybko odwrócił wzrok. Zobaczył bezbrzeżny smutek w oczach przyjaciela i zrobiło mu się głupio. Intuicja podpowiadała mu, że ledwie wyczuwalne napięcie między Daną i przyjacielem to coś więcej niż drobne małżeńskie nieporozumienie.

- Zapomniałem już, jaka jest piękna - powiedział Matt, przerywając milczenie.

- Taaa. - Reilly pokręcił głową. - Nadal nie mogę uwierzyć, że zgodziła się wyjść za mnie. Mogła mieć każdego.

- Nie jesteś taki ostatni, staruszk - pocieszył go Matt. - Nigdy nie mogłem tego zrozumieć, ale kobiety uważają że doręczny z ciebie osobnik.

Reilly uśmiechnął się bez przekonania, zsunął rękę na poduszki, gdzie przed chwilajeszcze siedziała Dana.

- Mogła mieć każdego - powtórzył z oślim uporem.

- Może cię kocha - wysunął śmiałą hipotezę Matt. - Dziwniejsze rzeczy zdarzają się na tym świecie.

- Może. - Reilly miał taką minę, jakby chciał coś jeszcze dodać, powiedzieć coś więcej, ale szybko się rozmyślił.

Matt był bliski pociągnięcia go za język. Intuicja i dwadzieścia pięć lat przyjaźni mówiły mu, że Reilly chętnie by mu się zwierzył. Coś go najwyraźniej dręczyło, a nigdy nie potrafił trzymać języka za zębami. Jeszcze pół roku temu Matt wydobyłby z niego prawdę, ale pół roku temu on też nie miał przed nikim żadnych tajemnic.

Przechylił butelkę i dopił resztkę piwa.

Nigdzie nie wyjeżdżał. Prędzej czy później Reilly powie mu, co go gryzie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Matt zamknął oczy, wyciągnął się wygodnie w bujaku na ganku. Ciężki popołudniowy żar zdawał się przenikać ciało do szpiku kości, łagodził ból w ramieniu i wysysał z człowieka resztki energii. Przez ostatnie piętnaście lat Matt sporo czasu spędził w różnych krajach Ameryki Południowej, ale dopiero teraz, tutaj, zaczął naprawdę doceniać walory sjeisty. Popołudniowa drzemka w krajach ogarniętych płomieniem rewolucji nie należy do odprężających, pomyślał na swoje usprawiedliwienie.

Oparł głowę o wypłowiałą niebieską poduszkę i odbił się bosą stopą od podłogi, wprawiając bujak w powolny ruch. Nie pamiętał, kiedy ostatnio zapadł w drzemkę w środku dnia. Owszem, w szpitalu przesy피아ł całe dnie, ale to się nie liczyło. W szpitalu nie mogło być mowy o odpoczynku. Od czasu kiedy zaczęły się koszmary, spokojny sen stał się dla Matta czymś nieosiągalnym.

Dopiero teraz, rozleniwiony popołudniowym skwarem, czuł, że powoli zapada w miły niebyt.

Od jego przyjazdu do Crossing minął już tydzień i, jak dotąd, koszmary jakoś go nie nachodziły. Może dlatego, że wieczorem kładł się do łóżka zmęczony po całym dniu wytężonej pracy fizycznej. Co prawda zawsze dbał o kondycję, ale istniała zasadnicza różnica między ćwiczeniem w siłowni a czołganiem się po dachu i układaniem dachówek czy wstawianiem drzwi w futryny pozbawione jednego kąta prostego. Codziennie zajmował się czymś innym, wedle uznania i ochoty, a roboty było pod dostatkiem. Wieczorem padał na łóżko, czując miłe zmęczenie we wszystkich mięśniach. Ból w ramieniu był mniej miły, ale dał się znieść. Lekarz uprzedzał, że rana, choć zagojona, będzie jeszcze długo dokuczać. Matt właśnie tego się spodziewał, w końcu kula rozszarpała mięsień. Pomimo wszystko przez ostatni tydzień spał spokojnym snem bez koszmarów. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł się wypoczęty, spokojny.

Gdzieś z głębi domu dobiegł go dzwonek telefonu, ale Matt nie poruszył się, nie drgnął nawet. Włączył się automatyczna sekretarka, po co wstawać. Gabe pewnie nic nie słyszał. Kiedy otwierał laptop i kładł palce na klawiszach, świat wokół przestawał dla niego istnieć. Przez pokój mogłaby przejść orkiestra wojskowa, a on nie zwróciłby uwagi, chyba żeby ktoś zawadził przypadkiem o stół, przy którym pracował.

Nie otwierając oczu, Matt uśmiechnął się do siebie. Dziesięć lat minęło od chwili, kiedy Gabe sprzedał swoją pierwszą książkę, a on ciągle nie mógł

przyzwyczać się do myśli, że jego brat jest wziętym pisarzem. Cykl książek dla dzieci, których bohaterką była mała dziewczynka, panna Leszczyńska Skromnisi, która, nikt do końca nie wiedział, była prawdopodobnie obdarzona czarodziejską mocą, natychmiast stał się księgarskim hitem. Książki Gabe'a dwa razy były nominowane do prestiżowej nagrody Newberry Award, a sam autor, co prawda niechętnie, przyznawał, że Hollywood negocjuje z nim warunki ekranizacji przygód Skromnisi.

Pamiętając, że ich dzieciństwo przypominało wykołojony pociąg, mogło wydawać się dziwne, że Gabe pisze o dobru zwyciężającym zło i zachęca dzieci, by próbowały kształtować swój los.

Każdego dnia po południu zasiadał przy kuchennym stole, otwierał laptop i zniknął w wyimaginowanym świecie. Przez kilka pierwszych dni Mart starał się chodzić na palcach, żeby, broń Boże, nie spłoszyć weny, ale szybko się przekonał, że wena Gabe'a umknęłaby chyba tylko w wypadku wybuchu bomby atomowej. Teraz kiedy Gabe siadał do pisania, Matt nawet nie przerywał prac remontowych.

Dzisiaj jednak bez wyrzutów sumienia wyciągnął się wygodnie na bujaku. W końcu w pewnym sensie miał wakacje. Pierwsze od ilu lat? W ogóle pierwsze, prawdę mówiąc. Nigdy nie rozumiał, co to takiego urlop, i nigdy za nim nie tęsknił. Wystarczająco dużo i często podróżował zawodowo, więc wakacyjny wyjazd go nie pociągał, a brać urlop po to, żeby siedzieć w domu i tępo gapić się w ścianę, to przecież nonsens. Te wakacje jednak, choć w pewnym sensie

wymuszone, miały głęboki sens i urok. Kiedy wróci do pracy, będzie sobie musiał od czasu do czasu zafundować krótki odpoczynek. Jeśli wróci do pracy.

Ta ostatnia myśl nieco zmaciła jego dobry nastrój. Nie chciał myśleć o pracy. Aparaty leżały w szafie, nawet nie w torbie, tylko pod nią. Kiedy je tam upychał, miał uczucie, że zostaną już w szafie na zawsze, ale wcześniej czy później należało podjąć jakąś decyzję.

Z ponurych rozważań wyrwał go na szczęście odgłos nadjeżdżającego samochodu. Otworzył oczy, leniwie odwrócił głowę i uśmiechnął się na widok wiśniowego mustanga ostrożnie pokonującego wyboje. Zanim Jessie zdążyła zaparkować przed domem i wysiąść z wozu, Matt już szedł w jej stronę.

- W którym miejscu zgubiłaś tłumik? - zapytał na powitanie.

- Chyba kiedy wpadłam w pierwszą koleinę.

Długie włosy podpięta dzisiaj dwoma grzebieniami i, jak poprzednio, miała na sobie króciutką sukienkę, tym razem różową w białe kropki, odsłaniającą sięgające do nieba nogi.

Naprawdę był wściekły, że patrzy na jej nogi i zachwyca się zgrabną figurą. Niech to diabli, przecież zna Jessie od dziecka. Owszem, tyle że Jessie po prostu zdążyła dorosnąć.

- Napijesz się czegoś? - zagadnął. - Gabe zrobił wczoraj lemoniadę.

- Brzmi zachęcająco. - Jessie przysiadła na ostatnim stopniu ganku, a Matt zniknął w domu.

Może to śmieszne, ale chętnie została sama.

Dzięki temu zyskała trochę czasu na odzyskanie równowagi ducha, zachwianej widokiem Matta. Jego błękitne, trochę zaspane oczy, lekko potargane włosy, świetne ciało, no i w ogóle...

To wszystko przez Lurene, pomyślała ze złością. Gdyby ta pleciuga nie gadała tyle o atrakcyjności Matta, Jessie nie zwróciłaby uwagi na jego szerokie ramiona czy płaski brzuch, ani na wąskie biodra. Akurat. Każda kobieta, która skończyła sześć lat, natychmiast dostrzegłaby i doceniła męskie walory Matta.

Skrzypnęły drzwi i na ganku pojawił się rzeczony ideał z dwoma oszronionymi szklankami w dłoniach.

- Gabe to lemoniadowy snob. Sporo dorodnych cytryn oddało sok w ofierze - powiedział, wręczając Jessie szklankę.

Uśmiechnęła się na to patetyczno-żartobliwe oświadczenie.

- Już mnie ujął za serce. Lemoniada w proszku to jednak nie to samo,

- Ta francuska szkoła kulinarna musiała wypaczyć ci smak. Lemoniada w proszku to tradycyjny amerykański napój. - Matt przysiadł na stopniu obok Jessie, oparł się o poręcz.

- Tak jak szarlotka mamusi?

- Myślałem o typowo amerykańskich daniach. Pizza, chop suey...

Jessie zachichotała i upiła łyk lemoniady, usiłując nie patrzeć na szeroką pierś Matta.

- Gdzie Gabe? - Czarny pickup starszego z braci Latimerów stał na podjeździe, zatem jego właściciel musiał być w domu.

- Pisze.

- Nową książkę o Leszczynce?

Matt zaśmiał się. Rozbawiło go żywe zainteresowanie w głosie Jessie.

- Widzę, że jesteś miłośniczką literackich produkcji Gabe'a.

- Mam wszystkie jego książki. Z autografami. Wiem, że pisze dla dzieci, ale kiedy na rynku ukazuje się kolejna, czytam ją jednym tchem, całą noc, dopóki nie skończę. On naprawdę rozumie magię dzieciństwa.

- O tak. - Matt często się zastanawiał, jak jego brat do tego doszedł. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej odartego z wszelkiej magii niż ich własne dzieciństwo.

Zamilkli, ale nie było w tym milczeniu nic niezręcznego. Matt oparł się wygodnie o poręcz. To właśnie lubił w Jessie - potrafiła milczeć, nie czuła konieczności zapełnienia każdej chwili ciszy pustą gadaniną. Nie widział jej od tamtego popołudnia u Lurene, a zobaczył po pięcioletniej przerwie, bo tyle minęło od ich poprzedniego, króciutkiego spotkania na ślubie Reilly'ego. Tak naprawdę nie pamiętał, kiedy ostatnio spędzili ze sobą trochę więcej czasu. Całe wieki temu... Żadne z nich nie czuło jednak potrzeby rozpoczynania opowieści na temat tego, co się ostatnio wydarzyło w ich życiu.

Musiała mieć jakiś powód, by przyjechać do domu Gabe'a. Nie będą pytał, postanowił Matt, wciąż bardzo rozleniwiony. Poczekam spokojnie, jeśli będzie chciała, sama mi powie, co ją sprowadza. Upał

nie zelżał ani trochę, powietrze zdawało się pulsować żarem. Matt odchylił głowę i obserwował jastrzębia zataczającego leniwe kręgi na błękitnym niebie.

- Jak tu spokojnie - powiedziała cicho Jessie, jakby czytając w jego myślach.

- Tak. Dom się rozpada, dojazd koszmarny, ale świetnie rozumiem, dlaczego Gabe kupił tę rudę.

- We dwóch na pewno doprowadzicie ten dom do stanu używalności.

Matt nie musiał patrzeć na Jessie, bez tego wiedział, że się uśmiecha. Słyszał uśmiech w jej głosie i sam mimo woli uśmiechnął się w odpowiedzi, a Jessie ciągnęła tym samym rzeczowym tonem: - Na ile znam Gabe'a, zniechęcający do odwiedzin dojazd jest mu nawet na rękę.

- Ty zawsze byłaś optymistką - powiedział Matt, otwierając jedno oko. - Pamiętasz, jak Reilly nucił ci „Always Look on the Bright Side of Life”? Chociaż tobie nie trzeba było przypominać, żebyś patrzyła na jasną stronę życia, bo taka się już urodziłaś.

- Reilly po prostu lubi kpić ze wszystkiego. Gdybym była cyniczką naśmiewałby się, że jestem urodzonym ponurakiem.

- Pewnie tak - przyznał Matt, sięgnął po szklanekę i upił solidny łyk lemoniady. - Jeśli już o Reillym mowa, przyjdiesz na imprezę, którą urządzają z Daną w najbliższą sobotę?

Jessie kiwnęła głową.

- Nie tylko mnie zaprosili, ale też poprosili, żebym przygotowała desery.

- Tak? - zainteresował się Matt.

- Zawsze był z ciebie łasuch na słodycze - wytknęła mu Jessie.

- Po prostu mam bardzo subtelne podniebienie, szczególnie wyczulone na poziom zawartości cukru w jedzeniu - oznajmił wyniosłym tonem i Jessie parsknęła głośnym śmiechem.

- Może bym ci nawet uwierzyła, gdybym nie wiedziała, że twix to dla ciebie szczyt cukierniczego wy rafinowania.

- To przez podłe machinacje rządu ogół obywatele nie docenia walorów odżywczych tego batonu - powiedział z żalobną miną i zaraz wszystko popsuł, bo kiedy Jessie znowu parsknęła śmiechem, wyszczerzył zęby, bardzo zadowolony, że udał mu się dowcip.

- Och, Matt, jak ja się za tobą stęskniłam - westchnęła Jessie i położyła mu dłoń na kolanie. - Dobrze, że wróciłeś.

- Dobrze być znowu w domu. - Ale jeszcze lepiej czuć dłoń Jessie na kolanie. Matt zdusił nieprzystojną myśl w zarodku. Upał musiał mu wysuszyć na wiór zwoje mózgowie. Przecież to Jessie, na litość boską, napomniał się po raz kolejny, ale zrobiło mu się lżej na duszy, dopiero kiedy cofnęła rękę.

- Poszedłem wczoraj z Reillym na drinka do baru Harry'ego - powiedział, zmieniając pozycję. Teraz Jessie, gdyby przyszła jej taka myśl do głowy, już nie mogłaby go złapać za kolano. A może bardziej cieszyło go to, że i on nie mógłby jej teraz dotknąć? Nie, co za bzdura...

- Dawno go nie widziałam. Co u niego?

- W porządku. - Wzruszył ramionami i natychmiast odezwała się rana po kuli. - Z tego, co mówił, wywnioskowałem, że interesy idą dobrze. - W cieniu wielkiego platanu podskakiwała sójka, szukając czegoś zapamiętałe między suchymi liśćmi. Mart obserwowała ją i zastanawiał się, czy powinien powiedzieć Jessie coś więcej, czy poprzestać na zdawkowej informacji. Pomimo że był fotoreporterem, z zasady unikał plotek. W dziennikarstwie granica między plotką i informacją niebezpiecznie się rozmywała, dlatego wolał robić zdjęcia, niż pisać artykuły. Z drugiej strony Reilly był jego przyjacielem. Przyjacielem Jessie. I coś złego działo się w jego życiu.

- Rzadko w ostatnich latach widywałam Reilly'ego - odezwała się Jessie, nieświadomie wybawiając go od konieczności podjęcia decyzji. - Chyba po jego ślubie kontakty trochę się rozluźniły.

No tak, niewiele dowiedziałyby się od niej o kłopotach przyjaciela.

- Jaka jest Dana? - zapytał mimo wszystko.

Jessie chwilę się zastanawiała. Bo też jak odpowiedzieć na to pytanie? Nie mogła raczej uchodzić za obiektywne źródło informacji. Spuściła głowę, żeby Matt nie zobaczył wahania w jej oczach. Zawsze umiał dojrzeć więcej, niżby człowiek sobie życzył.

- Nie znam jej zbyt dobrze. Wydaje się trochę chłodna. Z dystansem.

Matt powoli pokręcił głową.

- Nie wiem, Jessie. Może. Na mnie zrobiła wrażenie... bardzo samotnej.

- Mężczyźni zawsze dają się oczarować tym

wielkim błękitnym oczom - rzuciła Jessie lekkim tonem, ale w jej słowach zabrzmiała mimowolna kaśliwość, nawet ona to słyszała.

Zazdrosna kocica.

Bo też była zazdrosna, co tylko pogarszało sprawę. Uniosła szklankę, upiła łyk lemoniady, jakby schłodzony napój mógł ostudzić piekące wstydem policzki.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać - powiedziała, gwałtownie zmieniając temat.

- Chcesz powiedzieć, że nie przyjechałaś tutaj dla czystej przyjemności zobaczenia się ze mną? - Matt uniósł brew. - Jestem załamany.

- Wątpię - odparowała, zerknęła na niego spod oka, po czym szybko odwróciła wzrok i przygryzła wargę. Widomy znak zdenerwowania, pomyślał Matt i zaraz potem przemknęła mu przez głowę zupełnie inna myśl, że sam miałby ochotę delikatnie przygryźć dolną wargę Jessie. Idiotyzm.

- Dziadek na krótko przed śmiercią zaczął pisać książkę - podjęła. - Książkę o różach w ogóle, a w szczególności o tych, które sam hodował. Był uznanym hodowcą.

- Chyba pamiętam, jak zażarcie kłócili się z panią McKinnon na tematy ogrodnicze.

- Raz czy dwajuz nawet myślałam, że dojdzie do bójki.

- Broń: sekatory. Odległość: dwadzieścia kroków. Walczymy do pierwszej krwi.

- Albo pojedynkę na łopaty, na śmierć i życie.
- Uśmiech zniknął z twarzy Jessie, w oczach

pojawiły się smutek i tęsknota. - Kłócili się do upadłego, ale nikogo w kółku ogrodniczym, nie szanował tak jak pani M. Naprawdę mu jej brakowało, kiedy przeniosła się do Santa Fe.

- A tobie brakuje jego - powiedział Matt cicho.

- Tak. - Jessie podniosła wzrok. - Był moim najlepszym przyjacielem.

- Był wspaniałym facetem. - Zapominając, że postanowił zachowywać dystans, Matt nachylił się i uściśnął jej dłoń. - Uczył mnie angielskiego, tuż przed odejściem na emeryturę. Miałem zamiar jakoś się prześliznąć, robić tylko tyle, żeby nie złapać dwójkę na koniec roku, ale kiedy się go słuchało, książki ożywały. To już nie były nudne lektury szkolne. On potrafił uczyć.

Jessie zamrugała, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Szkoda, że tego nie słyszy. Nie mógłbyś mu sprawić większej przyjemności.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, pogrążeni we wspomnieniach, trzymając się za ręce. Matt odezwał się pierwszy:

- Powiedz coś o tej książce.

Zaczęła opowiadać o książce dla miłośników róż, pisanej z myślą o hodowcach z Salinas, ze szczególnym uwzględnieniem klimatu doliny.

- Chciał, żeby ta książka była czymś więcej niż tylko poradnikiem - mówiła Jessie. - Pragnął zamknąć w niej całe swoje doświadczenie, sześćdziesiąt lat pasji i pracy. Coś w rodzaju pamiętnika hodowcy. Już prawie dobiegł do końca, kiedy...

zachorował. Zostawił szczegółowe notatki. Dzięki nim mogłabym chyba dokończyć jego dzieło. Znalazłam nawet wydawcę. To mała oficyna z San Francisco. Książka dziadka raczej nie trafi na listy bestsellerów, ale szef wydawnictwa jest pewien, że znajdzie czytelników, szczególnie jeśli oprócz promocję na akcentach lokalnych. Dziadek marzył, żeby ją opublikować i chociaż nie zobaczy swojego dzieła drukiem, chciałabym spełnić jego marzenie.

- Wspaniale. - Matt uściśnął serdecznie dłoń Jessie. - Kupię pierwszy egzemplarz, jeszcze ciepły, prosto z drukarni.

- Prawdę powiedziawszy, chciałam cię prosić o coś więcej.

Słusznie, pomyślał Matt. Mówiła przecież, że ma jakąś sprawę. Uniósł pytająco brwi.

- Pomyślałam... Czy nie zgodziłbyś się zadbać o szatę graficzną? - wyrzuciła z siebie jednym tchem, pełna obaw i wątpliwości. - Wiem, że proszę o wiele. Dziadek miał odłożone pieniądze na ten cel, ale to na pewno śmieszna suma w porównaniu z twoimi zwykłymi stawkami. Poza tym nie jest to ani ciekawe, ani ważne zlecenie. Owszem, jest ważne dla mnie, ale tobie na pewno wyda się nudne. Nie chcę, żebyś czuł się w jakimkolwiek stopniu zobowiązany. Mogę przecież wynająć innego fotografa. - Zaczynała pleść trzy po trzy, coraz bardziej zdenerwowana. - Nawet gdybyś się zgodził, nie będziesz mógł zrobić całego materiału, bo musimy fotografować przez okrągły rok, żeby pokazać pełen cykl, wszystkie pory roku. Byłoby wspaniale, gdybyś zrobił chociaż część zdjęć. Jeśli nie, w porządku,

zrozumiem. Nie zamierzałam angażować cię do tego projektu, ale kiedy „U Erniego” powiedziałaś, że nie masz w tej chwili zleceń i zrobiłeś sobie krótką przerwę, pomyślałam, że...

Nie kończąc zdania, spojrzała na Matta. W jej oczach zobaczył niepewność i nadzieję. Czekwała na odpowiedź.

Matt potarł dłonią udo. „Krótką przerwę”? Tak chyba powiedział... Być może. Takie samo dobre wytłumaczenie jak każde inne. Lepiej powiedzieć cokolwiek, niż przyznać, że nie ma się pojęcia, co dalej począć ze swoim życiem. Jedno było oczywiste - długo jeszcze nie weźmie aparatu do ręki. Na samą myśl o tym oblewał się zimnym potem.

Śmieszne.

Jessie prosiła go, żeby sfotografował najzwyczajniejszy w świecie ogród, a nie masową mogiłę.

Do diabła, co mu się wydawało? Że tydzień ciężkiej pracy przy naprawie dachu i podłóg przywróci mu równowagę? Cuda się nie zdarzają... Ledwo usłyszał prośbę Jessie, natychmiast wpadł w popłoch. To dowód, że jego stan psychiczny nadal pozostawia wiele do życzenia.

Jessie siedziała obok, wpatrując się w jego twarz, czekała na odpowiedź, a on nie mógł powiedzieć jej prawdy. Że od miesiący nie wziął do ręki aparatu. Że nie ma pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze zrobi jakies zdjęcie.

Zmuszając się do uśmiechu, odpowiedział niezobowiązująco:

- Daj mi trochę czasu do namysłu.

Sen zaczynał się zawsze tak samo.

Matt stoi na środku drogi. To stara droga, zbudowana przed wiekami, przeznaczona dla pieszych i dla wozów konnych. I tak jest już wąską ale jeszcze węższą czynią ją zwały gruzu na poboczu. Matt wie, że to pozostałość po zniszczonych domach. Kiedyś, jeszcze kilka tygodni temu, tętniło tu życie. Rodziły się dzieci, które spokojnie dorastały, zakładały własne rodziny i stawały się rodzicami. Tutaj ludzie przychodzili na świat, tutaj się starzeli i umierali. Teraz nie pozostało nic poza resztkami ścian i martwymi, ziejącymi pustką otworami tam, gdzie kiedyś były drzwi i okna.

Jaskrawe zimowe słońce z brutalną ostrością oświetla krajobraz zniszczenia, a Matt we śnie, tak jak czynił to w rzeczywistości, analizuje grę światłocieni, zastanawia się nad najlepszym ujęciem, które w pełni odda dramatyzm sceny.

Czuje ciężar aparatu w dłoniach, tak swojski, dobrze znany, że kamera przestaje być już narzędziem, a zdaje się częścią samego. Nikon nie był ani jego najnowszym nabytkiem, ani też najwspanialszym cudem techniki, ale to właśnie po ten aparat Matt sięgnął najpierw. Idealnie leżał w dłoni, reagował na dotknięcie jak posłuszny pies. We śnie Matt czuł pod palcami lekką szorstkość obudowy, zastanawiał się, czy nie zmienić obiektywu na szerokokątny. Zdjęcie nabrałoby wtedy wyrazu...

Niespiesznym ruchem włożył rękę do przewieszanej przez ramię torby.

Dopiero kiedy usłyszał głosy, zdał sobie sprawę,

że dotąd otaczała go martwa cisza. Najpierw powietrze przeciął wysoki, rozdzierający, pełen przerażenia krzyk jakiejś kobiety. Zaraz potem odezwały się twarde męskie głosy. Nie rozumiał słów, nawet we śnie nie wiedział, co ci ludzie mówią ale wyczuwał ich nienawiść.

Odwrócił się powoli, bardzo powoli. Zobaczył czterech żołnierzy. I ją. Kobietę. Nie, dziewczynę. Mogła mieć szesnaście, siedemnaście lat. Chyba, bo nie mógł dojrzeć rysów wykrzywionej panicznym strachem twarzy.

Zimowy pejzaż, posępny w swej szarości, raptownie nabrał kolorów. Bijący po oczach szkarłat, głęboka czerń, zielone mundury, błękit nieba, barwy tak ostre, że Matt musiał zmrużyć oczy. Na poły oślepiony, cofnął się o krok.

Od tego momentu sen toczył się różnie.

Czasami Matt po prostu stał, jak wrośnięty w ziemię, obserwował. Patrzył przez obiektyw swojej lustrzanki, jak żołnierze ciągną dziewczynę na środek drogi i raz za razem naciskał spust migawki. Tamci tymczasem rzucają dziewczynę na kolana, któryś przykłada jej lufę do skroni.

Kiedy indziej rzucał aparat na ziemię; rozlegał się łoskot tak głośny, że na moment zagłuszał krzyki dziewczyny. Spoglądał pod stopy, widział roztrzaskanego nikonka. Tylna ścianka pękła przy upadku i z wnętrza aparatu wysunął się film, niczym długi, czarny język.

A on otwiera usta, rzuca się naprzód, coś krzyczy, ale z gardła nie wydobywa się żaden dźwięk.

Matt usiadł gwałtownie na łóżku, w głowie dźwięczał mu jeszcze wystrzał karabinu, serce waliło jak młotem. Z trudem łąpał powietrze, na czoło wystąpił mu zimny pot.

Nie krzyczał. Wiedział, że nie dobył z siebie jednego dźwięku. Kiedy koszmary się zaczęły, budził się w środku nocy z krzykiem, którego nie mógł z siebie dobyć tam we wsi, w swoim śnie. Jakimś sposobem zmusił się do tego, by nie krzyczeć. Potrafił budzić się ułamek sekundy wcześniej, nie dopuszczając do tego przeraźliwego wrzasku. Szkoda, że równie skutecznie nie potrafił zapanować nad samym koszmarem.

Podniósł się z łóżka, podszedł na bosaka do drzwi. Wiedział z doświadczenia, że już nie uśnie, nawet nie warto było próbować. Jednak nawet gdyby udało mu się zasnąć, koszmarne sen prawdopodobnie by wrócił. Nie zapalając świateł, wyszedł na ganek. Miał na sobie tylko białe majtki, w których spał, ale na tym odludziu nie musiał przejmować się ubraniem.

Powietrze nadal było nagrzane po całonocnym skwarze. Nadchodził wrzesień, ale w Salinas nic na razie nie zapowiadało jesieni. Upały potrwają jeszcze miesiąc, dopiero październikowe deszcze powinny przynieść ochłodzenie.

Matt usłyszał w oddali pohukiwanie sowy i, znacznie bliżej, szelest liści, jakby jakieś spłoszone zwierzę szukało kryjówek.

Oparł dłonie na poręczy i zaczął oddychać głęboko, spokojnie, równomiernie. Wcześniej bywało znacznie gorzej, pomyślał, próbując oszukać siebie samego.

Nieprawda, teraz jest znacznie gorzej. Być może

dlatego, że po przyjeździe tutaj koszmary przestały go dręczyć, a on zaczynał wierzyć, że wreszcie raz na zawsze uporał się z problemami.

Usłyszał ciche skrzypnięcie drzwi siatkowych, ale się nie odwrócił.

- Masz. - Gabe postawił na poręczu duży kubek.

- Herbata. Ziołowe świństwo. Smakuje jak wywar z chwastów, ale podobno działa uspokajająco.

Matt kiwnął głową i zamknął kubek w dłoniach. Pomimo panującego nadal gorąca w tym cieple było coś miłego, kojącego. Gabe usiadł na bujaku. Matt nie odwrócił się, ale słyszał skrzypnięcie podłogi.

- Chcesz porozmawiać? - zapytał Gabe.

- Nie. - Czyżby jednak krzyczał? A może to tylko wyostrzona przez lata braterska intuicja? Ileż to razy Gabe przemykał się po nocy do jego pokoju. Nic nie mówił, po prostu był przy Matcie, pomagając znieść ból po ostatnim laniu sprawionym przez ojca.

- W porządku. - Gabe przyjął jego odmowę, nie próbował zadawać żadnych pytań. Gabe taki właśnie był. Nie nalegał, do niczego nie zmuszał, ale w razie potrzeby zawsze można było liczyć na jego pomoc i życzliwość.

Matt oparł się o poręcz, uniósł kubek do ust. Gabe miał rację, herbata smakowała jak parzone chwasty, w dodatku na wpół zgniłe. Jeśli coś miało mu pomóc, to raczej panujący tu spokój i milczące towarzystwo Gabe'a. Podobnie jak Jessie, Gabe nigdy nie czuł potrzeby wypełniania ciszy zbędnymi słowami.

- Wiedziałaś, że dziadek Jessie pisał książkę o ogrodnictwie? - zagadnął Matt niespodzianie.

- Czytałem fragmenty rękopisu. Niezły styl. Podobno ktoś chce to wydać. Jessie mówiła mi, że znalazła jakąś oficynę w San Francisco.

- Tak. - Matt tępo wbił wzrok w kubek. - Poprosiła, żeby zilustrował tekst fotografiami, przynajmniej część materiału.

- Nie dziw się, że chce dobrego fotografa - powiedział Gabe. - Zgodziłeś się?

- Jeszcze nie. Nie wiem, czy się tego podejmę. - Matt niespokojnym ruchem odstawił kubek i po raz pierwszy spojrzął na brata. - Nie zajmuję się tego rodzaju fotografią. To nie moja działka. Nie robię tak zwanych ładnych zdjęć. - Potarł ramię, które znowu zapulsowało bólem, i zaśmiał się chrapliwie. - Gdyby ktoś zmasakrował krzewy róż, zdeptał je na śmierć albo wyciął w pień, to co innego.

Gabe pokiwał głową.

- Owszem, to co innego - przyznał. - Ale odmiana czasami nie zawadzi.

- Brzmi jak wróżba z chińskich ciasteczek - burknął Matt.

- Może właśnie stamtąd ją wziętem. - Gabe uniósł kubek do ust i upił łyk. - Kiedy ostatnio miałeś aparat w ręku?

Na to pytanie Matt nie był przygotowany, chociaż powinien był wiedzieć, że Gabe się domyśli. Przed nim niczego nie dało się ukryć.

- Od postrzału nie fotografowałem - powiedział po dłuższej chwili. - Nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek do tego wrócę.

Gabe nie próbował protestować, przekonywać, że tak nie można, że nie wolno się poddawać...

- Chcesz mi opowiedzieć, co się tam wydarzyło?

- Nie. - Matt wziął głęboki uspokajający oddech.
- Nie, nie chcę.

- Domyślam się, że nikomu nie opowiadałeś, prawda? - Nie czekając na odpowiedź, Gabe pokręcił głową i podniósł się raptownie z fotela. - Zawsze byłeś uparty jak osioł.

- Na tym polega mój urok - mruknął Matt na pozór spokojnie, ale zdradził go drżący głos.

- Mamy czas. - Gabe położył mu dłoń na ramieniu. - Jak będziesz gotów, wiesz, gdzie mnie szukać.

Pchnął siatkowe drzwi i wszedł do domu, zostawiając Matta samego na ganku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy koleżeństwo organizowało zjazd z okazji dziesięciolecia ukończenia szkoły, Matt był akurat w Bejrucie. Dwudziestolecie umknęło mu, bo akurat fotografował skutki trzęsienia ziemi w Afganistanie. Żałował, że nie mógł się spotkać z ludźmi, z którymi chodził do szkoły, ale teraz dostał szansę, by nadrobić te zaległości towarzyskie. Niemal wszyscy stawili się na przyjęciu powitalnym, które na jego cześć wydał Reilly.

- Kto to jest ta ruda z... warunkami? - zagadnął przyjaciela, zniżając głos. - Ta, co rozmawia z Randym Harrisem.

Idąc za wzrokiem Matta, Reilly spojrzał na wysoką, wyróżniającą się w tłumie gości kobietę o, powiedzmy, bujnych kształtach. Przełknął pospiesznie ostrygę i wyszczerzył zęby.

- Livvy Bradford.

Matt zmarszczył brwi, próbując skojarzyć nazwisko

z osobą... Wreszcie sobie przypomniał i zdumiał się szczerze. Szefowa klubu dyskusyjnego Livvy Bradford? Starościna klasy Liwy Bradford? Komputerowe guru Liwy Bradford?

Reilly wyszczerzył się jeszcze bardziej.

- Ta sama.

- Wykluczone. - Matt pokręcił stanowczo głową.

- Liwy Bradford była sucha jak szczapa. Mogła ważyć najwyżej pięćdziesiąt kilogramów, i to w mokrym ubraniu. Miała marchewkowe włosy, końskie zęby i okulary.

- Zdumiewające co może zdziałać silikon, ortodonta i optometra, prawda?

- Zdumiewające - przytaknęła oszołomiony Matt, ciągle nie mogąc rozpoznać w odmienionej Liwy tamtej chudej nastolatki o niezdarnych ruchach. - Co się stało?

Reilly sięgnął po różową krewetkę i połknął ją ze smakiem.

- Wyszła za męża. Rozwiodła się. Założyła firmę software'ową. Zbiła fortunę. Wtedy też... poprawiła sobie warunki. Zrobiła zęby. Znowu wyszła za męża. Znowu się rozwiodła. Otworzyła firmę konsultingową. I zbiła kolejną fortunę. Wtedy chyba wzmocniła sobie włosy i zamieniła okulary na soczewki kontaktowe. Znowu wyszła za męża. Znowu się rozwiodła. Założyła firmę internetową, która świadczy jakieś usługi albo czymś handluje. Ciągłe w tym siedzi, ale kilka miesięcy temu zrobiła sobie usta.

- Zrobiła?

- Zastrzyki z kolagenu. - Reilly popukał się

palcem w wargę. - Gdybyś podszedł bliżej, zrozumiałbyś, o czym mówię. Ma teraz usta jak składająca się do pocałunku makrela. - Skwitował szerokim uśmiechem pozbawiony elegancji chichot Matta. - Jeśli nadal będzie postępowała według z góry ustalonego planu, niedługo powinna po raz czwarty wyjść za męża. Może wpiszesz się na listę kandydatów? Ta kobieta ma nieprzebrane pokłady pieniędzy. Przyłóż się do sprawy, a będziesz najlepiej ustawionym utrzymaniem na świecie.

- Aha. Żigolo... Zawsze marzyłem o takiej karierze. - Matt upił łyk piwa.

- Jak się z nią ożenisz, nikt nie będzie śmiał nazwać cię żigolakiem. Poza tym, chyba przyjaźniłeś się z Liwy? - Reilly wepchnął do ust ostrygę i zerknął pytająco na przyjaciela.

- Przez rok siedzieliśmy przy jednym stole w pracowni biologicznej. Liwy była jadowita i ciągle truła, że bazgrzę jak kura pazurem. Żmija.

- Formalina, pocięte żaby i żadnego uczucia? - Reilly wyglądał na rozczarowanego.

Matt roześmiał się serdecznie. Boże, jak mu tego brakowało. Wygadywać bzdury, mnożyć absurdy, po prostu bawić się... Zapomniał już, że można cieszyć się życiem. Zbyt wiele lat przyglądał się mrocznym stronom rzeczywistości, uwieczniając je na błonie fotograficznej. Niemal zapomniał, że istnieje świat, w którym głód i wojny nie są nieodłączną częścią ludzkiej egzystencji. Dobrze, że ktoś mu o tym przypomniał.

Nigdy nie był amatorem przyjęć. Zbyt wiele

ludzi, hałas, nadmiar alkoholu, byle jakie jedzenie. Wolał małe spotkania towarzyskie, musiał jednak przyznać, że Dana McKinnon wiedziała, jak zorganizować duże przyjęcie, unikając zwykłych w takich razach wpadek.

Pomimo że sprosiła pół hrabstwa, wielki dom nie sprawiał wrażenia zatłoczonego. Otwarte drzwi balkonowe zachęcały gości do wyjścia na taras i rozkoszowania się letnim wieczorem. Meble w salonie odsunięto pod ściany, robiąc miejsce do tańca. Dana dobrała bardzo różnorodną muzykę: rock and roli, disco, trochę starych standardów. Akurat w tej chwili sześć par kołysało się z różnym skutkiem w rytm nieco rzewnej „Hang on Sloopy” McCoysów.

- Nie znam się na tym, ale chyba jest jakaś ustawa zakazująca serwowania czegoś aż tak smacznego.
- Jęk rozkoszy wydany przez Reilly'ego wyrwał Marta z zamyślenia. Kiwnął głowę z zrozumieniem, a może współczuciem, kiedy dojrzał na talerzyku przyjaciela wielki kawałek tuczącego tortu czekoladowego.

- Jessie nazywa to czekoladową śmiercią i chyba nie ma w tym żadnej przenośni ani przesady. Zjadłbym jeszcze jeden kawałek, ale nie wiem, czy moje arterie to wytrzymają.

Reilly wepchnął sobie do ust kolejny kęs i przytmknął oczy.

- Pora umierać - oznajmił, mlaskając. - Kto by pomyślał, że nasza mała, kochana Jessie wyrośnie na taką czarownicę.

- Kto by pomyślał, że w ogóle tak wyrośnie
- mruknął Matt i zaczął rozglądać się za nią.

Stała w drugim końcu pokoju i rozmawiała z Gabe'em. Musiała powiedzieć coś zabawnego, bo Gabe wybuchnął śmiechem.

Tego wieczoru też miała na sobie sukienkę, obcisłą małą czarną.

Chryste, pomyślał Matt z irytacją tym większą że jego myśli znowu podążały w najmniej właściwym kierunku. Czy ta dziewczyna nie nosi majtek? Albo niechby chociaż włożyła przyzwoitą suknię do koszek. Czy całą garderobę kompletowała z myślą o ekspozycji tych długich do nieba nóg?

- Ciagle nie mogę uwierzyć, że to ta sama smarkata, która wszędzie za nami łąziła - powiedział Reilly, nie wiedząc po raz który, podążając za wzrokiem przyjaciela. Matt mógł mieć tylko nadzieję, że Reilly odczytuje tylko niektóre z jego myśli.

Jessie poczuła widać na sobie jego spojrzenie, bo odwróciła się i uśmiechnęła. Powiedziała coś do Gabe'a, on też odwrócił głowę i Matt podniósł szklankę z piwem w niemym toaście. Mogłby się założyć, że braciszek już kombinuje, jak by tu niepostrzeżenie zniknąć. Przyjęcia lubił niemal w takim samym stopniu, co wizyty u dentysty. Przyszedł tylko dlatego, że było to party na cześć jego brata.

Jessie powiedziała coś jeszcze do Gabe'a i ruszyła w stronę Matta. Matt natychmiast zaczął się zastanawiać, czy Jessie pod tym skrawkiem materiału ma stanik. Ledwie zadał sobie to fundamentalne pytanie, pożałował, że w ogóle przyszło mu ono do głowy. Wystarczy, że nogi tej dziewczyny przyparowały go o szybsze bicie serca. Zainteresowanie

osobistą bielizną Jessie było nie na miejscu i groziło poważnymi konsekwencjami, a mówiąc dokładniej - szaleństwem.

- Jesteś okrutną kobietą - przywitał ją Reilly.
- Może nawet złą i zdeprawowaną.

Jessie spojrzała na resztkę tortu na jego talerzyku i uśmiechnęła się szeroko.

- Nie możesz mnie przecież winić za to, że brak ci silnej woli.

- Rozważam ewentualność egzorcyzmów - zagroził Reilly.

- Będziesz egzorcyzmował mnie czy tort?
- Należałoby go egzorcyzmować - wtrącił Matt.
- To diabelskie jedzenie. - Kiedy przyjaciele jęknęli, podniósł dłoń w geście poddania. - Przepraszam.

- Masz za co - mruknął Reilly.

Kiedy tak stała z Mattem i Reillym, dotarło do niej, dopiero teraz, w jakiej pustce żyje. Dziwne, wystarczyło kilka słów, błahych żartów, by uczucie pustki rozproszyło się jak poranna mgła. Po śmierci dziadka została zupełnie sama, nawet nie zdawała sobie sprawy ze swej samotności. Aż do tej chwili.

Reilly dokończył jeść tort, odstawił z westchnieniem talerzyk i spojrzął na Jessie wzrokiem pełnym wyrzutu.

- W przyszłym tygodniu będę musiał przebiec dziesięć kilometrów więcej, żeby spalić kalorie, które dzisiaj pochłonąłem.

- Biedak - powiedziała z udanym współczuciem i parsknęła śmiechem na widok jego kwaśnej miny.
- Mogłabyś mi pomóc spalać te cholerne kalorie.

Jessie pokręciła głową.

- Nie mam zamiaru z tobą biegać. Wykluczone. Kiedy ostatnio wybrałam się z tobą na jogging, próbowałeś mnie zabić. Kazałeś mi zbiegać z klifu.

- To było dziesięć lat temu i nie biegaliśmy po klifie, tylko po rumowisku.

- Przez następny miesiąc wydłubywałam żwir z kolan.

- Nikt nie kazał ci zjeżdżać aa dół na kolanach. Miałaś zbiec.

- Teraz mi to mówisz. - Jessie pokręciła głową. - Nie obchodzi mnie, ile kalorii było w tym torcie. Nie będę z tobą biegać.

- Miałem na myśli coś skuteczniejszego. I natychmiastowego. - Wskazał głową w kierunku salonu, gdzie tańczono teraz w rytm piosenki Little Eve.

Jessie szeroko otworzyła oczy. Potrząsnęła głową i zaczęła się śmiać.

- O nie, nie namówisz mnie, żebym zrobiła z siebie idiotkę, w dodatku w obecności starych znajomych.

- Jesteś mi winna przynajmniej jeden taniec. - Reilly pociągnął ją za rękę. - Jeśli nie pomożesz mi spalić tych kalorii, będę musiał kupić nowe ubrania, a rachunki przyślę tobie.

- Od lat nie tańczyłam, Reilly. Zapomniałam, jak to się robi.

- To jak jazda na rowerze - przekonywał Reilly, ignorując jej protesty.

- Może w takim razie wsiądź na rower. - Jessie rzuciła Mattowi błagalne spojrzenie. - Bądź przyjacielem. Zrób coś, proszę.

- Popatrzę na was - zaoferował się Mart po przyjacielsku.

- Zdrajca - powiedziała Jessie oskarżycielskim tonem, ale kiedy rozległy się pierwsze takt „Do You Love Me” z uśmiechem dała się poprowadzić Reilly'emu na parkiet.

Matt nie pierwszy raz widział ich tańczących razem. Często brał udział w lekcjach, których Reilly udzielał Jessie. Boże, kiedy to było? Dziesięć lat temu? Dzisiaj jednak ich taniec wydał mu się... Właśnie, jaki? Nasycony erotyzmem?

Ty idioto. A jak myślisz, dlaczego mówi się „wirujący seks”? - sarknął w myślach. A jednak kiedy Reilly położył Jessie dłoń na biodrach, kiedy przygarbnał ją do siebie, Matt miał ochotę po prostu podbiec i ściągnąć ją z parkietu. Nie musiał tego oglądać. Wystarczyło, że myślał o bieliźnie. A teraz Reilly i te jego łapy.

- Ładna z nich para.

Matt był tak zaabsorbowany irytującym widokiem, że nie zauważył, kiedy podeszła do niego Dana. Odwrócił ku niej głowę. Dana nieodmiennie wprawiała go w zachwyt swoją urodą, ale był to zachwyt pozbawiony erotycznego podtekstu. Tak samo ludzie zachwycają się pięknym zachodem słońca, taki sam zachwyt wzbudza wyjątkowe dzieło sztuki.

W słowach Dany kryje się jakaś aluzja, pomyślał z zakłopotaniem i ponownie skierował wzrok na parkiet.

- Nic dziwnego - powiedział. - Reilly uczył Jessie

łańczyć. Podobała mu się taka jedna dziewczyna, której z kolei podobał się facet grający główną rolę w filmie „Wirujący seks”, który uczył tańczyć taką jedną dziewczynę, pamiętasz? - Matt chyba nie mógł już bardziej zamotać prostej w gruncie rzeczy opowieści.

- Patrick Swayze. - Dana pomimo wszystko zrozumiała, o co mu chodzi.

- No właśnie, Patrick Swayze - ucieszył się Matt. - No więc postanowił najpierw ćwiczyć z Jessie, zanim zacznie podrywać na taniec tamtą, której podobał się ten... Swayze.

Reilly przerzucił właśnie Jessie przez biodro, przechylił tak, że dotknęła włosami podłogi, i szybko przywrócił ją do pionu, przyciskając do siebie, a ona ze śmiechem zarzuciła mu ręce na szyję.

Katorga... Matt tak mocno zacisnął dłoń, że pobiełały mu knykcie. Szklanka z piwem na szczęście przetrzymała ten morderczy chwyt. To tylko zabawa, napomniał się w duchu. Niewinny taniec. Goście, a większość z nich już od dobrej chwili nie tańczyła, podziwiając wyczyny Jessie i Reilly'ego, zaczęli głośno klaskać.

To powinno być zakazane. Taki taniec, oczywiście. Oklaski to tylko dodatkowa gorzka pigułka do przełknięcia, monologował w duchu Matt.

- Udało mu się? - zainteresowała się Dana i Matt, z niejakim wysiłkiem, oderwał wzrok od pary na parkiecie.

- Co? - zapytał tępo.

- Czy udało mu się z tą dziewczyną która miała kręćka na punkcie „Wirującego seksu”?

- Czy mu się udało? - Matt usiłował sobie przypomnieć tamto lato. - Chyba tak. Ale kiedy zaprosił ją do dyskoteki, okazało się, że ta amotorka tańca ma dwie lewe nogi.

Dana uśmiechnęła się blado. Nie sposób było wyczytać z jej twarzy, co myślała. Matt patrzył na nią i zastanawiał się, czy jest taka zamknięta i chłodna z natury, czy też, startując przez lata w konkursach piękności, opanowała perfekcyjnie sztukę samokontroli.

Tymczasem Reilly po raz ostatni obrócił Jessie w tańcu i muzyka umilkła. Stali jeszcze przez moment przytuleni do siebie, po czym się rozdzielili i szczęśliwi, może odrobinę zażenowani, zaczęli dziękować za oklaski. Ukłonili się i zeszli z parkietu.

- Nie wierzę, że udało ci się zmusić mnie do tańca - sapnęła roześmiana Jessie, łapiąc oddech po tanecznych szaleństwach.

- Mówiłem ci, że to jak z jazdą na rowerze.
- Reilly objął ją przyciągnął do siebie i złożył braterski pocałunek na skroni. - Nadepnęłaś mi na stopy raptem trzy czy cztery razy. - Szybko ją puścił i odsunął się, umykając przed kuksańcem.

Ciągle z uśmiechem na twarzy, wyciągnął dłoń do żony:

- Zatańczysz?

Dana zawahała się i Matt miał wrażenie, że dojrzał w jej oczach dziwny smutek.

Pokręciła powoli głową.

- Muszę zajrzeć do kuchni, a poza tym po waszym popisie nie śmiałabym wyjść na parkiet
- rzuciła lekkim z pozoru tonem.

Reilly opuścił rękę, Dana odeszła. Przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem. Na jego twarzy malował się taki zawód i żal, tyle w niej było bólu zmieszanego z tęsknotą, że Matt nie mógł na to patrzeć. Czym prędzej odwrócił głowę.

Zobaczył, że Jessie z równym bólem i żalem wpatruje się w Reilly'ego.

Do diabła, ona się w nim kocha. Wstrząśnięty tym odkryciem utkwił spojrzenie w neutralny punkt gdzieś pomiędzy twarzami tych dwojga.

Najwyraźniej zbyt wiele lat patrzył na świat przez obiektyw kamery, nie zauważając tego, co działo się też pod jego nosem.

Jessie odchyliła głowę na zagłówek siedzenia i nuciła coś pod nosem, okropnie fałszując. Na szczęście na tyle cicho, że jej produkcje nie przebiły się poprzez jednostajne mruczenie silnika.

Odwrociwszy nieznacznie głowę, zerknęła na dłonie Matta zaciśnięte na kierownicy dżipa.

Ładne, pomyślała. Dość szeroka dłoń, długie i wąskie palce.

Patrzac na takie dłonie, człowiek od razu czuł się bezpieczniejszy. Ale też przy Matcie zawsze czułam się bezpieczna, pomyślała i uśmiechnęła się lekko. To prawdziwe szczęście mieć takiego przyjaciela.

Było późno, pierwsza w nocy, na drodze pustki. Zaczne Millers Crossing wcześniej zasypiało, nawet w sobotni wieczór.

- To miło, że zaofiarowałeś się odwiedzić mnie do domu - odezwała się Jessie po raz pierwszy, odkąd

wsadził ją do samochodu, zapiął jej pas i zatrzasnął drzwiczki.

- Drobiazg.

- Wcale tak dużo nie wypiałam - wyjaśniła na wszelki wypadek. - Dwa, najwyżej trzy kieliszki wina. - Popadła w krótki, acz głęboki namysł. - To dlatego, że mam słabą tolerancję na ahlo... Na alkohol - powiedziała powoli i wyraźnie. - Mam obniżoną tolerancję na alkohol. Sprawa genetyczna. Chyba. - Wyciągnęła dłoń i przez chwilę wpatrywała się w rozwarłe szeroko palce. - Jak małe stopy. Albo kręcone włosy. - Z westchnieniem opuściła rękę. - Wszyscy jesteście ofiarami naszego DNA. Zaopiekowałeś się mną bo masz miłe DNA. - Ziewnęła. - Właściwie mogłam przenocować u Reilly'ego. Na pewno by się zgodził. On też ma miłe DNA.

Matt zacisnął dłonie na kierownicy, po czym z trudem je rozluźnił. Czuł się sfrustrowany, poirytowany. Również zdradzony, chociaż to absurdałne i kompletnie nielogiczne. Wszystko było absurdałne i pozbawione sensu. Od jak dawna Jessie kocha się w Reillym? Owszem, pamiętał, że kiedyś, przed laty, durzyła się w nim, z czego Reilly najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy. Spostzegawczość nie należała do jego mocnych stron, ale Matt widział, co się dzieje, widział tęskne spojrzenia Jessie. Naprawdę trudno było tego nie zauważyć, nigdy nie potrafiła ukrywać swoich uczuć.

Matt z czasem zapomniiał o tej jej cięłej fascynacji. Chyba w ogóle niewiele o tym rozmyślał. Jessie była smarkata, a Reilly przystojny. Jasno-

włosy, beztroski, zawsze skory do żartów dryblas. Nic dziwnego, że się w nim zadurzyła.

Czyżby kochała się w nim przez te wszystkie lata?

Zżymał się ze złości na tę myśl. Nie, nie zżymał się, wściekał się jak diabli. W końcu Jessie była jego przyjaciółką, a teraz przekonał się, że przez lata marzyła o czymś kompletnie nierealnym. To go złościło i martwiło.

Cokolwiek działo się w małżeństwie Reilly'ego, a bez wątpienia działo się coś złego, było oczywiste, że Reilly nie czuje do Jessie nic poza przyjaźnią. Tego Matt był pewien.

Znowu zacisnął dłonie na kierownicy i znowu musiał się napomnieć, żeby rozluźnić palce. Czytał gdzieś, że ludzie cierpiący na stres potraumatyczny są skłonni do przesadnych reakcji emocjonalnych. Być może właśnie to mu się przydarzyło - przesadna reakcja emocjonalna, objaw stresu potraumatycznego. Być może przydarzało się za każdym razem, kiedy widział Jessie. Czy to wyjaśniałoby, dlaczego ciągle myślał o tych jej długich nogach? Dlaczego zastanawiał się, czy pod ten skąpy skrawek materiału włożyła bieliznę... Dlaczego tak starannie się ogolił przed pójściem na przyjęcie? Tak, bez wątpienia potężny stres...

Jessie nadal nuciła coś pod nosem, nawet kiedy już skęcili w ulicę, przy której mieszkała. Zatrzymał dżipa przed piętrowym domkiem, zgasił silnik.

- Dojechaliśmy - ucieszyła się Jessie, jakby Matt sprawił jej wyjątkowo miłą niespodziankę. Odwróciła się ku niemu z uśmiechem. - Dziękuję, że mnie odwozłeś do domu. To bardzo...

- Miło z mojej strony - dokończył za nią. - Jestem ofiarą swojego DNA.

Widząc, że Jessie bezskutecznie walczy z pasem, nachylił się, odpiął go, dopiero potem wysiadł i obszedł samochód.

Wokół panowała absolutna cisza, ale inna niż na farmie Gabe'a. Tu po obu stronach ulicy stały domy, teraz pogrążone w ciemnościach oznaczających, że ich mieszkańcy dawno już poszli spać, niemniej czuło się ludzką obecność. Matt nie potrafił powiedzieć, na czym to polega, ale człowiek od razu wiedział, że znalazł się w zamieszkanym miejscu, gdzie toczy się życie.

Otworzył drzwiczki od strony Jessie i nie czekając, aż wygramolił się z wysokiej kabiny, po prostu wziął ją na ręce. Kiedy postawił ją na ziemi, lekko się zachwiała, chwyciła go za rękaw i spojrzała na niego niezbyt przytomnie.

- Dziękuję, że...

- Wiem. Że odwiozłem cię do domu.

Zatrzasnął drzwiczki i ujął ją pod ramię.

- Odprowadzę cię do drzwi.

- Naprawdę? - ucieszyła się ponownie, znów sprawił jej wspaniałą niespodziankę.

Uśmiechnął się mimo woli.

- Odezwało się moje miłe DNA - wyjaśnił.

- Muszę spełniać dobre uczynki.

- Żartujesz sobie ze mnie - zauważyła bez szczególnej pretensji w głosie. Po kracie koło domu pięła się dawno nieprzycinana róża. Jej słodki zapach przesycił nocne powietrze. We włosach Jessie za-

grały refleksy światła, kiedy lekko przechyliła głowę. - Cieszę się, że wróciłeś. - Zaczęła szukać klucza w torebce. - Nie ma to jak w domu.

- To stwierdzenie nie podlega dyskusji. - Odebrał jej torebkę i sam wyjął klucz. Otworzył drzwi, schnął je lekko, po czym schował klucz do torebki.

Jessie uśmiechnęła się trochę głupawo.

- Dziękuję. To naprawdę bardzo miło z twoo...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

Nie zamierzał jej całować, przez myśl mu to nawet nie przeszło. Gdyby przeszło, zdołałby sobie wyperśwadować ten poroniony pomysł, przywołałby wszystkie ważne powody, dla których nie powinien tego robić. On jednak niepotrzebnie spojrział na słodkie, zapraszające wargi... i przepadł z kretezem.

To tylko pocałunek, pomyślał mgliście. Całował już Jessie, wiele razy. Był całus w policzek z okazji urodzin, było cmoknięcie w czoło w nagrodę za dzielność, kiedy znosił ją z Reillym ze szczytu góry po tym, jak skręciła nogę w kostce. I był jeden pocałunek w usta, przypomniał sobie nagle. Dostała właśnie prawo jazdy i uszczęśliwiona, dumna rzuciła mu się na szyję. Słodki, niewinny pocałunek. Przelotne muśnięcie. Zabawne, że właśnie teraz sobie o nim przypomniał.

Jej usta chyba zachowały tę samą niewinność, w każdym razie tak właśnie smakowały. Poczuł wino i mięte. Zabawna kombinacja, a przecież niezwykle podniecająca...

Westchnęła cicho, kiedy wreszcie się odsunął. Otworzyła oczy, spojrzała na niego niewidzącym

wzrokiem. Za dużo wypiła, daj jej spokój, powiedział sobie, przywołując na pomoc resztki mocno osłabionej samokontroli. Wyglądała na lekko oszołomioną to na pewno przez wino, uznał. Może powinien coś powiedzieć? Rzucić jakąś błyskotliwą uwagę, która sprawi, że wszystko wróci do normy?

Do jakiej normy, na litość boską?

Ostatecznie nic nie powiedział. Położył dłonie na ramionach Jessie, odwrócił ją, popchnął łagodnie do domu, zamknął drzwi.

Kiedy zniknęła, stał jeszcze przez chwilę na ganku, wdychając zapach róż i próbując ochłonać. Nie, Jessie Sinclair w żadnym wypadku nie powinna budzić w nim podniecenia, żadnych pragnień. Szczególnie teraz. Nie tylko musiał uporać się z tym, że dorosła. W dodatku najwyraźniej była zakochana w jego najlepszym przyjacielu.

Poczuł się raptem bardzo zmęczony. Przeczesał włosy palcami. Niech to wszyscy diabli. Może jednak nie każdy powrót do domu jest miły i bezproblemowy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Powiedzieć, że kuchnia Gabe'a znajdowała się w stanie świadczącym o bliskim końcu remontu, byłoby grubą przesadą. Owszem, Gabe załatwił jakieś szafki, ale tylko połowa z nich miała drzwiczki. Brakowało blatów kuchennych; nowa kuchenka mikrofalowa i toster, który mógłby pełnić rolę rekwizytu w serialu o latach pięćdziesiątych, stały na kawałku deski. Jeśli człowiek postępował roztropnie, zdołał jeszcze umieścić obok kubek i łyżeczkę.

Kuchenka pamiętała czasy Einsenhowera. Automat do zapalania gazu przestał działać gdzieś w okresie administracji Johnsona, a dwa z czterech palników odmówiły posłuszeństwa, kiedy do Białego Domu wprowadził się Jimmy Carter. Dwa pozostałe, owszem, były sprawne, ale buchający z nich płomień zrobiłyby furorę w piekle.

Tuż obok kuchenki, na tej samej ścianie, w najmniej wygodnym miejscu stała wielka superlodówka.

Wiekowy jednokomorowy zlewozmywak mógł pomieścić średniej wielkości dziecko lub całkiem sporego psa. Biała porcelana była tak splekana i poobtłukiwana, że przypominała mapę plastyczną jakiegoś pasma górskiego. Mozaika na podłodze ułożyła się niejako samoistnie - z pozostałości pożółkłego linoleum i posadzki.

Jednym słowem w kuchni Gabe'a nowe współistniało ze starym, funkcjonalność szła w parze z zupełnie bezsensownym wykorzystaniem przestrzeni. Przy maksimum dobrej woli można było o niej powiedzieć, że miała potencjał. Przez ostatnie półtora tygodnia Matt nie narzekał, ale następnego ranka po przyjęciu u McKinnonów oddałby cały ten „potencjał” za przyzwoity ekspres do kawy, taki z programatorem. Kawa po niemal bezsennej nocy to warunek powrotu do życia.

Nastawił wodę, wyciągnął z pozbawionej drzwi szafki coś, co służyło w dawnych wiekach do zaparzania kawy, i podjął ważną decyzję -jeszcze dzisiaj kupi porządny ekspres. I dobrą kawę, pomyślał, wysypując kilka miarek kawopodobnego produktu do filtra umieszczonego na szklanym dzbanku. Osiem lat mieszkania w Seattle zmanierowało go do tego stopnia, że kawa kupowana w supermarketach, zmielona zapewne przed laty i „hermetycznie zapakowana” nie zasługiwała w jego oczach na to miano.

- Kawa? - zainteresował się Gabe, wkraczając do kuchni w niemal spadających z bioder spodniach od dresu.

- W bardzo swobodnym rozumieniu tego słowa

- odpowiedział Matt kwaśno. - Ludzie cywilizowani nazwaliby ten napój lurą.

Gabe spojrział na brata z lekkim zdziwieniem. Matt nigdy nie należał do skowronków, ale kiedy już wstał, na ogół nie miał wszystkim wszystkiego za złe.

- Tęsknisz za szlachetną arabiką?

Matt mruknął coś, co od biedy można było uznać za odpowiedź twierdzącą i zmierzył złym wzrokiem filtr, z którego powoli skapywała do dzbanka brunatna ciecz. Gabe odczekał, aż kawa będzie gotowa, i zagadnął:

- Dobrze się wczoraj bawiłeś?

- Nieźle.

- Miło było znowu zobaczyć Jessie i Reilly'ego.

- Uhu.

Gabe wsypał cukier do kawy i zamieszał powoli.

- Widziałem ich tańczących. Ładnie razem wyglądali.

- Świetnie. - Matt zacisnął palce na kubku, Gabe tymczasem oparł się o namiastkę blatu, wyciągnął nogi, skrzyżował je w kostkach i zmierzył brata uważnym spojrzeniem.

- Wiesz, gdyby chodziło o kogoś innego, nie o ciebie, powiedziałbym, że to kac.

Matt wiesił ramiona, wbił wzrok w kubek. Gabe doskonale wiedział, że jego paskudny nastrój nie ma nic wspólnego z ilością wypitego wczoraj alkoholu. Jeśli wynieśli jakąś naukę z nieciekawego dzieciństwa, to taką że alkohol należy spożywać bardzo ostrożnie. Gabe nie pił w ogóle, Matt czasami wypijał jedno piwo. Nie, paskudny nastrój z całą pewnością nie brał się z kaca.

- Miałeś ciężką noc? - zapytał Gabe.

Niepokój w jego głosie jasno wskazywał, czego tak naprawdę dotyczy to pytanie. Matt nie powiedział bratu o koszmarach, ale Gabe wiedział, że coś jest nie w porządku. Jednak tym razem to nie z powodu koszmarów Matt nie zmrużył oka do białego świtu. Kiedy zamykał powieki, widział Jessie wpatrzoną zakochanym wzrokiem w Reilły'ego. Albo przypominał sobie, jak była zaszokowana po pożegnalnym pocałunku. Tak czy inaczej o zaśnieściu nie mogło być mowy, ale też nie powinien z tego powodu wyzywać się na bracie. Przeczesał włosy palcami i spróbował się uśmiechnąć.

- Wstałem dzisiaj lewą nogą. Przepraszam.

Gabe kiwnął głową, przyjmując wyjaśnienie za dobrą monetę, chociaż ani przez sekundę nie uwierzył, że zły nastrój brata wziął się z powietrza. Swoim zwyczajem o nic jednak nie pytał i, choćby dlatego, z Gabe'em dało się żyć.

Matt nalał sobie drugą już kawę i przysiadł na krawędzi kuchenki.

- Co zamierzasz zrobić z tym starym chevroletem, który stoi w szopie?

- Chciałeś powiedzieć, w garażu?

Matt prychnął.

- Jeśli cierpisz na manię wielkości, niech ci będzie, w garażu. Bardziej przypomina kurnik.

- Pewnie był tam kurnik - przytaknął Gabe bez urazy w głosie i wruszył ramionami. - Samochód kupiłem razem z całym dobrodziejstwem inwentarza. Już tam stał. Podejrzewam, że nadaje się tylko na

części, o ile zachowały się w nim jeszcze jakieś części. Nie wiem nawet, co to za wóz.

- To piękny Bel Air, 1956 rok, 225 koni, ośmiocylindrowy silnik widlasty V-8, trzybiegowa skrzynia biegów. Ma poza tym... - przerwał, widząc tępą minę brata. Gabe'a interesowało jedynie, czy dany wóz jest w stanie przewieźć go z punktu A do punktu B. Matt uśmiechnął się przepaszająco. - Pomyślałem, że zajmę się nim. Może uda się doprowadzić go do stanu używalności.

- Rób, co chcesz. - Gabe ruszył do drzwi.

- Obiecuj tylko, że nie będziesz mi codziennie referował, jak postępuje remont.

- Myślałam o fiolecie i tylko przez środek dałabym paseczek limonkowej zieleni albo różu. Co ty na to?

- Na co? - Jessie starła z kontuaru niewidoczny pyłek. Było wczesne poniedziałkowe popołudnie i bar świecił pustkami, w jednej z łóż siedziała tylko jakaś zajęta sobą rozbawiona para, poza tym nikogo. Dania, które zamówili, zdążyły już dawno ostygnąć, ale oni byli tak pochłonięci rozmową, że nie myśleli o jedzeniu.

Jessie słyszała, jak mówili kelnerce, że są w podróży poślubnej i zatrzymali się w „Gospodzie pod Wierzbą”.

Nie musieli nic mówić. Wystarczyło na nich spojrzeć, i człowiek od razu wiedział, że są w sobie bez pamięci zakochani, szczęśliwi i pełni wiary we wspólną przyszłość. Im dłużej Jessie im się przyglądała, tym bardziej czuła się stara i samotna.

- Chciałabym ufarbować włosy na fioletowe i zrobić jakieś kontrastujące pasemka. Co o tym myślisz? - powtórzyła Lurene tonem tak zniecierpliwionym, że Jessie musiała w końcu oderwać się od swoich smutków i zwrócić na nią uwagę.

Zamrugła gwałtownie, wbijając niezbyt przytomne spojrzenie w przyjaciółkę.

- Słucham?

- Oczywiście takie włosy będą wymagać odpowiednich dodatków - ciągnęła Lurene. - Jeden, dwa kolczyki w nozdrzach. Może nawet spiłuję zęby na ostro.

Jessie osłupiała.

- O czym ty mówisz?

Lurene uniosła starannie wymodelowane brwi. W jej oczach zabłyśły wesołe iskierki.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy jeszcze kontaktujesz. Jesteś dzisiaj zupełnie rozkojarzona.

- Przepraszam. - Jessie wyprostowała się na stołku, z widocznym wysiłkiem próbując skupić uwagę na otaczającej ją rzeczywistości.

- O czym mówiłaś, zanim zaczęłaś fantazjować o fioletach i kolczykach w nozdrzach?

- Myślisz, że dobrze mi będzie z fioletowymi włosami? - dopytywała się Lurene.

Jessie zmrużyła oczy, zaczęła się zastanawiać nad poważną kwestią fioletowych włosów w limonkowy rzucik.

- Moim zdaniem lepiej będziesz wyglądała w zimnych błękitach. Ewentualnie białe pasemko przez środek, jak Cruella DeMon. Z kolczyków w nosie zrezygnowałabym. Zbyt banalne.

- Otóż to. Za skarby świata nie chcę wyglądać banalnie. Zrezygnuję z kolczyków i zamiast tego zrobię sobie tatuaż.

- Tak, tatuaż będzie znacznie lepszy. Bardziej elegancki - poparła przyjaciółkę Jessie i obie się uśmiechnęły.

- Przyjęcie się udało - Lurene zmieniła temat. - Będę chyba miała dwa kolejne zamówienia, wesele i przyjęcie urodzinowe.

- Ludzie zachwycali się jedzeniem, sama słyszałam - powiedziała Jessie.

- Szczególnie twoimi deserami. Jakaś kobieta gotowa była oddać mi swoje pierworodne dziecię za przepis na szarlotkę. - Lurene pokręciła głową. - Z drugiej strony może po prostu chciała pozbyć się dzieciaka.

- Bardzo możliwe.

- Podobno dałaś niezły popis taneczny?

Jessie oblała się pąsem.

- Niewielkiego. Czysta amatorszczyzna - oznajmiła skromnie. - Ja nie jestem Ginger Rogers, a Reilly'emu daleko do Freda Astaire'a. To cud, że po tylu latach przerwy zeszedliśmy z parkietu bez żadnych obrażeń.

- Słyszałam, że bardzo ładnie wyglądałaś. Oczywiście trudno nie wyglądać ładnie u boku Reilly'ego McKinnona - powiedziała Lurene z nutą umiarkowanego pożądanego. - O nim można powiedzieć bez żadnej przesady, że to kawał świetnego faceta.

Jessie mruknęła coś, co miało oznaczać przytaknięcie i nie wiedzieć czemu poczuła się z tego powodu głupio.

- Ten drugi jest jeszcze bardziej interesujący.
 - Ten drugi? - zdziwiła się Jessie.
 - Twój drugi przyjaciel. Ten ciemnowłosy, z ciałem, co to zobaczyć i umrzeć. W dodatku ma niesamowite oczy, niebieskie i tajemnicze. A te usta...

- Matt - domyśliła się inteligentnie i na wszelki wypadek wbiła wzrok w kontuar. Nie chciała myśleć o oczach Matta ani o jego ciele, a już w ogóle, w żadnym wypadku nie chciała myśleć o jego ustach. Bo kiedy zaczynała myśleć o jego ustach, natychmiast przypominała sobie długi pocałunek na dobranoc i wtedy oblewała ją fala gorąca. Wcale jej się to nie podobało.

Bardzo dużo czasu i wysiłku poświęciła temu, by nie myśleć o Matcie, co w efekcie oznaczało, że od sobotniej nocy myślała wyłącznie o tym, by o nim nie myśleć. O nim i o pocałunku... Setki razy wracała do tego zdarzenia, analizowała je ze wszystkich możliwych stron i pod każdym kątem, lecz w dalszym ciągu nie wiedziała, dlaczego Matt ją pocałował ani co to miało oznaczać.

Oczywiście, ludzie ciągle się całują i nikt nie robi wokół tego tyle szumu. Ale Matt właściwie pocałował ją po raz pierwszy, przynajmniej w taki sposób, i w jej biednej głowie zaczęły się kłębić różne głupie myśli.

- Żałowałaś kiedyś, że nie masz dzieci? - Zadała to pytanie odruchowo, bez chwili zastanowienia. Lurene uniosła brwi w zdziwieniu i popadła w chwilowe zamyślenie.

- Nie - powiedziała wreszcie. - Chociaż rozważałam taką możliwość. Chyba nawet zdecydowałabym się, gdyby w moim pierwszym czy drugim małżeństwie lepiej się układało. Mąż numer jeden sam był dzieckiem i nie nadawał się na ojca. Mąż numer dwa tak był zajęty poprawianiem naszej sytuacji finansowej i romansem ze swoją sekretarką że nie miał już czasu na ojcostwo. Kiedy się z nim rozwiodłam, dobiegałam czterdziestki i bardzo chciałam mieć wreszcie coś naprawdę własnego. Kupiłam knajpę i pomyślałam, że samotna matka po czterdziestce z firmą w powijakach to przesada.
 - Wzruszyła ramionami. - Mój zegar biologiczny tykał widać jakoś nie tak. Zastanawiasz się, czyby nie urodzić dziecka?

Teraz Jessie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Czasami rzeczywiście się nad tym zastanawiam.

- Jak większość kobiet. - Lurene zrobiła mądra minę. - Mamy teraz tyle możliwości...

- Owszem. - Jessie westchnęła. Ostatnio wiele czasu poświęcała rozważaniu wspomnianych przez Lurene możliwości. - Znasz Pammie Sue Jenkins?

- Pammie Sue. - Lurene zmrużyła oczy. - Irytująca drobna blondynka, oczy jak u pekińczyka, piskliwy głos, ciągle chichocze?

Jessie sama parsknęła śmiechem na ten opis.

- Zgadza się. Jakieś dwa tygodnie temu natknęłam się na nią w supermarkecie. Znowu jest w ciąży. Z trzecim dzieckiem.

- Miejmy nadzieję, że to trzecie nie będzie takim

potwornym bachorem jak poprzednie. Kiedy ostatnio przyprowadziła je tu na lunch, zdemolowały mi restaurację. - Lurene spojrzała na Jessie z najwyższym zdumieniem. - Nie powiesz mi, że na widok tych małych potworów zamarzyłaś o dziecku.

- Nie. Tak. To nie tak. - Jessie zaczęła machać ręką, jakby próbowała wymazać, co powiedziała, i zacząć od początku. - Nie chodzi o Pammie, to znaczy o te jej potwory, tylko o dzieci w ogóle - wyjaśniła najłepiej, jak potrafiła.

- Hmm. - Lurene upiła łyk coli light. - Jej mąż zawsze mówi szeptem i założyłabym się, że układa włosy na oliwę. Ilekroć go widzę, mam ochotę skropić mu łeb octem winnym i zanurzyć w misce z sałata.

Jessie ze śmiechem pokręciła głową.

- Nie radziłabym ci, jeśli nie chcesz, żeby firma straciła dobre imię.

- Nigdy nic nie wiadomo, to w końcu Kalifornia. Mogłoby chwycić. - Lurene spoważniała, położyła dłoń na dłoni Jessie. - Ja nie chciałam mieć dzieci, ale ty powinnaś się nad tym zastanowić. Za dziesięć lat będziesz żałować, że nie odważyłaś się na ten krok. Wybacz, bo zabrzmiało to okropnie sentencjonalnie, ale tak to już jest, że człowiek najbardziej żałuje tego, czego kiedyś nie zrobił. Jeśli chcesz mieć dziecko, Jessie, postaraj się o nie.

Postaraj się. Jessie powtórzyła sobie w duchu radę przyjaciółki i poczuła miłe podekscytowanie. Może Lurene miała rację. Może tak właśnie powinna zrobić.

Matt wpatrywał się w części rozłożone na chwiejnym stole i zastanawiał się, czy aby ze szczętem nie zwariował. Z radia płynęły dźwięki koncertu fortepianowego Czajkowskiego.

Co on robi? Dlaczego, u licha, uparł się przywrócić do życia liczący sobie prawie pięćdziesiąt lat wrak? Lubił samochody, bywał od czasu do czasu na wystawach i w salonach samochodowych, ale nie miał bzik motoryzacyjnego. W swoim własnym wozie od pięciu lat nie zmieniał oleju. A teraz upaprany po łokcie smarem oglądał starannie każdą śrubkę, usiłując dojść, co się jeszcze nadaje do użytku, a co lepiej od razu wyrzucić.

Cóż, remont wozu zwalniał go chwilowo od innych prac i pozwalał oderwać myśli od spraw, D których nie powinien myśleć. Na przykład od pytania, dlaczego Jessie zaprosiła go dzisiaj na kolację. Kiedy zadzwoniła, miał wrażenie, że jest zdenerwowana. Niech to, równie dobrze mógłby dokładnie to samo powiedzieć o sobie.

Przez kilka ostatnich dni bardzo się starał, by nie myśleć o Jessie. Nawet mu się udało. Nie myślał o tym, jakim wzrokiem patrzyła na Reilly'ego podczas sobotniego przyjęcia. Nie myślał o jej absurdalnie długich nogach. I nie myślał o jej ustach, o pocałunku przed domem.

Dlaczego więc, do diabła, zaprosiła go dziś wieczór na kolację?

- Nadal słuchasz muzyki poważnej?

Matt odwrócił głowę ku wejściu do szopy, zmrużył oczy oslepiony ostrym światłem słonecznym.

- To kwestia dobrego smaku.

- Tak, tak, jasne - sarknął Reilly, wchodząc do środka. - Chcesz wyremontować ten wrak? - zapytał z powątpiewaniem.

- Zastanawiam się. Na razie sprawdzam, ile z tych części nadaje się do użytku, co trzeba by wymienić... Od dawna nie parąłem się taką robotą.

- Zajmie ci to trochę czasu. - Reilly spojrzął na przyjaciela pytająco, najwyraźniej chciał wiedzieć, czy Matt zamierza zostać w Millers Crossing na dłużej, ale nie doczekał się odpowiedzi. Matt sam nie wiedział, co zamierza.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji - powiedział, wzruszając nieznacznie ramionami, i odnosiło się to zarówno do remontu chevroleta, jak i do ewentualnego pozostania w Millers Crossing.

Reilly pokiwał głową i zajął się oglądaniem samochodu. W wytartych džinsach, w szarej bluzie, wyglądał bardziej na leniuchującego gościa „Gospody pod Wierzbą” niż właściciela dobrze prosperującej firmy budowlanej.

- Zbijasz bąki? - zainteresował się Matt, wycierając brudne od smaru ręce w starą koszulkę zdegradowaną do roli szmaty.

- Można tak powiedzieć. Nie warto być szefem, jeśli człowiek od czasu do czasu nie może urwać się z pracy.

W głosie Reilly'ego zabrzmiała obronna nuta i ton lekceważenia. Matt pomyślał, że wreszcie dowie się, co gryzie przyjaciela. Było to nieuniknione, bo Reilly nigdy nie potrafił długo milczeć i Matt często się

zastanawiał, czy jego otwartość jest wynikiem szczęśliwego dzieciństwa, czy też po prostu taki już się urodził.

- Wspaniałe przyjęcie - powiedział, nie do końca pewien, czy naprawdę chce usłyszeć, co Reilly ma mu do powiedzenia.

- Miło spotkać starych znajomych po tylu latach przerwy, prawda? - Reilly wziął do ręki klucz francuski i zaraz odłożył go na miejsce. - Dana prosiła, żeby podziękować ci za kwiaty.

- To ja jej chciałem podziękować. Znakomicie wszystko przygotowała.

Reilly zaczął obracać w palcach świecę, chwilę się nią bawił, po czym odłożył ją, ale kilka razy przesunął o ułamek milimetra, jakby od jej ułożenia zależały losy świata.

Matt z westchnieniem odrzucił szmatę i oparł się o błotnik wozu.

- Powiesz wreszcie, o co chodzi, czy mam ci przyłożyć w łeb lewarkiem?

Reilly zrobił zdumioną minę, otworzył usta, już chciał zaprzeczać, że o nic nie chodzi, ale rozmyślił się, zamknął usta i zwiesił bezradnie ramiona.

- Zrobiłeś kiedyś coś tak niewyobrażalnie głupiego, autodestrukcyjnego, że potem nie przestawało cię to prześladować?

Matt pomyślał o swoich koszmarach, o powodach, które je zrodziły, a potem, nie wiadomo dlaczego, przypomniał mu się sobotni pocałunek. Nie był pewien, czy taki pocałunek można zaliczyć do czynów autodestrukcyjnych, ale że go nie przestawał

prześladować, to pewne. Zaplótł ręce na piersi i uśmiechnął się półgębkiem.

- Chyba śmiało mogę o sobie powiedzieć, że jestem wyjątkowo dobry w popełnianiu głupot. Co takiego zrobiłeś, Kenosabe?

Reilly'ego rozbawiło stare przezwisko, ale jego twarz rozjaśniła się tylko na chwilę i zaraz przygasła, w oczach pojawiła się jakaś bolesna bezradność. Odwrócił wzrok.

- Przespałem się z inną kobietą.

Matt uniósł brwi, ale powstrzymał się od wygłaszania ocen. Co jak co, ale zdrada nie kojarzyła mu się Reillym. Takiego wyznania zupełnie nie spodziewał się usłyszeć.

- Zawsze byłeś raczej monogamicznym typem, Ri - zauważył ogłędnie.

- Byłem. Jestem. - Reilly odwrócił się i wbił wzrok w rząd starannie ułożonych, jedna obok drugiej, świec zapłonowych. - Raz mi się przydarzyło. Raz jeden. Przez jedną paskudną noc zniszczyłem moje małżeństwo.

W głosie Reilly'ego zabrzmiał szloch i Matt na wszelki wypadek oddał się kontemplowaniu czubka swojego buta. Teoretycznie uważał, że, owszem, mężczyzna ma prawo płakać, ale w praktyce wołałyby nie oglądać beczącego przyjaciela.

Reilly, raz się przełamawszy, ciągnął swoją opowieść. Dana akurat wyjechała do Nowego Jorku na jakąś sesję fotograficzną poświęconą byłym miss piękności. On sam miał coś do załatwienia w Los Angeles. Sprawę załatwił, wieczorem odbyło się

przyjęcie. Na przyjęciu pojawiła się pewna kobieta, którą już wcześniej trochę poznał i zdążył polubić.

- Wiem, że to żadne usprawiedliwienie, ale miałem już mocno w czubie, a ona praktycznie wisiła mi na szyi - powiedział Reilly skruszonym głosem i przeczesał włosy palcami. - Próbowałem potem zrozumieć, jak do tego doszło. Ona właśnie się rozwodziła, jej mąż był na tym przyjęciu z inną kobietą. Może chciała go w ten sposób ukarać. Spotykaliśmy się wcześniej, nigdy między nami do niczego nie doszło. Owszem, jest atrakcyjna, ale ja... Niech to cholera. - Zamknął oczy i pokręcił głową. - Nie mam żadnego usprawiedliwienia. Po prostu przespałem się z nią. Ledwie oprzytomniałem, żałowałem tego, co zrobiłem, ale stało się, nie cofniesz czasu.

- Powiedziałeś Danie?

Reilly spojrzał na Matta ze zdziwieniem.

- Musiałem. Tyle przynajmniej byłem jej winien. Gdybym nie powiedział, postąpiłbym nieuczciwie.

Matt uśmiechnął się ponuro i pokręcił głową.

- Czasami przeceniamy zalety prawdomówności. Szczerłość potrafi być bolesna.

- Uważasz, że nie powinienem był jej mówić?

Matt wzruszył ramionami.

- Nie pytaj mnie. Nie jestem ekspertem od problemów małżeńskich.

- Jak widać, ja też nie. - Reilly wcisnęła dłonie do kieszeni spodni, przygarbił się. - Wybaczę mi. Nie zasłużyłem na to, ale wybaczę mi. Nie zrobiła mi awantury, nie uderzyła w twarz, nie wyrzuciła ze

wspólnej sypialni. Zapytała tylko, czy to coś poważnego. Powiedziałem, że nigdy w życiu niczego tak nie żałowałem, jak tej niefortunnej nocy i usłyszałem, że powinniśmy zapomnieć o całej sprawie.

Co wcale nie okazało się łatwe, pomyślał Matt. Teraz widział wyraźnie, jak głęboki ślad tamten incydent pozostawił w psychice zarówno Dany, jak i Reilly'ego.

Nie sposób tak po prostu zapomnieć, powiedzieć sobie, że nic się nie stało. Tego rozkazu pamięć nie posłucha, bo jest silniejsza od nakazów rozumu.

Reilly wziął głęboki oddech, podniósł głowę i z niepewnym uśmiechem spojrzął na Matta.

- Dzięki, że mnie wysłuchałeś. Trochę mi ulżyło, chociaż to niczego nie zmienia. Co się stało, to się stało.

- Tak, czasu nie da się cofnąć - powiedział Matt powoli.

Jessie raz jeszcze omiotła uważnym spojrzeniem swoje dzieło. Umiejętne wydanie kolacji było równie ważne, jak samo jedzenie. Liczyło się wszystko, począwszy od doboru serwety, na szkle skończywszy. Tego wieczoru wszystko powinno być idealne. Być może ten wieczór okaże się jednym z najważniejszych w jej życiu.

Albo jednoznacznym potwierdzeniem, że jest obłąkana i powinna się leczyć.

Westchnęła i przeszła do kuchni. Przecież to tylko Matt, powtórzyła sobie. Z Mattem zawsze mogła rozmawiać o wszystkim. Znała go od niepamiętnych

czasów. Oczywiście aż do ostatniej soboty nie wiedziała, że pocałunek Matta potrafi przyprawić ją o zawrót głowy. Przechowywała w pamięci wspomnienie tego pocałunku niczym talizman i dowód, że jej obłąkany pomysł nie jest tak zupełnie pozbawiony sensu.

Stanąwszy na środku kuchni, przebiegła w myślach listę rzeczy do zrobienia. Wszystko już gotowe? O niczym nie zapomniała?

Menu dobrała bardzo starannie: polędwica wołowa w ziołach, do tego smażone zielone pomidory, pieczarki, sałatka z cykorii w sosie winegret, na koniec ciasto funtowe (po funcie wszystkich składników: mąki, cukru, masła) w lukrowej polewie. Polędwicę wystarczyło wstawić do piekarnika, reszta była gotowa. Matt pił niewiele, ale otworzyła butelkę dobrego kalifornijskiego merlota, a w saloniku czekał ulubiony koniak dziadka.

Ostatni posiłek skazańca, przemknęło jej przez głowę i była to myśl zupełnie niechciana, niewłaściwa i niepotrzebna.

Matt usadowił się wygodnie w przepastnym fotelu. Lubił bardzo ten dom i ten pokój. Dziadek Jessie przemieszkał tutaj pięćdziesiąt lat - stąd zapewne przytulność, atmosfera zasiedzenia. Taką atmosferę uzyskują miejsca, w których ludzie żyją długie lata i które otaczają miłością. Dębowe podłogi o szlachetnym połysku, meble dobrane bardziej z myślą o wygodzie niż kompozycji. Wielki kamienny kominek był teraz wygaszony, ale Matt doskonale pamiętał

ogień buzujący w nim zimą. Ciche trzaskanie polan, piękny zapach sosny i eukaliptusa.

Zupełnie niepotrzebnie tak się denerwował, idąc tutaj. Jak mógł podejrzewać, że jeden pocałunek popsuje jego przyjaźń z Jessie? Owszem, bał się, że jest na niego wściekła albo, co gorsza, zaprosiła go, by porozmawiać o tym niefortunnym incydencie. Powinien był wiedzieć, że nic podobnego nie przysłoby jej do głowy. Jessie... Cóż, Jessie to po prostu Jessie i jeden gorący pocałunek nie mógł przekreślić przyjaźni trwającej już ponad dwadzieścia lat. Jessie była na to zbyt rozsądna.

Co prawda poczuł się trochę dotknięty, że tak łatwo i szybko przeszła do porządku dziennego nad tą sprawą, ale zrzucił swoją reakcję na karb stresu.

Wieczór był bardzo miły, jedzenie doskonałe, wina nie pił, ale dał się namówić na kropelkę koniaku i teraz ogrzewał kieliszek w dłoni, chłonąc aromat trunku. W pierwszej chwili oboje trochę zakłopotani, szybko wdali się w pogawędkę o wszystkim i o niczym. Jessie słowem nie wspomniała o książce, nie pytała, czy Matt podjął już decyzję, on też nie wracał do tematu. Nie był jeszcze gotów wziąć aparat do ręki, bał się, że nigdy już nie zrobi żadnego zdjęcia.

A jednak nie zaprosiła go na kolację bez powodu. Zbyt długo ją znał, by nie dostrzec oczywistych oznak. Od chwili kiedy wstali od stołu, nie usiedziała w jednym miejscu dłużej niż minutę. I nie przedstawiała mówić. Miła pogawędka zamieniła się szybko w nerwowy potok słów.

Matt odchylił głowę i obserwował, jak Jessie.

zupełnie niepotrzebnie, poprawia róże wazonie. Na szczęście dzisiaj nie włożyła sukienki, chociaż nie był do końca pewien, czy czarne legginsy i jedwabna niebieska bluzka są dużo skromniejszym strojem. Miała naprawdę oszałamiające nogi.

- Powiesz mi w końcu, dlaczego mnie zaprosiłaś?
- Matt doszedł do wniosku, że musi przejąć inicjatywę, jeśli chce się czegoś dowiedzieć.

Jessie poderwała głowę.

- Co masz na myśli?

- Jeśli kobieta tak wspaniale karmi faceta i namawia go na koniak, muszą kryć się za tym jakieś ciemne motywy. - Czarującym uśmiechem złagodził sens słów, ale trafił w sedno, bo Jessie spiekła raka, mimowiednie zacisnęła palce na paku róży.

Teraz, kiedy nadeszła decydująca chwila, nie wiedziała, co robić. Z jednej strony najchętniej wyrzuciłaby wreszcie z siebie prośbę, z którą zbyt długo się już nosiła, z drugiej miała ochotę odparować, że Matt coś sobie ubrdał, bo ona nic od niego nie chce, nigdy nie chciała i nigdy chcieć nie będzie.

Byłoby to oczywiście jawne kłamstwo. Jasne, rozpaczliwie chciała czegoś i być może w Matcie jedyna nadzieja, że uda jej się to pragnienie zaspokoić.

Zebrawszy całą odwagę, wzięła głęboki oddech. To przecież tylko Matt, powtórzyła sobie po raz setny. Nie szkodzi, że wygląda zabójczo, kiedy tak siedzi w fotelu i wpatruje się w nią oczekując odpowiedzi. Zawsze miał takie błękitne oczy? Co

tam oczy, ważne, że jest jednym z jej najserdeczniejszych przyjaciół. Może zwrócić się do niego ze wszystkim. Poprosić o każdą przysługę.

- Prawdę mówiąc, jest coś, o czym chciałam z tobą porozmawiać. - Podniosła wzrok i od razu nabrała większej otuchy.

- To... bardzo nietypowa sprawa... natury raczej... osobistej.

- Sprawy nietypowe, natury raczej osobistej, to moja specjalność - oznajmił lekkim tonem, ale Jessie nie zareagowała na żart. Stała bez ruchu i wpatrywała się w niego tymi swoimi wielkimi brązowymi oczami, jakby lekko wystraszona. Matt pokręcił głową.

- Wyduś wreszcie z siebie, o co chodzi - powiedział z łagodnym uśmiechem. - Wiesz, że możesz mnie prosić o wszystko.

- Tak właśnie sobie pomyślałam - mruknęła i znowu zajęła się mocno już wymęczonymi różami.

- O co chodzi, Jess? Powiedz.

- O dziecko - wyrzuciła z siebie wreszcie, po czym zaczerpnęła powietrze i powtórzyła już spokojniej. - Chcę mieć dziecko.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez dobrą chwilę Matt miał kompletną pustkę w głowie. To omamy słuchowe. Tak, na pewno. Trzy krople koniaku i już zaczął słyszeć głosy. Słyszał, jak Jessie mówi, że chciałyby mieć dziecko. I on miałby jej w tym pomóc.

Może koniak był zepsuty. Zapleśniały. Pleśń zdolna rozwinąć się w tak stężonym alkoholu musi powodować omamy słuchowe. Nawet tak absurdalne, jak prośba, żeby on... Że mógłby...

- Przepraszam? - Dźwięk, który dobiegł się z jego gardła, przypominał skrzywienie zardzewiałych zawiasów.

- Wiem, to brzmi niedorzecznie - broniła się Jessie - ale kiedy się zastanowić, to całkiem sensowny pomysł.

Teraz, kiedy kości zostały rzucone, Jessie nabrała pewności siebie. Matt patrzył na nią jak na wariatkę, ale kiedy mu wszystko spokojnie wyłoży, będzie

musiał przyznać, że mądrze to obmyśliła. Nigdy dotąd niczego nigdy jej nie odmówił, tym razem też jej nie zostawi na lodzie. Po prostu powinna mu wyjaśnić, jaka to dla niej ważna sprawa.

- Wiem, musisz być bardzo zaskoczony - podjęła spokojnie i już samo brzmienie, ton jej głosu miały dać Mattowi do zrozumienia, że rozważyła rzecz gruntownie i nie ma mowy o żadnym działaniu pod wpływem impulsu. - Wiele o tym myślałam, długo się zastanawiałam i pomysł wcale nie jest tak szalony, jak mogłoby się wydawać w pierwszej chwili.

Matt nie odezwał się ani słowem, wpatrywał się w nią tylko osłupiałym wzrokiem. Na żadną inną reakcję chwilowo nie było go stać.

- To bardzo proste. - Jessie przysiadła i natychmiast się zerwała. Matt musi zrozumieć jej punkt widzenia. Przygotowała sobie kilka wersji wystąpienia, ale wszystkie, jak to zwykle bywa, wywietrzały jej z głowy, tak więc teraz kierowała się wyłącznie głosem serca.

- Wiem, że to wyświechtany banał, ale mój zegar biologiczny tyka coraz szybciej i natrętniej. - Podeszła do okna i poprawiła jakąś fałdkę w zasłonach. - Mam dwadzieścia dziewięć lat i zero doświadczeń miłosnych na swoim koncie. Jestem już zmęczona czekaniem na tego jedyne.

Wcześniej zdecydowała nie wspominać, że ten jedyny ożenił się z kimś innym. Jej decyzja nie miała nic wspólnego z Reillym. Dziecko nie miało być nagrodą pocieszenia, zadośćuczynieniem za to, że zakochała się bez wzajemności. Zerknęła na Matta,

ale nic nie była w stanie wyczytać z jego twarzy. Niechby się odezwał, powiedział coś, żeby mogła się zorientować, co o tym wszystkim myślał. Jednak on siedział bez ruchu, bez słowa... Miała nadzieję, że przynajmniej jej uważnie słuchał.

- To nie znaczy, że pogrzebałam marzenia - podjęła przerwany wątek, zdejmując niewidoczny kłaczek z oparcia kanapy. - Mąż, rodzina, dwa samochody w garażu, płot z białych sztachet. - Jessie zaśmiała się ironicznie. - Cóż, życie ułożyło się inaczej. Mogę zafundować sobie płot z białych sztachet, ale męża jakoś nie widać na horyzoncie, a drugiego samochodu nie potrzebuję. - Zorientowała się, że zaczyna pleść trzy po trzy i przygryzła wargę, jakby w ten sposób chciała powstrzymać potok słów.

Matt wciąż nic nie mówił, a jej coraz bardziej ciążyło to milczenie. Kiedy rozważała swój pomysł, wydawał się zupełnie sensowny, ale teraz, słysząc echo własnych słów, niczego już nie była pewna.

- Wiele o tym myślałam i w końcu doszłam do wniosku, że mogłabym zrealizować przynajmniej część swoich marzeń. - Jessie usiadła na kanapie, oparła łokcie na kolanach i nachyliła się ku Mattowi. Tak bardzo chciała, żeby zrozumiał, jakie to dla niej ważne. - Będę dobrą matką. Wiem to. Dzisiaj samotna matka czy samotny ojciec to rzecz normalna. Może ci się wydawać, że zwariowałam, ale... chcę mieć dziecko, Matt.

Jej deklaracja zabrzmiała wyjątkowo smutno i żałośnie, ale Jessie nie mogła już cofnąć wypowiedzia-

nych słów. A nawet gdyby mogła, nie uczyniłaby tego. Po co? Przecież odsłoniła tajniki duszy tylko przed Mattem. To ten sam Mart, który opatrywał jej rozharatane kolana, uczył ją prowadzić samochód i rozśmieszał, kiedy była smutna. Zawsze mogła na niego liczyć. Prawda, tu nie wystarczył plaster ani łupki, ale kiedy Mart wreszcie zrozumie, ile to dla niej znaczy, nie odmówi.

- Chcesz mieć dziecko.

Jessie podskoczyła na dźwięk jego głosu. Z wypranego z emocji tonu nie była w stanie nic wywnioskować. Przełknawszy nerwowo ślinę, skinęła głową. Zorientowała się, że Matt na nią nie patrzy i z trudem dobytek głos ze ściśniętego gardła.

- Bardzo... Niczego nie pragnę bardziej.

- I czego w związku z tym oczekujesz ode mnie? - Znowu ten sam, pozbawiony emocji głos.

Zamrugnęła gwałtownie. Czyż nie wyraziła tego jasno? Szybko przeanalizowała swoją wypowiedź. Matt musiał zrozumieć, to oczywiste. Może chciał się tylko upewnić...

- Chciałam, żebyś... - przerwała, czując, jak oblewa ją fala gorąca. Dopóki nie ubrała swojej prośby w słowa, nie przypuszczała, że tak trudno jej będzie mówić o intymnych sprawach. - Pomyślałam, że moglibyśmy... Nie dopracowałam jeszcze szczegółów, ale ty i ja... My... Chciałam właśnie powiedzieć...

Zamilkła. Patrzyła, jak Matt przechyla się i odstawia ostrożnie kieliszek na stolik. Kiedy już odstawił, spojrzał jej prosto w oczy, ale w dalszym

ciągu nie potrafiła nic wyczytać z jego pozbawionej wszelkiego wyrazu twarzy.

- Prosisz, żebym cię posunął? - zapytał takim tonem, jakby pytał, czy przestało już padać, czy też dalej leje.

„Posunął”. Zabolało ją to wulgarnie określenie. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Tak bym tego nie nazwała - powiedziała po chwili, do głębi zażenowana.

- Można wiedzieć, jak w takim razie byś to nazwała? - zapytał z uprzejmym zainteresowaniem w głosie. - Wolisz bardziej poetyckie określenie? Powiniennem zapytać, czy chcesz, żebyśmy wspólnie spłodzili dziecko? A może poczuli nowe życie?

Mówił spokojnie, ale był wściekły, Jessie doskonale widziała, że doprowadziła go do furii. Poruszyła się niespokojnie.

- Chyba. Coś w tym rodzaju. Nie myślałam o tym w ten sposób - bąkała.

- Nie myślałaś w ten sposób. - Matt wstał gwałtownie. - A czy ty w ogóle myślałaś? - Stał nad nią niby uosobienie gniewu. Nigdy wcześniej nie widziała Matta wyprowadzonego z równowagi, tracącego panowanie nad sobą i teraz też wolałaby go takim nie oglądać.

- Ja tylko...

- Co, u diabła ciężkiego, kazało ci myśleć, że zgodzę się na coś podobnego? - Odwrócił się raptownie, jakby sam jej widok przejmował go obrzydzeniem. - Zlituj się, Jessie. Zawsze byliśmy przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi. Skąd ten pomysł, że

mógłbym... - Matt przerwał, w tej chwili bardziej chyba zdumiony niż rozzłoszczony.

- Kiedy mnie pocałowałeś... w sobotę... pomyślałam, że...

Ponownie obrócił się w jej stronę, tym razem z taką wściekłością w oczach, że odruchowo wcisnęła się głębiej w oparcie kanapy.

- Pocałunek? - zawołał, nie wierząc własnym uszom. - Wpadłaś na ten obłąkany pomysł tylko dlatego, że cię pocałowałem? Skoro cię pocałowałem, to zaraz potem powinienem cię zapłodnić?

- Nie. Tak. Nie tylko to - plątała się. - Od dawna o tym myślałam, zastanawiałam się, jak to zrobić. Ty akurat wróciłeś do domu i pomyślałam, że... - nie dokończyła. W teorii plan wydawał się zupełnie rozsądny, tymczasem w praktyce, kiedy trzeba było znaleźć właściwe słowa, wszystko zamieniało się w żałosną farsę.

- Pomyślałaś, że jestem facetem, który odegra rolę reproduktora, a potem sobie pójdzie i zostawi własne dziecko? - Głos Matta był teraz lodowato zimny.

Jessie wpatrywała się w niego zaszokowana gwałtownością reakcji. Myślała o swoich pragnieniach, ale do głowy jej nie przyszło zastanowić się, co będzie potem ani jak Matt poczuje się w roli niepotrzebnego i odrzuconego ojca.

- W ogóle o tym nie myślałam - powiedziała zgodnie z prawdą. - Wiem, że nie odszedłbyś. Nic takiego nie zakładałam. Mógłbyś je widywać... kiedy tylko byś chciał. Nie utrudniałabym ci kontaktów.

- Zamknęła oczy i zamilkła, porażona bezmiarem własnej głupoty.

Jak mogła być taka ślepa? Odkryła, że chce mieć dziecko, potem doszła do wniosku, że Matt jej w tym pomoże. Oczami wyobraźni widziała już siebie z maleństwem na rękach, oczekującą niecierpliwie na pierwsze, niepewne kroki... Pierwsze kroki, pierwszy dzień w szkole, pierwsze randki, a za jakieś dwadzieścia lat łzawe rozstanie, kiedy syn albo córka wyfrunie z gniazda.

Matt w ogóle nie występował na tych rodzinnych obrazkach kreowanych przez jej wyobraźnię. Nie brała pod uwagę ani jego osoby, ani jego uczuć do dziecka, które miał z nią spędzić. Gdyby zastanowiła się przez sekundę, wiedziałaby, że Matt nigdy na to nie przystanie. Jak to sobie wyobrażała? Miałby spędzić dziecko, a potem nie uczestniczyć w jego życiu?

Wspaniały pomysł rozsypał się niczym domek z kart, ale nad tym będzie miała czas boleć później, teraz powinna naprawić krzywdę, którą właśnie wyrządziła Mattowi. Przynajmniej powinna spróbować, przynajmniej tyle...

Otworzyła oczy. Matt stał koło ławy, z rękami w kieszeniach, odwrócony plecami do Jessie. Nawet nie chciał na nią patrzeć... Przestraszyła się nie na żarty. Przez tyle lat był jej wiernym przyjacielem.

Rzadko przyjeżdżał, rzadko się widywali, ale wiedziała, że zawsze może na niego liczyć. Nie wyobrażała sobie takiego końca ich przyjaźni.

- Matt, przepraszam. - Zabrzmiało to bardzo blado

i nieprzekonująco, nawet w jej uszach, ale co innego mogła powiedzieć? Podniosła się z kanapy i podeszła do niego, odczekała, aż spojrzy na nią. - Matt, przepraszam - powtórzyła. - To był niesamowicie głupi pomysł. Głupi i nieprzemyślany. Nie zastanowiłam się...

- Nie zastanowiłaś się - przytaknął lodowatym tonem.

Uniosła dłoń, dotknęła jego ramienia, ale Matt natychmiast się cofnął, a jej zrobiło się jeszcze bardziej przykro.

Matt wiedział, co się dzieje z Jessie i najchętniej przytuliłby ją teraz, pocieszył, ale na to był nadal zbyt wściekły.

- Muszę stąd wyjść - powiedział, robiąc kolejny krok do tyłu.

W oczach Jessie pojawiło się coś jak błaganie. Błaganie, na które nie mógł odpowiedzieć. Na pewno nie w tej chwili. Odwrócił się i wyszedł, odprowadzany żalonym spojrzeniem Jessie.

Ktoś dobijał się do drzwi. Nie, nie pukał, walił pięścią z całych sił, natrętnie, uparcie. Gabe z trudem otworzył oczy, spojrzał na budzik; dochodziła pierwsza w nocy. Komu, do diabła ciężkiego, zachciało się składać wizyty o tej porze? Nie, nikt nie dobija się do drzwi, pomyślał, otrząsając się ze snu. Upiorny hałas musiał mieć inne źródło.

Usiadł na łóżku, sięgnął po stare spodnie od dresu, które rzucił na podłogę, kładąc się spać kilka godzin temu. Kilka godzin, sarknął w duchu, ziewnął, prze-

czesął włosy palcami i na bosaka ruszył do drzwi. Walenie nie ustawało, zamierało na sekundę, po czym znowu rozbrzmiewało z taką siłą że aż podłoga drżała pod stopami.

Najwidoczniej Matt, wróciwszy od Jessie, uznał, że pierwsza w nocy to pora równie dobra jak każda inna, by uzupełnić zapas drewna na podpałkę. Genialny pomysł. Gabe pchnął drzwi i wyszedł na ganek od strony podwórza. Zawieszony wysoko na niebie pyzaty księżyc rozjaśniał srebrną poświatą okoliczne wzgórza, a samo podwórze oświetlała silna lampa halogenowa. Pośrodku wyznaczonego światłem koła stał Matt i rąbał z dziwną zaciekłością. Noc była ciepła, toteż zdjął koszulę, rzucił ją na ziemię i teraz przy każdym ruchu świecił nagim spoconym torsem.

Gabe przyglądał się, jak brat ustawia kolejny kłoc drewna na eukaliptusowym pniaku, po czym unosi siekiere i błyskawicznie opuszcza ją w dół. Potem stawia następny kawałek i następny... W nocnej ciszy rozlegał się co chwila donośny, suchy trzask. Matt katował drewno z takim zapamiętaniem, że aż przykro było na to patrzeć. Od dziecka był zamknięty w sobie, szczególnie kiedy czuł się z jakiegoś powodu nieszczęśliwy. Dzieciństwo mieli koszmarne, wiadomo, ale Gabe na palcach mógłby policzyć, ile razy widział łzy w oczach brata. Matt zbudował mur, za którym chronił się przed ojcowskimi napadami pijackiej wściekłości i zaprawioną wódką obojętnością matki. Matt nie płakał, on niszczył swoje demony na boisku. Do upadłego biegał albo grał w piłkę, jakby miał nadzieję, że w ten sposób oddali

od siebie cierpienie i ból. Jakie demony próbował przepędzić dzisiejszej nocy?

Gabe czekał cierpliwie. Odezwał się, dopiero kiedy Mart przerwał i zdyszany, spocony, opuścił wreszcie siekiere.

- Ludzie na ogół liczą barany, kiedy nie mogą usnąć - powiedział Gabe dobrodusznym tonem.

Matt odwrócił się ku bratu, ani trochę nie zaskoczony jego widokiem.

- Ale ja nie znoszę tych słodkich, wełnistych baranków - warknął, po czym uniósł wolną dłoń i ostrożnie dotknął pulsującej bólem blizny po kuli. Kiedy pani doktor zalecała mu ćwiczenia rehabilitacyjne, najwyraźniej nie miała na myśli rąbania drewna ważącą sześć kilogramów siekiere.

Uznawszy, że dość się natrudził, rzucił siekiere na ziemię, nachylił się, podniósł koszulę i wytarł nią spocony tors.

- Niech zgadnę - odezwał się Gabe. - Jessie przygotowała rewelacyjny deser, obżarłeś się i targany wyrzutami sumienia postanowiłeś spalić nadmiar kalorii. W trosce o swoją chłopięcą sylwetkę, ma się rozumieć.

- Niezupełnie. - Na dźwięk imienia Jessie palce same mu się zacisnęły kurczowo na śnieżnobiałej koszuli.

- Przewidujesz, że będziemy mieli aż tak srogą zimę w tym roku? - Gabe wskazał stertę polan.

Matt wzruszył ramionami i skrzywił się z bólu. Znowu ta cholerna blizna. Miał nadzieję, że za bardzo nie sforsował ręki, ale teraz było to akurat

najmniej ważne. Gabe cały czas go obserwował, nie spuszczał z niego oka, ale, swoim zwyczajem, nie zadawał żadnych pytań. I bardzo dobrze, bo Matt nie miał zamiaru nikomu opowiadać o tym, co wydarzyło się dzisiejszego wieczoru.

- Jessie pragnie mieć dziecko.

Nie miał pojęcia, co go popchnęło do wypowiedzenia tych słów. Naprawdę nie zamierzał dzielić się z nikim informacjami na temat obłąkanego pomysłu swojej drogiej przyjaciółki. Nie chciał o tym nawet myśleć, co dopiero rozmawiać.

Gebe uniósł brwi.

- No i?

- Chce, żebyśmy to ja był ojcem.

Kiedy indziej widok Gabe'a, tego Gabe'a, którego nic już nie dziwiło, stojącego teraz z głupią miną i z szeroko otwartymi ustami pewnie by go ubawił, ale w tej chwili Matt zupełnie zapomniał o poczuciu humoru.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć, czy będziesz próbował jak najszybciej o wszystkim zapomnieć? - spytał Gabe, który powoli dochodził do siebie.

- Wybrała sobie mnie na reproduktora - oznajmił Matt prostymi słowami. - Powiniennem chyba czuć się zaszczyczony - ciągnął, znęcając się nad trzymaną w dłoni koszulą. - Przecież to czyste marzenie. Przespać się, zrobić dziecko, potem zniknąć. Człowiek nie codziennie dostaje takie oferty.

Gabe powoli pokręcił głową.

- Nie, *nie* codziennie - przytaknął, po czym zerknął na brata z zainteresowaniem. - I co? Zgodziłeś się?

- Słucham? - Matt zrobił wielkie oczy. - Czyś ty zwariował? Myślisz, że zostawiłbym Jessie, gdyby urodziła moje, tfu, nasze, dziecko? I że zostawiłbym dziecko?

- Nie, ale... - Gabe w zamyśleniu zaczął zeskrobywać z drzwi łuszczącą się farbę. - Zawsze możesz złożyć kontrofertę.

- Kontrofertę? O czym my, do diabła, mówimy? O jakiejś cholernej fuzji dwóch korporacji czy o ludziach? - Szarpał wściekle koszulę. - Cholera!

- A ty czego chcesz?

Spokojnie zadane pytanie spadło na Matta jak grom z jasnego nieba. Właśnie, czego on właściwie chciał? Oczami wyobraźni ujrzał Jessie w zaawansowanej ciąży. Obraz był tak wyrazisty, a zarazem nieoczekiwany, że oddech uwiązł mu w gardle.

- Znam ją od dziecka - powiedział, nie bardzo wiedząc, czy daje w ten sposób wyraz oburzeniu, czy przywołuje argument na swoją obronę.

- Ale już nie jest dzieckiem, Matt. Widziałem, jak na nią patrzyłeś na przyjęciu,

- Nijak na nią nie patrzyłem - mruknął Matt.

- A kiedy Reilly z nią zatańczył, miałeś taką minę, jakbyś zaraz zamierzał go zabić - ciągnął Gabe niezrażony reakcją brata.

Matt zbyt dobrze pamiętał, jakie targały nim uczucia, kiedy Reilly zatańczył z Jessie, nie próbował nawet zaprzeczać.

- To było... niestosowne - oznajmił i zdał sobie sprawę, że bardziej kretyńskiego argumentu nie mógł już chyba przywołać. Idiota, pomyślał ze złością.

A co, może nie było niestosowne? Reilly cały czas ją obściskował, przytulał i w ogóle. Nie miał prawa tak się zachowywać, zważywszy, że Jessie czuje do niego... coś do niego czuje.

Ciekawe co powiedziałyby Gabe, gdyby usłyszał, że Jessie kocha innego. Tamtemu oddała serce, a jemu, Mattowi, ofiarowuje teraz ciało.

- Co proponujesz? - zwrócił się do brata. - Uważasz, że powinienem się zgodzić? Mam jej dać dziecko? Moje dziecko?

- Nic nie proponuję. - Gabe pokręcił głową. - Jeżeli coś w ogóle powinieneś, to zastanów się dobrze, zapytaj samego siebie, czego chcesz, zanim podejmiesz jakąś decyzję.

- Chryste, uwielbiam, kiedy zaczynasz robić mi wykłady z filozofii stosowanej - Matt już nie zdzierzył. Rozległ się suchy odgłos rozrywanego materiału i po chwili podarta koszula poleciała w ciemność.

- Na Konfucjusza jesteś za wysoki. Zadałem ci pytanie, jeśli potrafisz odpowiedzieć, wyrażaj się po ludzku.

Gabe oderwał się od poręczy.

- Przepraszam. Moja szkoła filozoficzna nie dopuszcza wyrażania osobistych opinii. - Pchnął drzwi siatkowe. - Po prostu zastanów się, czego ty sam chcesz, bracie.

Wszedł do domu, zostawiając wściekłego Matta. Ma się zastanowić, czego chce? A skąd, do cholery, miałby wiedzieć, czego tak naprawdę chce?

Tamtej nocy, po kolacji wydanej dla Matta, Jessie

prawie nie zmrużyła oka. Wracała myślami do ich rozmowy, analizowała każde słowo, zastanawiała się, co powiedziała, co mogła powiedzieć, wreszcie co powinna była powiedzieć. Była tak pochłonięta swoim pomysłem, perspektywą posiadania dziecka, że ani przez chwilę nie pomyślała o Matcie, o tym, co on może czuć, jak może zareagować na jej propozycję. I nie to ją teraz dręczyło, że marzenie rozwiąło się jak sen, ale wyraz, który zobaczyła w oczach Matta. Nie tylko rozżłościła najbliższego przyjaciela, ale też sprawiła mu ogromną przykrość.

Rano zwlokła się z łóżka blada, z podkrążonymi oczami. Wzięła prysznic, włożyła różowe szorty i białą bluzkę bez rękawów. Bardziej odpowiedni byłby wór pokutny i popiół do posypania głowy, pomyślała, zaplatając włosy w warkocz francuski. Właściwie co to jest dokładnie „wór pokutny” i po co ten popiół?

Z takim pytaniem mogłaby się zwrócić do Matta, a on roześmiałby się i powiedział, że za dużo myśli, po czym po kilku dniach pojawiłby się z gotową odpowiedzią którą znalazłby w mądrych książkach.

I znowu wracamy do Matta, pomyślała markotnie i popadła w jeszcze paskudniejszy nastrój.

Normalnie posprzątałaby w kuchni przed pójściem spać, nawet gdyby było bardzo późno, ale poprzedniego wieczoru, po wyjściu Matta nie miała na nic siły. Rano ucieszyła się, że ma zajęcie, które, chciała w to wierzyć, pozwoli jej oderwać się na chwilę od ponurych myśli.

Zbolałe serce, monologowała, wkładając naczy-

nia do zmywarki, wycierając blaty kuchenne. Mam zbolałe serce. Nigdy dokładnie nie rozumiała znaczenia tego określenia, ale kiedy Matt wczoraj wychodził, patrzyła za nim ze zbolałym sercem. Za nic nie chciała go zranić, ale stało się inaczej. Wspaniale się jej to udało.

Powinna z nim porozmawiać, przeprosić, ale nie miała pojęcia, jak teraz naprawić wyrządzone zło.

Kuchnia była posprzątana, naczynia się myły... Co dalej? Dopiero dziesiąta, cały dzień przed nią. Mogłaby zająć się ogrodem dziadka. Zawsze było tam coś do zrobienia, ale upał zaczynał się już dawać we znaki, temperatura dochodziła do trzydziestu stopni. Poza tym rosarium przypominało jej o księżce dziadka i tu znowu, siłą oczywistych skojarzeń, wracała myślą do Matta. Nie powiedział mi, czy podjął już decyzję w sprawie pracy przy księżce, a mało prawdopodobne, by wczorajszy wieczór zachęcił go do przyjęcia zlecenia, pomyślała smętnie.

Znowu Matt. Może powinna po prostu wsiąść w samochód i pojechać na farmę Gabe'a, zobaczyć się z Mattem, przeciąć wrzód. Na myśl o tym, że miałyby go zobaczyć, natychmiast poczuła niemiły ucisk w żołądku.

Co mu powie? Że to był tylko taki żart? Albo że się upiła i plotła bzdury? Co z tego, że wypić zaledwie jeden kieliszek merlota do obiadu. Mogła przecież cały dzień popijać galiano, to samo galiano, które dodała do ciasta.

Usiadła przy kuchennym stole, oparła czoło o dębowy blat i zaczęła się zastanawiać, czy zdoła

przekonać Matta, że wczoraj wieczorem to nie ona go podejmowała kolacją, tylko zły duch, złośliwa zjawa, jakaś diablina. To ten demon składał mu wyuzdane, obłąkane propozycje w kwestii dziecka.

Zadzwieczał dzwonek przy drzwiach, obietnica chwilowego wybawienia od ponurych rozmyślań. To na pewno sąsiadka, pani Felderman. Pewnie przyszła ponarzekać, że śmieciarka znów przyjechała za późno. Albo za wcześnie. A może rząd znowu coś zmalował. Albo nie zmalował. Pani Felderman żyła dla utyskiwania. Jessie od lat unikała jej, jak mogła, ale dzisiaj gotowa była wysłuchać choćby i całej litanii skarg, zażaleń i narzekań. Energicznie otworzyła drzwi.

- Mart. - Z gardła Jessie dobył się jakiś chrapliwy dźwięk. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz:
- Cześć, Matt.

- Dzień dobry, Jessie.

Nie uśmiechnął się na powitanie. Po prostu stał w drzwiach i patrzył na nią wzrokiem, z którego nic nie dało się wyczytać. Miał na sobie sprane dżinsy i niebieski T-shirt, harmonizujący z kolorem oczu. Przełknęła ślinę i rozluźniła palce zaciśnięte na klamce.

- Może wejdiesz? - Zaproszenie, jeśli przyjąć, że było to zaproszenie, zabrzmiało i głupio, i oficjalnie, ale po wczorajszym wieczorze nie mogła powiedzieć po prostu „cześć” i szeroko otworzyć drzwi.

- Dziękuję.

W niewielkim korytarzu nagle zrobiło się ciasno.

Jessie dotąd nie zdawała sobie sprawy, jaki Matt jest potężny. Chyba że to jej wyrzuty sumienia nagle wypełniły przestrzeń... Złożyła dłonie i utkwiała spojrzenie gdzieś na wysokości obojczyka Matta.

- Czy mogę... napijesz się kawy? - Jasne, Jessie, na zewnątrz żar leje się z nieba, gorąca kawa to świetny pomysł.

- Nie miałbym nic przeciwko czemuś zimnemu, jeśli można prosić. - Usta Matta ułożyły się w coś, co trochę przypominało uśmiech.

Tak przynajmniej odczytała to Jessie, bo podniosła wzrok, odważyła się wreszcie spojrzeć mu w oczy i zaczęła mówić:

- Tak mi przykro, Matt. Nie wiem, co mnie opętało wczoraj wieczorem. Ja... tyle nad tym myślałam... tak bardzo chciałabym... Zupełnie nie wiedziałam, jak to zrobić. Wtedy ty się pojawiłeś i pocałowałeś mnie. W dodatku Lurene powiedziała, że jesteś bardzo seksowny i miała rację. Wszystko sobie zaplanowałam, ale nie pomyślałam o tobie, twoich uczuciach...

Nie wiedziała, kiedy Matt przyjął jej wyciągniętą dłoń, pociągnął ją do zalanej słońcem kuchni. Kiedy już zaczęła, nie mogła przerwać potoku chaotycznych wyjaśnień.

- Bo wszystko zaczęło się, w pewnym sensie oczywiście, od Pammy Sue Jenkins. Spotkałam ją któregoś dnia w supermarkecie, na krótko przed twoim powrotem. Była w paskudnej, po prostu okropnej sukni ciężowej i strasznie zadzierała nosa, i chwaliła się, i była taka ważna. Ja wiem, to strasznie

głupie, ale wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że ja też bym tak chciała...

- Chciałabyś mieć paskudną, po prostu okropną suknię ciążową? - wtrącił Matt, kiedy na moment zamilkła dla zaczerpnięcia oddechu. Słuchając Jessie, zdążył otworzyć kilka szafek. Wreszcie znalazł szklanki, potem wyjął z lodówki dzbanek mrożonej herbaty. Jednym słowem czuł się jak u siebie w domu i Jessie na widok tej krzątaniny poczuła się odrobinę spokojniejsza, opadło najgorsze napięcie. Nie podały jej przecież szklanki mrożonej herbaty, pamiętając, że słodzi jedną łyżeczkę i pije bez cytryny, gdyby przyszedł oznajmić, że to koniec ich przyjaźni.

- Nie, nie chodziło o suknię - sprostowała z uśmiechem. - Myślałam o dziecku. Zrozumiałam, jak bardzo chcę mieć dziecko. - Westchnęła, wbiła wzrok w stół, przesunęła palcem po gładkim blacie. - Zawsze chciałam mieć dzieci. W czasie rozmowy z Pammy nagle uświadomiłam sobie, że może nigdy nie doczekam się dziecka, nie mówiąc już o dzieciach w liczbie mnogiej. Pammy jest w moim wieku i bywa okropnie irytująca, ale ma już dwoje dzieci i przygłupiego męża, w dodatku pokurcza, ale nadyma się jak paw.

- Jest dumna z przygłupiego pokurcza czy z dzieci? - Matt postawił przed Jessie szklankę, po czym oparł się o blat kuchenny.

- Chyba z jednego i drugiego. - Jessie upiła łyk herbaty, ale nie poczuła jej smaku. - Pammy Sue jest ekspertką w chełpieniu się.

- Każdy musi być w czymś dobry - powiedział Matt sentencjonalnie.

- Chyba tak. - Dopiero teraz, kiedy przyszło odprężenie, poczuła, jak bardzo była zdenerwowana. Chyba niepotrzebnie. Wszystko będzie dobrze. Matt aie przyszedłby, gdyby miał jej dość po wczorajszym wystąpieniu. Wzięła głęboki oddech, podniosła wzrok i uśmiechnęła się trochę niepewnie.

- Bardzo cię przepraszam, Matt. Nie powinienem była prosić cię o... o to, o co poprosiłam. Nie zastanowiłam się, jak byś się czuł potem... gdybyśmy... -przerwała, czując, że palają policzki. Pewnie zrobiła się czerwona jak burak. - To był idiotyczny pomysł i jeszcze raz cię przepraszam. Niepotrzebnie cię angażowałam w swoje problemy.

Matt nie od razu odpowiedział. I on, podobnie jak Jessie, prawie nie spał tej nocy. Postanowił, idąc za radą brata, przemyśleć, czego właściwie chce. Przeżył niemały szok, kiedy odkrył, że pragnie Jessie Sinclair. Co więcej, było to odkrycie zupełnie nieoczekiwane, zaskakujące i irytujące. Musiał przede wszystkim uporządkować swoje życie, zająć się samym sobą. Być może wracając do Millers Crossing, zrobił pierwszy krok w tym kierunku, ale zdawał sobie sprawę, że przed nim jeszcze długa droga. Nie mógł się z nikim wiązać. Nie teraz.

I nie z Jessie, na litość boską.

Z Jessie, która, niemal na pewno, kochała innego. Co gorsza nie jakiegoś obcego faceta, tylko Reilly'ego, najlepszego przyjaciela Matta. Sytuacja jak z opery mydlanej, pomyślał w przypływie wisielczego humoru.

Gabe doradził mu przeanalizowanie własnych potrzeb, oczekiwań i pragnień.

Matt dokonał takiej analizy.

Leżał w ciemnościach, wpatrywał się w sufit i nieodmiennie dochodził do jednej i tej samej konkluzji: chciał Jessie Sinclair.

Tylko Jessie.

Wiedział, że chce z nią dzielić życie. Na czym miałyby to konkretnie polegać, na razie nie potrafił powiedzieć.

Chciał po prostu zanurzyć dłonie w jej włosach koloru toffi. Chciał czuć, jak jej długie do nieba nogi oplatają jego biodra. Chciał pieścić i całować każdy centymetr jej ciała, słuchać, jak zduszonym głosem wykrzykuje jego imię.

A już myśl o tym, że mogłaby zająć z nim w ciążę, podniecała go do nieprzytomności.

Chciał z nią usiąść w ogrodzie i słuchać grania świerszczy. Chciał z nią iść zimą po deszczu i patrzeć, jak ze śmiechem przeskakuje przez kałuże. Chciał zasypiać u jej boku i budzić się przy niej rano, i to pragnienie było tak silne, tak przemożne, jakby tkwiło w nim od zawsze i tylko czekało, aż je sobie uświadomi, rozpozna i przyjmie do wiadomości.

Być może była to miłość, być może tylko pożądanie. Albo desperacka próba nadania na nowo własnemu życiu sensu, rozpaczliwe poszukiwanie utraconej pełni. Być może Jessie była tylko środkiem prowadzącym do celu, być może chciał ją tylko wykorzystać, walcząc o siebie. Jeśli tak, mógł przy najmniej ofiarować jej coś w zamian.

Prosiła go o dziecko. Byłby to najwspanialszy dar, jaki mógł jej ofiarować.

- Jessie? - Odczekał, aż spojrzy mu w oczy, uśmiechnął się nieznacznie. - Jeśli chcesz mieć dziecko, postaram się dać ci je.

Patrzyła na niego, jej oczy robiły się coraz większe i większe. Rozchyliła usta. Szok sprawił, że przez kilka sekund wyglądała jak nieprzytomna. Matt jest naprawdę niewiarygodnie wprost przystojny - to była pierwsza myśl, którą wyprodukował jej mózg, kiedy po chwilowej zapaści powrócił do życia. Gęste kruczoczarne włosy, błękitne, aż szafirowe oczy, ocienione nieprzyzwoicie długimi ciemnymi rzęsami. I te szafirowe oczy wpatrywały się w nią teraz intensywnie; Matt czekał, aż Jessie zareaguje na jego słowa. Nie, to niemożliwe, by to powiedział, musiała się przesłyszeć.

- Słucham? - wychrypiała.

- Słyszałaś, co powiedziałem. - Nie przestawał się uśmiechać, ale spojrzenie miał czujne. - Chcę dać ci dziecko, jeśli potrafisz.

- Ty... Ja... O Boże. - Zaschło jej w ustach, nie mogła dobrać głosu. Chwyliła szklankę i opróżniła ją jednym haustem. Powinna czuć radość. Ulgę. Podniecenie. Spełniał się jej sen. I co powiedziała?

- Dziękuję. - Zabrzmiało to rozpaczliwie nijako i żałośnie, ale nie potrafiła znaleźć innych słów.

- Jeszcze mi nie dziękuj, Jessie. Chcę postawić jeden warunek.

- Oczywiście. - Wzięła głęboki oddech. Wreszcie dotarło do niej, co się właśnie stało. Będzie miała

dziecko. Dziecko. Z Mattem. - Wszystko omówimy. Będziesz miał prawo do spotkań, do odwiedzin... kiedy tylko zechcesz. Nie będę stawiała ci żadnych...

Pokręcił głową, przerywając ten potok zapewnień.

- Nie chcę żadnego prawa do odwiedzin, Jessie.
- W porządku. - Uśmiechnęła się niepewnie.
- Jaki to warunek?
- Chcę, żebyś za mnie wyszła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Wyszła za ciebie? - Słowa z trudem wydobywały się z jej gardła. Matt chyba kpi. Żarty sobie z niej stroi. To odpłata za wczorajszy wieczór. Nie wyglądał jednak na kogoś, kto miałby ochotę żartować. Boże, on mówi zupełnie poważnie. Zabrakło jej powietrza w płucach. Parsknęła śmiechem, bliska hysterii. - A już myślałam, że to ja zwariowałam.

- Nie zwariowałam. Może to trochę... niekonwencjonalne, ale zupełnie rozsądne. - Matt wyprostował się gwałtownie i ten nagły ruch stał w dziwnej sprzeczności z jego opanowanym głosem i kamiennym wyrazem twarzy. - Tak, to rozsądny układ - powtórzył.

- Układ - Jessie znów się roześmiała, pokręciła głową. - Mówisz o małżeństwie, Matt. To nie jest układ, tylko decyzja na całe życie.

- Tak jak urodzenie dziecka. A jednak ją podjął.

- Podjęłam, ale wcześniej dokładnie wszystko przemyślałam.

- Więc przemyśl i moją propozycję. - Przemierzył kuchnię, po czym odwrócił się twarzą do Jessie. - Mam prawie czterdzieści lat i mój najpoważniejszy dotąd związek trwał pół roku. To było dziesięć lat temu. Cztery miesiące z tych sześciu spędziłem za granicą. Kiedy wróciłem, powiedziała mi, całkiem rozsądnie, że jedna osoba nie czyni pały i wyprowadziła się, co przyjąłem z ulgą.

Stał w rozkroku, kciuki wetknął do kieszeni. Zdeterminowany, zdecydowany, tryskający energią. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim nastroju, ale też nigdy jeszcze nie prosił, żeby wyszła za niego za mąż. A niech to...

- Ty niedługo skończysz trzydzieści lat. Jesteś sama. Powiedziałaś mi wczoraj, o czym marzysz: dom, rodzina, płot z białych sztachet, dwa samochody w garażu. Wyjdź za mnie i następnego dnia pojawi się drugi samochód w garażu. Rodzinę możemy powiększać, a sprawę płotu z białych sztachet wkrótce przedyskutujemy.

- Matt, nie wiem. - Miała ochotę podnieść się i wyjść, uciec przed bijącą od niego energią, ale nie była pewna, czy kolana nie odmówiają posłuszeństwa. Siedziała więc bez ruchu i tylko myśli w głowie wirowały jak szalone.

- Ale ja wiem, Jessie. - Matt odsunął krzesło, usiadł przy stole, tak blisko niej, że ich kolana niemal się stykały. Tak blisko, że widziała srebrne plamki na błękitnych tęczęwkach, tak blisko, że czuła bijący od

niego żar. Chciała zamknąć oczy, odgrodzić się od Matta, nie widzieć jego błękitnych tęczęwek ze srebrnymi plamkami, nie czuć bijącego od niego żaru, nie czuć jego zapachu. A może próbowała tylko pohamować się, żeby nie zarzucić mu rąk na szyję i krzyknąć: „Tak, zgadzam się. Wyjdę za ciebie”.

To pożądanie, nic więcej, pomyślała w popłochu. Doznanie szokujące, ale w pełni zrozumiałe. W końcu był facetem, o jakim może śnić każda kobieta. Ciekawe, dlaczego dostrzegła to dopiero teraz. Dokonanie tego odkrycia zabrało jej sporo czasu. No dobrze, ale to jeszcze nie powód, żeby od razu wychodzić za mąż.

- Przemyśl to, Jessie. - Nachylił się ku niej, jakby dla podkreślenia swoich słów. - Jesteśmy przyjaciółmi. Lubimy się. To niezły kapitał na początek. Możemy zbudować razem coś wartościowego. Możemy stworzyć rodzinę. Mieć dzieci. Dwójkę, na przykład.

Jego bliskość rozpraszała ją. Nie mogła myśleć. Zawsze był taki seksowny? Musiała mieć bielmo na oczach, skoro tego nie zauważała.

- A co z twoją pracą? - Jessie usiłowała za wszelką cenę zachować resztki zdrowego rozsądku. - Większość czasu spędzasz poza krajem.

- Nie wrócę do pracy. - Klamka zapadła. Wreszcie podjął decyzję, nawet nie wiedział, kiedy to się stało, i wypowiedział ją głośno. Na wszelki wypadek powtórzył: - Nie wrócę do pracy. Rzucam to. Nie chcę być fotoreporterem, już nie. Będziesz miała bezrobotnego męża. - Uśmiechnął się szeroko,

beztrosko. Od dawna, od bardzo dawna nie było mu tak lekko na duszy. - Mogę robić coś innego. Znajdę coś, obiecuję. Mam oszczędności. Zarabiałem sporo, ale nie miałem kiedy wydawać pieniędzy, trochę się uzbierało. Zgłosiło się do mnie wydawnictwo, które chce przygotować album z moimi zdjęciami. Może to dobry pomysł. - Zaśmiał się. - Wyjdź za mnie, to zrobię zdjęcia do książki twojego dziadka.

Nie mogła za nim nadażyć. Nie rozumiała tej nagłej przemiany, nagłej decyzji. W ogóle nic nie rozumiała.

- Nie wyjdę za ciebie tylko dlatego, żeby zdobyć zdjęcia do książki dziadka.

Matt spowaźniał.

- W takim razie wyjdź za mnie, żeby mieć dziecko. - Nachylił się, ujął jej twarz w dłoń, a Jessie przemknęło przez myśl, że mogłaby utonąć w tych błękitnych oczach. - Albo dlatego. - Zbliżył usta do jej warg. Objęła go, chwyciła mocno w pasie, jakby bała się zatracić bez reszty w pocałunku. Podobnie było za pierwszym razem, kiedy pocałował ją po przyjęciu.

Próbowała o tym nie myśleć. Wystarczało jej przekonanie, że spłodzenie dziecka z Mattem nie byłoby wcale trudne. Wtedy próbowała sobie wmówić, że dreszcz, który ją przeszedł, to tylko skutek wypitego alkoholu. Dzisiaj, po jednym kieliszku wina do wczorajszej kolacji, nie mogła już tego powiedzieć.

Matt odsunął się, niechętnie, powoli, z widocznym ociąganiem. Sam jeszcze wzburzony, czekał, aż Jessie ochłonie, otworzy oczy.

- Wyjdź za mnie - powiedział zdławionym głosem. - Wyjdź za mnie, miej ze mną dziecko. Bądźmy rodziną.

Jessie próbowała zebrać myśli, skupić się. To miała być jedna z najważniejszych decyzji w życiu. Takich decyzji nie podejmuje się nagle, pod wpływem emocji. Albo pożądaniami. To niewiarygodne, zupełnie niewiarygodne. Czy mogła kiedykolwiek przypuszczać, że Matt, stary dobry Matt, będzie budził w niej pożądanie? Teraz jednak nie to było najważniejsze. Należało wiele spraw przemyśleć, omówić. Gdyby tylko pamiętała, jakie to sprawy należało przemyśleć i omówić...

- Naprawdę tego chcesz? - szepnęła.

- Naprawdę tego chcę. - Ujął jej dłonie, zamknął w swoich. - Uda się nam, Jessie. Jestem pewien, że nam się uda.

Jessie niczego nie była pewna, nawet tego, jak się nazywa. Odwróciła wzrok, podejmując kolejną próbę skupienia myśli.

To za mało, że Matt ma najbardziej błękitne oczy, jakie kiedykolwiek zdarzyło się jej widzieć. Nie wystarczy, że zatraciła się ze szczętem, kiedy ją całował tak, jak przed chwilą. Nawet świadomość, że dzięki niemu miało się spełnić jej największe marzenie, jakoś jej nie przekonywała.

Chodziło przecież o najważniejszą decyzję, jaką człowiek ma do podjęcia. Chodziło o decyzję odmieniającą całe życie. Powinna na zimno, racjonalnie rozważyć wszystkie za i przeciw. Zapomnieć o tym, że Matt ma najbardziej błękitne oczy na świecie. I że serce wali jej jak oszalałe.

Matt jeszcze raz się nachylił, znowu ją pocałował. Tym razem krótko, delikatnie.

- Zgódź się, Jessie. Powiedz, że za mnie wyjdiesz. Proszę...

- Tak - szepnęła z westchnieniem, które nie było, nie mogło być, oznaką kapitulacji. -Wyjdę za ciebie.

Twarz Matta rozjaśnił promienny uśmiech i Jessie odpowiedziała uśmiechem, chociaż nie była pewna, czy aby nie postradała rozumu.

Zadziwiające, jak niewiele trzeba, by życie dwojga ludzi kompletnie się odmieniło. Zanim Matt wyszedł od Jessie, ustalili datę ślubu. Po ślubie postanowili zamieszkać razem w domku dziadka. Domek był co prawda niewielki, jego architektura nie wyróżniała się niczym szczególnym, ale miał za to mnóstwo uroku albo, mówiąc inaczej, miał swój klimat. Jak wszystkie miejsca, które ludzie obdarzają miłością. Miał też, rzecz w Kalifornii raczej nie-spotykaną niewielkie pomieszczenie na poziomie przyziemia, gdzie można było urządzić ciemnię.

O ile Matt się przełamie i zdecyduje wziąć aparat do ręki.

Domek w sam raz dla niewielkiej rodziny.

Ich rodziny.

Kiedy Matt zatrzymał się na czerwonych świątłach, oparł czoło o kierownicę. Ciekawe, czy postrzał w ramię może wywołać demencję. To by wyjaśniało, dlaczego tak nagle zdecydował się na małżeństwo i ojcostwo. Na założenie rodziny. Co on do diabła wie o życiu rodzinnym? Jego matka przez większość

życia patrzyła na świat przez opary alkoholu. Ojciec nad wódkę przedkładał whisky, a swoje życiowe niepowodzenia wyładowywał na synach. Pasem.

Tak. Matt miał wszelkie dane, by czuć się idealnym kandydatem na męża i ojca.

Jessie odnosiła wrażenie, że porwała ją trąba powietrzna, obróciła nią kilka razy, po czym rzuciła w zupełnie odmienioną rzeczywistość, w jakiś równoległy świat. Po wyjściu Matta przeszła do ogrodu. Powietrze było nagrzone, skwarne, niebo czyste, rozświetlone, bez jednej chmurki.

Ogród urządzono na planie geometrycznym, dalekie echo reprezentacyjnych ogrodów francuskich. Podzielony symetrycznie na cztery jednakowe sekcje, z otwartą przestrzenią na samym środku, gdzie rośło australijskie drzewko herbaciane. Pod drzewkiem stała ławka, obok było niewielkie, wyłożone kafkami oczko wodne z fontanną.

Róże, pomimo upałów, były w pełnym rozkwicie. Jessie podeszła do najbliższego krzewu, ujęła kwiat dłonie i zanurzyła w nim nos, chłonąc intensywny zapach.

Każda roślina opatrzona była tabliczką, ale Jessie nie spojrzała na nazwę. Dziadek znał wszystkie na pamięć, potrafił powiedzieć, która to centifołia, która alba, a która eglantyna, a swoje informacje zawsze ubarwiał ciekawymi opowieściami o historii danej odmiany.

Jessie zamknęła oczy. Ile by dała, żeby móc teraz porozmawiać z dziadkiem, zwierzyć mu się,

wysłuchać rad. Leland Sinclair umiał słuchać i zawsze starannie ważył słowa. Zresztą nie potrzebował wielu słów, by przekazać, co miał do powiedzenia. W krótkiej refleksji potrafił zawrzeć więcej niż inni w długich wywodach. Pomimo że dzieliły ich dwie generacje, Jessie zawsze mogła polegać na jego radzie.

Co by powiedział, słysząc, że jego wnuczka zamierza wyjść za Matta? Potarła w zamyśleniu aksamitny płatek. Jak zareagowałby Leland na wieść, że Jessie bierze ślub niezupełnie z miłości, nie do końca z rozsądku, że, jednym słowem, jej małżeństwo ma być dziwną hybrydą jednego i drugiego, że będzie w nim przyjaźń i obezwładniający pociąg fizyczny.

Dziadek lubił Matta. Lubiał też Reilly'ego, ale z Mattem zawsze miał lepszy kontakt.

Nieoczekiwanie przypomniała sobie swoje jedenaście urodziny. Jak na złość zachorowała wtedy na różyczkę. A że choroba przyplątała się, zdaniem jedenastolatki, zbyt późno (taka dziecięca choroba!), to Jessie z jej powodu cierpiała męki wstydu i upokorzenia. Matt i Reilly, już studiowali, przyjechali do domu na wakacje. Obaj podjęli wakacyjną pracę w firmie budowlanej ojca Reilly'ego i obaj przyszli powinszować solenizantce z okazji urodzin.

Pamiętała doskonale, Reilly stał przy jej łóżku z miną tak żalowaną, jakby to on był obsypany paskudną wysypką. Nieudolnie i nieszczerze pocieszał Jessie, obiecywał zabrać na piwo korzenne, jak tylko wyzdrowieje. I kolejne wspomnienie... Kilka

dni później, kiedy miała się już trochę lepiej, Matt zaniósł ją do bawialni, żeby mogła pooglądać telewizję. Leżała na kanapie, oglądała jednym okiem jakiś serial, zapadała co chwila w drzemkę, a Matt z dziadkiem grali w szachy.

Po liściach wędrowała pszczoła, zbyt oszołomiona upałem, by trafić do kielicha kwiatu. Jessie czuła się chyba podobnie, tyle że jej oszołomienie nie brało się z upału. Znalazła się w punkcie zwrotnym, całe jej życie miało ulec radykalnej zmianie. Fakt, że sama sprowokowała rewolucję, prosząc Matta o dziecko, wcale nie pomógł jej zapanować nad wydarzeniami, które toczyły się już niejako siłą rozpędu.

Chwilę jeszcze obserwowała pszczołę, po czym ruszyła w stronę domu. Musi z kimś porozmawiać. Lurene miała akurat dzień wolny. Jeśli jest w domu, będzie na pewno lepszą słuchaczką niż otumaniona upałem pszczoła i kilka krzewów różanych.

- Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałam. - Lurene zagłębiła się w fotelu i wyciągnęła nogi.

Na balkonie czuło się lekki wietrzyk. Od czasu do czasu trochę silniejszy powiew szarpał brzegi wielkiego, kolorowego parasola. Lurene była jedyną znaną Jessie osobą która mając do wyboru odpoczynek w klimatyzowanym mieszkaniu i wylegiwanie w trzydziestopięciostopniowym upale, wybierała to drugie. Podobno dlatego, że urodziła się i wychowała w Dakocie Północnej i ciągle jeszcze nie odtajała po tamtejszych mrozach.

W neonowo zielonych szortach i skąpym różowym

topie, stroju, który efektownie podkreślał jej figurę, ładnie przy tym harmonizując z opalenizną, z włosami upiętymi w niedbały węzeł na czubku głowy, Lurene wyglądała jak żywa reklama Kalifornijki w sile wieku.

Jessie upiła solidny łyk lemoniady i odchyliła głowę na oparcie fotela. Wygrzewanie się w żarze wczesnego popołudnia było właściwie całkiem przyjemne, trochę przypominało zażywanie łaźni parowej bez pary. Warto ryzykować udar słoneczny, jeśli człowiek może zwierzyć się komuś bliskiemu. Już przez sam fakt, że mogła się wygadać, robiło się jej lżej na duszy, a każda ewentualna rada stanowiła dodatkowy bonus.

- Chcesz mieć dziecko i uznałaś, że twój przyjaciel Matt może dostarczyć potrzebnych w tym celu chromosomów. - Lurene z aprobatą pokiwała głową. - Doskonale cię rozumiem. Jeśli idzie o materiał genetyczny najwyższej próby, ten facet spełnia wszystkie wymagania. Pojawił się zrządzeniem losu, w najbardziej odpowiednim momencie.

- Uważaj, mówisz o genach mojego narzeczonego - Jessie z trudem powstrzymała chichot. Nazwała Matta „narzeczoną”. Niewiarygodne.

- Jeśli planuje się poczęcie dziecka, dobre składniki są podstawową sprawą.

Teraz Jessie parsknęła głośnym śmiechem.

- Jak przy pieczeniu ciasta?

- Mniej więcej. - W ciemnych oczach Lurene zabłysły wesołe chochliki. - A twój Matt to, że tak powiem, składnik najwyższej próby. Ale nie wdawajmy się w dygresje. — Zaczęła wyliczać na palcach

najważniejsze punkty: - Postanowiłaś, że chcesz mieć dziecko. Zwróciłaś się z tym do swojego bliskiego i przypadkiem niezwykle przystojnego przyjaciela, pytając, czy zechce czynić honory ojca. Wybiegł od ciebie uniesiony jakże słusznym oburzeniem, po czym wrócił dziś rano i oznajmił, że owszem, może się przyczynić do poczęcia, pod warunkiem, że za niego wyjdiesz. Zgodziłaś się. I za dwa tygodnie weźmiecie ślub. Niczego nie pominęłam, prawda?

- Niczego nie pominęłaś - przytaknęła Jessie. Opowiedziana w ten sposób, historia brzmiała jeszcze bardziej niewiarygodnie. Jak wątek zaczerpnięty z powieści. W realnym życiu ludzie nie popełniają takich szaleństw. Usiadła prosto w fotelu i spojrzała na Lurene niepewnym wzrokiem.

- Zwariowałam, prawda?

Lurene pokręciła głową.

- Niekoniecznie.

- Porządek powinien być odwrotny. Najpierw człowiek wychodzi za męża, dopiero potem planuje rodzinę, a jak już zaplanuje, rodzi dzieci.

- Nie ma takiego obowiązku - oznajmiła Lurene spokojnie.

- A jeszcze wcześniej należałoby się zakochać. Niejestem w nim zakochana - powiedziała Jessie takim tonem, jakby wyznawała najgłębszą tajemnicę. - Kocham go. Jest moim przyjacielem, więc kocham go, ale nie jestem w nim zakochana.

Nie potrafiła przyznać głośno, że niemal przez całe życie zakochana była w kimś innym, zresztą jej

uczucia do Reilly'ego nie miały w tej chwili znaczenia. Była tego pewna. Nie dlatego przecież zgodziła się wyjść za Matta, że Reilly był dla niej nieosiągalny. Taka hipoteza w ogóle nie wchodziła w rachubę.

Lurene znowu pokręciła głową.

- Dwa razy wychodziłam za męża i za każdym razem byłam nieprzytomnie zakochana. Dale zamiast umacnianiem więzi małżeńskiej, zajmował się grą na gitarze, a jak już nie grał, to ciągnął do łóżka wszystko, co się ruszało. Podejrzewałam coś od samego początku, ale miałam dwadzieścia dwa lata. Byłam zakochana po uszy i pełna wiary, że jak się już pobierzemy, to potem będziemy żyć długo i szczęśliwie. - Westchnęła z politowaniem dla własnej głupoty i ciągnęła: - Chuck nie był ani w części taki śliczny jak Dale, ale w miarę przystojny, solidny, godny zaufania, typowy urzędnik. Nadawałby się na billboard: „Prawdziwy Amerykanin z klasy średniej, ostoja społeczeństwa, uczciwy obywatel”. Wyobraź sobie, że nawet był skautem. - Uśmiechała się, ale w jej oczach pojawił się smutek. - I znowu zakochałam się po uszy. Mieliśmy wspaniały ślub: biała suknia, sypanie ryżu, nawa kościoła w płatkach róż. pełen szpan. Pięć lat później poprosił mnie o rozwód żeby ożenić się ze swoją ciężarną przyjaciółką.

- Idiota - odezwała się zdegustowana Jessie. - Obaj byli idiotami.

Lurene zamrugała, jakby chciała otrząsnąć się ze wspomnień.

- Dawno doszłam do tego wniosku. Pewnie byli idiotami, ale kochałam obu, kiedy wychodziłam za

męża. I za każdym razem byłam pewna, że to już na zawsze. Widzisz sama... Szaleńcza miłość nie jest żadną gwarancją, że będziecie żyli długo i szczęśliwie. Jestem tego żywym dowodem.

- Nie ma żadnych gwarancji. - Jessie odwróciła głowę i zapatrzyła się w opromienione popołudniowym słońcem wzgórze. - Nie szukam gwarancji, martwię się tylko, że za bardzo tego pragnę. I być może nie dostrzegam czegoś, bo nie chcę dostrzec.

- Czego tak bardzo pragniesz? Dziecka? - Usta Lurene zadrgały w uśmiechu. - Czy Matta?

Jessie spiekła raka niczym pensjonarka. Oto prawdziwa zgryzota. Pragnęła i dziecka, i Matta. Co początkowo miało być jedynie środkiem do celu, stało się celem samo w sobie. Budziło to jej niepokój, ale nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Czuła się trochę jak... kobieta rozwiązała. Perspektywa wyjścia za Matta, spania z nim, okazywała się niezwykle pociągająca, nie jako oddzieliła się od perspektywy poczęcia dziecka, dziecko, które przecież miało tu być najważniejsze. Iście wiktoriański dylemat, pomyślała ze złością. Ale czego można się spodziewać, jeśli ktoś w wieku dwudziestu dziewięciu lat ciągle jest dziewczicą?

Lurene, nie doczekawszy się odpowiedzi, westchnęła i ułożyła się wygodniej w fotelu.

- Problem z tobą polega na tym, dziewczyno, że za dużo myślisz. Może rzecz wcale nie jest tak skomplikowana, jak ci się wydaje. Ty pragniesz Matta, on pragnie ciebie, przyjaźnicie się od niepamiętnych czasów, a teraz postanowiliście pobrać się. Spróbujcie, Jessie. Zaryzykuj, daj wam szansę.

Jessie zaśmiała się trochę zbyt nerwowo.

- W twoich ustach brzmi to tak prosto.

- Bo też wybór jest prosty. Albo wyjdiesz za Matta, albo za niego nie wyjdiesz. - Sięgnęła po szklankę z colą light i rzuciła Jessie pytające spojrzenie. - Jak będziesz się czuła, jeśli się wycofasz?

Jessie odwróciła głowę.

Jak będzie się czuła? Paskudnie. Gdyby stchórzyła, gdyby nie przyjęła propozycji Matta, czułaby się paskudnie. Niech diabli wezmą rozsądek. Chciała wyjść za Matta. Gdyby się wycofała, długo potem żałowałaby swojej decyzji. Nigdy nie miała w sobie ryzykanckiej żyłki, ale tym razem postanowiła postawić wszystko na jedną kartę.

- Przygotujesz catering na nasze wesele? - zapytała z niepewnym uśmiechem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Doroczny piknik z okazji Dnia Pracy był w Millers Crossing dużym wydarzeniem. Urządzany w parku miejskim w centrum miasteczka, stanowił połączenie :owarzystkiego spotkania przy barbecue i imprezy charytatywnej. Pobliskie ranczo dostarczało wołowinę, a oddział ochotniczej straży pożarnej pilnował, by ogień pod grillem nie spowodował pożaru.

Nie było biletów wstępu, za to na terenie parku ustawiano to i ówdzie puszki, do których każdy wrzucał tyle, ile mógł. Czasami było to kilka centów, ale zdarzały się też banknoty studolarowe. Z zebranych w ten sposób pieniędzy część przeznaczano na pokrycie kosztów imprezy, reszta trafiała do różnych organizacji dobroczynnych, co roku do innej. Połączenie niemal doskonałe - ludność mogła się rozerwać, mając przy tym poczucie dobrze spełnionego obywatelskiego obowiązku.

Jeśli nie liczyć czasu, który spędziła w Paryżu,

Jessie, od ósmego roku życia począwszy, nie opuściła żadnego pikniku. Kiedy była mała, uwielbiała wyścigi w workach i jazdę na kucykach. Jako nastolatka przychodziła tu z koleżankami pogapić się na chłopców, którzy nie zauważali, że są obiektem zainteresowania, a raczej robili wszystko, by nie zauważać. W późniejszych latach piekła ciasta na imprezę, w ogóle pomagała organizować stoiska zjedzeniem. W tym roku przybyła, jak zwykle, z ciastem własnego wypieku, tacą ciastek, dwoma formami galaretki owocowej. I z narzeczonym.

Narzeczony! Jej narzeczony. Już niedługo mąż.

Ciągle nie mogła w to uwierzyć. A przecież w ciągu kilku ostatnich dni niemożliwe stało się realne. Miała nadzieję, że zanim stanie na ślubnym kobiercu, rzeczywistość zacznie jawić się i jej, i wszystkim wokół jako rzecz przynajmniej umiarkowanie racjonalna.

Jeszcze w samym staniku i figach spojrzała na piętrzące się na łóżku ubrania. Za niecałe pół godziny Matt zadzwoni do drzwi. Do tego czasu powinna być już gotowa, jechali przecież na piknik. Na razie zdołała wyrzucić połowę rzeczy z szafy, ale nie przybliżyła się do podjęcia decyzji. Lniane spodnie i jedwabny top albo obcięte stare dżinsy i koszula nosząca ślady farby. Jeden i drugi wybór wydawał się równie dobry, ale ten właściwy leżał z pewnością gdzieś pośrodku między obydwoma skrajnościami. Należało go tylko jak najprędzej dokonać.

Zamknęła oczy i syknęła cicho. Idiotyzm. Jechała przecież na piknik w parku, gdzie będą tłumy ludzi

Nie wybierała się na audiencję do prezydenta ani na przyjęcie w Hollywood.

Dość próżnego deliberowania, powiedziała sobie stanowczo i sięgnęła po leżące na samym wierzchu sterty szorty i T-shirt. Szorty i koszulka pasowały do siebie kolorystycznie: jedno i drugie jasnozielone, przechodzące w odcień chartreuse. Nie nosiła takich kolorów i pewnie nie zdecydowałaby się na zakup tych ciuchów, ale Lurene ją namówiła i miała rację. Szorty były bardzo obcisłe, bardzo krótkie i świetnie eksponowały długie nogi Jessie. Bawełniany T-shirt dziany był z tak delikatnej nitki, że w dotyku przypominał niemal jedwab, a dekolt był w sam raz, ani skromnie skąpy, ani wyzywająco głęboki.

Wzwała sandały i stanęła przed lustrem, przygryzając niespokojnie wargę. Czy szorty nie są aby za krótkie? A ten kolor... czy opalenizna nie wygląda przy nim zbyt blado? Jezu, tu coś się tak brzydko marszczy na brzuchu. Powinna coś zrobić z włosami, jakoś inaczej je upiąć. Prawie trzydziestoletnia kobieta, wkrótce stateczna mężatka, nie powinna nosić końskiego ogona, prawda? Zdaży zapleść francuski warkocz?

Sięgnęła do guzika przy szortach i zdała sobie sprawę, co robi. Nie, dość tego. To czwarty strój, który mierzyła. Będzie ostatni. Nawet jeśli wygląda w nim jak stara, tłusta raszpła, jakoś to przeżyje. Matt też przeżyje. Jeśli będzie bez końca się przebierać, to nie zdamą nawet na przyszłoroczny piknik.

Kręcąc głową odwróciła się od lustra. Jeszcze dwa tygodnie temu nie uwierzyłaby, że będzie

przeżywać takie męki. A teraz chciała dobrze wyglądać. Dla Matta. Ale dwa tygodnie temu nie uwierzyłaby też, że wyjdzie za niego za męża.

Schodząc na dół, zerknęła kilka razy na brylant na serdecznym palcu. Matt dał jej ten pierścionek kilka dni temu i ciągle jeszcze nie mogła się oswoić z jego widokiem. Była zdumiona, kiedy otworzyła małe pudełeczko: konwencjonalny symbol bardzo niekonwencjonalnego związku... Nic nie powiedziała, przyjęła pierścionek bez protestów. Był bardzo ładny, poza tym świadczył o tym, że Matt traktuje rzecz naprawdę poważnie, jak prawdziwe zaręczyny.

Zdażyła zejść ze schodów, kiedy odezwał się dzwonek. Serce zabiło jej szybciej. Przebiegła przez niewielki korytarz i otworzyła drzwi. W progu stał Matt - wysoki, ciemnowłosy. I bardzo męski. Jej Matt. Miał na sobie obcisłe džinsy, w których wydawał się jeszcze wyższy, i biały T-shirt, który wspaniale podkreślał opaleniznę. Natomiast poszarzałe adidasy zdecydowanie pamiętały lepsze czasy.

Jessie mignęła przed oczami sterta ciuchów na łóżku w sypialni. Ciekawe, czy Matt wyśmiałby ją, gdyby mu powiedziała, ile czasu spędziła, wybierając ubranie. Nie była wcale pewna, czy chce uświadamić Mattowi, jak bardzo zależało jej na ładnym wyglądzie. Dla niego. Wcześniej nigdy nie przyszłoby jej do głowy stroić się dla Matta i teraz miała niejaki trudności z nadążeniem za nagłą zmianą która zaszła w ich wzajemnych relacjach.

Zmierzył ją spojrzeniem pełnym uznania, a przy tym zaborczym, i Jessie oblała fala gorąca. Ciągle nie

wiedziała, jak powinna reagować, kiedy tak na nią patrzył. Owszem, reagowała bardzo silnie, ale bezwiednie. Od razu też odzywał się wewnętrzny głos, który mówił jej, że to przecież tylko Matt, który nie powinien patrzeć na nią w ten sposób.

- Wyglądasz wspaniale - powiedziała, obejmując ją w pasie. Jeśli miał jakieś problemy z oswojeniem się z nową sytuacją, to starannie je ukrywał.

Jessie wydała z siebie ciche westchnienie zadowolenia i przytuliła się do Matta, a on nachylił głowę i pocałował ją porządnie, solidnie, jak narzeczony powinien całować narzeczoną. Tego też się nie spodziewała - że Matt tak ochoczo, z takim entuzjazmem będzie odgrywał swoją rolę.

Ten aspekt narzeczeństwa podobał się jej jeszcze bardziej niż zaręczynowy pierścionek.

Piętnaście lat minęło od czasu, kiedy Matt bawił się na pikniku z okazji Dnia Pracy, ale sam piknik nie zmienił się przez te lata, tak jak prawie nie zmieniło się Millers Crossing. W większości stanów Dzień Pracy sygnalizował zmianę pór roku, ostatnie technicznie lata przed nastaniem jesieni, ale Millers Crossing mogło spokojnie liczyć jeszcze na kilka tygodni ładnej pogody, zanim spadną pierwsze jesienne deszcze. Tu jesień była raczej porą umowną niż realną. W Kalifornii, w każdym razie w przeważającej części stanu, tak naprawdę były tylko dwie pory roku, lato zima, susze i deszcze, pożary i błotne lawiny.

Pogoda specjalnie się nie zmieniała, ale rytm życia tok. Zaczynał się rok szkolny, a niemal zaraz potem

długi sezon świąteczny: Halloween, Dzień Dziękczynienia i Boże Narodzenie. Razem z latem odchodziła wakacyjna beztroska, powracano do poważnego życia i piknik był swego rodzaju pomostem pomagającym w łagodnym przejściu od jednego do drugiego. Był pożegnaniem lata i zaprawionym rezygnacją powitaniem zwykłych obowiązków.

Podobnie jak Jessie, Matt ciepło wspominał dawne pikniki. Jego rodzice co prawda nie udzielali się w Komitecie Rodzicielskim, nie pomagali organizować wycieczek dla dzieci i szkolnych przedstawień, ale na pikniku byli zawsze. Matt nie rozumiał, skąd raz do roku brała się w nich nagła potrzeba uczestniczenia w życiu miasteczka, dopóki nie odkrył, że dyrektor banku, w którym pracował ojciec, sponsorował każdy piknik i obecność pracowników na imprezie była w zasadzie obowiązkowa.

Cokolwiek kazało im brać udział w pikniku, była to jedna z bardzo niewielu okazji, kiedy występowali jako rodzina. Nie zacieśniało to jakoś szczególnie rodzinnych więzi, ale Matt jako dziecko kochał te wspólne wyjścia, bo mógł udawać, że ma normalną rodzinę.

W późniejszych latach chodził na piknik z Reillem i kolegami. Wtedy też udawał, ale była to już zupełnie inna gra. Podziwiali dziewczyny, wodzili za nimi głodnym wzrokiem i udawali kompletny brak zainteresowania. Doszli w tej sztuce do perfekcji. Po raz ostatni był na pikniku rok albo dwa po skończeniu studiów. Spotykał się wtedy z chudą jak patyk, wysoką modelką której imienia już nie pamiętał

Patrzyła na bawiących się prowincjuszy z wyższością rodowitej mieszkanki Nowego Jorku. Skubnęła żeberko z różną, oznajmiła, że się przejadła i zaproponowała, żeby już się zbierali, bo ona ma rano sesję zdjęciową w Los Angeles.

Gdyby ktoś zapytał, za czym najbardziej tęsknił po wyjeździe z Millers Crossing, Matt pewnie nawet nie pomyślałby o pikniku z okazji Dnia Pracy, ale teraz wyczekiwał niecierpliwie początku imprezy. Sam był zaskoczony swoim entuzjazmem.

Zerknął na siedzącą na miejscu pasażera Jessie. Tyle niespodziewanych rzeczy wydarzyło się ostatnio. Chociażby ich zaręczyny. Wbrew logice, zdrowemu rozsądkowi... A przecież czuł się szczęśliwy z tego powodu. Wiedziony impulsem ujął dłoń Jessie, opuszką kciuka dotknął pierścienka. Jessie uśmiechnęła się, oczy rozjaśniły się ciepłym blaskiem.

Po co komu logika i zdrowy rozsądek?

- Czy to nie Larry Bremen? Ten w niebiesko-różowej hawajskiej koszuli?

Dana podniosła wzrok znad wiklinowego kosza piknikowego i idąc za spojrzeniem Reilly'ego, odnalazła wzmiankowanego mężczyznę: blondyn w średnim wieku, o mocno przerzedzonych włosach, odpoczywał w cieniu wielkiego drzewa. Wzorzysta, krzykliwa koszula trochę maskowała wydatny brzusek, przy którym chude nóżki wystające spod jaskrawo-błękitnych szortów wyglądały żałośnie i groteskowo.

- Trudno go nie zauważyć. - Dana przymrużyła oczy porażona papuzią barwnością stroju Bremena.

- Myślałem, że rozwiódł się z Sally - powiedział Reilly, wyciągając się wygodnie na kocu. - Jeśli to nie Sally, to jestem cesarzem chińskim.

- Siostra Sally twierdzi, że nie chcą się rozwodzić. Rozmyślili się.

- Znowu? - Reilly uniósł brwi w udanym zdziwieniu. - Który to już raz poprzysięgli sobie dożgonną nienawiść? Byłem prawie pewien, że tym razem jednak się rozwiodą. Podobno Sally na samym środku Stop And Shop oznajmiła, że Larry na widok pieniędzy dostaje skurczu mięśni, taki skapy. Krzyzczała tak głośno, że słycać ją było we wszystkich działach.

Dana przestała się uśmiecać.

- Kierowniczka sklepu nie była ubawiona.

- Nie rozumiem dlaczego. Takie incydenty podnoszą obroty o dziesięć procent. Jak Larry jej się zrewanżował? - zapytał Reilly, wyjmując z lodówki turystycznej puszkę coli. - Ostatnim razem chcieli się rozwodzić, kiedy wjechała jego nowym cadillakiem do basenu. W odwecie wrzucił jej pierścionek z czterokaratowym brylantem do klopa i spuścił wodę. Nie wierzę, żeby tym razem puścił płazem zniewagę.

- Nie podarował. - Dana usadowiła się wygodniej, podwinęła nogi. - Siostra Sally twierdzi, że po powrocie do domu rozpalili grill i rzucił do ognia prawie wszystkie ciuchy Sally. Spaliłby wszystkie, ale sąsiedzi wezwali straź pożarną.

- Powinni wezwać łapiduchów z kaftanem bezpieczeństwa. - Reilly pokręcił głową. - Z dwoma kaftanami.

- Nie jestem pewna. - Dana spojrzwała w stronę Bremenów. Larry obejmował żonę i uśmiecał się do niej czule, jakby była jedyną kobietą na świecie. Patrząc na nich, trudno było uwierzyć, że jedno drugiemu może powiedziec złe słowo, a co dopiero obrzucać się w miejscu publicznym obelgami i warzywami. - Starają się nie obnosić ze swoją paranoją i wygląda na to, że się kochają.

- Kiedy nie usiłują się pozabijać nawzajem - zauważył Reilly z przekąsem.

- Každy ma jakieś hobby - powiedziała Dana, Reilly parsknął śmiechem, a ją ogarnęła cicha, niesmiała radość.

Ostatnio w naszym związku niewiele było śmiechu i beztroski, pomyślała, zmieniając pozycję. Niewiele śmiechu, w ogóle niewiele czegokolwiek. Dzielili dom i sypialnię, ale od wielu miesięcy w ich wzajemnych stosunkach panował arktyczny chłód, Przyglądała się teraz mężowi z miłością zmieszana ze złością i z prawdziwym požądaniem.

Reilly miał na sobie sprane dżinsy, zgrabnie opinające wąskie biodra i szary T-shirt, pod którym wyraźnie rysowała się szeroka klatka piersiowa i muskuły ramion. Miała ochotę dotknąć jego ramienia, zatopić palce w miękkich jasnych włosach. Rok temu nie wahałaby się, usiadłaby tuż przy nim, przytuliła się. Nie, rok temu sam przyciągnąłby ją do siebie, objąłby, drugą rękę położyłby na jej kolanie.

Rok temu nie miał za sobą nocy z inną kobietą.

Dana oparła brodę na kolanach. Po raz tysięczny zadawała sobie to samo pytanie: co zrobiła, a może

czego nie zrobiła, że Reilly zainteresował się kimś innym. On co prawda twierdził z uporem, że zdradził ją w amoku, nie myślał, nie wiedział, co czyni. Kocha ją i tylko ją, podobna sytuacja nigdy już się nie powtórzy. Wierzyła mu nawet, a każdy terapeuta zasługujący na to miano powiedziałby jej już podczas pierwszego spotkania, że nie powinna brać na siebie odpowiedzialności za czyjeś postępowanie. W to też wierzyła. Starła się wierzyć, bo jednak od czasu do czasu odzywały się wątpliwości. Czy odnalazł w tamtej coś, czego jej brakowało? Jakaś iskrę? Ciepło? Co mu ofiarowała, czego nie mógł znaleźć w małżeńskiej sypialni?

Na pewno nie chodziło o urodę. Tamtego długiego, koszmarnego wieczoru, kiedy opowiadał jej, co zaszło, błagając o wybaczenie, wypnęło mu się nazwisko tamtej kobiety. Kilka tygodni później, ciągle zraniona do żywego, Dana zabawiła się w detektywa i obejrzała sobie rywalkę. Tak o niej myślała: rywalka. Zobaczyła kobietę po trzydziestce, raczej miłą niż ładną. Włosy nieokreślonego koloru, brązowe oczy, mocno zaokrąglona, prawie pulchna sylwetka. W sumie robiła wrażenie bardziej przedszkolanki niż kobiety wampa, z upodobaniem rozbijającej cudze małżeństwa.

Przeciętność tamtej w jakiś niezrozumiały sposób czyniła zdradę Reilly'ego jeszcze boleśniejszą. Dana doskonale wiedziała, że zdobyła Reilly'ego urodą. On jednak zdradził ją z kobietą zupełnie przeciętną, a to podkopało jej wiarę w siebie. Jedyne, co miała mu do zaoferowania, okazało się bezwartościowym

dodatkiem, tak w każdym razie zaczęła podejrzewać. Jeśli uroda nie była dla niego ważna, co innego mogła mu dać?

- Dobrze się czujesz? - Pytanie Reilly'ego wy-rwało ją z ponurej zadumy. Uniosła głowę, przez chwilę wpatrywała się w męża pustym wzrokiem. Od miesięcy chowała się za coraz trudniejszym do skruszenia murem. Uśmiechnęła się wystudiowa-nym, pogodnym uśmiechem.

- Dobrze - powiedziała w końcu.

Może jej maska nie była tak doskonała, jak się jej ydawało, bo w oczach Reilly'ego pojawiła się troska. Usiadł prosto i wyciągnął dłoń, a ona pomyś-lała, że jeśli teraz jej dotknie, rozsypie się zupełnie, na tysięczne drobiny, tu i teraz, na oczach połowy zacnych obywateli Millers Crossing. Udając, że nie zauważa jego gestu, odsunęła się gwałtownie i sięg-nęła po coś do kosza piknikowego.

Dłoń Reilly'ego na moment zawisła w powietrzu, potem powoli opadła. Zabawne, że ból wcale się nie zmniejszał z upływem czasu. Ilekroć Dana wymyka-ła mu się, jak teraz, ból odrzucenia był jednakowo dojmujący. Jak długo jeszcze będzie w stanie wy-chodzić jej naprzeciw i patrzeć, jak odsuwa się gwałtownie, uciekając przed dotknięciem? Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, dopiero izisiał...

Zrezygnowany, zmęczony patrzył, jak Dana wy-jmuje z kosza butelkę białego wina. Wcześniej ją już chyba otworzyła, bo teraz jednym ruchem wyciąg-nęła korek z szyjki.

- Nie za wcześnie? - Nie po raz pierwszy zadawał Dana pytanie dotyczące picia, ale po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiała ostra nuta.

Dana mimowolnie zacisnęła palce na butelce, spojrzała na męża pustym wzrokiem.

- Nie przypuszczam - powiedziała chłodno.

Patrzył, jak nalewa wino do smukłego kieliszka. Moja elegancka żona nie piłaby przecież z plastikowego kubka, pomyślał i tyleż było w tej myśli dobrotliwej kpiny, co i ponurej desperacji. Będzie musiał porozmawiać z nią o jej picciu. Dotąd udawał, że wszystko jest w porządku, nie ma powodów do niepokoju. Nie wsiadała przecież po alkoholu do samochodu, nie upijała się do nieprzytomności, ale coraz częściej oczy zachodziły jej mgłą, ruchy stawały się niepewne, nieskoordynowane.

- Dana... - Odczekał, aż spojrzy na niego, wtedy wskazał głową kieliszek. - Nie ma jeszcze dwunastej.

Uniosła brwi i ostentacyjnie sprawdziła czas na swoim eleganckim złotym zegarku.

- Masz rację. Do dwunastej jeszcze pół godziny. Synchronizujemy zegarki?

Na widok gniewnego błysku w jego oczach, zaciskających się w irytacji ust poczuła coś na podobieństwo satysfakcji. Wolała, żeby się złościł, niż żeby się o nią martwił. Nie miał prawa się martwić, utracił ten przywilej, idąc do łóżka z tłustą, tlenioną w domu blondyną.

A ona, o ironio, wcale nie miała ochoty na to cholerne wino. Nalała sobie, bo musiała czymś zająć ręce. Widząc dezaprobatę w oczach Reilly'ego.

pożałowała, że nie wypita zawartości kieliszka jednym haustem.

Spuściła głowę. Powinna się hamować. Ostatnio zbyt często, zbyt łatwo dawała się ponosić złości. Nie chciała się złościć. Najchętniej zablokowałyby wszystkie odczucia. Podniosła wzrok.

- Pomyśl, że alkohol konserwuje i że dzięki jego cudownemu działaniu nie obudzisz się pewnego dnia kolo starej, pomarszczonej wiedźmy. Zabraknie powodu, by szukać schronienia w cudzym łóżku. - Powiedziała to spokojnie, niemal łagodnie, ale z jadowitym uśmiechem.

Reilly szarpnął się jak dźgnięty nożem, zaskoczony atakiem. Po raz pierwszy od tamtego wieczoru, kiedy powiedział jej o swojej zdradzie, nawiązała do niej wprost. Wtedy oświadczyła kategorycznie, że nie chce nigdy więcej wracać do sprawy, a on zgodził się skwapliwie, naiwnie wierząc, że uda się im o wszystkim zapomnieć. Nie udało się zapomnieć ani jej, ani jemu. Jednak aż do dzisiaj, a minął prawie rok, żadne z nich nie wspomniało słowem tamtego fatalnego incydentu.

- Dano...

Ale Dana patrzyła gdzieś ponad jego ramieniem, ciepło uśmiechnięta.

- Popatrz, Matt i Jessie. Mam nadzieję, że nie szukali nas zbyt długo. - Uniosła dłoń i pomachała przyjaciółom na powitanie.

Reilly odetchnął z ulgą, że rozmowa się urwała. Chociaż, z drugiej strony, po raz pierwszy od bardzo dawna udało mu się dojrzeć u Dany autentyczną

reakcję, coś, co zwykle kryła starannie pod maską chłodu. Jednak może lepiej nie wnikać zbyt głęboko w autentyczne reakcje... Kto wie, co by ujrzał, gdyby maska opadła do końca. Nie czas i miejsce na takie rozważania, powiedział sobie i odwrócił się ku nadchodzącym.

Jessie i Matt trzymali się za ręce, jakby byli... parą.

Co go tak dziwi?

Matt i Jessie. Oczywiście, są parą. Zareczyli się. Oczywiście, będą trzymać się za ręce. I nie tylko. Chryste, przecież tych dwoje pewnie ze sobą sypia. Nie wiedział, jak Jessie, ale Matt lubił seks. W czasie studiów hulał radośnie, zawsze otoczony wianuszkiem chętnych pańienek. Dlaczego teraz miałby nie sypiać z kobietą, która za tydzień zostanie jego żoną?

Obraz Jessie i Matta w łóżku, razem, drażnił go niepomiernie. Nie mógł się przestawić, zaakceptować nagłej zmiany w ich relacjach. Matt był jego najlepszym przyjacielem, a Jessie... Cóż, podświadomie ciągle widział w niej małą dziewczynkę, długonogiego chudzielca o włosach koloru toffi i wielkich brązowych oczach. Nie potrafił dojrzeć w niej dorosłej kobiety. Najwyraźniej Matt nie miał tego kłopotu, pomyślał, podnosząc się z uśmiechem z koca.

Życie jest cholernie skomplikowane.

- Jessie! - Obróciła się na dźwięk swojego imienia i omal nie jęknęła głośno, widząc sunącą w jej stronę Pammie Sue Jenkins. Mówiąc dokładniej, najpierw dostrzegła okrągły, wydatny brzuch i jadowicie żółtą sukienkę w wielkie błękitne kwiaty.

- Miałam nadzieję, że cię ta spotkam - oznajmiła Pammie, jeszcze zadyszana z racji pośpiechu i upału.

- Jak się masz, Pammie Sue? - Pomimo usilnych starań nie mogła nadać wypowiedzianym słowom entuzjastycznego brzmienia.

- Świetnie. Oboje mamy się świetnie - poprawiła się Pammie, położyła dłoń na brzuchu i zachichotała.

- Moja lekarka mówi, że jeszcze nie spotkała kobiety, która tak świetnie znosiłaby ciążę. Aż mi z tego powodu głupio. - Uśmiechnęła się bardzo z siebie zadowolona i ani trochę zawstydzona, na co Jessie odpowiedziała raczej sztywnym uśmiechem.

- Cieszę się. - Zerknęła na Danę, która stała obok niej na skraju prowizorycznego boiska, czekając na rozpoczęcie meczu. - Znacie się?

- Oczywiście. - Dana skinęła głową. - Dawno się nie widziałyśmy.

- Witaj, Dana. - W wytrzeszczonych oczach Sue pojawił się lodowaty błysk. - Słyszałam, że zostałam przewodniczącą Gildii Bibliotecznej na ten rok.

- Wrobili mnie - powiedziała Dana zrezygnowanym tonem. - Szkoda, że musiaś odejść. Tak trudno o dobrych wolontariuszy.

Pammie zaśmiała się krótkim, nieprzyjemnym śmiechem.

- Los biblioteki leży mi na sercu, ale zasady nie pozwalają pracować z ludźmi, którzy optują za materiałami szkodliwymi dla zdrowia moralnego.

Oho... „Materiały szkodliwe dla zdrowia moralnego”. Jessie uniosła brwi. Co oni takiego kupują? Pisma pornograficzne? Zerknęła na Danę, próbując

wyobrazić sobie, jak ta wystawia zamówienie na „Gorące laski w gęstym lasku”, ale wyobraźnia odmówiła posłuszeństwa.

- Wszyscy bardzo żałowali, że zrezygnowałaś - powiedziała Dana, nie podejmując sporu.

Pammie Sue prychnęła i zajęła się na powrót Jessie. Nie uśmiechała się już tak promiennie, w oku miała gniew czy też raczej błysk słusznego oburzenia.

- Doszły mnie absolutnie niezwykle pogłoski, Jessie.

- Pogłoski często bywają absolutnie niezwykle - zgodziła się Jessie i drgnęła gwałtownie, bo Pammie Sue rzuciła się na nią niespodzianie, chwyciła za nadgarstek i uniosła jej dłoń. Brylant w pierścionku zaręczynowym zamigotał, zaiskrzył się, rozbłysnął tęczowymi refleksami słońca.

- To jednak prawda! - Przenikliwy pisk Pammie Sue przyciągnął uwagę stojących w pobliżu. - Zaręczyłaś się.

- Tak. - Jessie próbowała cofnąć rękę, ale Pammie trzymała mocno, wbijając w dawną koleżankę spojrzenie inkwizytora.

- Z tym rozkosznym Mattem Latimerem?

Jessie niechętnie skinęła głową. Nie można było nie czuć niechęci do Pammie Sue Jenkins. Matt „rozkoszny”? Okropne określenie, a przy tym, zupełnie mimowiednie, nasuwało skojarzenia, których Jessie wcale sobie nie życzyła.

Pammie Sue ponownie wydobyła z siebie przemijający pisk.

- Nie wierzę. Znaczy się, wiem, że przyjaźniłaś

się z nim, kiedy jeszcze chodziliśmy do szkoły, ale on był o tyle starszy. Nawet nie przysłoby mi do głowy, że coś między wami wtedy...

- Między nami nic nie było. Wtedy - powiedziała Jessie i wyrwała wreszcie dłoń z kleszczowego chwytu Pammie. - Byliśmy przyjaciółmi.

- I co? Wrócił i tak od razu rozkochał cię w sobie? Niezwykle! - wrzasnęła Pammie Sue głosem tak donośnym, że musiał dotrzeć do trzech sąsiednich hrabstw. - To bardzo romantyczne.

Jessie udało się przywołać na usta uśmiech i skinać głową. Osobiście nie użyłaby raczej określenia „romantyczne”. „Zdumiewające” albo „niewiarygodne”, ale nie „romantyczne”.

- Opowiedz mi wszystko. - Pammie Sue złożyła dłonie na brzuchu i nachyliła się do Jessie, gotowa chłonać każde słowo, które padnie. - To takie fascynujące. Pomyśleć, trzydziestka na karku i raptem ślub. Tak, to musi być fascynujące, wychodzić w tym wieku po raz pierwszy za męża. A co z twoją karierą i w ogóle? Mogłabym się założyć, że nigdy nie wyjdiesz za męża. Wiem, trudno się oprzeć komuś takiemu jak Matt Latimer. Te jego błękitne oczy... Nie, żeby za nie oddała mojego męża i moje aniołki - dodała szybko i rzuciła czułe spojrzenie w stronę swojego męża i aniołków.

Rzeczony aniołki stały naprzeciwko siebie z tak wściekłymi minami, że lada chwila mogło dojść do rękoczynów. Tatuś stał co prawda obok, ale zajęty był bez reszty oglądaniem jakiejś brunetki w niezwykle kusych szortach i jeszcze bardziej skąpym

topie, który ledwie zakrywał to, co zgodnie z prawem zakryte być powinno.

Przypomniawszy sobie nie w porę, co mówiła Lurene o włosach Joe i oliwie, Jessie zawiesiła badawcze spojrzenie na jego głowie.

Pammie Sue najwyraźniej nie zarejestrowała ani tego, że jej aniołki zaraz rzucą się sobie do oczu, ani tego, że jej Joe oddaje się czynności zgoła szkodliwej dla zdrowia moralnego całej rodziny, bo pełen samozadowolenia uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

- Jednak szczęśliwy związek nie czyni kobiety ślepą - ciągnęła z wdziękiem. - Muszę przyznać, że zanim poznałam mojego męża, raz czy drugi kierowałam myśli w stronę Latimera.

Jessie nie wiedziała, czy się śmiać, czy oburzać. Wizja Pammie Sue Jenkins i Matta złączonych w gorącym uścisku wydała się jej nieodparcie śmieszna. Z drugiej strony uznała tego typu oświadczenie za niesmaczne i nietaktowne. Cóż, Pammie Sue mogła myśleć, że wyraża uznanie dla dobrego gustu koleżanki. Chwaliła Matta, jak chwaliłaby jej nowe buty czy kupiony właśnie abażur.

Wybawienie nadeszło z najmniej spodziewanej strony. Dana dotknęła jej ramienia.

- Chyba już wszystko omówili, zaraz zacznie się mecz. Nie możemy przegapić początku gry, prawda?

Uwolnić się od Pammie Sue nie było tak łatwo; zażądała wspólnego lunchu połączonego z dokładną kroniką wypadków miłosnych. Jessie udało się nie złożyć wiążącej obietnicy, powiedziała tylko dość mgliście, że „się odezwie”, i Dana pociągnęła ją na

skraj boiska, daleko od Pammie Sue, jej naoliwionego męża i dwóch drących koty aniołków.

- Kiedy dowiedziałyśmy się, że odchodzi z Gildii, otworzyłyśmy butelkę szampana, żeby to uczcić. - Dana przeciskała się przez gęstniejący wokół zaimprovizowanego boiska tłum. - Kilka dziewczyn chciało nawet spalić ją na stosie, ale doszłyśmy do wniosku, że mogłoby to wywołać niepotrzebne komentarze.

Jessie parsknęła śmiechem. Znała Danę od ponad pięciu lat, ale po raz pierwszy poczuła dla niej sympatię. Ale też Dana po raz pierwszy okazała jej serdeczność.

- Jakie szkodliwe dla zdrowia moralnego materiały chcielibyście kupować? - zapytała, kiedy dotarli już na miejsce.

- Romanse. - Dana uśmiechnęła się na widok osłupiałej miny Jessie. - Jest na nie duże zapotrzebowanie i Gildia chciała chwalić stałą dotację na ich zakup. Pammie Sue stanowczo się sprzeciwiła, twierdząc, że zawierają opisy pozamałżeńskich czynów lubieżnych, dokładnie tak się wyraziła.

Jessie przygryzła wargę, żeby znowu nie parsknąć śmiechem.

- Rozumiem, że czynów lubieżnych mogą dopuszczać się tylko osoby pozostające ze sobą w związku małżeńskim?

Teraz obydwie wybuchnęły śmiechem i Jessie nie była pewna, czy ma przed sobą nową, lepszą Danę, czy też Dana zawsze była ciepła i serdeczna tylko ona, zaślepiona zazdrością nie potrafiła tego

dostrzec. Czy to nie śmieszne, że przejrzała na oczy dzięki Pammie Sue Jenkins?

Mecz tradycyjnego futbolu amerykańskiego był zawsze ważną częścią pikniku. Nie było koszulek wyróżniających drużyny, nie było chorągiewek, a światło bramki znaczyły umownie z jednej strony dwa pojemniki na śmieci, z drugiej skraj placu zabaw. Zawodnicy zmieniali się z roku na rok. Grał ten, kto się zgłosił i kto był gotów zaryzykować życie, w najlepszym razie kończynę.

Matt nie zamierzał brać udziału w grze. Dawno minęły czasy, kiedy w szkole, potem na uniwersytecie, stanowili z Reillym praktycznie niepokonany duet. Zbliżał się do czterdziestki i miał w ramieniu dziurę po kuli. Był za stary i zbyt niedołążny, żeby szaleć na boisku.

Sam nie wiedział, jakim sposobem stał teraz w pełnym słońcu na samym środku tegoż boiska, słyszał, jak Reilly oznajmia początek gry i czuł, jak uderza mu do głowy adrenalina. Zwariował, lekarz nigdy by mu na coś podobnego nie pozwolił. Co dziwne, dawno nie miał takiej frajdy jak w tej chwili.

Jessie nie spuszczała z niego oczu. Stał zaledwie kilka metrów od niej, wychylony lekko do przodu, gotowy do przejęcia piłki.

- Matt i Reilly grali razem na uniwersytecie, prawda? - zapytała Dana.

- Grali razem już w szkole. - Jessie z trudem oderwała wzrok od sylwetki Matta. - Potem, kiedy już studiowali na uniwersytecie, byłam z dziadkiem

na kilku ich meczach. Nie znam się na futbolu, nie jestem kibicem, ale oni byli naprawdę doskonali. Wszyscy myśleli, że przejdą na zawodowstwo i kilka drużyn próbowało nawet ich kupić.

- Dlaczego się nie zdecydowali?

- Reilly tuż przed dyplomem odniósł poważną kontuzję kolana. - Jessie wzruszyła ramionami. - Żadna drużyna zawodowa już by go nie wzięła, a Matt nie chciał grać bez Reilly'ego. Zresztą wtedy już myślał tylko o fotografii, futbol przestał go interesować.

- To musiało być trudne dla Reilly'ego. Być tak blisko spełnienia marzeń i wycofać się.

Coś w głosie Dany sprawiło, że Jessie przyjrzała się jej uważniej. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że ta piękna i elegancka kobieta dobrze wie, co to jest ból niespełnionych marzeń. Kto pamięta drugą wicemiss Ameryki? Jak to jest, być tak blisko sukcesu i ponieść porażkę?

Jessie odwróciła szybko głowę. Serdeczna, ciepła Dana? Nie była chyba przygotowana na taką zmianę. Znacznie łatwiej przychodziło jej postrzegać Danę jako Królową Śniegu. Czyżby rzeczywiście zazdrość o Reilly'ego aż tak bardzo wypaczyła jej osąd? A jeśli tak, co w takim razie się zmieniło? Raptem przestała być zazdrosna?

Poszukała wzrokiem Matta.

Stał obok Reilly'ego, po drugiej stronie boiska. Nagle uświadomiła sobie, że zapatrzona w Matta, do tej pory właściwie nie dostrzegała równie interesującej sylwetki Reilly'ego, a przecież było na

co popatrzeć. Z nagą piersią, opalony, z tą swoją imponującą muskulaturą mógł budzić całkiem uzasadnione westchnienia.

Zmarszczyła czoło i popadła w zamyślenie. Prawdę powiedziawszy, nie pamiętała, by widok Reilly'ego wywoływał w jej układzie psychosomatycznym te same zadziwiające reakcje, które ostatnio były jej udziałem, ilekroć spojrzała na Matta. Zaniepokoiło ją to odkrycie. Śniła o Reillym od szesnastego roku życia. Często wyobrażała sobie ich ślub, ich romantyczne kolacje przy świecach, długie spacery brzegiem morza o zachodzie słońca. Nigdy nie zdjęła jej chęć, by w swoich fantazjach przesunąć językiem po jego nagim brzuchu i zlizać słony pot.

Może, monologowała coraz bardziej wytracona z równowagi, chodzi o to, że ona i Matt mają wspólnymi siłami spłodzić dziecko. Może to stąd te pierwotne, niemal zwierzęce reakcje?

Tak, to sprawa biologii, uznała, i poczuła się od razu raźniej, uporządkowawszy swoje odczucia względem zarówno Reilly'ego, jak i Matta.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Matt nigdy nie był dobry w okłamywaniu samego siebie. Czasami zazdrościł tym, którzy potrafią zamylać oczy na prawdę albo ją ubarwiać, sam jednak pozbawiony był tej umiejętności.

Kiedy Jessie zgodziła się wyjść za niego, nie miał żadnych złudzeń co do jej motywów, wiedział doskonale, na czym stoi, wiedział, że go kocha, ale z pewnością nie jest w nim zakochana. Nie wpadał z tego powodu w bezdenną rozpacz. Nie mógł szczerze i uczciwie powiedzieć, że równie spokojnie przyjmował przypuszczenie o domniemanym uczuciu, jakim Jessie darzyła Reilly'ego. Mógł oczywiście wtedy, na przyjęciu, źle odczytać jej tęskne spojrzenia, jeśli jednak odczytał prawidłowo, żenił się z kobietą zakochaną w jego najserdeczniejszym przyjacielu.

Brzmiało to jak tekst piosenki country albo wątek z opery mydlanej. Recepta na nieszczęście. Trudno,

Matt gotów był podjąć ryzyko. Powinno się im udać. Oczywiście nie uda się, jeśli za każdym razem, kiedy Jessie spojrzy na Reilly'ego, będzie doszukiwał się w jej spojrzeniu ukrytych znaczeń. Zazdrość, poza tym, że jest uczuciem głupim, prowadzi prostą drogą do nieszczęścia.

Dlatego nie miał absolutnie nic przeciwko temu, że tamci zeszli na brzeg jeziora karmić kaczki. Przecież wszyscy troje są starymi przyjaciółmi i nie będzie robił problemu z tego, że Jessie wzięła Reilly'ego za rękę, pomagając mu zejść po stromym zboczu. Nie przeszkadzało mu nic a nic, kiedy wybuchnęła śmiechem na jakąś uwagę Reilly'ego. Przecież wszyscy troje są starymi przyjaciółmi. Dobrze się czują w swoim towarzystwie. Doskonale. On sam czuje się dobrze w towarzystwie Jessie i Reilly'ego. Bardzo dobrze. Doskonale. Czułby się jeszcze doskonalej, nie patrząc na nich.

Dzień miał się ku końcowi. Słońce jeszcze nie zaszło, w powietrzu nadal czuło się skwar, ale ludzi coraz bardziej ubywało. Znikali rodzice wykończeni wielogodzinnym pilnowaniem dzieci, upałem, nadmiarem jedzenia i rozrywek. Ktoś jeszcze grał w siatkówkę, ktoś włączył radio przenośne i teraz niósł się po parku głos Alana Jonesa wyśpiewującego pochwałę życia w Chattahoochee... Wolontariusze uprzętałi śmieci, zbierali z trawników papierowe kubki, serwetki i wrzucali je do wielkich, jaskrawożółtych worków.

Miał rację, decydując się na powrót. Tutaj było jego miejsce. Nie majak w domu. Pełen dobrych czy

złych wspomnień, dom pozostaje domem. Tutaj będzie mógł uporządkować przeszłość i ułożyć sobie przyszłość, nawet jeśli ta rysowała się zupełnie zaskakująco.

- Jak twoje ramię? - Pytanie Dany kazało mu wreszcie oderwać wzrok od pary stojącej na brzegu jeziora. Odwrócił się ku Danie z uśmiechem. W błękitnych rybaczkach, w białej bluzce bez rękawów, z włosami zaplecionymi we francuski warkocz, z kieliszkiem białego wina w dłoni, wyglądała jak żywa reklama kojarzącego się z luksusem odpoczynku.

- W porządku.

Uniosła brwi, dając wyraz wątpliwościom, i Matt parsknął śmiechem.

- Jakby ktoś kilka razy mocno docisnął je kolaniem - uściślił.

Bo też tak mniej więcej było. Żadnego budzenia się pod zwałem sztywnych ciał z myślą że młodość przeminęła, może nawet życie się skończyło. Ktoś po prostu mocno docisnął i Matt, sycząc z bólu, uznał, że pora wycofać się z gry. Czyli zachował jednak resztki zdrowego rozsądku. W kilka chwil po zejściu Matta z boiska ból przeszedł w tępe pulsowanie. Niewielka cena za krótki powrót do czasu młodości, czasu, kiedy wszystko wydawało się, i było, znacznie prostsze.

- Masz jakieś środki przeciwbólowe? - zapytała Dana.

Matt szeroko otworzył oczy.

- Zamierzasz zniszczyć mój wizerunek macho?
- Uśmiechnął się, widząc, że Dana przyjęła jego

oburzenie zupełnie poważnie. - Wziąłem dwie aspi-
ryny, to wystarczy. - Nie przekonał jej chyba.
- Naprawdę nic mi nie jest, Dano. Słowo skauta.

- Byłeś skautem? - zdziwiła się.

- Nie, ale chodziłem z dziewczyną, która była.
Zaprosiła mnie kiedyś do domu i pokazała swoje
odznaki. - Uniósł brwi i przewrócił oczami z teatral-
ną przesadą.

Nigdy dotąd nie słyszał jej śmiechu: głośnego,
niemal rubasznego, który dziwnie nie licował z chłod-
nym pięknem, ale był bardzo ludzki. Zaskakująco
ludzki u zawsze wytwornej, zawsze kontrolującej się
Dany.

A więc Dana McKinnon poza urodą miała jeszcze
jakieś wnętrze, życie psychiczne, duszę, jakkolwiek to
nazwać. Matt dopiero teraz dostrzegł, że ta kobieta jest
osobą bogatszą, bardziej złożoną niż sądził. Pięć lat
temu, na ślubie, odniósł wrażenie, że jest bardzo
piękna, ale nie umiały o niej powiedzieć niczego
więcej. Uważał się co prawda za faceta, który nie ulega
takim głupim stereotypom, musiał jednak przyznać, że
widział w niej tylko piękną lalkę i nie bardzo potrafił
pojąć, co takiego, poza pięknem, dojrzał w niej Reilly.
W ostatnich tygodniach poznał ją trochę lepiej, na tyle
dobrze, by wreszcie zrozumieć, że Dana to ktoś więcej
niż była królowa piękności.

Podniosła wzrok i wesołe ogniki w oczach natych-
miast przygasły. Kiedy Matt odwrócił się, idąc za jej
spojrzeniem, zobaczył wracających znad jeziora Jes-
sie i Reilly'ego.

Reilly błaznował, wciągał Jessie po stromym

zboczu z tak przesadnym wysiłkiem, jakby groziło jej
runięcie w przepaść, ona zanosila się śmiechem.
Zachodzące słońce oświetlało jej twarz, w brzo-
wych włosach grały złote refleksy.

Uroda Dany zapierała dech w piersiach, ale jej
twarz zdawała się mówić: „możesz na mnie patrzeć,
ale nie dotykaj”. Jessie przeciwnie, przyciągała do
siebie, człowiek miał ochotę przysunąć się jak naj-
bliżej i grać w ciepłe jej uśmiechu.

- Od dawna się przyjaźnicie.

Nie było to właściwie pytanie, raczej stwierdzenie
oczywistego faktu, ale Matt odpowiedział jak na
pytanie:

- Od bardzo dawna.

Dana uniosła kieliszek i dopiła resztkę wina.

- Zawsze dziwiłam się, dlaczego Jessie i Reilly
nie zostali parą. - Powiedziała to ot tak sobie, nie
oczekując komentarza. - Pasują do siebie.

- Są przyjaciółmi - mruknął Matt i uśmiechnął
się sztywno. Nie miał ochoty słuchać, jak bardzo
Jessie i Reilly pasują do siebie.

- Ty też przyjaźnisz się z Jessie. - Dana posłała
mu szybkie spojrzenie, z którego trudno było coś
wyczytać. - I proszę, burza uczuć, szalony romans,
w przyszłym tygodniu ślub.

Burza uczuć? Burza owszem, ale czy uczuć? Tego
Matt akurat nie był pewien. Może. W rzeczy samej
pojawiły się uczucia, które z przyjaźnią nie miały
wiele wspólnego.

- Przyjaźń czasami przechodzi pewne transfor-
macje - powiedział po namyśle.

W oczach Dany pojawił się smutek, a może bezbronność, w każdym razie coś, co znowu, jak w przypadku jej śmiechu, dziwnie nie współgrało z jej doskonałą urodą. Jessie powiedziała któregoś dnia, że Dana jest zimna, ale cierpienie i lęk, które wyczuwał u niej Matt, zdawały się temu przeczyć. Gotów był iść o zakład, że nie jest to następstwo zdrady Reilly'ego, musiało być coś więcej.

Miał ochotę jej powiedzieć, że Reilly za nią szaleje, że nie obchodzą go inne kobiety, ani Jessie, ani żadna inna. Nic nie powiedział, słowa brzmiałyby nieprzekonująco, bo Reilly zainteresował się jednak inną zainteresował się na tyle, nawet jeśli było to chwilowe zaćmienie umysłu, by się z nią przespać. Na tym polega zdrada, kiedy zawiedzie się zaufanie najbliższej osoby, trudno je potem odbudować.

Mógł zapewnić Danę, że nic podobnego nigdy się już nie powtórzy, ale byłyby to puste obietnice. Po pierwsze, nie ucieszyłaby się, słysząc, że Matt wie, a nawet gdyby przeszła nad tym do porządku dziennego, jego wstawiennictwo nie mogło naprawić tego, co zniszczył Reilly. Należało zdać się na czas, bo tylko on mógł wyleczyć rany.

Ograniczył się do tego, że uściśnił jej dłoń, drobny gest, który mogła dowolnie interpretować, i ruszył na spotkanie Jessie i Reilly'ego.

- To chyba najbardziej utuczone kaczki na świecie - oznajmiła Jessie radośnie, lekko jeszcze zadyuszana po wspinaczkę. - A przy tym najbardziej podłe.
- Zerknęła przez ramię z kąpiącym uśmiechem.

- Reilly dał nogę przed nimi. Bał się, że zadziobią nas na śmierć, kiedy skończył się chleb.

Reilly z przesadą wruszył ramionami.

- Powinniście byli widzieć ich miny. Jak z Hitchcocka.

- A Tippi Hedren nie ma, kiedy akurat jest potrzebna - mruknęła Dana.

Jessie uśmiechnęła się szeroko.

- Podejrzewam, że Reilly potrzebował silniejszego wsparcia. Nie widziałam nigdy, żeby ktoś tak szybko uciekał. Szczególnie tyłem i pod górę.

- Trochę więcej szacunku dla starszych, smarkata. - Reilly pociągnął Jessie za koński ogon i wtedy Matt, ale wcale nie z powodu zazdrości, objął Jessie w pasie i przyciągnął do siebie.

- Na szacunek trzeba sobie zasłużyć - rzucił sentencjonalnie. - Trudno żywić szacunek dla faceta, który ucieka przed stadem kaczek.

- Nie widziałeś tego błysku w ich oczach - bronił się Reilly bez większego przekonania. - To krwiożerczy drób.

- To bardzo rzadki gatunek kaczek drapieżnych miensus quaqucus - przytaknęła Jessie z kamienną twarzą. - Kiedyś wokół jeziora były tablice ostrzegawcze, ale podobno kaczki je zjadły, zakąszając pracownikiem zieleni miejskiej, który te tablice ustawiał.

Odchyliła głowę i spojrzała na Matta roześmianym wzrokiem. Objął ją mocniej, mocniej przytulił do siebie i zanim zdążył dotknąć ustami jej warg, zobaczył w oczach Jessie już nie radosny śmiech, ale zdziwienie.

Przecież uśmiechała się do mnie zapraszająco, jakby czekała na pocałunek, powiedział sobie. Poza tym byli zaręczeni, a narzeczeni często się całują. To normalne. Prawda wyglądała trochę inaczej. Mart wmawiał sobie, że uczucia Jessie dla Reilly'ego nie go nie obchodzą bo Jessie zgodziła się wyjść za niego i tylko to się liczy. Wierzył w to. Prawie. Co nie wyjaśniało, dlaczego nagle poczuł przemożną chęć pocałowania Jessie, zaakcentowania w ten sposób, że to jego kobieta. A może chodziło o satysfakcję, bo poczuł coś takiego, kiedy zobaczył, jak Reilly, zakłopotany, odwraca głowę.

„Moja”, powtórzył w myślach i przeraziło go to słowo. Nigdy nie był zaborczy. Nie czuł potrzeby posiadania przedmiotów, a już na pewno nigdy nie myślał w tych kategoriach o ludziach.

Opuścił rękę i cofnął się o krok, zaszokowany własnymi reakcjami.

To niebezpieczne pragnąć kogoś aż tak bardzo. Szczególnie kogoś, kto, być może, ulokował swoje uczucia gdzie indziej.

Kiedy Reilly powiedział, że szkoda tak szybko kończyć taki miły dzień, nikt nie zaprotestował. Słońce już się schowało za widnokręgiem, ale upał nie zelżał. Co prawda w kalendarzu mógł być wrzesień, ale w Kalifornii ciągle trwało lato.

Millers Crossing posiadało ubogie życie nocne. Można było pójść na kolację albo do kina, albo połączyć jedno z drugim i tu właściwie wyczerpywał się wachlarz uciech. W połowie lat sześćdziesiątych.

kiedy ostatnim krzykiem mody w rozrywce rodzinnej był minigolf, powstała Golf-o-Rama. Przetrwiała jakoś recesję lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, chyba tylko dlatego, że właściciele, Jim i Shirl, byli do niej wyjątkowo przywiązani. Mieszkali na terenie Golf-o-Ramy, więc udawało się im utrzymać przedsięwzięcie pomimo znikomych zysków.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Shirl odeszła grać na niebiańskich polach golfowych. Jim jakoś rok później ożenił się po raz drugi z dziewczyną dwa razy młodszą od siebie. Zainwestowali polisę po Shirl w Golf-o-Ramę, dodali jeszcze jedno pole, jedną salkę wyposażyli w gry wideo. Ludzie nie wróżyli przyszłości ani małżeństwu, ani przedsięwzięciu, tymczasem dziesięć lat minęło i zarówno małżeństwo, jak i firma miały się dobrze. Na temat małżeństwa każdy miał swoje zdanie, w przypadku Golf-o-Ramy sprawa była prosta, bo niby dlaczego nie miałyby przetrwać jedno z niewielu w Millers Crossing miejsc otwartych po szóstej wieczorem.

Cała czwórka stanowiła dość dziwną kompanię. Jessie wykazywała ogromny entuzjazm dla gry, ale zero umiejętności, jeśli w ogóle trafiała w piłkę, to przez czysty przypadek. Reilly grał z zacięciem, zastanawiał się nad każdym ruchem, jakby od tego zależał jego los. Gra Matta była jedną wielką kompromitacją ale nie czuł się winny ani skompromitowany, bo czy to jego wina, że większość czasu, który przyzwoici ludzie spożytkowują na doskonalenie techniki, on spędził na krańcach świata? Dana wykazała się wrodzonym talentem do gry, imponującą

pewnością ręki i oka. Pod koniec partii Reilly i Dana prowadzili łeb w łeb, Jessie na wszelki wypadek utopiła swój zapis w rowie z wodą, a Matt usiłował przekonać wszystkich, że wygrywa ten, kto ma najwięcej punktów.

Głodni i trochę zmęczeni, pochłonęli w głośniejącej kafeterii po dwa hot dogi z frytkami, analizując popołudniowy mecz futbolu.

Miły dzień, myślała Dana, kiedy w końcu znalazła się we własnym łóżku. Od dawna, od bardzo dawna nie śmiała się tak beztrudnie. Od bardzo dawna nie trzymali się już z Reillym za ręce. To też było miłe, nawet jeśli udawane. Mogliby tak funkcjonować - udając. Nie byłoby w tym nic złego, to nie hipokryzja. Można przecież udawać dobre rzeczy i jeśli robi się to wystarczająco długo, udawane staje się w końcu rzeczywistością...

- Co myślisz o zaręczynach Jessie i Matta?

Wyrwana z zamyślenia uniosła głowę i spojrzała trochę nieprzytomnym wzrokiem na gotującego się do snu Reilly'ego.

- Słucham? - zapytała, kryjąc rozczarowanie. A ona łudziła się, że może dzisiaj... Reilly nie zrobiłby pierwszego kroku, wiedziała o tym doskonale, ale była gotowa wyciągnąć do niego dłoń, zburzyć wreszcie mur, który oddzielał ich od siebie.

- Nie jestem pewien, czy wiedzą, co robią. - Reilly zasepił się. Nie miał pojęcia, nie zgadywał nawet, w jakim kierunku biegły myśli żony.

- To dorośli ludzie. Nie spotkali się wczoraj. Wiedzą, co robią.

- Oby. Mam wrażenie, że niepotrzebnie się pośpieszyli. Matt przez piętnaście lat szalał po świecie. Wraca i od razu ślub. Po co ten pośpiech? - zżymał się Reilly.

Dana miała ochotę przypomnieć mu, że sami pobrali się zaledwie po miesiącu znajomości, ale szybko się rozmyśliła. Zważywszy opłakany stan ich związku, nie byłby to najlepszy argument na rzecz szybkich ślubów.

- Na pewno wiedzą, co robią - mruknęła znowu.

- Martwię się o Jessie.

Dana poczuła ukłucie zazdrości, zacisnęła powieki. On nie kocha Jessie, uspokajała samą siebie. To znaczy, kocha, ale nie jest w niej zakochany. Była tego pewna. Prawie pewna.

- Matt jest o wiele bardziej doświadczony niż ona - sarknął Reilly. - Jessie nigdy właściwie z nikim się nie spotykała, nie miała chłopaka. A Matt... ileż on ma przygód na swoim koncie...

- Jessie ma dwadzieścia dziewięć lat - powiedziała Dana, starając się za wszelką cenę zachować maskę chłodu. - Nie traktuj jej cały czas jak smarkuli, a i Matt nie jest facetem, który podejmowałby tak poważną decyzję bez namysłu.

- Przez piętnaście lat włóczył się po całym świecie, ryzykując życie dla kilku fotek - prychnął Reilly. - Przyznasz, że nie jest to zajęcie świadczące o szczególnie poważnym stosunku do życia. - Potarł dłonią policzek i westchnął. - Nie chcę, żeby któreś z nich cierpiało.

Może po prostu teraz, kiedy zaręczyła się

z Mattem, inaczej zaczął patrzeć na Jessie? Może tu tkwi powód jego irytacji, niechęci? Dana szybko odsunęła od siebie tę myśl. Oszaleje, zadreżczy się, jeśli będzie myślała w taki sposób. Nagle poczuła się strasznie zmęczona. Odwróciła się plecami do Reilly'ego.

- Na pewno wszystko dobrze się ułoży - powiedziała tonem, który wskazywał, że uważa rozmowę za zakończoną. Naciągnęła kołdrę na ramiona i zamknęła oczy, powstrzymując łzy. - Dobranoc.

Reilly obejrzał się. Chciał wyciągnąć rękę, dotknąć ramienia żony, obrócić ją ku sobie. Miał ochotę zanurzyć palce w jej jasnych włosach, poczuć pod opuszkami jedwabistą gładkość jej skóry. Miał ochotę ją przytulić. Pragnął, żeby i ona przytuliła się do niego.

Dzisiaj miał wrażenie, że Dana zrzuciła swój pancierz, może nie do końca, niemniej jednak coś się zmieniło. Miał już nadzieję, że...

Z bezgłośnym westchnieniem zgasił lampkę nocną i wsunął się pod kołdrę. Leżał w ciemnościach i zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzymają, żyjąc tak obok siebie. Ich związek przestał istnieć, nie byli już małżeństwem. Mieszkali razem, spali w jednym łóżku, ale żyli osobno, nic ich nie łączyło. Po raz pierwszy przyszła mu do głowy myśl, że tak zawsze było i tak zawsze będzie.

Jessie wysiadła z samochodu i stanęła na krawężniku, czekając, aż Matt zamknie drzwiczki od swojej strony i dołączy do niej. Wieczór był ciepły, cichy. Trzymając się za ręce, ruszyli do drzwi domku. Aż do

dzisiaj bycie narzeczoną Matta nie różniło się zbyt od bycia jego przyjaciółką. Owszem, spotykała się wcześniej z różnymi chłopakami i facetami, ale dopiero teraz zaczynała rozumieć, co oznacza bycie parą: już nie Jessie i Matt, tylko Jessie-i-Matt, nierozdzielna całość, tak postrzegali ich inni.

Straciła już rachubę ile razy słyszała: coś zrobicie, gdzieś pójdziecie, zawsze w liczbie mnogiej. Zapewne byli i tacy, którym nie spodobałaby się ta utrata indywidualnej tożsamości na rzecz tożsamości mnogiej, ale Jessie akurat podobała się ta sprzeczna z duchem politycznej poprawności gramatyka. Miło było mówić „my” zamiast „ja”.

Przypadkiem usłyszała, jak Matt mówił dzisiaj jakiemuś dawnemu koledze szkolnemu, że nie wie jeszcze, jakie „oni” mają plany na najbliższą niedzielę. To też było miłe, wiedzieć, co Matt będzie robił, informować Matta o swoich planach.

Weszli na oświetlony ciepłym światłem lampy ganek, Jessie otworzyła drzwi, odwróciła się do Matta i oparła o framugę.

- To był wspaniały dzień, Matt.

Trochę zaszokowana tym faktem, zdała sobie sprawę, że czeka, żeby Matt ją pocałował. Tak jak wtedy, po przyjęciu. Pocałunek powinien być długi, gorący, namiętny, zaborczy. Pocałunek kochanków, nie przyjaciół.

- Dawno już tak dobrze się nie bawiłem - powiedział Matt z lekką kpina.

- Widać dawno też nie grałeś w minigolfa. Matt wyszczerzył zęby.

- Nie uwierzysz, kiedy powiem, że pozwoliłem ci wygrać.

Jessie chwilę rozważała zasugerowaną przez Matta ewentualność, po czym pokręciła głową.

- Nie. Po prostu jesteś aż tak kiepski.

Matt skrzywił się.

- Proszę, miej trochę względów dla mojego delikatnego męskiego ego.

- Mam dla ciebie zbyt wiele względów, żeby cię okłamywać - oznajmiła tonem zasadniczym.

- Smarkata. - Matt zaśmiał się i pociągnął ją za koński ogon, po czym szybko wsunął dłonie do kieszeni, żeby nie objąć Jessie, nie przygarnąć jej do siebie. Cały dzień chodziły mu po głowie tak zwane nieprzyzwoite myśli, na przykład jak by to było czuć nogi Jessie oplatające się wokół jego bioder? Patrzył na nią i zastanawiał się, jak to możliwe, że nie pragnął jej od zawsze, że dopiero teraz przejrzał na oczy?

Cóż, tak naprawdę dopiero w dniu, kiedy jej wsunął pierścionek na palec, zniknęła na zawsze mała dziewczynka, którą znał od dawna i w jej miejsce pojawiła się dojrzała kobieta.

Nie był tylko pewien, czy zmiana zaszła wyłącznie w jego psychice, czy dokonała się również w samej Jessie. Przyjmowała jego pocałunki, odpowiadała na nie, ale wyczuwał w niej pewne wahanie, jakby obawiała się, że robią coś nieprzyzwoitego.

- Nie nadwyrężyłeś ramienia w czasie meczu?

Matt poczuł lekkie dotknięcie i zaraz potem ból, który nie miał nic wspólnego z raną po kuli.

Powietrze przesycone było słodką wonią ostatnich róż i zapachem świeżo ściętej trawy. Gdzieś w ciemnościach odezwał się świerszcz, z otwartych okien sąsiedniego domu dobiegał podkładany telewizyjny śmiech.

- Nic mi nie jest - zapewnił Matt. Miał ochotę wyciągnąć dłoń, pogłaskać Jessie po policzku, ale nie zrobił tego. - Na tyle dobrze się czuję, że nie padnę rataj i nie zacznę wydawać męźnych jęków.

- Mężne jęki? - zdziwiła się Jessie. - Co to takiego, oksymoron? - Przesunęła delikatnie palcami po jego ramieniu i Matt miał wrażenie, że ten dotyk promieniuje na całe ciało, trafiając do różnych, interesujących tego ciała części. Z trudem skupił się aa rozmowie.

- Jak zimne ognie?

W oczach Jessie było coś, czego nigdy wcześniej nie widział. Pożądanie? A może tylko chciał widzieć w nich pożądanie, może sobie wmawiał? Tytułem próby dotknął jej ucha i zobaczył, wyraźnie zobaczył, że Jessie przeszedł dreszcz.

- Albo inteligentny policjant? - Przechyliła głowę, poddając się dotykowi. Zwilżyła językiem wargę: oznaka zdenerwowania, która była jednocześnie zaproszeniem. - Będziemy tak tu stali, wymieniając błyskotliwe uwagi, czy mnie pocałujesz?

Czy ją pocałuje? Co za pytanie. Kiedy Jessie była blisko, obok, cały czas musiał się kontrolować. Teraz też. Zacisnął powieki, trzymał dłoń na jej policzku. I walczył ze sobą.

Jessie w jednej chwili straciła całą pewność siebie.

Zapadło ciężkie, niezręczne milczenie, które, spłoszona własną śmiałością, odczytała zupełnie opacznie. Matt nie chce jej pocałować, uznała, zapominając, że dotąd nie miał żadnych obiekcji w tej kwestii. Nie powinna była pytać, wspominać choćby słowem o pocałunku, uśmiechać się zalotnie. Zachowała się tak, jakby go przymuszała. Jakby uważała, że on musi ją pocałować. Przygryzła wargę, gorączkowo szukając w głowie jakiegoś sposobu wybrnięcia z kłopotliwej dla obojga sytuacji.

- Pozwól mi.

Podniosła wzrok i dojrzała w oczach Matta najprawdziwsze pożądanie. Musiała się pomylić. Najwidoczniej się pomyliła. Może jednak nie miał nic przeciwko całowaniu jej?

- Pozwolić ci? Na co? - spytała drżącym głosem.

- Na to.

I Matt pochylił głowę.

Tak. Tego właśnie chciała. Namiętnego, długiego, gorącego pocałunku kochanków. Takiego, jak ten w sobotnią noc, po przyjęciu.

Za dużo, pomyślała odrywając usta od jego ust żeby zaczerpnąć powietrza. Za dużo, powtórzyła w duchu. Za dużo pasji. Pożądania. Żaru. W nim. W niej. W obojgu. Oszołomiona tą nagłą nawałnicą, doznań, Jessie poczuła, że musi coś powiedzieć, przerwać to szaleństwo. Nie potrafiła tylko powiedzieć, czy chce powstrzymać siebie, czy Matta.

- Smakujesz musztardą- sapnęła, łapiąc oddech.

- Nigdy więcej nie tknę tego świństwa - zobowiązał się Matt, błędząc ustami gdzieś w okolicach jej brody

- Dlaczego, to miły smak. Podoba mi się.

- W takim razie będę używał musztardy do każdego posiłku.

Jeśli jego usta miały smak musztardy, to skóra Jessie smakowała słońcem. I Jessie. Tak, skóra Jessie smakowała Jessiką Sinclair. Oszałamiające, upojne połączenie.

- Do śniadania? - jęknęła Jessie trochę desperacko. - Nikt nie używa musztardy do śniadania.

- Odchyliła głowę, żeby dać Mattowi przystęp do szyi.

- Pozwól mi wejść, Jessie.

Głos Matta, zdławiony pożądaniem, ledwie słyszalny...

Chciała powiedzieć „tak”. Chciała, żeby wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni, pokazał, do czego prowadzi pożądanie.

Paradoksalnie to właśnie pożądanie kazało się jej zawahać. Nie uchowałyby się dotąd, przez długich dwadzieścia dziewięć lat, dziewicą gdyby pozwoliła rządzić hormonom. Całowała się z mężczyznami, pozwalała im na pieszczoty, choć niezbyt intymne, ale nigdy nie posunęła się dalej.

I oto teraz stała na progu własnego domu, z Mattem, czuła jego dłonie na swojej nagiej skórze i myślała tylko o jednym - żeby posunąć się dalej. Przerażające, że lata powściągliwości można tak łatwo przekreślić, unieważnić.

- Nie mogę - wyszeptwała i poczuła, że Matt lekko zeszywniał na te słowa.

- Dlaczego? - Matt przesunął językiem po jej obojczyku.

Bo nigdy jeszcze tego nie robiłam. Bo jestem dziewczicą. To cała odpowiedź, ale jak trudno wypowiedzieć tych kilka słów. Żaden wstydlivy sekret, przecież za kilka dni wezmą ślub i Matt pozna prawdę. Pomimo wszystko nie mogła się zdobyć na odwagę. Wydawało się jej to zbyt... osobiste. Śmieszna sprawa, zważywszy, że dłonie Matta tkwiły pod jej bluzką. Poza tym, tak naprawdę, nie dlatego nie chciała go wpuścić. W każdym razie nie był to jedyny powód. Śmiertelnie bała się doznań, które się w niej budziły, przerażała ją ten nagły wybuch pożądania i namiętności.

- W przyszłym tygodniu bierzemy ślub, Jessie.
- Matt stwierdzał fakt, ale w jego głosie brzmiał ton przymilnej prośby. I te jego niecierpliwie dłonie pod bluzką Jessie.

Jeśli zaraz nie przestanie jej pieścić, gotowa zacząć jęczeć z rozkoszy.

- Wolałabym zaczekać - powiedziała, chociaż każdy nerw w jej ciele sprzeciwiał się temu łgarstwu. Ciało wcale nie wolałoby zaczekać. Domagało się tego, co Matt mógł ofiarować. I to domagało się teraz, od razu, natychmiast. Przełknęła ślinę i spojrzała w błyszczące błękitnym blaskiem oczy Matta.

Wiedział, czuł, widział, że Jessie pragnie tego samego co on. Mógłby ją przekonać, miał w tym wprawę, kiedyś robił to po mistrzowsku, ale lata płyną, a i sytuacja jest zupełnie inna. Nie był napalonym smarkaczem, a Jessie nie była panienką którą, dla udanego sfinalizowania sobotniej randki, namawia na miłosne igraszki na tylnym siedzeniu samochodu.

Nawet gdyby zdecydował się ją przekonywać, odmówiłaby. I nieważne, że jej ciało mówiło „tak”.

Czy to samo powiedziałaaby Reilly'emu, gdyby chciał spędzić z nią noc?

Wystarczyło, by ta myśl przemknęła mu przez głowę, a już opuścił ręce, cofnął się o krok.

Przecież przyrzekał sobie, że nie będzie zazdrosny, nie będzie się zadreślał pytaniami na temat uczuć, jakie Jessie żywi dla Reilly'ego. Nic dobrego mu z tego nie przyjdzie, tylko problemy.

W oczach Jessie widział niepewność, ale też pragnienie. Chciał ją pocieszyć. Utulić. Przewrócić na podłogę i zgwałcić. Posiąść przemocą. Zniewolić.

Musnął końcami palców jej policzek.

- Minigolf budzi we mnie bestię - mruknął ze słabym uśmiechem.

Tego właśnie było jej potrzeba, na to czekała - rzucona lekkim tonem uwaga, po której świat wraca w swoje koleiny.

Matt unióśł jej dłoń do ust.

Jeśli Jessie chce zaczekać do ślubu, zaczekają. W końcu to tylko kilka dni. Nic wielkiego.

Zapowiadał się bardzo długi tydzień.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Bieg czasu musiał ulec przyspieszeniu, o czym Jessie mogła się przekonać osobiście. Bo jak inaczej wyjaśnić, że tych kilka dni, jakie pozostały do ślubu, przeleciało nie wiedzieć kiedy, pośród coraz to bardziej nerwowych przygotowań. Jakaś anomalia, interesująca z punktu widzenia fizyki kwantowej. Może na przykład fałda w czasoprzestrzeni?

Jeśli w przelocie udało się jej na moment zatrzymać i zerknąć raz czy drugi na swoje odbicie, z trudem rozpoznawała kobietę w lustrze.

Kiedyś była na praktyce u pewnego francuskiego szefa kuchni, choleryka o nader wybuchowym temperamencie. Otóż zwykł on zabierać się za układanie od początku wieczornego menu, akurat kiedy w drzwiach pojawiali się pierwsi goście zamierzający spożyć kolację. W takich sytuacjach Jessie nigdy nie traciła zimnej krwi, nawet wówczas, kiedy usłyszała, że jej *bouillabaisse*, a przygotowała tę wymagającą

kunsztu zupełnie dokładnie według receptury swojego narwanego mistrza, nadaje się jedynie dla świni.

Co się stało z kobietą, która pomagała kiedyś wydać wesele dla ponad dwustu osób i nie załamała się nawet wówczas, gdy na godzinę przed rozpoczęciem przyjęcia dostarczono tort z pięknym lukrowym napisem: „Wiele szczęścia z okazji bar micwy, Izaaku”?

Ta kobieta z pewnością potrafi przygotować skromną uroczystość z zamkniętymi oczami. Przynajmniej nie zauważy, że osiwiiała.

To Matt wpadł na pomysł, żeby wszystko odbyło się w „Gospodzie pod Wierzbą”. W rozległym parku hotelowym była mała, rustykalna kaplica, właściwie altana obrośnięta glicynią. Glicynia co prawda o tej porze roku zdążyła już przekwitnąć, ale tworzyła piękne zielone sklepienie nad kaplicą. Romantyczna oprawa bez tandetnej ekliwkości, jak ujęła to Lurene.

Wesele miało się odbyć w restauracji, dysponującej zarówno miejscem, jak i siłą fachową. Pomoc tejże siły fachowej, zawyrokował Matt, znacznie uprości proces przygotowań. Powinna uprościć, zgodziła się Jessie. I uprościłaby. Gdyby nie był to jej własny ślub i gdyby nie odkryła, że jest taka sama jak każda panna młoda, która w tym najważniejszym dniu dąży do absolutnej perfekcji.

Wszystko zostało w końcu dopięte na ostatni guzik i osiągnęło stan doskonałości, z wyjątkiem... panny młodej. Dzieliły ją od ślubu zaledwie minuty, a ona stała przed lustrem i zastanawiała się, czy nie salwować się ucieczką przez okno.

Może by to uczyniła, ale za oknem panowały ciemności.

Ponieważ pierwszą noc krótkiego miesiąca miodowego mieli spędzić w gospodzie, ślub i wesele zaplanowano na wieczór. Pomysł w pierwszej chwili wydał się Jessie dobry, pora doskonała, ale wtedy nie brała jeszcze pod uwagę możliwości wycofania się ze związku z Mattem. Przy jej szczęściu na pewno wpadłaby do wodnego oczka i spoczęła na jego dnie - taki byłby smutny koniec Jessie, co nie chciała Matta.

Z westchnieniem odwróciła wzrok od okna i spojrzała w olbrzymie lustro, dostarczone specjalnie na potrzeby panny młodej. Z lustra odwzajemniła się jej spojrzeniem jakaś obca kobieta o nienaturalnie wielkich oczach, ciemnych i bezdennych. Tusz, róż, szminka - twarz ukryta pod grubą warstwą makijażu.

Uczesanie było dziełem Lurene. Zebrała włosy Jessie w węzeł na czubku głowy, zostawiając kilka loków po bokach i uzyskując w ten sposób efekt niewinności udatnie połączonej z zalotnością.

Aż dwa dni poświęciła Jessie na wyprawę do San Jose w celu wyszukania odpowiedniej toalety, ale warto było trochę się natrudzić, przekopując się przez kilometry jedwabi i koronek. Wybrała ostatecznie prostą suknię z jedwabnego atłasu, rozkloszowaną, do pół łydki, na halkach, szeleszczących leciutko przy każdym kroku. Styl staroświecki i bardzo w jej przypadku stosowny. Śnieżna biel była żartem, który tylko Jessie mogła zrozumieć. Nikomu, z panem młodym włącznie, nie przyszłoby do głowy, że ta niepokalana biel jak najbardziej jej przystoi.

Spoglądając w lustro, musiała przyznać, że wygląda tak pięknie, jak nigdy dotąd. Panna młoda powinna wyglądać pięknie. Takie jest powszechnie obowiązujące prawo. Ale czy każda panna młoda czuje ten sam nieprzyjemny ucisk w żołądku, czy każda jest przekonana, że oto za chwilę popełni największy błąd w swoim życiu?

Żałowała, że kazała Lurene iść precz i zająć dobre miejsce w kaplicy. Dobrze by jej teraz zrobiła zdrowa dawka zgrzyliwie dowcipnych uwag przyjaciółki. Jedna Lurene znała prawdę i dawno zawyrokowała, że ślub ma sens.

I tej wersji będę się trzymać, powtarzała sobie Jessie z determinacją. Z drugiej strony Lurene jako kobieta dwukrotnie rozwiedziona, po przejściach, może nie była najwyższym autorytetem w kwestiach matrymonialnych.

Jessie spojrzała na bukiet leżący na stole. Róże z ogrodu dziadka: piękne, herbaciane, pełne blasku. Na ich widok łzy napłynęły jej do oczu. Dałaby wszystko, żeby móc teraz porozmawiać z Lelandem. Powiedziałyby, że straciła rozum czy dałby jej swoje błogosławieństwo i poprowadził do ołtarza?

Ktoś zapukał do drzwi i Jessie podskoczyła niczym na odgłos strzału. Przestraszona odwróciła się gwałtownie, spódnice sukni zafurkotały. Musiała przełknąć ślinę, dopiero wtedy dobyteła głos z gardła, wysoki, bliski pisku.

- Wejść.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczyła Penelope - mów mi Penny, kochanie - Adamson, osoba

w średnim wieku, odpowiednio pulchna, o stalowo-srebrnych włosach i żywych oczach. Tak właśnie musiałyby wyglądać Pani Mikołajowa namalowana przez Normana Rockwella. A jednak to wcielenie zacności, łagodności, poczciwości oraz cnót ogólno-amerykańskich wyposażone zostało przez naturę w mózg ze stali. To Penny odpowiadała w restauracji za organizację wesel. Jessie była pewna, że jeśli zachowała resztki rozumu, to tylko dzięki umiejętnościom logistycznym i niezłomnej pogodzie ducha Penny.

- Wszystko gotowe, skarbie. Och, uroczo wyglądasz. - Penny zbliżyła się krokiem zaskakujące lekkim i sprężystym jak na osobę jej tuszy. Z promiennym uśmiechem poprawiła jakąś koronkę przy gorsiej sukni, zakręciła dłońią i Jessie potulnie zawirowała wokół własnej osi.

- Doskonale - oceniła Penny z satysfakcją oraz znajomością rzeczy. - Wyglądasz doskonale. Przy sięgam, nigdy nie widziałam piękniejszej panny młodej.

Jessie gotowa była się założyć, że Penny mówiła to samo każdej pannie młodej, ale przyjęła komplement za dobrą monetę.

- Dziękuję - bąknęła.

- A twój najdroższy... - mówiła z uśmiechem Penny. - Wysoki, ciemnowłosy, śliczny jak z obrazka. I te oczy. Nawet moje stare serce zaczyna mocniej; pikać na ich widok. Przechodząc przez drzwi, uważana spódnice, skarbie.

Jessie nie wiedziała, jak i kiedy znalazła się na

zewnątrz. Wciągnęła w płuca balsamiczne wieczorne powietrze, spojrzała pod stopy na usłaną płatkami ścieżkę, na rozświetloną łagodnym złotym blaskiem kaplicę u jej końca. Nie było nikogo, kto mógłby poprowadzić Jessie, ustalili więc z Mattem, że po prostu będzie czekała na niego przy ołtarzu.

Dobrze. Świetnie. Zaczeka przy ołtarzu. Tyle że ona wcale nie miała ochoty iść do ołtarza. Zabrzmiały pierwsze tony muzyki.

- Czas na ciebie, skarbie. - Penny pchnęła ją łagodnie i Jessie, z trudem łapiąc oddech, zaciskając kurczowo palce na bibułce bukietu, ruszyła w stronę kaplicy.

Jeszcze może się wycofać. Nikt jej nie zmusza, żeby powiedziała „tak”. Podejdzie do Matta i poinformuje go, że się rozmyśliła. Matt zrozumie. W porządku, nie ma takiego faceta, który zrozumiałby, dlaczego został wystawiony do wiatru na moment przed ślubem. Nic, Matt jakoś to przeboleje.

Zawładnęła nią muzyka. Matt zamówił kwartet smyczkowy i z kaplicy płynęły teraz słodkie, delikatne dźwięki skrzypiec. Mówił, że mają grać coś Beethovena. Czy Brahmsa? Nie, to na pewno Beethoven. Z drugiej strony skąd ta pewność, skoro utwory nie mają słów, tylko opatrzone są nazwami i numerami - sonata, opus takie i takie...

Chryste, jeszcze tylko kilka kroków.

Uśmiechnięte twarze zwracają się w jej kierunku. Tysiące twarzy, a przecież zaprosili raptem trzydzieści osób. Jessie omiotła je szybkim spojrzeniem.

Może nie będzie musiała mówić Mattowi, że się

rozmyśliła, może zaraz, za sekundę, umrze z przerażenia. Oszczędzi sobie w ten sposób trudu wyjaśnień.

Kątem oka dojrzała twarz Reilly'ego. Zafrasowaną twarz Reilly'ego. Reilly jest bystry. Przenikliwy. Ciekawe, czy dostrzegł jej panikę, czy też wzruszają go takie ceremonie.

Bliska hysterii zdołała jednak zarejestrować prawie niezauważalne poruszenie wśród gości. Do kaplicy wszedł Matt, kierując się ku ołtarzowi. Ubrany był w klasyczny smoking z szarfą i klasyczną koszulę smokingową. Niemal tak czarne jak smoking, starannie uczesane włosy, z przodu krótko ostrzyżone, z tyłu kładły się na karku.

A oczy...

Penny nie miała racji. Na ich widok serce nie „pikało”, tylko waliło. Na ich widok pod Jessie ugięły się kolana, fale gorąca uderzały do głowy.

Generalnie widok Matta przyprawiał Jessie o niezwykłe sensacje. „Mój”, pomyślała. Za kilka minut cały będzie jej: te szafirowobłękitne oczy, szerokie ramiona, smukła postać, to wszystko będzie jej.

Dlaczego jeszcze przed chwilą chciała odwołać ślub? Nie potrafiła powiedzieć.

Ustalili wcześniej, że spotkają się przy ołtarzu, tymczasem Jessie zdała sobie sprawę, że zamiast iść, stoi w miejscu. Nadal nie była w stanie się ruszyć. Wrośnięta w ziemię, z oczami utkwionymi w jego twarzy, patrzyła, jak Matt się zbliża.

Zatrzymał się o krok przed nią, tak blisko, że dotykał nogami jej sukni. Uśmiechnął się niemal ubawiony, ujął ją za rękę. Jessie zacisnęła palce na

jego dłoni, nie odrywała wzroku od jego twarzy. Matt nachylił się i szeptął cicho, tak cicho, by nikt poza nią nie mógł go słyszeć:

- Dżip czeka na parkingu, tylko wsiadać i ruszać. Powiedz słowo i znikniemy, zanim ktokolwiek zdąży nas zatrzymać. Przed nami Fresno.

Jessie z całą pewnością nie spodziewała się propozycji ucieczki. Parsknęła śmiechem.

- Fresno albo ślub? - zapytała. - Nie mam innego wyboru? - Kiedy Matt pokiwał głową, westchnęła z rezygnacją. - Niech będzie ślub.

Uśmiech Matta rozproszył ostatnie wątpliwości. Jak mogła bać się ślubu? Z Mattem?

Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech i podeszli do ołtarza, gdzie czekał pastor.

Apartamenty dla nowożeńców w „Gospodzie pod Wierzbą” stanowiły umiejętnie wyważone połączenie „uroczego” ze „sprośnym”.

Jessie przesunęła bosą stopą po grubym dywanie i rozejrzała się po pokoju, próbując rozdzielić obydwie kategorie. Do pierwszej dało się zaliczyć wygodną sofę i fotele z obiciami w kwiecisty wzór, harmonizujący z kolorem dywanu i zasłon. Był też uroczy działający kominek i kącik telewizyjny, z telewizorem i magnetowidem dyskretnie wmontowanymi w regał. Oto elementy budujące ciepłą, przytulną niemal domową atmosferę.

Jednak wystarczyło spojrzeć na łóżko... Ten mebel zdecydowanie lokował się w rubryce „sprośne”. Chociaż ustawione w szerokiej wnęce, trochę z boku,

dominowało nad wnętrzem. Mniej więcej wielkości boiska, przykryte było narzutą z czarnego weluru tak miękkiego i grubego, że dotykając jej, człowiek miał wrażenie, że dotyka sierści kota. Krótko mówiąc, nowożeńcy zamiast łoża mieli do dyspozycji kocie futerko wielkości boiska do gry w piłkę nożną.

Jessie zaraz po wejściu do apartamentu pogłaskała je ukradkiem i teraz nie mogła przestać o nim myśleć. U węzłowiec piętrzyły się poduszki, szkarłatne i ciemnobłękitne, a szczytem dekadentckiego wyuzdania było wielkie lustro wstawione w sufit. Na sam widok tego ostatniego serce podeszło Jessie do gardła.

W każdym razie całość wyglądała jak scenografia do średniej klasy filmu pornograficznego.

Jessie na sam widok zrobiło się gorąco. Mogła co prawda nie spoglądać w stronę łóżka, ale wtedy musiałyby patrzeć na Marta, a nie wiadomo, co było gorsze. Matt stał koło stolika, plecami do niej, i wyjmował właśnie z wiaderka z lodem butelkę szampana - drobny upominek dla nowożeńców od dyrekcji hotelu, z najlepszymi życzeniami na nową drogę życia.

Matt był w samych spodniach od piżamy, szarych w niebieskie paseczki, tyle że opuszczonych na biodrach w sposób zakłócający spokój myśli. Jessie przesunęła niepewnym wzrokiem po muskularnych plecach, zatrzymała na moment spojrzenie na wąskich biodrach.

Jeżeli cokolwiek byłaby w stanie w tej chwili powiedzieć o sobie, to chyba tylko tyle, że z chwilą przekroczenia progu apartamentu zamieniła się w je-

dno wielkie, podszyte tremą oczekiwanie. Pragnęła Matta. Pragnęła „tego” i na myśl o „tym” ogarniała ją panika. Kiedy strzelił korek od szampana, podskoczyła gwałtownie.

- Mam nadzieję, że to przyzwoity szampan - powiedział Matt, nie odwracając się.

Musiał słyszeć, że wyszła z łazienki. Być może chciał dać jej trochę czasu, by mogła oswoić się z nowym, zaskakującym, przesyconym erotyzmem otoczeniem.

- Wszystko, co wiem o szampanie, zmieściłoby się na tym korku i jeszcze zostałyby dużo wolnego miejsca, ale na etykietce jest mnóstwo poważnie wyglądających francuskich oznakowań. - Ciagle odwrócony do Jessie plecami, napełnił szampanem dwa wysokie kieliszki stojące tuż koło wiaderka z lodem. - Prawdę powiedziawszy, nie odróżniłbym najlepszego szampana od wina musującego, ale... - Wreszcie się odwrócił i przerwał w pół słowa.

Jessie miała ochotę szczelnie owinać się peniuarem. Właście już była nim owinięta. W pewnym sensie. I peniuar, i koszulka, prezent od Lurene, przed wyjęciem z pudełka sprawiały wrażenie cnotliwie skromnych, ale kiedy założyła na siebie delikatne jak mgiełka jedwabie, przyłgnęły miękko do ciała, nic nie odstawiając, ale wiele sugerując.

- Jeśli teraz zagwizdę, zachowam się jak prostak. - Matt zrobił krok w jej kierunku, a Jessie zawiesiła spojrzenie w przestrzeni, byle nie patrzyć na jego naga klatkę piersiową.

- Czego można się spodziewać po kimś, kto nie

odróżnia szampana od jakiegoś sikacza? - prychnęła Jessie i dumna, że głos jej nie zadrżał, przyjęła od Matta kieliszek.

- Otóż to. - Twarz Matta spoważniała, żartobliwy uśmiezek zniknął. - Wyglądasz niesamowicie, Jessie. - Dotknął koronkowego obszycia przy peniuarze. - Ten, kto to projektował, wiedział doskonale, jakie wrażenie na mężczyźnie zrobi kobieta ubrana w jego dzieło.

Jessie szybko przeniosła spojrzenie na ścianę, bezskutecznie usiłując unikać rozognionego wzroku Matta. Pożądanie. Żaden mężczyzna dotąd nie patrzył na nią z tak nieskrywanym pożądaniem.

Matt położył dłoń na jej ramieniu, przez delikatny materiał czuł ciepło jej skóry. Ciepło i coś jeszcze. Napięcie. Nie pamiętał, by kiedykolwiek tak mocno pragnął kobiety. Tak mocno, tak boleśnie, tak szaleńczo.

I ona go pragnęła, czuł to, ale widział też w jej oczach lęk, jakby bała się, że Matt zaraz rzuci się na nią w dzikim zapamiętaniu, co zresztą rzeczywiście miał ochotę uczynić.

Po raz pierwszy, dopiero teraz, pomyślał o jej przeszłych doświadczeniach. Mógłby iść o zakład, że nie było ich wiele. Kobieta doświadczona nie patrzyłaby na niego z taką niepewnością.

Czy rzeczywiście? Czy Jessie denerwuje się dlatego, że brak jej doświadczenia, czy, przeciwnie, z racji przebytych doświadczeń? Nie zada jej przecież takiego pytania. Poza tym nie chciał słuchać o swoich poprzednikach. Więc jednak jest zazdrosny, pomimo heroicznego walki, jaką od pewnego czasu toczył z tym

podstępny uczeni. Dotąd nie wiedział, co to zazdrość, nie zadręczał się pytaniami, ale z Jessie z jakiegoś powodu było inaczej.

- Wszystko poszło dobrze - powiedziała raptem, niemal bez tchu, stłumionym od emocji głosem. - Bardzo dobrze. Mam na myśli ślub, oczywiście - dodała tytułem wyjaśnienia.

- Hmm. - Matt przesunął palcem po jej szyi, zatrzymał się na kraju obszytej koronką koszuli. Czuł teraz, jak szybko bije jej serce. Jeszcze dwa, pięć centymetrów i dotknąłby jej piersi.

- Przyjęcie też się udało - ciągnęła z wysiłkiem. - Jedzenie było dobre, muzyka świetna... w ogóle wszystko. Goście chyba... chyba dobrze się bawili. Tak się wydawało. A ty co myślisz?

- Myślę, że wspaniale pachniesz, to jedyne, o czym mogę w tej chwili myśleć.

Kiedy odchyliła głowę, Matt dłużej nie czekał, widząc w tym geście uległości zaproszenie. Pochylił głowę, zamknął dłoń na piersi Jessie, zapominając się w pocałunku.

- Matt? - szepnęła, kiedy wreszcie oderwał usta od jej ust. - Matt, ja nigdy tego nie robiłam - wyrzuciła z siebie straszliwe wyznanie.

Matt uśmiechnął się niewyraźnie, stropił się, nie bardzo widząc rozumiały, o czym właściwie mówi jego żona.

- Dla nas obojga małżeństwo jest czymś nowym, Jessie - powiedział, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Ja nie mówię o małżeństwie, tylko o „tym”

- enigmatycznym gestem zatoczyła wokół, wskazując pokój, ogromne łoże, w końcu samego Matta, który stał przed nią półnagi, gotów do dalszych działań, co było widać gołym okiem. Nie rozumiał, po prostu nie miał najmniejszego pojęcia, co ona próbuje mu powiedzieć. Zalała ją fala złości. Dlaczego nie jest w stanie dobrać z siebie tego jednego, prostego słowa? To przecież normalna rzecz, żadna wstydliva tajemnica.

- Jessie? - Matt, nie nadążając za gwałtownymi zmianami nastrojów malującymi się na twarzy Jessie, wziął ją za rękę. - Co się dzieje?

Co się dzieje? Wpatrywała się w niego bezradnie. Nic się nie dzieje. Niektórzy uznaliby, że wszystko jest w porządku. Jeszcze niedawno ona sama trwała w takim przekonaniu. Jeszcze niedawno nie przyszłoby jej do głowy, że będzie stała przed własnym, nowo poślubionym mężem zdenerwowana do granic ostateczności i zmagająca się z problemem, jak poinformować go o swoim dziewictwie. Ogarnęła ją jairytacja. Dlaczego, do diaska, ten człowiek jest taki niedomyślny? Miał duże doświadczenie w tych sprawach, powinien wiedzieć...

- Jessie? - Matt przyciągnął ją do siebie, objął w tali. Ten gest miał dodać jej otuchy. W pewnym sensie dodał.

Jessie zamknęła oczy, usiłując nie myśleć o jego szerokich ramionach, zmysłowych ustach, delikatnych dłoniach. Matt odgarnął kosmyk włosów z jej czoła, po czym pocałował ją delikatnie w skroń.

- Powiedz mi, co się dzieje, kochanie?

Nigdy wcześniej nie używał wobec niej tego pieśczośliwego określenia, ani tego, ani żadnego innego, czasami tylko zwracał się do niej per „smarkata”. W ogóle nikt nigdy nie nazywał jej „kochaniem”. Rozczuliła się, bo też poczuła się... otoczona czułością. Oparła czoło na piersi Matta.

- Nigdy tego nie robiłam, Matt - szepnęła. - Nigdy przynigdy. Z nikim.

Matt popadł w zamyślenie. Nigdy nie robiła czego? Chyba nie chce mu powiedzieć, że ona nigdy... Oczy mu się rozszerzyły zdumieniem. Rany boskie, to znaczy, że ona jest...

- Mogłabyś trochę dokładniej sprecyzować, co rozumiesz przez „to”? - zapytał ostrożnie.

Zaśmiała się nerwowo, a kiedy podniosła głowę, w oczach miała łzy. Ze zdenerwowania.

- Nigdy z nikim... nie spałam, Matt. Nie wiem, czemu czuję się z tego powodu winna, zupełnie jakbym popełniła jeden z siedmiu grzechów głównych. To głupie...

Matt słuchał bez słowa i tylko wpatrywał się w Jessie, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. W zdenerwowaniu miotała się między skruchą i złością. Choćby teraz - zmierzyła go wzrokiem osoby niewinnie oskarżonej o najcięższe zbrodnie.

- To chyba nie przestępstwo być w wieku dwudziestu dziewięciu lat dziewicą - oświadczyła zaczepnie. - Może nie zdarza się codziennie, może jest trochę dziwaczne, ale to nie... choroba. Wcale nie znaczy, że jestem oziębła czy coś takiego. No, nie wiem na pewno, ale gdybym była oziębła,

musiałabym chyba o tym wiedzieć - płątała się. - Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Poza tym nikt już chyba nie wierzy w oziębłość kobiet, chociaż i takie kobiety pewnie istnieją. Tak jak pewnie istnieją oziębli mężczyźni, tylko nikt nigdy tak ich nie określał. - Przez chwilę rozważała wysuniętą właśnie przez siebie hipotezę, po czym pokręciła głową. - Po prostu nie spotkałam dotąd nikogo, z kim miałabym ochotę pójść do łóżka. To znaczy, owszem, spotykałam facetów, którzy, tak myślałam, nawet mi się podobali, ale nie na tyle, żebym chciała z którymś z nich pójść do łóżka. To jednak poważna decyzja i im byłam starsza, tym poważniejsza mi się wydawała. To trochę tak jak z migdałkami. Jak człowiek ma cztery lata, wycięcie migdałków jest drobiazgiem, ale dla osoby dwudziestoletniej to okropność. Tak więc im wcześniej się to zrobi, tym lepiej, bo w końcu tak czy siak trzeba to zrobić. - W ferworze wyjaśnień nie zauważyła, że się powtarza. - Powinnam była powiedzieć ci wcześniej, ale...

Nagle zdała sobie sprawę, że Matt drży. Że wstrząsa nim... łkanie? A może...? Podniosła zdumione spojrzenie i w szafirowych oczach Marta zobaczyła ledwie powstrzymany śmiech.

Matt się z niej śmieje? Ona otwiera przed nim serce, skręca się ze wstydu, chociaż powód jej zakłopotania w żadnym razie nie należy do wstydliwych, a on po prostu się śmieje?

Poczuła się do głębi urażona, dotknięta. Cofnęła się o krok, przez głowę przemknęła jej myśl, czy nie

wypaść z apartamentu niczym burza, ale Matt chwycił ją za rękę, zanim zdążyła zrobić następny krok. Uśmiechał się. Nie, on się szczerzył, niech go diabli. Szczerzył się jak hiena.

Jessie nie miała najmniejszych wątpliwości, że go nienawidzi. Szczerze, głęboko, prawdziwie.

- Puść mnie - zażądała, posyłając mu spojrzenie, od którego powinien zgorzeć, w jednej chwili obrócić się w dymiącą kupkę popiołu.

Nie zgorzał, nawet się nie osmalił, tylko mocniej zacisnął palce na jej nadgarstkach i pociągnął ją ku sobie. Oczy błyszczały mu wesoło. Gdyby ją tylko puścił, na pewno wypadłaby z apartamentu niczym burza, jak przystało kobiecie, którą spotkała najwyższa obraza. Najpierw jednak powinna posmakować jego pocałunku, a potem sama go pocałuje, dla czystej przyjemności.

- Jessie. - Głos mu jeszcze drżał hamowanym śmiechem, widać było, że wkłada wiele wysiłku w to, żeby wreszcie się uspokoić. - Jessie - podjął jeszcze raz, już trochę spokojniej. - Porównujesz seks do usuwania migdałków?

- Co takiego? - spiorunowała go wzrokiem. - Ma się rozumieć, że nie. Dlaczego miałabym... - Pełna świętego oburzenia i godności fraza nigdy nie została wypowiedziana do końca, bo Jessie usłyszała z piekielną wyrazistością echo własnych słów. Zrobiła się czerwona jak piwonia. Litości, rzeczywiście tak to zabrzmiało. A przecież co innego miała na myśli. Matt doskonale wiedział, co miała na myśli i co chciała powiedzieć. Nawet jeśli ujęła

problem niezbyt zżęcznie, Mart nie powinien był się śmiać.

- Wcale nie o to mi chodziło - odparła, starając się zachować resztki godności. - Próbowałam ci tylko wyjaśnić, jak to się stało, że...

- Że w podeszłym wieku dwudziestu dziewięciu lat nadal jesteś dziewicą - podsunął Mart usłużnie. - Migdałki też zachowałeś?

Jessie przygryzła wargę, żeby nie parsknąć głośnym śmiechem.

- Nie, migdałków szczęśliwie się pozbyłam w wieku lat sześciu.

- Dzięki Bogu. - Matt westchnął z przesadną ulgą. - Bałem się już, że każesz mi rano dokonywać tonsilektomii.

Nie, nie będzie się śmiała. Nie chce się śmiać. To wcale nie jest śmieszne.

- Jesteś okropny.

- Wiem. - Matt przygarnął ją do siebie, przytulił jej dłoń do piersi, spojrzał na nią już bez uśmiechu, czule.

- Nie boisz się mnie chyba, Jessie?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nnnie. - Przesunęła palcami po gęstych włosach na jego piersi. Matt wciągnął gwałtownie powietrze i Jessie podniosła oczy, spojrzała mu w twarz. Widziała w niej troskę, ale i pożądanie. Szybko odwróciła wzrok, nie chcąc, by Matt wyczytał zbyt wiele w jej spojrzeniu.

- Nie boję się - szepnęła i była to prawda. Nie bała się Marta. Bała się całej reszty. Bała się jego oczekiwań. Swoich oczekiwań. Bała się, że zawiedzie. Bała się, że zrobi coś głupiego, popełni jakąś niezręczność, zachowa się jak... nowicjuszka. Do tego dochodził strach czysto fizyczny. Wiedziała, co się ma stać, chciała, by to się stało, a jednak bała się, najzwyczajniej w świecie, bólu i krwi.

- Nie boję się... ciebie - powtórzyła, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

Matt dotknął jej włosów, musnął miękki pukiel nad skronią.

- Chciałbym ci powiedzieć, że będzie to najwspanialsze doświadczenie w twoim życiu, ale nie wiem. Ryzykuję, że skompromituję się na zawsze i stracę reputację, muszę ci się jednak przyznać, że jakoś nigdy nie deflorowałem dziewic.

Zaśmiała się na to rzeczowe oświadczenie, podniosła głowę.

- To głupie określenie. Co flora ma wspólnego z dziewictwem? Kto to wymyślił?

Matt uśmiechnął się nieznacznie, lekko drżącą dłońią dotknął policzka Jessie.

- Prawdopodobnie ta sama osoba, która pierwsza powiedziała, że mężczyzna produkuje nasienie. - Tylko dlatego, że ujął ją pod brodę, nie spuściła skromnie oczu. - Kiedy o tym pomyśleć, mamy do czynienia z pełnym metafor ogrodem miłości.

- Przepraszam, jestem idiotką - bąknęła Jessie. No właśnie, dlaczego ona nie potrafi, tak lekko i błyskotliwie jak Matt, rozprawiać o łóżku?

- Nie jesteś idiotką - szarmancko zapewnił Matt i odchrząknął. Teraz i on poczuł się jakoś niewyraźnie, nieswojo. - Postępuję wbrew wszelkim obyczajom obowiązującym pana młodego. - Zamilkł na moment, zawahał się, wypuścił powietrze z płuc. - No więc... chciałem ci powiedzieć, że mam całkiem spore doświadczenie w... ehm... tej sferze. Nigdy nie słyszałem żadnych skarg pod własnym adresem.

Jessie z głębokim zainteresowaniem wpatrywała się w jego obojczyk. Chciał dodać jej otuchy tym swoim stwierdzeniem. I dodał. Nie żeby musiał ją zapewniać o swoich kompetencjach, jakoś szczegól-

nie podnosić ją na duchu. Wiedziała, że Matt będzie uważnym, liczącym się z jej odczuciami i czułym kochankiem.

Bo Matt taki właśnie był - wrażliwy na ludzi, zważający na to, co może czuć druga osoba. Oczywiście nie piała z zachwytu, słysząc, że sypiał z innymi kobietami. Nie była to dla niej niespodzianka, ale nie musiał jej o tym przypominać. Z drugiej strony to dobrze, pomyślała, że Matt nie jest równie zielony jak ona w... tej sferze.

Przynajmniej jedno z nich wie, o co chodzi.

- Nie myślałam, że będę się tak denerwować - wyznała obojczykowi Matta.

Matt uniósł lekko jej brodę i Jessie musiała spojrzeć mu w oczy.

- Nie obiecuję, że ziemia zadrży i zobaczysz fajerwerki, ale zrobię wszystko, żeby było ci dobrze. Tyle mogę przyrzec. - Ujął jej twarz w dłonie, zbliżył usta do jej ust i zamknął je w długim, serdecznym pocałunku.

Dla Jessie za krótkim.

Odchylił głowę i spojrzał jej w oczy.

- Pozwól mi tylko, a zrobię wszystko, żeby było ci dobrze. Decyzja należy do ciebie, Jessie. Nie musisz robić nic, na co nie masz ochoty. Mogę przesiedzieć całą noc w fotelu, popijając szampana. Mogę oglądać stare filmy albo przespać się na kanapie, zostawiając ci to przepastne łożo.

- To nasza noc poślubna - szepnęła.

- Tak, nasza noc poślubna - powtórzył Matt. - Na szczęście nie ma policji poślubnej, nikt się tu nie

włamie i nie zaaresztuje nas pod zarzutem łamania tradycji. Możemy robić, co nam się podoba.

Jessie znowu utkwiała spojrzenie w obojczyku Matta i po raz kolejny podjęła próbę uporządkowania chaotycznych myśli. Matt dawał jej czas, ale po co? Żeby go lepiej poznała? Znała go od niepamiętnych czasów. Żeby przywykła do nowej sytuacji, oswoiła się z małżeństwem? Seks jest przecież składową częścią małżeństwa, jego ważnym elementem. Jeśli nie będą sypiać ze sobą, zostaną współlokatorami, nie mężem i żoną. Nie chciała współlokatora. Chciała męża. Matta.

- Żadnej presji, Jessie. - Uścisnął lekko jej ramię

Tak myślał. Naprawdę. Nie zamierzał jej do niczego zmuszać. Niech to diabli. Dlaczego nie może jej po prostu uwieść? Normalny, porządny męski egoista tak właśnie powinien się zachować. Ale nie. Matt dał jej wybór, postąpił jak odpowiedzialny i dojrzały człowiek. Jezu, bycie dojrzałym człowiekiem jest czasami okropne.

Przesunęła dłonią po jego piersi. Miała podejmować jakieś decyzje? Pragnęła Matta. Nie dlatego, że są od dzisiaj małżeństwem. Nie dlatego, że chciała mieć dziecko.

Pragnienie budziło się gdzieś znacznie głębiej, poza świadomością, było pierwotniejsze niż jakikolwiek powód, który mógłby je usprawiedliwiać. Nie przypuszczała nawet, że jest zdolna coś podobnego odczuwać. Nigdy wcześniej nie miała ochoty nikogo dotykać, a teraz najchętniej nie odrywałaby dłoni od ciała Matta. Pragnęła, by i on jej dotykał, pieścił ją.

Pragnęła czuć ciężar jego ciała na swoim ciele. Pragnęła poczuć Matta w sobie.

Jednym słowem pragnęła tego wszystkiego, o czym dotąd czytała tylko w romansach, co oglądała na ekranie kinowym, o czym mogła jedynie fantazjować.

Powiedziała Mattowi, że nigdy nie pragnęła żadnego mężczyzny aż tak, żeby pójść z nim do łóżka, i była to prawda. Uczucia, które żywiła dla Reilly'ego, miały w tym duży udział, ale nie były jedynym powodem. Zanim poszłaby z kimś do łóżka, powinna poczuć, że musi, po prostu musi kochać się z tym człowiekiem, bo inaczej będzie przez resztę życia żałować zmarnowanej okazji. Tak właśnie chciała czuć, ale to spełniło się dopiero dzisiaj.

Matt oparł dłonie na jej ramionach. Czekał. Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego, że jego panna młoda jest nietknięta jak świeży śnieg. Co prawda jakiś wystraszony głosik wewnętrzny popiskiwał „dziewica”, ale gdzieś w głębi świadomości, mrocznej i niezbadanej, odzywał się inny głos, który mówił „moja”. Głos bardzo pierwotny i prymitywny, sama jego obecność dożywotnio wykreślała Matta z klubu wrażliwych mężczyzn. Poza tym myślał, że Jessie nigdy jeszcze nie spała z innym, miała w sobie erotyczny powab. Bo też dawała Mattowi czysto męską satysfakcję, że oto ta kobieta, jego żona, będzie należała wyłącznie do niego.

Nie chciał wnikać, jak to się stało, dlaczego. Nie chciał się zastanawiać, czy uczucia Jessie dla Reilly'ego w jakiś sposób wpłynęły na jej decyzję. To

wszystko nie miało w tej chwili znaczenia. Liczyło się tylko to, że Jessie była teraz jego.

Nigdy jeszcze nie chciał posiadać żadnej kobiety tak całkowicie, tak bez reszty, duszą i ciałem. Nigdy dotąd nie odezwała się w nim potrzeba, by powiedzieć o kimś, że należy tylko i wyłącznie do niego. Nie przypuszczał nawet, że może odczuwać coś podobnego.

Jeśli jednak Jessie postanowi spać tej nocy sama, nie wpadnie w czarną rozpacz i nie będzie jej błagał na kolanach, by zmieniła zdanie. Przyjmie jej decyzję ze spokojem, jak dojrzałemu człowiekowi przystało, a potem zamknie się w łazience i będzie wył jak pies do księżycyca.

- Jak twoje ramię? - odezwała się nieoczekiwanie Jessie, przerywając nieco zbyt długie milczenie. Dotknęła lekko blizny, jakby się bała, że może sprawić mu ból.

- W porządku. - Matt spojrział na nią zdziwiony nagłym zainteresowaniem dziurą po kuli, ale Jessie wpatrywała się w jego pierś.

- Możesz... dźwigać?

Dotyk Jessie rozpraszał go do tego stopnia, że z trudem zrozumiał jej proste pytanie. Zamiast myśleć i koncentrować uwagę, najchętniej jednym porywczym ruchem położyłby teraz swoją żonę na dywanie i wszedł w nią tak głęboko, że staliby się jednością.

- Nie przesunąłbym jedną ręką ciężarówky, ale poza tym radzę sobie całkiem nieźle. - W porządku. Udało mu się wypowiedzieć pełne zdanie zupełnie

spokojnym głosem. Tak nie mówi facet, który za chwilę straci zdrowe zmysły. - Dlaczego pytasz?

Jessie przesuwiała dłonią po jego skórze, rozpalając w nim ogień. Trwało to w nieskończoność i przyprowadzało go o niewyobrażalne męki. A żona, zajęta poznawaniem jego ciała, nie odpowiadała.

- Jessie... - W głosie Matta odezwała się nuta ostrzeżenia.

- Od dawna marzyło mi się... - zaczęła i spojrzała mu w oczy. Nagle Matt zrozumiał, że tej nocy z całą pewnością nie będzie spał sam.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował, przesuwając językiem po ciepłym wnętrzu.

- Marzenia to moja specjalność - powiedział zmysłowym głosem.

- Że w środku nocy do mojej sypialni wchodzi wysoki, ciemnowłosy facet... - Jessie przerwała, zajęta gładzeniem owłosionej piersi Matta.

- Tak - zachęcił ją do kontynuowania opowieści.

- I ten wysoki, ciemnowłosy bierze mnie na ręce i niesie do łóżka... - znowu przerwała, trochę speszo-
na własną śmiałością.

- I co robi? - Matt pieścił językiem jej dłoń, każdy palec. - Co dalej, Jessie?

- Dalej... - Odeszła ją cała pewność siebie. - Dalej... tego... - W oczach Matta zabłysły wesołe ogniki i Jessie, całkiem już zdetonowana, ukryła twarz na jego piersi. - Czuję się jak... jak...

- Dziewica? - podsunął usłużnie.

- Tak. Dziewica i idiotka - mruknęła mu w pierś. - W dodatku śmiertelnie przerażona

idiotka. A przecież wiem, co ma nastąpić i wiem, że nie zrobisz mi krzywdy, ale teoria i praktyka to dwie zupełnie różne rzeczy. - Wzięła oddech. - Pragnę tego, Matt. Pragnę ciebie, ale nie mam pojęcia, jak zacząć i chciałabym...

Matt zanurzył palce w jej włosach, przerywając niezborny wywód pocałunkiem. Nie spieszył się, smakował usta Jessie, rozkoszował się nimi, przedłużał pocałunek, a kiedy oderwał się od niej, kiedy powoli otworzyła oczy, dojrzał w nich pożądanie. Pełne namiętności pożądanie i niepewność.

Matt sam zaczynał odczuwać lęk, bo oto opanowanie, którego tak potrzebował dzisiejszej nocy, gdzieś znikło. To ona, Jessie. Patrzył na nią i wiedział z całą wyrazistością, że pragnie czegoś znacznie więcej niż zwykłego zaspokojenia. Pragnął, żeby ta noc była dla niej czymś wspaniałym, spełnieniem wszystkich jej marzeń i wszystkich fantazji.

Wziął ją na ręce i pocałował lekko.

- Fantazje spełniamy na poczekaniu.

Jessie objęła Matta za szyję.

- Jak to dobrze, że nie ważę tyle co buick
- mruknęła i roześmiała się.

To przecież Matt, od dzisiaj jej mąż i zarazem stary przyjaciel. On na pewno nie zrobi jej krzywdy. Położyła mu ufnie głowę na ramieniu i zdała się całkowicie na niego.

Matt nie do końca jeszcze oprzytomniał po długim, ogarniającym ciało coraz silniejszymi, gwałtowniejszymi falami orgazmie.

Sam stracił dziewictwo mając piętnaście lat i od tamtego czasu nie wiódł szczególnie ascetycznego życia. Zaznał chyba wszystkich przyjemności, których może dostarczyć seks, ale czegoś podobnego nie przeżył nigdy dotąd.

Wyczerpany, spocony uniósł się z wysiłkiem na łokciu i spojrzał na Jessie. Spod jej półprzymkniętych powiek spłynęła powoli jedna srebrząca się łza...

- Jessie?

Otworzyła oczy, spojrzała na Matta wzrokiem osoby, która wraca do rzeczywistości z dalekiej podróży w inne, nowe regiony.

- Dobrze się czujesz? Nic cię nie boli?

- Nie. Tak. - Pokręciła głową i uśmiechnęła się lekko. - Na początku trochę bolało, potem już nie. To było... - Na próżno szukała słów na opisanie tego, co czuła, tego, co otrzymała od Matta. W końcu wyraziła to najprościej, od serca: - Było cudownie. - Uniosła dłoń i dotknęła jego policzka: - Dziękuję.

Matt uśmiechnął się czule, a w jego spojrzeniu pojawiło się coś, czego jeszcze nigdy nie widziała w oczach żadnego mężczyzny - wiedza, świadomość, która przyprawiała ją o rumieniec. Matt jeszcze z niej nie wyszedł, jeszcze czuła go w sobie, tak jak czuła, że od tej chwili jej ciało nie będzie już należało tylko i wyłącznie do niej.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kochanie - powiedział Matt, a kiedy Jessie zaczerwieniła się jeszcze bardziej, nachylił się i pocałował ją. - Miło wyświadczyć przysługę przyjaciółce - mruknął, na;o parsknęła śmiechem.

Śmiech Jessie przyprawił Matta o interesujące doznania, nie mające jednak nic wspólnego z wesołością. Jęknął cicho, poruszył się i zdołał wydobyć z siebie dwa słowa:

- Jeszcze raz.

A więc tak wygląda „nazajutrz”. Łagodny ból, przypomnienie nocnych zajęć, spowijał niby miękka, ciepła otulina całe ciało. Jessie obudziła się w innym świecie, sama była inną osobą niż wczoraj.

Gdzieś z korytarza czy z kogoś z sąsiednich pokoi dochodził stłumiony odgłos odkurzacza. Pora sprzątania. Ciekawe, która to godzina? Na pewno późna. Zasnęli dopiero o brzasku. Nigdy nie uważała się za kobietę namiętną tymczasem Matt pokazał jej, jak niewiele o sobie wiedziała.

Niezwykła noc.

Otworzyła oczy, spojrzała w lustrzany sufit i w jednej chwili rozbudziła się z resztek snu. Wielkie łóżce przypominało krajobraz po bitwie: skłębiona pościel, pogniecione prześcieradło, kołdra do połowy wysunięta z powłoki...

Spojrzała na odbicie Matta i usta same jej się wygięły w kocim uśmiechu. Mój. Leżał obok niej, na brzuchu, jedno ramię przerzucił przez jej tors, tak że rozluźniona dłoń niemal dotykała piersi.

Kiedy spał, wyglądał znacznie młodziej, z twarzy znikło zwykłe napięcie, które widziała u niego od chwili powrotu do domu.

Spojrzała na plecy Matta, zmarszczyła czoło na widok długich czerwonych krech na łopatkach i ob-

łała się gorącym rumieńcem. To przecież ślady jej paznokci.

Litości. Nie mogła uwierzyć, że aż tak się zapomniała. Podrapała go jak... Nie wiedziała, jak kto, ale bez wątpienia nieźle poszalała. A miała się za istotę spokojną pełną dystansu, opanowaną. Być może nawet nierozbudzoną seksualnie. I ta istota, której obce były dotąd szały namiętności, zostawia w chwili uniesienia ślady na skórze Matta.

Takiej siebie nie znała. Mocno zakłopotana odwróciła spojrzenie od pręg na plecach Matta i napotkała w lustrze własne odbicie. Wpatrywała się w nie przez moment, jakby zobaczyła kogoś obcego. Twarz okolona złotobrazowymi włosami, wielkie, szeroko otwarte oczy, a w nich odrobina wahania, niepewności i coś, czego wcześniej nie było - głęboka kobieca mądrość albo... dojrzałość.

Określenie „dojrzałość” (jak dojrzały owoc, pomyślała z uśmiechem) zrodziło natychmiast nieuchronne skojarzenie. Mogę być w ciąży, przemknęło jej przez głowę i uśmiech natychmiast zniknął z twarzy nowej Jessie. Dziecko było pierwszym i głównym powodem decyzji o małżeństwie, ale minionej nocy jakimś sposobem oddaliło się w nieznaną. Prawdę powiedziawszy, nie myślała o nim prawie wcale od dnia, kiedy zgodziła się wyjść za Matta. Hmm. Tu Jessie przygryzła wargę. Powinna czuć z tego powodu wyrzuty sumienia?

- Szukasz śladów rozpusty na swojej twarzy?
-Zaspany jeszcze głos Matta na pewno budził myśl o rozpuście.

Drgnęła zaskoczona, odwróciła głowę, spojrzała na Matta, potem po sobie i dopiero teraz dotarło do niej, że leży odkryta do pasa. Chciała się zasłonić, chwyciła róg kołdry, ale Matt też chwycił. Szarpała, on nie puszczał. Zgromiła go wzrokiem, on wyszczerzył zęby.

- Mężczyzna, który ucieka się do przemocy wobec kobiety, zachowuje się poniżej krytyki - oznajmiła wyniośle. Trudno, co prawda, zachować wyniosły ton, kiedy człowiek leży nagi w skotłowanym łóżku, niemniej Jessie włożyła wiele wysiłku w to, żeby swoje starania uwieńczyć sukcesem, i w pewnej mierze nawet się jej udało.

- Mądry mężczyzna wykorzystuje wszystkie dostępne sposoby. - Matt jeszcze mocniej szarpnął kołdrę. - W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone - mruknął, przysuwając się do Jessie.

- Szczególnie na wojnie. - Jessie przesunęła się na brzeg łoża z zamiarem wykonania szybkiego odwrotu i okopania się na bezpiecznych pozycjach w łazience. Matt był jednak szybszy. Chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie.

W bezpośrednim starciu Jessie przeszła do ofensywy i pokonała Matta. Ciężarem własnego ciała przygniotła go do materaca, po czym unieruchomiła mu dłoń.

- Poddajesz się?

Matt uniósł brew.

- Mam się poddać słabszemu? Nigdy.

- Słabszemu? - zachnęła się.

Matt jednym szybkim ruchem oswobodził ręce.

wy dobył się spod Jessie. Teraz on był górą, dosłownie i w przenośni.

- Wygrałem - szepnął, zbliżając wargi do jej ust.

Jessie nie próbowała dyskutować z tym oczywistym faktem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sprawę miesiąca miodowego Jessie pozostawiła Mattowi. Tak było bezpieczniej, bo przygotowania do ślubu i wesela poważnie nadwątlily jej zdrowie psychiczne. Gdyby miała jeszcze myśleć o podróży poślubnej, z pewnością wylądowałyby w domu wariatów.

Matt wybrał niewielki hotel na półwyspie Monterey. Kilka skromnych piętrowych pawilonów ze szkła i drewna usytuowanych pośród sosen nad brzegiem oceanu, zgrabnie wkomponowanych w surowy pejzaż.

Teren hotelu ciągnął się do samych wydm, starannie regenerowanych przez pracowników parku narodowego. Wystarczyło przejść przez drewnianą bramę i było się nad Pacyfikiem. Tutejsza plaża, wąska, kamienista, ciągnąca się wzdłuż poszarpanej linii brzegowej, pozbawiona piasku, z mnóstwem przybrzeżnych skałek, nie nadawała się ani dla miłośników surfingu, ani dla amatorów opalenizny.

Na wydmach można było spotkać sarny, popatrujące na ludzi swoimi wielkimi oczami, raczej zdziwione niż wystraszone. Drugiego dnia, podczas spaceru kamienistą plażą zobaczyli dwie wydry morskie hasające w spokojnej zatoczce.

Jessie nie mogła się nacieszyć. Wszystko ją zachwycało - wydry, sarny, powyginane wiatrami sosny, spokojny luksus pokoju hotelowego, zapierający dech w piersiach widok z balkonu. Gdyby miała opisać wymarzone miejsce na podróż poślubną, wyglądałoby ono dokładnie tak, jak zakątek wybrany przez Matta. Otoczenie było cudowne, ale z drugiej strony cieszyłaby się swoim miesiącem miodowym, nawet gdyby musiała go spędzić w Dolinie Śmierci. To nie sympatyczne zwierzątka i nie fale rozbijające się o skały nadawały światu zupełnie nową barwę.

- Matt? Obudź się.
- Śpię. - Matt ukrył twarz w poduszce. - Śpię jak zabity.
- Nie wierzę ci. - Materac się ugiął i Jessie przysiadła na łóżku. - Jeśli mówisz, to znaczy, że nie śpisz.
- Mówię przez sen.
- Kłamiesz przez sen - powiedziała z przyganą w głosie i nie zważając na głośne protesty Matta, ściągnęła z niego kołdrę. - Czas wstawać.
- Która godzina? - Matt zakrył głowę poduszką, nie otwierając oczu.
- Szósta.

- Rano? - przeraził się.
 - Rano - przytaknęła żona bez serca. - Wstawaj. Obiecałeś.

- Zostałem wprowadzony w błąd. - Zdjął z głowy poduszkę, odwrócił się i posłał Jessie mordercze spojrzenie. - Myślałem, że żartujesz.

Jaka ona rozbudzona, pomyślał z głębokim niesmakiem. Rozbudzona i rozświergotana.

- Wstawaj i ciesz się nowym dniem.

Jezu, naprawdę ogarnął ją niezdrowy entuzjazm.

Matt jęknął i opadł na poduszkę, nie przestając mierzyć żony strasznym spojrzeniem. Siedziała na łóżku, z podwinętą nogą, ubrana w długą, wzorzystą spódnicę i ogromny biały sweter sięgający do pól uda. Złotobrazowe włosy spięta do tyłu dwoma niebieskimi klamerkami. Ślicznie wygląda, pomyślał, ożywiając się.

- Źle spałem minionej nocy - oznajmił z miną człowieka cierpiącego na chroniczną bezsenność.
 - Ciągle się budziłem.

- To nie moja wina - oznajmiła Jessie stanowczo, dobrze mając w pamięci, jakie to sprawy utrudniały mu zaśnięcie.

- I tu się mylisz. Jak najbardziej twoja. - Matt chwycił ją za rękę i pociągnął do siebie. - Co człowiek może zrobić, kiedy budzi się w środku nocy i widzi owinięte wokół siebie powabne ciało?

- Nie owijało cię żadne ciało - obruszyła się Jessie. - To ty budziłeś mnie dwa razy.

- Trzy razy - poprawił ją Matt, czując narastające zainteresowanie. - Spróbujmy po raz czwarty.

- Jesteś nienasycony - prychnęła, ale błysk w jej oczach mówił, że nie tylko Matt zachował żywe wspomnienie zająć ostatniej nocy.

- Jestem w podróży poślubnej. - Matt szeroko otworzył oczy, zrobił niewinną minę i bardziej zdecydowanie pociągnął Jessie ku sobie. Skoro już został obudzony o tak niehumanitarnej godzinie, niech przynajmniej coś z tego ma. - Muszę podtrzymywać tradycję.

- Matt, ja naprawdę... Ojej! - Jessie pisnęła i wylądowała na piersi Marta.

W pokoju zapadła cisza, jeśli nie liczyć cichych westchnień i jednego namiętnego jęku. Matt już był gotów przyznać, że budzenie się o godzinie szóstej rano nie musi być wcale złym pomysłem, kiedy Jessie gwałtownie oderwała usta od jego ust.

- Nie, proszę - sprzeciwiła się stanowczo, z trudem łapiąc przy tym oddech. - Nie uda ci się znowu mnie zbałamucić. - Odepchnęła natrętne dłonie Matta. - Wczoraj do południa nie wychylił się nosa z pokoju.

- Czy to moja wina, że jestem taki porywający?
 - Matt oparł się na łokciu i uśmiechnął przewrotnie.
 - Wróć do łóżka, Jessie. Pacyfik na nas zaczeka.
 - Ale sarny mogą nie czekać.

Matt ciągle nie pojmował, co się właściwie dzieje. Znał Jessie wiele lat i nigdy dotąd nie budziła w nim cienia pożądania, a teraz nie mógł się nią nacieszyć i nasycić. Wprawnym okiem ocenił dzielący ich dystans. Siedziała zbyt daleko, żeby ją chwycić. Należało uciec się do subtelniejszej taktyki.

- Wiesz, to prawdziwa męka dla mężczyzny, jeśli nie może rozładować podniecenia.

Mina mężczyzny cierpiącego męki spotkała się z pełnym wzgardy piychnięciem.

- Nie kombinuj, Latimer. - Jessie nie miała dla niego litości. - Pamiętasz, przyłapałeś mnie kiedyś, jak całowałam się z Billem Thompsonem w altanie w naszym ogrodzie? Miałam wtedy piętnaście lat.

- Bill Thompson? Ten bez szyi? - Kiedy Jessie przytaknęła, Matt się skrzywił paskudnie. - Wsuwał ci łapska pod bluzkę - mruknął, raptem zirytowany, że Bill Thompson bez szyi przed bez mała piętnastu laty wsuwał Jessie łapska pod bluzkę.

- Owszem, ale nie zdążył przejść do żadnych zasługujących na zainteresowanie działań - westchnęła Jessie z niejakim żalem. - Poza tym trenował podnoszenie ciężarów i dlatego cierpiał na... zespół ABS, czyli Absolutny Brak Karku - rozszyfrowała uprzejmie skrót, na wypadek gdyby Matt go nie znał.

- Miał osiemnaście lat. Był dla ciebie za stary - orzekł Matt.

- Dokładnie to samo oznajmiłeś piętnaście lat temu. Bardzo głośno i wyraźnie. Pamiętasz, co jeszcze powiedziałeś?

- Może - bąknął Matt ostrożnie.

- Wystraszyłeś biednego Billa tak, że uszła z niego tygodniowa porcja sterydów, a potem zrobiłeś mi wykład o sztuczkiach, których używają chłopcy, żeby sprowadzić niewinne dziewczynki z drogi cnoty. Pamiętasz?

Matt skrzywił się jeszcze paskudniej. Niestety, pamiętał.

- Tłumaczyłeś mi, żebym nie wierzyła nigdy żadnemu facetowi, który żali się, że nie może... rozładować podniecenia i chyba od tego zachoruje. - Posłała mu niewinne spojrzenie. - Chyba mnie nie okłamywałeś?

Oto co znaczy polec od własnej broni. Matt odchrząknął i przestał się zastanawiać, czy pod tym ogromnym białym swetrem Jessie ma stanik.

- Nie okłamywałem cię, skąd, tylko, widzisz... po ślubie jest inaczej. - Jessie uniosła brwi. - Kiedy mężczyzna się żeni, w organizmie zachodzą zmiany chemiczne i... - Chichot Jessie wskazywał, że taktyka obrona przez Matta okazała się zupełnie nieskuteczna. - Śmieję się, śmieję - mruknął. - Nie będzie ci do śmiechu, jak umrę w męczarniach. - Sam z wysiłkiem zachowując powagę, przesunął się nieznacznie w jej stronę.

- Bardzo ci współczuję, Matt, ale do śmierci ci jeszcze...

Jessie została pojmana i jednym szybkim ruchem przewrócona na łóżko. Jeśli nawet chciałyby zgłaszać protesty, nie mogła, bo Matt natychmiast zamknął jej usta gorącym pocałunkiem. Kiedy wreszcie podniósł głowę, z gardła Jessie dobył się tylko cichy pomruk, a potem z niejakim trudem wyszeptane słowa:

- Obiecałeś wstać dziś wcześniej - udało się jej powiedzieć, acz w głosie zabrakło koniecznej w tej sytuacji przygany.

- Kochanie, naprawdę nie mogę już bardziej stać,

niż stoję - stwierdził Matt, podciągając do góry olbrzymi sweter Jessie. - Tylko pięć minut. Obiecuję się pospieszyć.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - sapnęła Jessie bez tchu.

- Zaraz ci udowodnię, że to bardzo dobry pomysł. - I tu Matt przeszedł od słów do czynów.

Zajął mu to znacznie więcej czasu niż obiecano pięć minut, ale udało się im wyjść z pokoju jeszcze przed południem. Matt oczywiście jęczał, że Jessie wyciąga go z łóżka i każe iść na plażę. Później również próbował przekonywać żonę, że istnieją znacznie przyjemniejsze sposoby spędzania czasu w podróży, bądź co bądź, poślubnej.

Całował ją na schodach. Na stopniach przed wejściem do budynku. Na ścieżce między sosnami. Uciekał się do różnych argumentów, głównie do perswazji pozawerbalnej, by namówić ją na szybki powrót do pokoju. Ostatnią próbę podjął w zacisznym zakątku między pawilonami, miejscu jak najbardziej stosownym do tego typu działań.

Kiedy wreszcie usiedli do śniadania na tarasie z widokiem na morze, Jessie miała mocno potargane włosy, pałające policzki i przyspieszony oddech, ale też odczuwała ogromną satysfakcję.

Oparła się pokusie.

Złożyła zamówienie u kelnera i spojrzała na Matta. Był ubrany w sprane dżinsy i obszerny biały sweter. Kiedy wychodzili z pokoju, miał porządną fryzurę, teraz ciemne kosmyki przypominały wronie

gniazdo. Jessie najchętniej za obecny stan czupryny Matta obwiniłaby wiatr, ale jeszcze pamiętała ich jedwabistą miękkość pod palcami. W końcu to nie wiatr je pieścił, tylko ona. Całując Matta, w długiej drodze na śniadanie.

Patrzyła teraz na niego i zastanawiała się, czy aby na pewno miała rację, obstając z takim uporem przy porannym spacerze. W końcu sarny nie zostały dotąd wpisane na listę zagrożonych gatunków, a oni mieli jeszcze przed sobą dwa dni...

- To ty tęskniłaś za bezpośrednim kontaktem z naturą - rzucił Matt niby od rzeczy, ale jego pełen samozadowolenia uśmiech zdradzał, że udało mu się przejrzeć żonę na wylot.

Jessie chwyciła szklanekę z sokiem pomarańczowym, jakby to była ostatnia deska ratunku i zrobiła minę osoby całkowicie wolnej od wszelkich drożnych myśli.

- Skoro już tu przyjechaliśmy, powinniśmy cieszyć się... ehm... pięknem tego miejsca.

- Właśnie chciałem się cieszyć pięknem, chociaż może niekoniecznie tego miejsca - mruknął Matt, odchylając się w fotelu. Zagadnienia piękna nie rozwijał, bo kelner przyniósł właśnie kawę i muffinki.

Jessie uznała, że najbezpieczniej będzie skupić się na popijaniu soku pomarańczowego. Co prawda słowa Matta sprawiły jej przyjemność, ale też wprowadziły w zakłopotanie. Podobnie jak jego uśmiech-uśmiech faceta, który ma wyłącznie drożne myśli i wcale się z tym nie kryje. Żeby zmienić temat, wskazała głową na aparat przewieszony przez oparcie fotela.

- Dobrze, że go wzięłeś. Skoro wyszłam za światowej sławy fotografa, niech mój fotograf zadba o dobre zdjęcia z podróży poślubnej.

Sięgnęła po mufinkę, więc nie mogła zobaczyć znieruchomiałej twarzy Marta. Powoli opuścił rękę i dotknął aparatu. Nie pamiętał, że zabrał go ze sobą. zrobił to zupełnie bezwiednie, chyba tylko na mocy odruchu warunkowego. Przez tyle lat nie wyruszał w żadną podróż bez sprzętu, że tym razem też go zapakował, tak jak spakował maszynkę do golenia czy zapas czystych skarpetek. Po przyjeździe na Monterey wrzucił aparat na dno szafy i zupełnie o nim zapomniał. Aż do dzisiaj.

Przesuwał palcami po zniszczonym futerale i przyglądał się zajądającej mufinkę Jessie. Restauracja, pawilon o przeszklonych ścianach, otwierała się z trzech stron na krajobraz otaczający hotel: ocean, wydmy i lasy sosnowe. Światło słoneczne kładło się miękkim blaskiem na podłogach, wydobywając szlachetny połysk drewna, podkreślało śnieżną biel wykrochmalonych obrusów, igrało rdzawożłotymi refleksami we włosach Jessie.

Wyglądała tak ślicznie, że Matta zdjęła nagła ochota, żeby ją sfotografować. Teraz, przy stoliku, albo wędrującą boso po plaży, z rozwianymi włosami.

- Aż dziw, że dopiero dzisiaj przypomniałeś sobie o aparacie - powiedziała z uśmiechem. - Tutaj jest tak pięknie, pewnie nie mogłeś się doczekać, kiedy wreszcie zaczniesz robić zdjęcia.

- Jakoś do tej pory nie narzekałem na nudę - rzucił Matt lekkim tonem.

Mógł powiedzieć, że ma znacznie większe doświadczenie w fotografowaniu śmierci i zniszczenia niż pięknych widoków, ale nie powiedział. Bo też nie piękne widoki przykuwały teraz jego uwagę.

Do kolacji zdążył wypstrykać trzy rolki filmu. Żeby zrobić przyjemność Jessie, fotografował pełne wdzięku sarny, fale rozbijające się o skały i malowniczo powyginane pnie cyprysów. Dla własnej przyjemności robił zdjęcia żonie - jak biegnie plażą z rozwianymi włosami, jak zanosi się śmiechem na widok komicznych mew, jak ostrożnie zanurza stopę w Pacyfiku.

Tyle miał obaw, tak się lękał, że nigdy już nie weźmie aparatu do ręki, tymczasem bez większych oporów wrócił teraz do swojego ukochanego zajęcia. Kadrowanie, ustawianie przesłony, ostrości - wszystko robił automatycznie, w sposób naturalny. I od dawna nie czuł się tak dobrze, znowu był sobą, tym samym człowiekiem co kiedyś, jakby zasklepiło się jakieś wewnętrzne pęknięcie.

Tej samej nocy, pierwszy raz od dnia kiedy poprosił Jessie, by za niego wyszła, wróciły koszmarny senne.

To dziwne uczucie, dzielić z kimś sypialnię, która od ósmego roku życia należała wyłącznie do mnie, pomyślała Jessie. Siedziała po turecku na środku łóżka i wpatrywała się w smugę światła pod drzwiami łazienki. Za chwilę w tych drzwiach pojawi się Matt. Ogarnęła ją nagła nerwowość.

Dziwne, głupie uczucie.

Od tygodnia byli małżeństwem, od tygodnia sypiali razem. Dzielili łożo co noc, a i za dnia, jeśli chodzi o ścisłość, a jednak się denerwowała. Tu, w dawnej sypialni, jej sypialni, wszystko nabierało innego znaczenia, innego wymiaru.

Pewnie przeniosą się w końcu do pokoju dziadka, na końcu korytarza, ale na razie sypiali tutaj. Tutaj Matt trzymał wszystkie swoje rzeczy, a Jessie nie spieszyło się specjalnie do organizowania przeprowadzki. Gdyby wiedziała, jak dziwnie będzie dzielić z Mattem własny pokój, być może zacisnęłaby zęby i przystąpiła jednak do działania.

- Wiesz, kiedy miałem szesnaście lat, chodziłem z Angelą Delveccio.

Jessie drgnęła wystraszona. Była tak pogrążona w swoich rozmyślaniach, że nie usłyszała, kiedy Matt wyszedł z łazienki.

- Chodziliśmy do jednej klasy i raz w tygodniu odwiedzałem ją w domu. Mieliśmy uczyć się razem matematyki.

Oparty o futrynę, przepasany jaskrawożółtym ręcznikiem, wyglądał bardzo... pociągająco i trochę groźnie.

- Kiedy u niej byłem, drzwi od pokoju musiały być uchylone, tak zarządzili rodzice. Wyobrażali sobie, że w ten sposób uchronią nas przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

- Uchronili?

- Trudno nawiązać kontakt fizyczny z drugą osobą jeśli matka wybranki co dwie minuty zagląda

do pokoju. - Pełen satysfakcji uśmiezek Matta wskazywał, że bliski kontakt z Angelą został jednak nawiązany. Zapewne w otoczeniu bardziej sprzyjającym kontaktom międzyosobowym niż dom rodzinny panny Delveccio. - Ta sypialnia stała się na jakiś czas obiektem moich fantazji.

- Sypialnia?

- Aha. - Matt oderwał się od futryny i na bosaka podszedł do toaletki. Dotknął kilku przedmiotów, wziął do ręki flakonik z perfumami, otworzył go, przytknął do nosa, odstawił, przesunął końcami palców po miękkim pędzelku do nakładania pudru. W końcu odwrócił się ku Jessie, oparł się o blat. - Pokój Angeli urządzony był na różowo. Pachniał pudrem i perfumami. Śliczny dziewczynski pokój. Często wyobrażałem sobie, że jesteśmy w tym jej pokoju, zupełnie sami, nikt nas nie pilnuje i ja ją biorę na ślicznym łożku, przykrytym śliczną kapą w kwiatki. - Wsunął kciuk pod ręcznik.

- Ja... też mam kapę w kwiatki - wykrztusiła z trudem Jessie. Matt nawet jej nie dotknął, a przecież cała drżała z podniecenia.

- Zauważyłem. - Matt uśmiechnął się uśmiechem, od którego Jessie zrobiło się gorąco. - Nie wiem, czy interesuje cię współpraca przy realizacji moich starych fantazji.

Tu jaskrawożółty ręcznik osunął się miękko na podłogę i Jessie musiała dwa razy przełknąć ślinę, zanim zdołała odpowiedzieć.

- Nie jestem Angelą Delveccio.

Matt jednym susem, może trzema, znalazł się przy

łóżku, położył Jessie dłonie na ramionach i przycisnął ją do materaca.

- Przepraszam, jaką Angellą? - mruknął, zbliżając usta do jej ust.

Jeśli wierzyć ludowym mądrościom, pierwsze tygodnie małżeństwa często bywają trudne; młodzi usiłują się dostosować do nowego życia, odnaleźć w nowej sytuacji. Matt naczytał się dość poradników z zakresu psychologii, by wiedzieć, że to czas pełen napięć, że mogą zdarzać się sprzeczki, może nawet dojść do gwałtownych awantur. Zgodnie z teorią powinien odczuwać dyskomfort z powodu utraconej wolności, tej mitycznej, legendarnej wolności, jakiej zażywa jakoby każdy kawaler.

Jak na złość, nie odczuwał żadnego dyskomfortu, przeciwnie, znajdował nowe życie nadzwyczaj wygodnym i satysfakcjonującym. Bo niby dlaczego miałyby tęsknić za swoim zimnym, bezosobowym mieszkaniem w Seattle, kiedy miał wreszcie ciepły, przytulny dom. Prawdziwy dom, własne miejsce na świecie. Z jakiej racji miałyby tęsknić za połykanymi w samotności gotowymi obiadami, kiedy Jessie była mistrzynią w kuchni. Trudno, żeby tęsknił za pustymi dniami, tygodniami, miesiącami i latami, za ponurym czasem, kiedy był sam.

Co nie znaczy, że to wspólne życie było wolne od niedoskonałości. Na przykład Jessie miała okropny zwyczaj budzenia się o świcie, ale w końcu są na świecie gorsze nieszczęścia niż tulenie w ramionach

rozkosznie pomrukującej żony. Był też problem natury muzycznej. Matt lubił Czajkowskiego i Rachmaninowa, czasami dla odmiany słuchał starego rock and rolla albo Sheryl Crow, natomiast Jessie z klasyków ceniła sobie najbardziej Hanka Williamsa i Partidge Family. Dochodzenie do jakichś ustaleń w tej dziedzinie zaczynało się od taktownych uwag, przechodziło w śmiech i dziecinne przekomarzanie i kończyło zazwyczaj miłosnymi uniesieniami na dywanie przed kominkiem.

Matt co prawda znowu zaczął robić zdjęcia, ale nadal nie wiedział, jak ułożyć się jego przyszłość zawodowa. Jednego tylko był pewien - że nie wróci do dawnego zajęcia. Niech ktoś inny utrwała na kliszy tragedie, nieszczęścia, ludzkie cierpienie, on już nie chciał tego robić. Odłożył wystarczającą ilość pieniędzy, nie musiał się spieszyć z podejmowaniem decyzji. Na razie obiecał Jessie zrobić ilustracje do książki jej dziadka i wprawił ją tą wiadomością w autentyczny zachwyty. Jego samego też cieszyła perspektywa spróbowania własnych sił w fotografii o zupełnie innym charakterze niż ta, którą zajmował się dotychczas.

A jeśli przypadkiem cierpiał na nadmiar wolnego czasu, pomagał Gabe'owi. Wbijął gwoździe, heblował deski albo spędzał kilka godzin z głową pod maską starego chevroleta. Remontował go tak dokładnie i niespiesznie, że, jak obliczył, doprowadzenie samochodu do stanu używalności powinno mu zająć najbliższych dwadzieścia lat - perspektywa, która napawała go spokojnym zadowoleniem.

Miał żonę, miał wreszcie dom, zaczynał wszystko od początku. Życie bywa piękne.

I byłoby doskonale piękne, gdyby nie to, że wróciły koszmary, jeszcze gorsze, bardziej męczące niż dawniej. Już prawie uwierzył, że odchodzą a rany w psychice zabliznią się, jak zablizniła się rana po kuli. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego znowu zaczęły go nawiedzać złe sny. Czy dlatego, że ponownie sięgnął po aparat? A może jakaś kosmiczna siła dbała o to, by nie było mu zbyt dobrze, by nie popadł w błogostan, więc sprowadzała na niego koszmary?

Tak czy inaczej kilka razy w tygodniu budził się w środku nocy spocony, z bijącym sercem, z głową wypełnioną mglistymi obrazami utkanymi z sennych przywidzeń i rzeczy zapamiętanych. Nie sposób było odróżnić realne od urojonego.

Leżał potem długo w ciemnościach, wsłuchując się w spokojny oddech Jessie, czując jej ciało tuż obok, i powtarzał sobie, że to jest realne. Miejsce, które widywał w snach, nie istniało, należało do przeszłości. I tam powinno pozostać.

Jedno prawe, dwa lewe. A może jedno prawe i jedno lewe? Jessie patrzyła podejrzliwie na robótkę leżącą na kolanach. Ekspedientka w sklepie z włóczkami twierdziła, że dość spojrzeć, i człowiek od razu odróżni prawe oczko od lewego. Rzeczywiście wyglądały inaczej, problem tylko w tym, żeby wiedzieć, które jest które. I czy prawe przerabiać w lewo, a lewe w prawo.

czy lewe w lewo, a prawe w prawo? A jak po drugiej stronie, kiedy odwróci robótkę?

Przygryzła język, nabrała włóczkę na drut, przeciągnęła przez oczko. Ważne, żeby się nie poddawać. Podniosła robótkę i przyjrzała się jej bacznie. Czy ściągacz powinien być taki ażurowy? Spojrzała na opuszczone oczko kilka rządków poniżej aktualnie przerabianego. Hmm. Co z tym fantem zrobić? Tak miało być czy się pomyliła?

Opuściła niedoszły sweter na kolana i rozprostowała palce zdrętwiałe od ściskania drutów. Kobieta w sklepie z włóczkami zapewniała, że to śmiesznie prosty wzór i poradzi sobie z nim każdy, nawet ktoś, kto nigdy nie miał drutów w ręku. Akurat! „Kilka rządków przerobi pani ściągaczem, reszta zwykłym, gładkim ścięciem pończoszniczym - paplała radośnie. - Taki sweterek zrobi pani z zamkniętymi oczkami”.

Może powinnam zamknąć oczy? - zastanawiała się Jessie, popadając w coraz bardziej ponury nastrój. Oto skutki wybujałej wyobraźni. W sklepie, patrząc na mieniące się wszystkimi kolorami tęczy rzędy motków, wyobraziła sobie, jak siedzi przy kominku i rytmicznie porusza drutami. Na kominku płonie ogień... Matt z gazetą w ręku siedzi naprzeciwko. Rozkosznie, przytulnie, przyjazny blask płomieni, irzask polan...

Nieważne, że to dopiero połowa października i za ciepło jeszcze na rozpalanie ognia. Nieważne, że Matt, jeśli w ogóle sięgał po gazetę, to przerzucał ją pobieżnie przy śniadaniu. Tak ją uwiódł ten obraz

domowego ogniska, że nie licząc się z kosztami, kupiła wełnę na sweter dla Matta. Teraz należało tylko przekonać męża, że ściągacz powinien być ażurowy.

Spojrzała na niego i jej usta same ułożyły się do uśmiechu. Spał wyciągnięty na kanapie, jedną stopę oparł o podłogę, drugą na oparciu kanapy. Obok kanapy leżała otwarta książka, wieczorna lektura Matta. Z głośników sączyła się muzyka klasyczna; tego dnia to Matt wybierał zestaw do słuchania. Powiedział jej, czyj to utwór, ale zapamiętała tylko tyle, że nazwisko składało się z mnóstwa sylab i brzmiało jakoś tak... rosyjsko. Pokpiwała co prawda z gustów muzycznych męża, ale powoli je przejmowała. Bardzo wątpiła, czy ona z kolei zdoła go zarazić uwielbieniem dla Dwighta Yoakama albo Collina Raye'a, ale tolerował jej wybory, z rzadka tylko protestując.

Zdumiewające, ile rzeczy wydarzyło się w tak krótkim czasie, jak radykalnie zmienił się jej świat w ciągu zaledwie kilku miesięcy od śmierci dziadka po nieoczekiwany ślub. Jeden rozdział życia zamknął się bezpowrotnie, rozpoczął się nowy. Nie zaszła jeszcze w ciążę, ale wierzyła, że wkrótce tak się stanie. Obydwoje pracowali nad tym z ogromnym zapałem.

Przerobiła kilka oczek i przyznała, że od dnia ślubu niewiele myślała o dziecku. Pragnęła go, ale przestało być jej jedynym, najważniejszym celem. Małżeństwo, dom, Matt, rodzina, wszystko to stanowiło teraz nierozłączną całość, w którą w sposób naturalny, wpisywała się także myśl o dziecku.

Matt. Wspólna przyszłość...

Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że człowiek, który od tylu lat był jej wiernym przyjacielem, tak szybko, tak łatwo stał się mężem. Nie mogła uwierzyć, że kiedyś, jeszcze nie tak dawno, potrafiła patrzeć na Matta i nie pragnąć go, nie tęsknić za dotykiem jego dłoni, za ciepłem jego ciała.

Drut omsknął się w dłoni, zsunęły się dwa oczka. Skrzywiła się, mruknęła pod nosem coś niecenzuralnego i podjęła heroiczną próbę naprawienia błędu. "Każdy da sobie radę, nawet początkujący". Jasne. Pewnie. Początkujący z dyplomem inżyniera być może dałby sobie radę.

- Wiesz, zdarzało mi się widzieć ludzi, którzy rozbrajali miny i mieli przy tym znacznie szczęśliwsze miny niż ty teraz - odezwał się Matt głosem jeszcze zaspanym, ale wyraźnie rozbawionym.

- Rytmiczne stukanie drutów pomaga się zrelaksować. To prawie jak medytacja - oznajmiła Jessie, nie podnosząc głowy.

- To dlatego tak zaciskasz palce, że ci knykcie zbielewały, i zgrzytasz zębami, aż tutaj słyszać? - zainteresował się Matt uprzejmie.

- To kwestia wprawy - mruknęła Jessie, przerabiając kolejne oczko.

- I siły mięśni.

Jessie roześmiała się, opuściła robótkę na kolana i spojrzała na męża niby to z urazą.

- Doprawdy nie masz za grosz szacunku dla ludzkiej kreatywności.

- Za grosz, kiedy widzę malujące się na twojej twarzy cierpienie.

- Robienie na drutach ma w sobie wiele... - Jessie długo szukała stosownego określenia. - Domowego ciepła - stwierdziła wreszcie. - Kojarzy się ze spokojem. Wiesz, myślę, że żony pierwszych osadników musiały robić na drutach, żeby szybciej zadomowić się na nowym miejscu.

- Żony pierwszych osadników przede wszystkim oprawiały wiewiórki, żeby mieć co włożyć do garnka - zauważył trzeźwo Matt. - Masz w najbliższych planach potrawkę z wiewiórki?

- Nie, chyba opuściłam zajęcia, kiedy był wykład na temat potrawki z wiewiórki. - Jessie zmarszczyła nos. - Jak myślisz, ile wiewiórek trzeba na duży garnek potrawki?

- To zależy, czy będziesz miała duże czy małe wiewiórki. - Matt poprawił poduszkę pod głową i umościł się wygodniej.

- Skoro już jesteśmy przy jedzeniu - podjęła Jessie. - Na Święto Dziękczynienia chciałam przygotować tradycyjne dania.

- Jeśli zaraz powiesz mi, że będzie potrawka z wiewiórki, to tego dnia nie zbliżę się do domu.

Jessie zaśmiała się.

- Nie, nie będzie potrawki z wiewiórki, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby nasi przodkowie tego dnia zjadali się właśnie takim daniem. - Jessie rozłożyła wzór swetra i zaczęła porównywać z efektami własnej pracy.

Matt obserwował ją spod przymkniętych powiek. W żółtopomarańczowych legginsach, w obszernym rdzawym swetrze, z rozpuszczonymi włosami opada-

jącymi złocistymi falami na ramiona, wyglądała jak leśny duszek.

- Zaprosiłam już Gabe'a na kolację. Chciałabym też zaprosić Lurene, ona nie ma tu żadnej rodziny. - Zerknęła na Matta i uśmiechnęła się, kiedy skinął głową na znak aprobaty. - Myślałam też, żeby zaprosić Danę i Reilly'ego. Jego matka nie ruszy się z Santa Fe. Jeśli oni nie pojedą do niej albo do rodziców Dany, będą sami. Są dla nas prawie jak rodzina... w każdym razie Reilly. Mogliby przyjść do nas, bo Reilly lubi spędzać święta w dużym gronie.

- Zaproś ich, nie mam nic przeciwko temu. - Wbrew własnym słowom, Matt poczuł ukłucie zazdrości, słysząc, jak Jessie troszczy się o dobre samopoczucie Reilly'ego. To naturalne, przekonywał sam siebie, przecież Reilly jest jej przyjacielem. Ich przyjacielem.

- Zdecydowałam, że podam tylko tradycyjne dania - powtórzyła. - Nic wymyślnego. Mam świetny przepis na indyka pieczonego w folii. Do tego zawiesisty sos jabłkowy z odrobiną tymianku. Albo inny przepis... Nagrzewasz najpierw piekarnik do temperatury dwustu stopni i potem...

Mattowi opadły powieki. Niewiele spał ostatniej nocy. Poprzedniej zresztą też, jeśli chodzi o ścisłość, i teraz czuł miłe rozleniwienie. Słuchał entuzjastycznego tonu Jessie, analizującej kolejne przepisy na tradycyjnego indyka. Ostatecznie zdecydowała, że będzie z nadzieniem. Kiwał z aprobatą głową, gdy rozważała różne wariacje farszu - z ostrygami, na

bazie ryżu, z orzeszkami i grzybkami, w rozmaitych kombinacjach i proporcjach.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł tradycyjną kolację na Święto Dziękczynienia. Najczęściej święta spędzał poza krajem, a nawet jeśli był akurat na miejscu, nie przygotowywał świątecznej kolacji. Samotna wyprawa do restauracji wydawała mu się czymś tak przygnębiającym, że wolał odgrzać sobie gotowe danie i spędzić ten wieczór przed telewizorem, oglądając jakiś mecz piłki nożnej.

Po raz ostatni zasiadał do świątecznego stołu, kiedy był dzieckiem, zanim odszedł ojciec. Nie utkwił mu w pamięci żaden konkretny wieczór jakiegoś konkretnego roku, wszystkie święta w jego rodzinnym domu były do siebie podobne, szare, wypełnione milczeniem. Pewnie dlatego zlewały się w jedno wspomnienie.

Zawsze spięty, czujny, zerkał to na ojca, czy ten znowu nie chwyci za pas, to na matkę, której szkliste oczy i nieobecny uśmiech świadczyły, że zdążyła się już znieczulić wódką. Nikt się nie śmiał, nikt nie rozmawiał, tylko ojciec od czasu do czasu mruknął, żeby podsunąć mu to czy tamto danie. W takiej, pełnej napięcia atmosferze upływały rodzinne święta w domu Matta. Nie pamiętał nawet smaku potraw. Jadł szybko, byle tylko opróżnić talerz i czmychnąć od stołu.

Trudno, by takie wspomnienia wywoływały szczególną nostalgię.

Jessie doszła do deserów i zastanawiała się, czy

powinna dodać odrobinę burbona do placka z dynią i czy jako drugi deser podać suflet, czy i tutaj pozostać raczej przy czymś bardziej tradycyjnym, na przykład upiec szarlotkę. Matt mruknął jedynie coś, co miało oznaczać zgodę lub sprzeciw, wedle uznania.

Miał ochotę powiedzieć, że cokolwiek Jessie poda, jemu na pewno będzie smakowało, ale z takim zapałem komponowała menu, że nie chciał jej psuć przyjemności. Dopóki nie domagała się od niego fachowych uwag, wolał ograniczyć się do biernego udziału w planowaniu ich pierwszej wspólnej świątecznej kolacji. Miło było leżeć sobie na kanapie i słuchać Jessie. Pogrążony w błogim letargu, nie od razu uświadomił sobie, że żona go o coś pyta.

- Słucham? - Otworzył oczy i spróbował przybrać przytomną minę.

- Teraz już nie mam najmniejszych wątpliwości, że jesteśmy małżeństwem - powiedziała cierpko, pochylając się nad robótką, która przybierała coraz bardziej skomplikowaną i trudną do określenia formę. - Ja mówię, a ty śpisz.

- Przepraszam. - Matt uśmiechnął się niewyraźnie, usiadł na kanapie, potrząsnął głową. Nie pamiętał, kiedy ostatnio przespał całą noc spokojnie i brak snu zaczynał dawać mu się we znaki. - Słuchałem bardzo uważnie. Zrobisz indyka doprawionego burbonem, z nadzieniem z dyni.

Jessie zasnurowała usta i posłała mężowi spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Właściwie powinnam tak zrobić.

- A ja bym go zjadł. Do ostatniego kęsa - zapewnił solennie. - O co pytałaś?

- Zastanawiałam się, czy nie powinieneś zaprosić swojej matki. - Zajęta robótką, nie mogła widzieć, jak twarz Matta tężeje, oczy stają się chłodne, pojawia się w nich błysk zawziętości. - Nie zaprosiliśmy jej na ślub, bo nie było czasu. Twierdziłaś, że to nie ma żadnego znaczenia, ale ja czuję się niezręcznie. Nie odezwała się do nas ani słowem, więc pomyślałam, że może się obraziła. Gdybyśmy zaprosili ją na Święto Dziękczynienia...

- Nie.

Jessie, zaskoczona ostrym tonem w głosie Matta, podniosła głowę.

- Co?

- Nie i już. Nie chcę jej zapraszać. Ani teraz, ani w ogóle. Nigdy.

Jessie opuściła ręce na kolana, zamrugała, nie dowierzając własnym uszom. Wiedziała, że ojciec odszedł, kiedy Matt miał kilkanaście lat, domyślała się też, że nie łączą go najlepsze stosunki z matką. Gdyby było inaczej, zgodziłby się, jak proponowała przełożyć ślub i ściągnąć matkę z Florydy. Sama wcześniej straciła matkę, całe życie brakowało jej matczynej miłości i nie bardzo mogła zrozumieć obojętność, a nawet wrogość męża wobec własnej rodzicielki.

- Wiem, że nie jesteście... ze sobą blisko, ale to jednak twoja matka. Nie widziałaś jej tyle czasu. Może pora zapomnieć o dawnych żalach. Co było minęło i...

Matt zerwał się z kanapy tak gwałtownie, że Jessie na moment wstrzymała oddech.

- Zostaw to, Jessie. - Wcisnął dłonie do kieszeni i odwrócił się do niej tyłem, próbując zapanować nad wzburzeniem. Chryste, skąd w nim tyle złości? Dawno już rozliczył się z rodzicami, zamknął tamten rozdział. Czy aby na pewno?

To pełne zrozumienia spojrzenie Jessie... Przecież ona nie jest w stanie zrozumieć.

Nie. Nic nie zrozumie.

Matt wziął głęboki oddech, próbował się jak najszybciej opanować.

- Po prostu zostaw to, Jessie. - Mówił spokojnie, cicho. - Nie chcę zapraszać matki do naszego domu. Czy to jasne?

- Nie - zachnęła się. - To wcale nie jest dla mnie jasne. - Odłożyła niewydarzoną robótkę na stolik, wstała i podeszła do Matta. - Ja straciłam rodziców, kiedy byłam dzieckiem. Rosłam bez ludzi, którzy dali mi życie. Nie wiem, co zaszło między tobą a twoją matką ale nadal masz szansę, żeby...

- Nie chcę żadnych szans - rzucił ostro. To brak snu, pomyślał. Dlatego tak łatwo tracę panowanie nad sobą. Budził się co noc złany potem, w uszach dźwięczało mu echo wystrzałów, krzyki. Budził się ze świadomością że znowu nie zdążył. Zawsze to samo. To nie była wina Jessie.

- Każdy chce - powiedziała miękko. - Może jednak powinieneś...

- Może powinnaś pilnować własnych spraw. - Ledwie to wykrzyczał, zobaczył, że oczy Jessie

rozszerzają się w zdumieniu, szoku, ale było już za późno. Nie tylko nie mógł cofnąć gorzkich słów, jeszcze je dopełnił: - Nie chcę widzieć mojej matki. Nie chcę rozmawiać ani z nią, ani o niej. I nie chcę, aby przebywała w naszym domu. Nie chcę, żebyś robiła mi wykłady na temat doniosłości więzów rodzinnych. To jest życie, Jessie. Prawdziwe życie, a nie kolejny odcinek jakiegoś cikliwego serialu. Tam na końcu wszyscy chwytają się za rączki i śpiewają zgodnym chórem „Grunt to rodzinka”.

Zobaczył strach na twarzy Jessie i dopiero to sprawiło, że ochłonał, ocknął się. Jak ojciec, pomyślał. Nie przypuszczał, że może do tego stopnia stracić kontrolę nad sobą tak się unieść. Wyciągnął rękę. Chciał wykonać jakiś gest, i rozmyślił się, cofnął o krok.

- Przepraszam - powiedział zdławionym głosem.

- Ja... nie chciałem... - przerwał, nie był w stanie dokończyć zdania.

- Matt - Jessie postąpiła krok ku niemu, on znowu cofnął się o krok.

Patrzyli na siebie długą chwilę, obydwójce nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Matt pierwszy przerwał milczenie:

- Muszę... - zaczął. - Niedługo wrócę. - Nie czekając na reakcję żony, odwrócił się i wyszedł szybko z pokoju.

Jessie stała bez ruchu na środku bawialni. Była oszołomiona niezrozumiałym zachowaniem męża. Słyszała, jak Matt bierze kluczyki, potem cicho otwiera drzwi frontowe i zamyka je za sobą. Zaraz

potem doszedł ją odgłos zapalającego silnika. Dopiero teraz poruszyła się, podeszła do kanapy i usiadła ciężko.

Co się stało, na litość boską?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gabe redagował akurat rozdział, który skończył tego popołudnia, kiedy usłyszał prychanie pnącego się stromą, krętą drogą samochodu. Zerknął zza okularów na zegar. Dziesiąta. Uniósł lekko brwi. Jeszcze nie godzina duchów, ale trochę za późno na składanie niezapowiedzianych wizyt. Co sprowadza Matta o tak późnej porze? Bo to Mart, nikt inny. Gabe poznał charakterystyczny odgłos silnika dzipa. Może braciszek coś zostawił, kończąc dzisiaj pracę? Coś, bez czego nie mógłby się obyć do jutra rana? Dziwne.

Gabe zdjął okulary i położył je na stole. I tak właściwie powinien już wyłączyć komputer i dać sobie spokój z redagowaniem tekstu. Był zmęczony, słowa zaczynały się rozmazywać przed oczami. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przez cały dzień nie miał nic w ustach. W lodówce, dzięki nowej bratowej, było na szczęście trochę jedzenia. Jessie codziennie posyłała mu coś przez Matta. Powinien

podziękować bratu, że ożenił się z kobietą lubiącą i potrafiącą gotować.

Podniósł się zza stołu, przeciągnął się, zrobił kilka skłonów, żeby rozprostować sztywne po wielogodzinnym ślęczeniu przy komputerze kości. Kiedy podszedł do lodówki, Matt parkował samochód przed domem. Może w przypływie dobrego humoru podzieli się z bratem tym, co przysłała Jessie. Wszystko zależy od tego, co to jest. Jeśli znowu znajdzie w pudełku wołowinę po burgundzku, Mattowi nic się nie dostanie. Miłość braterska bladła wobec wołowiny po burgundzku przyrządzanej przez Jessie.

W chwilę później wstawił do mikrofalówki coś, co Jessie opatrzyła informacją „pasta quattro fromaggi”, co tłumaczyło się na ludzki język jako „makaron z czterema rodzajami sera”. Wyglądało wspaniale, pachniało jeszcze lepiej. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że jeśli nadal będzie przysyłała mu podobne frykasy, zupełnie go rozpuści pod względem kulinarnym i Gabe już nigdy nie tknie pizzy na telefon i gotowych dań do podgrzania.

Matt jakoś nie wchodził do domu, więc Gabe ruszył do drzwi. Dżip stał na podjeździe, ale Matta nigdzie nie było widać. Uznając, że brat poszedł prosto do łazienki przy wejściu kuchennym, gdzie tego dnia coś robił, Gabe cofnął się do domu, ale w ostatniej chwili dostrzegł błysk światła w służącej za garaż szopie. Dziwne, pomyślał, marszcząc brwi. Zważywszy, że jak opieszała sumiennością Matt remontował starego chevroleta, mało prawdopodobne, by raptem uznał, że musi

akurat o dziesiątej wieczorem zrobić coś, co nie mogło poczekać do jutra.

Gabe zdjął z wieszaka kurtkę, wzuł znoszone mokasyny i wyszedł z domu. Ostatnim razem Matt wyładował wściekłość, rąbiąc drewno na opał. Zapewne i tym razem ten wariat nie przyjechał jedynie dlatego, że postanowił doprowadzić do porządku gaźnik.

Gabe pchnął lekko uchylone drzwi do szopy. Matt stał przy otwartej masce i wpatrywał się w rozpaprane wnętrze maszyny. Ręce wsunął do kieszeni, zwiesił ramiona i stał tak w nocnym chłódzie, trzęsąc się z zimna, ubrany tylko w dżinsy i bawełnianą koszulkę z krótkimi rękawami, nic poza tym - istny obraz nieszczęścia.

Gabe westchnął i zdjął kurtkę z grzbietu. Pod spodem miał ciepłą koszulę flanelową, nie zmarznie, chyba że rozmowa zasadnicza, a sądząc po minie Matta zanosiło się albo na milczenie, albo na rozmowę zasadniczą, przeciągnie się do białego rana. Wówczas nie pomoże nawet ciepła flanelowa koszula...

- Łap. Włóż to - powiedział i rzucił kurtkę, kiedy Matt wreszcie raczył podnieść głowę i dostrzec jego obecność.

Matt chwycił kurtkę, wpatrywał się w nią przez chwilę zdziwiony, jakby zobaczył skafander kosmonauty, w końcu ją włożył.

- Dzięki.

- Chcesz pogadać? - zagadnął Gabe. - Nie powiesz mi, że jechałeś taki szmat drogi, bo stęskniłeś się za tym gratem. Pokłóciłeś się z Jessie?

- Niezupełnie.

Kłótnia polega na wymianie idiotyzmów. Ty powiesz coś głupiego, ja odpowiem coś głupiego. Wygadujemy bzdury, które na spokojnie nigdy nie przeszłyby nam przez gardło. Potem jest nam głupio i przepraszamy się wzajemnie. Koniec, kropka.

No nie, nie pokłócili się.

On się uniósł, prawie krzyczał, wystraszył Jessie. Teraz nie mógł sobie wybaczyć tego wybuchu, tym bardziej nie wiedział, jak prosić Jessie, żeby mu wybaczyła.

- Chciała zaprosić mamę na Święto Dziękczynienia - powiedział w końcu, podnosząc wzrok na brata, niepewny jego reakcji.

Gabe uniósł brwi, zaskoczony, zdumiony.

- Chciała zaprosić naszą matkę? Tutaj? Na litość boską, po co?

- Bo to rodzina. - Matt wypowiedział słowo „rodzina”, jakby to był najgorszy epitet. - I rodzina powinna spędzać święta przy wspólnym stole.

- Hmm. - Gabe wsunął ręce do kieszeni i kilka razy zakołysał się na piętach. - Rozumiem, że nie opowiadałeś Jessie o naszym tak zwanym trudnym dzieciństwie?

- To nie jest temat do miłych pogaduszek przy kolacji - warknął Matt. - Kochanie, co to za pyszny sos? Przy okazji, wspominałem ci kiedyś, że ulubionym zajęciem mojego tatusia było łojenie skóry dzieciom? I że mamusia topiła smutki w wódce?

- Rzeczywiście, to nie jest temat do pogaduszek przy kolacji - zgodził się Gabe. - Co nie znaczy, że nie można o tym pogadać przy innej okazji.

- A niby po co? - Matt kopnął ze złością w oponę.
 - Nie mam ochoty rozmawiać o trudnym dzieciństwie. Nie chcę o tym nawet myśleć. To był paskudny czas. Ty o tym wiesz, ja o tym wiem, po jakiego jeszcze do tego wracać, babrać się w przeszłości?

- Choćby po takiego, żeby wyjaśnić własnej żonie, dlaczego nie zachwyca cię perspektywa zaproszenia matki na święta. Jessie myślała, że zrobi ci przyjemność. Musiała być mocno zaskoczona twoją reakcją.

Na wspomnienie lęku w oczach Jessie, Marc zacisnął dłoń.

- Kiedy jej wytłumaczyłeś, o co chodzi, na pewno zrozumiała. - Gabe spojrział pytająco na brata. - Bo wytłumaczyłeś, prawda?

- Ja... na samą myśl, że miałyby tutaj się zjawić...
 - Matt przełknął z trudem ślinę, podniósł głowę i po raz pierwszy spojrział bratu prosto w oczy. - Myślałem, że to już dawno za mną że uwolniłem się od żalu, tymczasem... - Matt zamilkł, pokręcił głową.

- Co powiedziałaś Jessie?

- Nic. - Matt odwrócił wzrok. - Poniosło mnie. Powiedziałem jej, żeby pilnowała swojego nosa, że to prawdziwe życie, a nie serial telewizyjny.

- A, rozumiem.

Matt uśmiechnął się z przymusem. Wyjął wreszcie dłoń z kieszeni i oparł je o błotnik.

- Wiesz, co zauważyłem dzisiaj? Mam jego dłoń. Naprawdę.

Gabe nie musiał pytać, czyje dłoń.

- Takie same długie palce, szeroka dłoń. - Matt

oglądał swoje ręce, jakby widział je po raz pierwszy.
 - Co jeszcze mam... - nie dokończył zdania. Na jego twarzy malował się taki ból, że Gabe odwrócił wzrok.

- Uderzyłeś Jessie? - Pytanie zabrzmiało tak rzeczowo, tak obojętnie, że jego sens nie od razu dotarł do Matta, a kiedy wreszcie zrozumiał, o czym brat mówi, szarpnął się jak rażony prądem.

- Nie! Chryste, Gabe, znasz mnie chyba na tyle dobrze, że powinieneś wiedzieć. - Spojrzął na brata ze zgrozą. - Nigdy nie uderzylibym Jessie.

- To co ma znaczyć to trucie o dłoniach odziedziczonych po tatusiu? - sarknął Gabe. - Wiem, tak samo dobrze jak ty, że nigdy nie uderzylibyś Jessie. Kogo, do diabła, obchodzi, że masz dłonie podobne do jego dłoni?

Matt długo milczał, spuścił głowę, jakby usiłował uporządkować myśli. Jak wytłumaczyć obawę przed czymś, co nigdy nie mogło się zdarzyć?

- Czasami się zastanawiam, czy wiara w to, że można uciec przed własnym dziedzictwem, nie jest idiotyzmem - powiedział wolno. - Nie, zaczekaj - powstrzymał brata, kiedy ten chciał coś wtrącić. - Wiem, wiem. Nie chodzi mi o niebieskie oczy czy zadarty nos, ale o to, w jakim domu, w jakim środowisku dorastamy. Czy da się od tego uciec, czy nie? Powiedz...

- Jakieś blizny zawsze zostają - powiedział Gabe. - Fakt, mieliśmy paskudne dzieciństwo. Rodzice opoje, tatuś lubił nas bić. Trudno, żeby po czymś takim nie zostały ślady, jeśli jednak zastanawiasz się,

czy odziedzyczyłeś te miłe cechy naszych rodziców, to jesteś głupszy, niż myślałem.

- Dzięki - wycedził Matt. Jeszcze przez moment przyglądał się swoim dłoniom, po czym wsunął je do kieszeni. - A jeśli noszę w sobie, ty też, całą spuściznę po nich, to wszystko, czym byli?

- Niby bombę z opóźnionym zapłonem? - Na Gabe ta ponura ewentualność najwyraźniej nie wywarła szczególnego wrażenia. - Czego się boisz? Że będziesz łał własne dzieci?

- Nie - zaprzeczył Matt stanowczo i zaraz się zawałał. - Może. Nie wiem. Cholera, to jakiś absurd. Jestem pewien, że nigdy nie podniosłbym ręki na własne dziecko, a jednocześnie zastanawiam się, czy w ogóle powinienem mieć dzieci. Czy nie powinienem był odmówić Jessie, kiedy mi zaproponowała udział w jej „projekcie reprodukcyjnym”.

- Już sam fakt, że się nad tym zastanawiasz, że się martwisz, powinien być dla ciebie wystarczającą odpowiedzią. - Gabe trącił czubkiem buta zardzewiały zderzak. - Powiedzmy, że dochowaliście się potomka i nagle stwierdzasz, że jednak wdałeś się w naszego drogiego ojczulka. Jak myślisz, co zrobi Jessie, kiedy zobaczy, że chwytasz za pas, żeby złoić skórę jej dziecku?

Matt wpatrywał się długo w brata, w końcu usta rozciągnęły mu się w uśmiechu.

- Utnie mi głowę i poda na srebrnym talerzu.

- Też tak myślę - zgodził się Gabe wesoło i raptem oczy mu pociemniały; wracały bolesne, mroczne wspomnienia. - To on chwytał za pas

- podjął innym już, zimnym tonem - ale ona mu na to pozwalała. Mogła go powstrzymać, mogła przynajmniej próbować. Mogła wzywać policję. Nie reagowała, była bierna. Pozwalała mu robić, co chciał. W twoim przypadku, zakładając najbardziej ponury scenariusz, tak nie będzie. Gdyby nawet miało dojść do najgorszego, Jessie nigdy nie pozwoli ci podnieść ręki na dziecko.

- Wiem. - Matt wziął głęboki oddech, a potem powoli wypuścił powietrze.

Przez ostatnie dwie godziny jeździł po okolicy i powtarzał sobie, że z pewnością nie odziedziczył po ojcu skłonności do sadyzmu. Skąd w ogóle te podejrzenia? Jednocześnie słyszał swój podniesiony głos, widział lęk w oczach Jessie. Nienawidził siebie za to, nienawidził i winił.

Gabe miał rację. Nawet jeśli nie ufał sobie do końca, nawet jeśli miał jakieś wątpliwości, mógł w pełni ufać Jessie. Ona nigdy nie postąpiłaby tak, jak postępowała przez całe lata ich matka, nie przyglądałaby się w milczeniu cierpieniom dziecka.

- Czasami jesteś głupi jak but, braciszku - stwierdził autorytatywnie Gabe, widząc, że Matt wreszcie się odprężył, uspokoił.

- Ty to powiedziałaś. - Matt uśmiechnął się krzywo. - Zapomniałaś tylko dodać: jak bardzo przystojny but.

- Bardzo przystojny but - powtórzył Gabe posłusznie i objął brata ramieniem. - Jesteś śliczny, a ja mądry. Ty masz urodę, ja mam za to głowę na karku.

- Szkoda tylko, że tak rzadko czynisz z niej użytek.

- Nie zaczynaj - ostrzegł Marta Gabe, ruszając ku drzwiom. - Na słowa ze mną nie wygrasz, pamiętaj o tym. A teraz wynoś się z moich włosów, bo chcę zjeść kluski z serem, które przysłała mi twoja dbała o szwagra żona.

- Jessie bardzo się ucieszy, jak usłyszy, że nazywasz jej *pasta quattro fromaggi* kluskami z serem. - Matt nie bez trudu zamknął za nimi rozchwierutane drzwi szopy. - To włoskie danie.

- Kluski z serem i obcym akcentem - upierał się Gabe.

Zatrzymali się koło dżipa, ale Matt nie wsiadał, jeszcze zwlekał.

- Dzięki, Gabe.

- Drobiazg. - Obaj doskonale wiedzieli, że podziękowanie nie odnosi się tylko do dzisiejszej rozmowy. - A teraz jazda mi stąd. Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy nie zaminować dojazdu do domu.

Matt roześmiał się i usadowił za kierownicą. Gabe zatrasnął drzwiczki, uniósł dłoń na pożegnanie, po czym odwrócił się i pomaszerował do domu. Matt patrzył za nim jeszcze chwilę. Dopiero kiedy brat zniknął, zapalił silnik.

Miał jeszcze kilka ważnych spraw do załatwienia.

Jessie rozwałkowywała ciasto, kiedy usłyszała, że drzwi frontowe się otwierają. Potem doszedł ją cichy brzęk odkładanych na miejsce kluczyków. Znieruchomiała, tylko serce biło o wiele szybciej, niż powinno.

Dzięki Bogu wrócił, pomyślała z ulgą i przykneęła oczy. Przez ostatnie trzy godziny wyobraźnia podsuwała jej przed oczy wszelkie możliwe nieszczęścia, jakie mogły, musiały, przytrafić się Mattowi. Jedno bardziej przerażające od drugiego.

Teraz, kiedy już poczuła ulgę, mogła sobie pozwolić na gniew. Jak śmiał trzymać ją tak długo w niepewności! Co ma mu teraz, na litość boską powiedzieć? Jak się zachować? Pokłócili się przecież. W pewnym sensie. Chyba. Zgodnie z wszelkimi regułami, teraz powinni się przeprosić. Jak się człowiek przeprasza z własnym mężem, kiedy nie jest nawet pewien, czy się z tym mężem rzeczywiście pokłócili?

Jednego tylko była pewna: Matt nie powinien widzieć, że na niego tak niecierpliwie czekała. Chwyliła wałek i wzięła się do pracy. Powinna sprawiać wrażenie spokojnej, pozbieranej, pochłoniętej swoim zajęciem. Z taką zawziętością przystąpiła do realizacji naprędce nakreślonego planu, że w samym środku placka zrobiła olbrzymią dziurę. Mruczając pod nosem, odłożyła wałek i drżącymi palcami usiłowała zakleić dziurę ciastem z brzegów.

Nie musiała nawet się odwracać, dokładnie wiedziała, w którym momencie, w którym ułamku sekundy Matt stanął w progu kuchni. Jeden gwałtowny gest i w cieście pojawiła się kolejna dziura. Porzuciwszy nadzieję na odegranie spokojnej, pozbieranej i pochłoniętej swoim zajęciem, odwróciła się i zaczęła nerwowo wyrzucać z siebie słowa, potoki słów:

- Miałam wstać wcześniej, żeby przygotować desery dla Lurene, ale pomyślałam: co masz zrobić jutro, zrób dziś. Mówiłam ci, że sernik cytrynowy, który zawiozłam w zeszłym tygodniu, sprzedał się w ciągu niecałej godziny? Postanowiłam upiec go znowu, ale trochę zmieniłam proporcje, dodałam odrobinę więcej cytryny, i teraz powinien być jeszcze lepszy. - Szybкими, ale dalekimi od precyzji ruchami palców wyrównywała brzegi ciasta. - Lurene prosiła, żebym upiekła jej też kilka placków z owocami. Święta się zbliżają, jest większy popyt, klienci chętnie kupują placki, nie tylko owocowe. Pomyślałam, że zrobię taki z masą z białej czekolady. Wymyśliłam przepis, chcę go wypróbować. A że piekarnik już nagrany, to upiekę od razu ciasteczka w wiórkami czekoladowymi, dla nas na święta. I jeszcze ciasteczka na choinkę, takie ozdobne, do udekorowania drzewka - trajkotała. - Boże Narodzenie co prawda daleko, może jeszcze za wcześnie na wypieki, ale...

Matt położył jej dłonie na ramionach, przerywając bezładny monolog. Zacisnęła palce na zmaltretowanym cieście, z gardła wydobył się dźwięk bliski szlochu.

- Przepraszam, Jessie. - Wtulił twarz w jej włosy i przygarbił ją do siebie.

- Masz za co - mruknęła. - Umierałam z niepokojem. Cały czas zastanawiałam się, gdzie mogłeś pojechać, martwiłam się. - Głos drżał jej niebezpiecznie.

- Przepraszam - powtórzył Matt. - Poniosło mnie, straciłem panowanie nad sobą. Zachowałem

się jak głupiec. Nie powinienem był krzyżeć na ciebie i nie powinienem wybiegać z domu bez słowa wyjaśnienia.

- Nie powinieneś. - Jessie pozwoliła mu obrócić się, ale nie miała ani siły, ani odwagi spojrzeć mu w twarz. Nie bardzo wiedziała, co ujrzałaby w jego oczach, nie chciała też, by zbyt wiele wyczytał z jej wzroku.

- To się już nigdy nie powtórzy - obiecał.

- Oby. - Jessie głos odmówił posłuszeństwa.

Matt objął ją mocno, przytulił do siebie, a ona oparła głowę na jego piersi. Słuchała miarowego bicia jego serca, czuła mocny serdeczny uścisk i czuła się bezpieczna. Mogłaby tak stać godzinami wtulona w niego, ale ostry, wysoki dźwięk zegara przy piekarniku wyrwał ją z błogostanu i przywrócił do rzeczywistości.

- Moje ciasteczka z wiórkami czekoladowymi - zawołała, otarła chyłkiem oczy i podeszła szybko do piekarnika.

Matt patrzył, jak wyjmuje blachę pachnących ciastek i przekłada je łopatką na tacę. Normalnie, zwabiony wspaniałym zapachem, pochłonałby przynajmniej jedno gorące ciastko, ale dzisiaj miał ważniejsze sprawy na głowie.

Jessie odstawiła pustą blachę i rozejrzała się po kuchni. Na blatach nie było ani centymetra wolnego miejsca: dwa placki, sernik, dwie tace ciastek, pojemniki z dwoma gatunkami mąki, kilka torebek z różnymi rodzajami cukru, torebka z resztkami wiórków czekoladowych, masło, skorupki

po jajkach, wyciśnięta cytryna, puste pojemniki po serkach, buteleczka aromatu waniliowego...

Jessie spojrzała na Matta i wzruszyła ramionami.

- Kiedy jestem zdenerwowana, zaczynam piec i gotować. To mnie uspokaja.

- Naprawdę? - zdziwił się Mart. - Nigdy bym się nie domyślił.

Uśmiechnęła się i Matt poczuł ulgę. Wszystko będzie dobrze. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo dręczyła go myśl, że swoim wybuchem popsuł w sposób nieodwracalny ich stosunki. Nie, nie popsuł. Na szczęście są rzeczy, które można naprawić, jeśli się tego pragnie.

- Pomogę ci uprzątnąć ten bałagan - zaoferowała się. Zdjął pożyczoną mu przez Gabe'a kurtkę i powiesił ją na krześle.

- Nie musisz.

- Zdenerwowałem cię, to przeze mnie zabrałaś się do pieczenia i teraz powinienem ci pomóc. Czuję się przynajmniej w części odpowiedzialny za stan, do jakiego doprowadziłaś kuchnię.

Jessie wahała się chwilę, w końcu skinęła głową. Niewiele obchodził ją bałagan. Chciała zrozumieć, dlaczego Matt wybuchnął, co takiego powiedziała, co do tego stopnia wyprowadziło go z równowagi. Poczeka jeszcze, w tej chwili nie będzie pytała, ale kiedyś zapyta na pewno. Musi wiedzieć, musi poznać przyczynę.

Sprzątali w zgodnym milczeniu. Ona pochowała wszystkie produkty, on tymczasem włożył brudne naczynia do zmywarki. Kiedy skończyli, obojgu

wyraźnie poprawił się humor. Było już po północy, wokół cisza, gdzieś tylko zaszczekał pies i zaraz zamilkł. Jessie zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby puścić incydent w niepamięć. Zażegnali przecież burzę, może nie warto doszukiwać się teraz jej przyczyn, wracać do tematu?

To Matt pierwszy przerwał milczenie.

- Znałaś moją matkę? - zapytał.

Jessie skinęła głową.

- Raz ją widziałam. Miałam dwanaście, trzynaście lat. Poszłam z mamą Reilly'ego na zakupy, miałyśmy poszukać jakichś ubrań dla mnie. W sklepie spotkałyśmy twoją matkę. - Zmrużyła oczy, jakby chciała dojrzeć szczegóły wyblakłego obrazu.

- Nie pamiętam jej zbyt dobrze. Wydała mi się bardzo cicha, trochę przygaszona. Odniosłam wrażenie, że pani McKinnon nie... - urwała raptownie.

- Nie przepada za nią? - dokończył Matt.

- Tak - przytaknęła z ociąganiem. - Nic nie powiedziała, ale czuło się wyraźnie, że jej nie lubi. Pomyślałam wtedy, że dorośli mogą nie lubić się tak samo jak dzieciaki i to odkrycie utkwіło mi w pamięci. Twoja mama chyba nic nie zauważyła - dodała, jakby chciała pocieszyć Matta.

- Jeśli spotkałyście ja po południu, Libby McKinnon mogłaby napluć jej w twarz i matka też by nic nie zauważyła - powiedział cierpkim tonem i westchnął ciężko. Nienawidził mówić o swoim dzieciństwie, nie chciał nawet wracać myślą do tamtych czasów. Przez lata powtarzał sobie, że to raz na zawsze zamknięty rozdział. Teraz widział, jak bardzo się

mylił. - Zwykle po południu matka była już pijana, Jessie. Była alkoholiczką. Nie pamiętam, czy chociaż raz widziałem ją całkiem trzeźwą, aczkolwiek jakoś udawało się jej funkcjonować.

Zobaczył, że oczy Jessie rozszerzają się i szybko odwrócił wzrok, by nie dojrzeć w nich litości. Tylko nie to. Założył ręce na piersi, oparł się o blat, przyjmując niby to obojętną, przez lata ćwiczoną postawę.

- Matt, ja... - Jessie szukała właściwych słów. Matt zachowywał się tak, jakby to, co mówił, nie robiło na nim żadnego wrażenia, ale nie trzeba być psychoanalitykiem, by pod pozorną obojętnością dostrzec całe pokłady dawnych cierpień. - Alkoholicyzm to choroba - powiedziała w końcu.

- Owszem - zgodził się Matt. - Wiem o tym. Wiedziałem chyba nawet wtedy i zrozumiałbym matkę, jej problemy, ale ona nigdy nie próbowała się leczyć, nigdy nie zrobiła nic w tym kierunku - mówił ze złością. - Wolała patrzeć na świat przez wódczaną mgłę. Tak było znacznie łatwiej. Mogła udawać, że nie słyszy, jak jej mąż katuje dzieci - ciągnął, nie patrząc na żonę. W jego głosie brzmiała teraz gorzka zaprawiona ironią. - Tatuś wolał oryginalną szkocką, ale w ostateczności mógł się napić bourbona. Piłyby i zwykłą wódkę, gdyby matka nie chowała przemyślnie swoich zapasów.

- Bił was... och, Matt. - Jessie osunęła się na krzesło. - Nie wiedziałam. Nic nie wiedziałam... - powtarzała wstrząśnięta.

- Prawie nikt nie wiedział. - Matt wbił wzrok

w kolorowe magnesy na drzwiach lodówki, jakby chciał utrwalić w pamięci ich ustawienie. - Libby McKinnon chyba się domyślała. Kilka razy próbowała ze mną rozmawiać, ale ja milczałem. Gdybym powiedział cokolwiek, na pewno by nam pomogła, zawiadomiłaby policję, ludzi ze służb socjalnych.

- Dlaczego nic jej powiedziałaś? Nie wiem, jej, komukolwiek? - Jessie drżały ręce, kiedy to mówiła. - Dlaczego nie próbowałaś się ratować?

Matt pokręcił głową.

- Byłem dzieckiem, Jessie. Nie rozumowałem w takich kategoriach. Nasz dom był koszmar, ale to był nasz dom, moje miejsce. A po drugie bałem się, że to wszystko moja wina.

- Twoja wina? - Jessie gwałtownie poderwała głowę, ale Matt podniósł dłoń, hamując jej oburzenie.

- Czułem się tak... jakbym zrobił coś złego. Jakbym w jakimś sensie zasłużył na karę. Jakoś łatwiej było mi szukać winy w sobie, niż uznać, że nasi rodzice są parą degeneratów.

Jessie słuchała słów Marta i próbowała wyobrazić go sobie, wychowującego się w domu jak ze złych snów. Ona sama wcześniej straciła rodziców, ale zachowała wspomnienie ich miłości.

- Matt... tak... tak mi przykro.

Matt wzruszył ramionami.

- Dawne dzieje. Mogło być gorzej. Miałem Gabe'a. On mnie chronił, zawsze był blisko. Póki był dzieckiem, niewiele mógł zrobić, ale kiedyś, miał już wtedy szesnaście lat, wrócił z treningu koszykówki i zastał ojca przy jego ulubionym zajęciu... Gabe nie

wytrzymał. Wyrwał ojcu pas i zagroził, że jeśli jeszcze raz podniesie na mnie rękę, to będzie musiał połknąć ten pas na surowo. Staruszek chyba się wystraszył, bo kilka dni później wyszedł rano do pracy i już nie wrócił.

- Czy... było ci przykro, że odszedł? - zapytała Jessie z wahaniem. - Ja wiem, on... ale to przecież twój ojciec.

- Czciij ojca swego i matkę swą? - rzucił Mart z przekąsem.

- Nie, nie o to mi chodzi. To, że on był... Miłość nie... nie słuca rozumu - dokończyła niezręcznie.

- Czułem ulgę, nic poza tym - stwierdził Mart. - Kiedy zrozumiałem, że nie wróci, poczułem się tak, jakbym po raz pierwszy w życiu otworzył oczy i zobaczył słońce. Wszystko miało się odmienić. Potwór zniknął, uwierzyłem, że od tej chwili będziemy normalną rodziną.

W głosie Matta słycać było cierpką ironię, w oczach błyszczał gniew. Wyprostował się tak gwałtownie, że Jessie drgnęła. Nigdy go takim jeszcze nie widziała, nie przypuszczała, że chowa w głębi duszy tyle zadawnionego gniewu.

Z nich dwóch to Reilly kierował się zmiennymi nastrojami. Zawsze skory do śmiechu, równie łatwo wpadał w złość. Matt był spokojny, stateczny, zrównoważony, typ człowieka, na którego można liczyć w każdej sytuacji.

- Matka chyba była zadowolona, że odszedł - ciągnął, przybierając znowu ten sam, zaprawiony ironią ton. - O ile wiem, nigdy jej nie uderzył, ale żyli

ze sobą jak pies z kotem. Ojciec nią poniewierał, lekceważył, nigdy nie krył swej pogardy. W każdym razie kiedy odszedł, wyobraziłem sobie, że matka przestanie wreszcie pić i staniemy się szczęśliwą rodziną.

Podszedł nerwowym krokiem do drzwi wyjściowych i przez chwilę wpatrywał się w mroczny ogród. Jessie miała ochotę podejść do niego, objąć go, powiedzieć, żeby przestał już opowiadać, przestał wspominać. Nie podeszła, coś ją powstrzymało. Czuła, że Matt musi powiedzieć wszystko, do końca. Nie dlatego, że winien był jej wyjaśnienia, lecz by uwolnić się od ciężaru wspomnień. Wreszcie nadszedł czas wydobycia ich na światło dzienne.

- Kiedy uświadomiła sobie, że ojciec nie wróci, wpadła w furję - podjęła, nie odwracając się. - Wiesz dlaczego?

Jessie pokręciła głową, zorientowała się, że Matt na nią nie patrzy i z trudem dobyła głos ze ściśniętego gardła:

- Dlaczego?

- Ponieważ Gabe zmusił go do odejścia. - Teraz Matt, z gorzkim uśmiechem na twarzy, odwrócił się do Jessie. - Robiła mu wyrzuty, bo groził ojcu. Chyba nawet nazwała go wyrodnym synem. To Gabe jest winien temu, że ojciec odszedł i zostawił ją samą. Myślała tylko o sobie, myśmy się nie liczyli. Co śmieszniejsze, okazało się, że wcale nie potrzebowała jego pieniędzy. Miała spory fundusz powierniczy, ustanowiony na jej nazwisko przez jedną z naszych prababek, mogliśmy z tego żyć całkiem dostatnio.

Była zupełnie niezależna finansowo i wcale nie musiała tkwić w małżeństwie z tym sukinsynem. Ale tkwiła. Należała do tych kobiet, które uważają, że lepszy najgorszy mąż niż żaden. Taka mentalność. Fakt, że ten mąż katuje dzieci, jakoś nie docierał do jej zamglonej świadomości.

- Och, Matt. - Jessie chciała powiedzieć jakieś dobre słowo, wskazać choćby jeden pozytywny szczegół w ponurym obrazie odmalowanym przez Matta. W końcu, jaką osobą by ta kobieta nie była, mówili o jego matce, a Jessie nie potrafiła źle mówić o rodzinie. Nie znalazła żadnego dobrego słowa. - Samolubna suka - to wszystko, co potrafiła powiedzieć o pani Latimer.

Matt spojrzął na żonę zdumiony i po raz pierwszy chyba od początku rozmowy na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech.

- Owszem, była samolubną suką - przytaknął. - I tak prawdopodobnie pozostała. Nie widziałem jej od czasu, kiedy wyniosła się na Florydę. Piętnaście lat. Przysyła kartki na Boże Narodzenie, na adres mojej agencji, oni mi je przekazują. Nigdy żadnego słowa, drukowane życzenia i jej podpis. Nie tęsknię za wiadomościami od niej, czasami tylko zastanawiam się, czy pamięta, do kogo śle tę kartkę, czy jestem tylko jeszcze jednym nazwiskiem na jej liście adresowej.

- Teraz wreszcie rozumiem, dlaczego nie chciałeś, żebym ją zapraszała na Święto Dziękczynienia - podsumowała Jessie. - Może to i lepiej, bo gdyby przyszło mi spotkać się z nią twarzą w twarz, nie byłoby to dla niej przyjemne doświadczenie.

Matt zaśmiał się.

- Dużo bym dał, żeby to zobaczyć.

Jessie podeszła, objęła mocno męża, przytuliła policzki do jego piersi.

- Dlaczego po prostu nie wyjaśniłeś mi, jaką osobą jest twoja matka? - zapytała cicho.

- Zamiast podnosić głos i jak ostatni idiota wypadać z domu, tak?

- Ja tego nie powiedziałam. - Jessie uśmiechała się, ale w jej oczach nadal było pytanie.

Matt odgarnął jej włosy z czoła, ujął w palce miękkie, jedwabisty kosmyk.

- Nie lubię mówić o moim dzieciństwie. Nie lubię wracać do tego czasu myślami. I na ogół udaje mi się nie wracać. Było... źle. Przeraziłem się, kiedy zaproponowałaś, że zaprosisz matkę. Nie chcę, żeby moja przeszłość wdarła się w nasz związek. Nie chcę, żeby zniszczyła to, co próbujemy wspólnie zbudować.

- Chyba to rozumiem. - Jessie przesunęła dłonią po piersi Matta, wygładzając niewidzialną zmarszczkę na jego koszulce. - Bałam się, że chodzi o coś innego - powiedziała powoli, wpatrując się z uwagą we własną dłoń.

- Mianowicie?

- Mogłeś pomyśleć, że kiedy mi opowiesz o swoim dzieciństwie, przestanę cię szanować. Nie jestem aż taka płytką, powierzchowną - wyrzuciła z siebie prawie ze złością.

- Wiesz, że nigdy bym tak o tobie nie pomyślała, Jessie.

Usłyszała w głosie Matta coś, co kazało się jej uśmiechnąć.

- Więc dlaczego milczałeś?
- Ja... - Matt wziął głęboki oddech, uwolnił się z objąć Jessie i odsunął o krok.

- Dlaczego? - powtórzyła.
- Posłuchaj, pochodzę z paskudnej rodziny. Taka jest prawda. Oboje rodzice byli alkoholikami. To, że przy okazji byli też podłymi ludźmi, nie ma w tej chwili znaczenia. Wiele prowadzonych obecnie badań wskazuje, że alkoholizm może być dziedziczny.
- Przecież ty prawie nie pijesz, Matt. A Gabe w ogóle nie bierze alkoholu do ust.

- Bo zbyt dobrze pamiętamy, z jakiego domu wyszliśmy. W czasie studiów sporo popijałem, ale szybko się zorientowałem, że za bardzo mi smakuje. Po alkoholu czułem się o wiele lepiej, jak zresztą większość z nas. To zbyt łatwa przyjemność. Łatwa i niebezpieczna. W pewnym momencie przeraziłem się. Bałem się spojrzeć w lustro, pewien, że zobaczę twarz ojca. - Przejechał dłonią po włosach, zbierając siły, by powiedzieć wszystko to, co powinien był powiedzieć, prosząc Jessie, by za niego wyszła. - Zgodziłaś się zostać moją żoną ze względu na dziecko, tymczasem ja być może nie jestem nosicielem najlepszego materiału genetycznego. Możesz pomyśleć, że... Auuu!

Zważywszy wagę Jessie, cios całkiem solidny, pomyślał Matt, ostrożnie dotykając brzucha. Spojrzał na żonę podejrzliwie. Wnosząc po jej minie, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby przyłożyć mu jeszcze raz.

- W porządku, może nie najlepiej to ująłem, źle

się wyraziłem, ale powinnaś wiedzieć... liczyć się z tym, że w razie gdybyśmy... ej! - Podniósł ręce w geście kapitulacji i na wszelki wypadek cofnął się o kilka kroków. - W porządku, już dobrze. Zapomnij o wszystkim. Nie było rozmowy.

- Zapomnę - obiecała Jessie z wojowniczym błyskiem w oku. - Bardzo chętnie zapomnę. Wierzyć się nie chce, że mogłeś powiedzieć coś tak piramidalnie głupiego. Brakowało tylko, żebyś zaproponował mi rozwód albo odesłał do banku spermy po bardziej obiecujący materiał genetyczny.

- Nie myślałem...

- To akurat widać - przerwała mu z jadowitą nutą w głosie. - Gdyby w twoim mózgu zachodziły procesy myślowe, nie musiałabym ci mówić jak krowie na miedzy, że guzik mnie obchodzi twoje trudne dzieciństwo. To znaczy, przepraszam, obchodzi. Obchodzi mnie to, że nie byłeś szczęśliwy, ale mam w nosie, kim byli twoi rodzice. Natomiast nienawidzę ich za to, że zgotowali ci piekło na ziemi. Szczytem kretynizmu jest zamartwiać się, czy nasze dziecko będzie alkoholikiem. Nawet jeśli alkoholizm byłby dziedziczny, a chrzanisz głupoty, bo nie jest, i nie wiem, skąd bierzesz te swoje rewelacje, to jeszcze nie znaczy, że nasze dziecko musi wdać się w dziadków po mieczu. Ty się jakoś nie wdałeś. Gabe też nie. Zostaw! - zawołała Jessie, widząc, że Matt wyciąga do niej rękę. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ma łzy w oczach i głos jej drży nie tylko ze złości. - Daj mi dokończyć. - Otarła oczy i posłała mężowi wściekłe spojrzenie. - Jeśli kiedykolwiek jeszcze

powiesz coś równie idiotycznego, to ja... w każdym razie pożałujesz. Słyszysz? Zrobię coś takiego, że będziesz bardzo gorzko żałował.

- Słyszę. - Mattowi usta drgały w hamowanym śmiechu. - Będę bardzo, bardzo gorzko żałował.

- Mówię poważnie.

- Wiem. Cały trzęsę się ze strachu. Nie widzisz?

- Nie zważając na jej nie do końca wiarygodne protesty, wziął Jessie w ramiona.

- Matt, nie wyszłam za ciebie wyłącznie z powodu dziecka.

- Nie? To po co ja się co noc tak trudzę?

- Gdyby chodziło tylko o dziecko, nie musiałabym z tego powodu od razu wychodzić za męża, ale kiedy zaproponowałeś mi małżeństwo, pomyślałam: tak, chcę mieć dom, rodzinę, chcę dzielić z kimś życie. I tym kimś jesteś ty, nie wyobrażam sobie, że mógłby to być ktoś inny.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przez pierwsze lata wspólnego mieszkania Jessie obserwowała, jak dziadek przed każdym Świętem Dziękczynienia i Bożym Narodzeniem mozoli się, usiłując przygotować tradycyjny świąteczny obiad. Niestety, ta sama dłoń, która suchy patyk potrafiła zamienić w kwitnący krzew, w kuchni siała wyłącznie spustoszenie. Na stół wjeżdżały wysuszone niemal na wiór indyki, niedopieczone gęsi, rozpadające się szynki, przedziwnie skomponowane sałatki oraz zupy z puszek.

Z miłości do dziadka Jessie, choć cierpiała męki, zjadała wszystko, co jej podsunął, aż wreszcie za pieniądze, które dostała z okazji jedenastych urodzin od rodziców Reilly'ego, kupiła najnowsze, poprawione wydanie książki kucharskiej Fannie Farmer i tego roku, z dziadkiem w charakterze podkuchennego, po raz pierwszy sama przygotowała świąteczny obiad. Być może nie zasługujący na uwiecznienie

w annałach kulinarnych, ale jadalny, a nawet całkiem smaczny. Dziadek nie szczędził jej pochwał oraz zachwytów i od tej pory, ku obopólnemu zadowoleniu, kuchnia stała się absolutnym królestwem Jessie. To, co zaczęło się jako zdrowy odruch instynktu samozachowawczego, przeszło w hobby, wreszcie stało się zawodem.

Od debiutu minęło bez mała dwadzieścia lat, a Jessie w dalszym ciągu kochała gotować, a już największą frajdę sprawiały jej kulinarne przygotowania do świąt Dziękczynienia i Bożego Narodzenia. Planowanie, potem zakupy, wydobywanie z dna szafek porcelany, która przez resztę roku nie znajdowała zastosowania, wreszcie samo gotowanie. Kochała to.

Tego roku było inaczej. Pierwsze Święto Dziękczynienia bez dziadka... Ale i pierwsze rodzinne święta spędzane z Mattem. Smutek wywołany pierwszą okolicznością równoważyła radość wiążąca się z drugą. Brakowało jej dziadka, tęskniła za nim, ale miała męża i miała z tym mężem po raz pierwszy zasiać przy świątecznym stole.

Zaprosiła Gabe'a, Lurene, Reilly'ego i Dane. Wszyscy obiecali się stawić. Przygotowywała już nie raz i nie dwa przyjęcia dla większej liczby osób, ale nigdy jeszcze dla bliskich, dla ludzi, których uważała niemal za swoją rodzinę, nic więc dziwnego, że chciała, by wszystko wypadło doskonale. Tym bardziej jej na tym zależało, że Matt, teraz już to wiedziała, nie wyniósł z rodzinnego domu ciepłych wspomnień świątecznych. Teraz, we dwoje, mieli stworzyć sobie własną tradycję rodzinnego święto-

wania. Nie da się odmienić przeszłości, ale można i należy budować przyszłość.

Przygotowania zaczęła z dwutygodniowym wyprzedzeniem i wojskową precyzją, by mieć pewność, że w świąteczny wieczór, o oznaczonej godzinie, wszystko będzie gotowe. Sporządziła dokładną listę dań w kolejności ich serwowania oraz inwentarz zastawy odziedziczonej po babce. W tej misce poda puree z kukurydzy, ta kryształowa sosjerka będzie na sos żurawinowy. Harmonogram czynności, bo taki przygotowała, miał zapobiec temu, by na przykład jej ulubiony rondel nie okazał się potrzebny do zarządzania dwóch potraw w tym samym czasie.

Wypytywała Matta o jego gusta i guściki. Co lubi, a czego nie znosi.

Prowadziła działania rozpoznawcze z takim zapałem, że kiedy przeszła do kulinarnych preferencji Gabe'a, Matt nie mógł się powstrzymać i poinformował ją, że braciszek stosuje surową dietę: jada wyłącznie kaszę, bez omasty, i orzechy włoskie. Przeraziła się nie na żarty, zrobiła wielkie oczy i dech jej zaparło, ale szybko sobie przypomniała, z jakim entuzjazmem szwagier przyjmuje codzienne porcje różnorodności, które mu posyłała przez Matta.

Być może trochę, troszkę, przesadziłam, ale opłaciło się, pomyślała, omiatając spojrzeniem pobojowisko w kuchni. Wszystko zrealizowała zgodnie z przyjętym planem, co do joty. Począwszy od indyka, skończywszy na placku z orzechami, wszystko udało się doskonale. Zapowiadało się święto jak z obrazka

i było jak z obrazka. Przy stole panowała ożywiona, radosna atmosfera, wszyscy dużo mówili, wszyscy się śmiali ponad miarę i ponad miarę pałaszowali.

Rodzina, myślała z satysfakcją.

Późnym popołudniem w dzień operacji SD, jak to określał Matt, zalana słońcem kuchnia wyglądała tak, jakby przed chwilą wybuchła w niej bomba. Tylko zlewozmywak był pusty i czysty, nawyk, którego nabrała w Cordon Bleu, poza tym na blatach i stole nie uświadczył kawałka wolnego miejsca. Brudne naczynia, garnki i rondle, miski, wszystko to bezładnie piętrzyło się jedno na drugim.

- O, hala naczyń w fabryce sprzętu domowego w chwilę po tragicznej eksplozji -ucieszyła się Dana, wchodząc do kuchni.

W czarnych legginsach, w bielutkiej jedwabnej bluzie prezentowała się elegancko nawet ze stertą brudnych naczyń w dłoniach. To nie fair, pomyślała Jessie z niejaką zazdrością znacznie jednak słabszą, trzeba przyznać, niż ta, którą mogłaby odczuć jeszcze kilka miesięcy wcześniej.

Gabe i Lurene już wyszli. Matt i Reilly oglądali mecz w telewizji. Jessie też zaczęła oglądać, ale uznała, że jednak zajmie się kuchnią.

- Straszny bałagan, prawda? - powiedziała z uśmiechem.

Dana uniosła brwi trochę zdziwiona wesołym tonem Jessie.

- To ma być powód do zadowolenia?

- Może to zabrzmie głupio, ale tak właśnie powinno być. To dla mnie wiele znaczy.

- Dla mnie najwyżej tyle, że powinno tu zaraz stanąć do roboty dziesięć pomywaczek.

Jessie roześmiała się i pokręciła głową.

- Niekoniecznie. Zawsze spędzaliśmy wszystkie święta tylko we dwoje, dziadek i ja. Pamiętam, jak zazdrościłam koleżankom, że mają duże rodziny. Wiesz, ciocie, stryjenki i pociotki, wielka familia, która spotyka się raz, dwa razy w roku przy świątecznym stole, wszyscy głośno gadają, śmieją się i przekrzykują.

- A ciocię Amelię trzeba posadzić jak najdalej od kuzynki Sophie, bo pokłóciły się w 1940 roku i od tego czasu nie odzywają się do siebie?

- O nie - zaprzeczyła Jessie ze śmiechem.

- W moich wyobrażeniach dawno już się pogodziły.
- Zaczęła zbierać srebrne sztuce i układać je w zmywarce. - A jak było u was, musieliście rozdzielać ciotkę Amelię i kuzynkę Sophie?

Dana pokręciła głową.

- Nie miałam ciotki Amelii i kuzynki Sophie, ale miałam stryjka Darrena, który uwielbiał Barry'ego Manilowa.

- To jeszcze nie tragedia.

- Niestety stryjek czuł nieodpartą potrzebę dzielenia się swoją muzyczną pasją z resztą rodziny i w każdą Wigilię urządzał nam improwizowany koncert. Wspomniałam, że stryjek był słuchowo sprawny trochę inaczej? - Dana otrząsnęła się. - Nadal ilekroć słucham „Feelings”, dostaję wysypki.

Jessie zaśmiała się. Tyle lat znała Danę, a tak naprawdę rozmawiała z nią dopiero po raz drugi.

Wtedy na pikniku i dzisiaj. Wcześniej ich rozmowy sprowadzały się do wymiany zdawkowych uprzejmości, uwag o pogodzie i wspólnych znajomych.

- Chyba pielęgnuję zbyt wyidealizowany obraz rodzinnych świąt.

- Wszyscy rozkoszni, jowialni, uśmiechnięci, miłujący się wzajemnie i serdeczni do bólu? - odpowiedziała Dana.

- Mniej więcej. Zostaw to - zaprotestowała Jessie, widząc, że Dana zaczyna zmywać.

- A dlaczego? Matt i Reilly zażarcie dyskutują, kto wejdzie do finałów Super Bowl. Moje zainteresowanie prawym skrzydłowym drużyny grającej po lewej stronie boiska sprowadza się do tego, czy dobrze wygląda w krótkich spodenkach.

Jessie, śmiejąc się, zaczęła zbierać kieliszki i układać je w zmywarce. Dotąd nie postrzegała Dany jako osoby obdarzonej poczuciem humoru, podobnie jak nie wyobrażała sobie, że niegdysiejsza druga wice-miss Ameryki może stanąć przy zlewozmywaku, zakasać rękawy i zmywać naczynia. Bo też nigdy, to musiała przyznać ze skruchą, nie próbowała dojrzeć, co się kryje pod tą piękną powłoką. Inaczej mówiąc, widziała określony wizerunek, ale nie dostrzegała osoby.

- Masz rodzeństwo? - zapytała, uświadamiając sobie, że nic nie wie o Danie.

- Brata i siostrę. Joe i Anabeth. - Dana odstawiała opłukane talerze na blat, a Jessie wkładała je do zmywarki.

- Macie ze sobą dobry kontakt?

- Nie. - Dana włożyła dłoń pod kran i patrzyła na spływającą po palcach wodę. - Wychowywałam się w zasadzie osobno.

- Nie wiedziałam, że twoi rodzice się rozwiedli. - Jessie pamiętała ich mgliście ze ślubu Dany i Reilly'ego. Przyjechali wtedy razem, sprawiali wrażenie bliskich sobie ludzi, ale skoro Dana mówi, że wychowywała się osobno...

- Nie, nie rozwiedli się. Źle mnie zrozumiałaś, a może niejasno się wyraziłam. Od dziecka albo przygotowywałam się do kolejnego konkursu, albo brałam udział w tego typu imprezach lub grałam w reklamach. Jak się nie przygotowywałam, to brałam udział, a jak już wzięłam udział, to odpoczywałam. Jak już odpoczęłam, to nadrabiałam zaległości w szkole. Przyznasz, że w tej sytuacji niewiele zostaje czasu na zabawy z rodzeństwem. A przy tym musiałam ciągle uważać, żeby nie uszkodzić swojej cennej powłoki. Sędziowie na konkursach piękności nie przyznają dodatkowych punktów za poobijane kolana i połamane kości.

Jessie nigdy się nie zastanawiała nad istotą konkursów. Dość, że przechodziły ją ciarki na myśl, że dziewczyny muszą paradować przed wielotysięczną widownią ubrane tylko w kostiumy kąpielowe, w kilkunastocentymetrowych szpilkach. Jak większość ludzi traktowała tego rodzaju imprezy z pogardliwym lekceważeniem. Uważała, że redukcja uczestniczek do roli rasowych klaczy na wybiegu jest poniżające. Nigdy się też nie zastanawiała, ile wysiłku musi je kosztować przygotowanie się do konkursu.

- Musiałaś być bardzo... samotna.
 - Najłagodniej mówiąc - prychnęła Dana. Wyprostowała się i sięgnęła po półmisek. - Chociaż były i dobre strony. Podróże, nowe miejsca, nowi ludzie. Poza tym niewykluczone, że przy bliższym oraz dogłębniejszym poznaniu znienawidzilibyśmy się serdecznie z Joe i Annabeth. Rodzeństwo musi się nienawidzić, to chyba reguła, nie sądzisz?

- Nie wiem. Obawiam się, że i w tym wypadku miałam mocno wyidealizowany obraz. Wiesz, starsza siostra uczy mnie robić makijaż, pożycza ciuchy. Starszy braciszek jest facetem bardzo opiekuńczym i ma bardzo interesujących kumpli.

Dana zerknęła z zainteresowaniem na Jessie.

- Matt i Reilly byli dla ciebie takimi starszymi braćmi?

- Nie. Raczej... przyjaciółmi. - Jessie zachmużyła się, pokręciła głową i włożyła półmisek do zmywarki. - Wiem, to brzmi niewiarygodnie, dziecięciolatka i dwóch dziesięcioletnich facetów, ale tak było. To nie znaczy, że cały czas trzymaliśmy się razem, że byliśmy jak papużki nierozłączki, ale na pewno się przyjaźniliśmy.

Dana zakręciła wodę i wytarła dłonie w ścierkę.

- Aż dziw, że nie zakochałaś się w którymś z nich - powiedziała, nie podnosząc głowy. - To znaczy zakochałaś się, ale dopiero teraz. Obydwoj są przystojni. Nietrudno się zadrzyć w przystojnym chłopaku, jak się ma kilkanaście lat.

Jessie nachyliła się, żeby wlać płyn do dozownika zmywarki. Oczywiście przez czysty przypadek włosy

przysłoniły jej twarz. Oczywiście przez czysty przypadek nie było widać, jaką ma minę. W błysku przypomnienia pomyślała o tych wszystkich przepłakanych nocach, o tych wszystkich godzinach spędzonych na desperackich rozważaniach, co zrobić, żeby Reilly wreszcie zobaczył w niej kobietę, nie tylko przyjaciółkę.

Teraz nie wypłakiwała już oczu. Miała Matta. Nie była już zadurzona w nieosiągalnym ideale smarkuła. To, co dawał jej Matt, nie było może spełnieniem najskrytszych marzeń, ale było mocne, trwałe i dobre.

Zamknęła drzwiczki zmywarki i wyprostowała się z uśmiechem.

- Tak bardzo przywykłam myśleć o nich jak o przyjaciółach, że na żadnego nie potrafiłam już spojrzeć inaczej - skłamała.

- Może niepotrzebnie wybrzydzam, ale przy stanie 37:3 w przedostatniej kwarcie naprawdę trudno zachwycać się amerykańskim futbolem w wykonaniu tych patałachów - oznajmił Reilly, z niejaką urazą spoglądając na ekran telewizora.

- Spokojnie, jeszcze mogą się odegrać - pocieszył go Matt, wyciągnięty wygodnie na kanapie. - Kilka dobrych zagrań, dwa, trzy szybkie ataki i są w stanie wyrównać, może nawet wygrać.

- Teraz? Nie wygłupiaj się. Tylko cud mógłby ich uratować.

Matt uchylił jedno oko, akurat w momencie gdy przegrywający Niebiescy znowu stracili fatalnie rozgrywaną piłkę.

- Może próbują ustanowić rekord największej różnicy bramek.

- Dostaną za to dodatkowe punkty?

- Jasne, za wszystko dostają.

Skończyła się trzecia kwarta, na ekranie pojawiła się pierwsza reklama. Matt chwycił pilota i wyłączył głos. W ciszy, która nagle wypełniła salon, mógł słyszeć stłumione odgłosy krzątającej się do kuchni.

- Może powinniśmy pomóc? - zapytał Reilly.

- Kobięce zajęcia najlepiej zostawić kobietom.

- Matt, zadowolony, że udało mu się wygłosić tak głęboką myśl, ułożył się wygodnie na kanapie.

- Kobięce zajęcia? - zdziwił się Reilly, bo dawno już nie słyszał tego określenia. - To chyba mocno niepoprawne politycznie określenie.

- Owszem, niepoprawne. Ale Jessie też jest niepoprawna.

- Goni cię z kuchni, tak?

- Tak. Zagroziła, że mi łapy poprzetrąca, jeśli tylko spróbuję coś zdziałać na tym polu. - Matt wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

- Co zamajstrowałeś? - zapytał Reilly wprost.

- Zmarnowałem patelnię. Jedną zwykłą małą patelnię. Wcale nie wyglądała jak z teflonu. I wcale nie szorowałem po niej szczypcami do lodu, tylko raz dotknąłem normalnym widelcem. Skąd mogłem wiedzieć, że to ręczny wyrób niewidomego tasmańskiego pasterza kóz, który wyklepuje swoje cudowne patelnie tylko nocą, przy pełni księżyca?

- Musiała kosztować majątek. - W uśmiechu

Reilly'ego nie było cienia zrozumienia dla niefortunnych przypadków kuchennych przyjaciela.

- Za te same pieniądze mógłbyś kupić jakiś niewielki kraj z Trzeciego Świata - powiedział Matt z goryczą, na co Reilly parsknął śmiechem.

- I od tamtej pory Jessie nie wpuszcza cię do kuchni?

- Wpuszcza, pod warunkiem, że będę się trzymał z daleka od garnków. Nawet zmywać mi nie pozwala, chyba że nietłukące się miseczki po płatkach śniadaniowych. Uważa, że nie umiem załadować zmywarki i nie potrafię odpowiednio nastawić mikrofalówki.

- Miło porozmawiać z facetem, który nie ma nic do gadania we własnym domu - stwierdził Reilly i w odpowiedzi doczekał się gestu powszechnie uchodzącego za obraźliwy oraz niecenzuralny.

Reklamy już się skończyły, zaczęła się ostatnia kwarta meczu, ale głos dalej był wyłączony, co czyniło rzeknięcie odbywającą się na boisku mniej bolesnym widowiskiem. Reilly przez chwilę śledził poronione akcje piłkarzy, krzywiąc się straszliwie przy każdej kolejnej zagrywce.

- Myślałeś kiedyś, jak by to było, gdybyśmy zdecydowali się grać zawodowo? - zagadnął i kątem oka dostrzegł, że Matt unosi brew.

- Nie mów mi, że patrząc na tych patałachów, wpadasz w nostalgiczny nastrój. Jeśli tak, to zaraz wyprowadzę cię przed dom i kilka razy przejadę po tobie dziupem. Przypomnisz sobie, jak jest na boisku.

- Dzięki, wiem. Pamiętam jeszcze, jak to jest leżeć twarzą w błocie, kiedy cię przygniata dziewięćdziesiąt

kilogramów żywej wagi obrońcy przeciwnika. Żarcie błota i trawy nie należy do moich ulubionych zajęć. Pytałem cię tylko, czy kiedyś się zastanawiałaś, jak by wyglądało nasze życie, gdybyśmy przeszli na zawodowstwo.

- Pewnie mielibyśmy znacznie więcej kasy, niż mamy, i rozwalone rzepki kolanowe. - Matt zerknął na przyjaciela pytająco. - A ciebie co raptem naszło?

- Pierwsze objawy andropauzy. - Reilly uśmiechnął się, pokręcił głową i oparł stopy na stoliku. - Po prostu jestem ciekaw, jak potoczyłoby się nasze życie - powtórzył. - Gdyby nie ta cholerna kontuzja, pewnie grałbym w zawodowej drużynie. - Odchylił głowę i zmierzył Marta uważnym spojrzeniem. - A ty, czemu nie postawiłaś na futbol? Dostałaś przecież kilka interesujących propozycji. I miałaś świetne ręce.

- To samo mówiły mi wszystkie dziewczyny. - Matt przestał się uśmiechać, wzruszył nieznacznie ramionami. - To ty marzyłaś, żeby grać w zawodowej drużynie, Ri, nie ja. Gdyby ktoś cię kupił, wtedy pewnie poszedłbym z tobą ale właściwie nie zależało mi na tym.

- Ty i twój aparat. - Reilly pokiwał głową. - Zawsze marzyłaś o tym, żeby fotografować. No i udało ci się...

- Chyba tak.

Matt miał taką minę, jakby chciał powiedzieć, że to jedno z tych marzeń, które, owszem, spełniają się, ale zupełnie inaczej, niż oczekiwaliśmy.

- Napijecie się kawy? - dobiegł ich głos Jessie z holu.

W sekundę później pojawiła się w salonie z tacą, na której stały filiżanki i termos do kawy, zielony w żółte stokrotki. Miała na sobie szaroniebieską, długą spódnicę i puszysty brązowy sweter. Przez okno wpadało zachodzące słońce, rozświetlając jej włosy złocistymi refleksami. I właśnie w tym momencie Reilly, bodaj po raz pierwszy od kiedy ją znał, zobaczył w Jessie nie tylko przyjaciółkę, ale i kobietę, bardzo atrakcyjną kobietę.

Nie, nie po raz pierwszy, uświadomił sobie nagle. Od powrotu Marta, a może dopiero od ich ślubu rzeczywiście inaczej patrzył na Jessie. Irytowało go to, nie chciał widzieć w Jessie kobiety. Nie chciał myśleć o niej w ten sposób.

Opuścił wzrok i uśmiechnął się z ulgą na widok miękkich różowych kapci, które miała na stopach. Tak, to jest jego Jessie.

- Ładne kapcie, Jess.

- Też tak uważam. - Postawiła tacę na stoliku i podniosła dłoń do uderzenia. - Zabierz nogi ze stołu, ale już, ty zawalidrogo.

Reilly mruknął niezadowolony, podsunął się wyżej w fotelu i opuścił stopy.

- Zawsze byłaś okropna.

- A z ciebie zawsze był niechluj.

- To okrutne, Jess. Nie powinnaś kpić z porządnym inaczej.

- Porządni inaczej? Co to takiego? Politycznie poprawne określenie bałaganiarzy?

- Niektórzy z nas rodzą się bez genu czystości.

- Chwylił ją za rękę i pociągnął ku sobie, tak że

zachwiała się i musiała przysiąc na oparciu fotela.
- Nie masz przypadkiem odrobiny jedzenia dla wygłodzonego przyjaciela?

- Co powiesz na kawałek biskopta?

- Z migdałami?

- Może być z migdałami. - Zaśmiała się, kiedy pocałował ją w rękę, potarła mu włosy i podniosła się. - Idiota.

- Bezdenny - uzupełniła Dana, która właśnie weszła do pokoju, niosąc biskopt. - Nie pojmuję, jak można domagać się deseru po tak obfitym posiłku.

- Już zapomniałem, kiedy wstaliśmy od stołu. Poza tym znasz to powiedzenie: na biskopt miejsce zawsze się znajduje.

Jessie nałożyła każdemu porcję ciasta i usiadła obok Matta.

Żona obok męża.

Reilly'ego nie wiedzieć czemu zirytował widok tych dwojga w nowej roli, zapatrzonych w siebie. Odwrócił wzrok. Widział, jak Jessie dorasta. Obydwaj widzieli, do diabła. Zawsze traktował ją trochę jak małą siostrzyczkę i automatycznie zakładał, że Matt traktuje ją w taki sam sposób. A teraz Matt patrzy na nią, jak... Cholera, patrzy na nią jak facet, który pragnie kobiety, na którą właśnie patrzy. Pragnie i wie, że może ją mieć.

Nie podobało mu się to. Ani trochę. Zawsze była trójka: Matt, Jessie i Reilly, a teraz nagle tych dwoje się oddzieliło. Matt i Jessie... Już nawet nie ma Matta i Reilly'ego...

Poczuł się wykluczony. Osamotniony.

Wspaniale. Okazuje się, że jest zazdrosny o najlepszego przyjaciela. Jego własne małżeństwo legło w gruzach, a on tu siedzi i wścieka się jak ostatni idiota, bo dwoje jego przyjaciół pobrało się i nie poprowadziło go ze sobą do ołtarza. Zapomnieli o nim...

Wspaniale. Po prostu wspaniale. Dopił resztkę kawy, nawet jej nie smakując. Jakby nie dość było zdrady, mógł teraz spokojnie dodać do listy swoich grzechów małostkową zazdrość.

Życie momentami potrafi być naprawdę wyjątkowo wredne.

W drodze do domu nie zamienili słowa, ale nie było w tym nic dziwnego. Dana nie pamiętała, kiedy po raz ostatni ich rozmowa wykroczyła poza banalne uwagi: „Oddasz jutro samochód do przeglądu?” „Odebrałem po drodze do domu rzeczy z pralni chemicznej”. Wreszcie sakramentalne: „Oglądałaś może prognozę pogody na jutro?”

Obserwując Jessie i Matta, ich bliskość, drobne gesty, dotknięcia, uśmiechy, te tysięczne znaki składające się na porozumienie, uświadamiała sobie, jak ogromna przepaść dzieli ją i Reilly'ego.

Przesunęła niespokojnie palcami po zapięciu pasa. Po raz kolejny zaczęła rozmyślać o minionym roku, o powiększającym się z każdym dniem dystansie między nią i Reillym. Co dalej? Co przed nimi? Kolejne trudne lata? Puste, samotne i ciężkie od milczenia. Ma tak żyć i przyglądać się, jak jej małżeństwo umiera?

Zerknęła na Reilly'ego. Jak by zareagował, gdyby położyła mu teraz dłoń na kolanie? Zaraz po ślubie, spragnieni siebie, nie mogli wytrzymać choćby kilka minut, żeby się nie dotknąć, nie objąć, nie wziąć za rękę, jakby cały czas musieli czuć swą wzajemną bliskość.

Jak dzisiaj Reilly odebrałby jej gest, jak by go odczytał? Niepotrzebnie się nad tym zastanawia, bo niby co ona sama chciałaby wyrazić takim gestem?

Oparła się wygodniej, odwróciła głowę i zapatrzyła się w mijany krajobraz. Nieprawda, wiedziała, co chciałaby wyrazić swoim gestem.

Wybaczam ci. I ty mi wybacz, proszę. Zapomnijmy o wszystkim. I jeszcze: Nadal cię kocham. Bardzo dużo jak na jeden niewinny, maleńki gest. Gdyby wiedziała, że Reilly zrozumie... Gdyby miała pewność, że to właśnie chce wyrazić.

Chciała... chcieć. Jeśli się wahała, to nie ze względu na zdradę Reilly'ego, w każdym razie nie tylko dlatego. Była w stanie pogodzić się z samym faktem, pogodziła się. Zgoda, Reilly popełnił błąd. Wierzyła w jego zapewnienia, że bardzo tego żałuje. Uwierzyła nawet, że to się więcej nie powtórzy. Na tyle, na ile mogła uwierzyć w zapewnienia, których czas nie zdążył jeszcze zweryfikować.

Zdrada zostawia bliznę, ale Dana była w stanie z tym żyć. Dręczyło ją coś innego. Cichy wewnętrzny głos, który uporczywie domagał się odpowiedzi na pytanie, dlaczego Reilly w ogóle pomyślał o zdradzie? Dlaczego zainteresował się inną? Czy to jej wina? Czy jest z nią coś nie tak? Być może tkwi

w niej jakaś skaza. Nie spełniła oczekiwań. Znowu. Tyle że tym razem ceną nie była srebrna korona miss, tylko jej własne małżeństwo.

Reilly wjechał do garażu, ustawił swoją furgonetkę obok czarnego porsche Dany. Kupili je zaraz po ślubie, żartując, że chcą się nacieszyć sportowym wozem, dopóki mogą, bo kiedy pojawią się dzieci, będą musieli zamienić to autko na coś znacznie mniej stylowego, za to bardziej pakownego. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że będą mogli cieszyć się swoim porsche do późnej starości.

Ta myśl jakoś nie rozweseliła Reilly'ego. Wysiadł z furgonetki i przeszedł za Daną z garażu do kuchni. Dana od razu otworzyła lodówkę i zaczęła układać na półkach opatrzone naklejkami pojemniki z jedzeniem, które dała jej Jessie. Święto Dziękczynienia jest nieważne, twierdziła Jessie, jeśli coś ze świątecznego stołu nie zostanie na następny dzień, choćby symboliczna odrobina.

Reilly zatrzymał się przy drzwiach i obserwował żonę. Układała pudełka na półkach, nie zapaliwszy nawet lampy i teraz widział jej ciemną sylwetkę na tle oświetlonego wnętrza lodówki.

Nachyliła się i kosmyk złotych włosów opadł na policzek. Zabrakło mu powietrza, poczuł ucisk w gardle, zaraz potem pieczenie pod powiekami. To na pewno uczulenie, powiedział sobie. Nic tylko alergia. Przecież niemożliwe, żeby widok żony wkładającej jedzenie do lodówki wyciskał mu łzy z oczu.

- Nie widziałam jeszcze, żeby ktoś opatrywał naklejkami resztki ze stołu - powiedziała Dana,

umieszczając w lodówce ostatni pojemnik. - Dołączyła nawet instrukcję, jak odgrzewać to, co nam dała.

Reilly z trudem przełknął ślinę.

- Jeśli chodzi o kuchnię, Jessie najwyraźniej nikomu nie ufa - powiedział, siłąc się na spokój.

- Gdybym potrafiła gotować tak dobrze, jak ona, też pewnie nikomu bym nie ufała. - Dana zamknęła lodówkę, pogrążając kuchnię w mroku. Dopiero po chwili zapaliła jedną z lampek nad blatami.

Reilly patrzył, jak zdejmuje czarny płaszcz, jak odgarnia kosmyk włosów z twarzy. Zapewne nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo porusza go jej najdrobniejszy gest. Nawet gdyby o tym wiedziała, czy miałyoby to dla niej jakiegokolwiek znaczenie? Ciekawe, jak zareagowałaby, gdyby teraz podszedł i wziął ją w ramiona?

Przyjęłaby go? Pozwoliła, by wreszcie runął ogradzający ich mur? A może odepchnęłaby go? Albo zamknęła oczy niczym męczennica za świętą sprawę małżeństwa?

Znowu ten paskudny ucisk w gardle. Chyba coś mu jednak dolega. Oderwał się od drzwi.

- Pójdę, może złapię na którymś kanale ostatnie wiadomości. - Szedł tak, by nawet nie otrzeć się o Danę. Nie dzisiaj. Nie teraz, kiedy tak rozpaczliwie pragnął jej dotknąć.

- Wezmę kąpiel i chyba się położę - powiedziała cicho.

Czuł jej spojrzenie na sobie, ale nie podniósł wzroku, nie miał odwagi.

- Śpij dobrze - mruknął tylko, nie odwracając się.
- Ty też.

Dana patrzyła, jak Reilly zniknął w salonie i łązy cisnęły się jej do oczu. Chciała go zawołać, powiedzieć coś. Cokolwiek.

Usłyszała jeszcze, jak włącza telewizor, a potem otworzyła lodówkę, wyjęła napoczętą butelkę wina, chciała napełnić kieliszek, w końcu jednak się rozmyśliła i z kieliszkiem oraz butelką wyszła z kuchni.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przez lata wędrówek po świecie Matt zetknął się z najrozmaitszym pojmowaniem pojęcia „seksowne”. Kobiety chude, kobiety pulchne, kość w nosie, małżowiny uszne wyciągnięte do ramion, tatuaże, mini, czarczafy, wysokie obcasy - wszystko może być seksowne, zależy jak na to spojrzeć. A fetyszyści? Mężczyźni podniecający się na widok kobiecego palca lub fartuszka. Seksapil to bardzo płynne, trudne do opisanie pojęcie.

Matt uważał się w tej dziedzinie za osobnika zupełnie przeciętnego i typowego. Cienkie jak mgiełka pończochy, długie, zgrabne nogi. Głęboki dekolot odsłaniający piersi. Skąpa bielizna na kształtnym ciele - wszystko to wprawiało go w stan miłego podniecenia. Nie potrzebował żadnych niespodzianek, żadnej egzotyki.

Ciekawe, jak udało mu się przeżyć blisko czterdzieści lat, nie wiedząc, jak podniecająca potrafi być najzwyczajniejsza biała bawełna?

Zmrużywszy oczy, przyglądał się Jessie, która właśnie wyszła z łazienki. Koszula nocna, którą miała na sobie, wybrana została bez wątpienia z myślą o wygodzie, nie uwodzeniu. Z długimi rękawami, sięgająca za kolana, zapinana na szereg perłowych guziczków, wykończona skromnymi falbankami przy kołnierzyku i mankietach.

Jak zatem miał sobie wytłumaczyć ten raptowny przypływ pożądania, drażniący nerwy niby prąd?

- Moim zdaniem obiad wypadł bardzo dobrze - powiedziała Jessie, sięgając po szczotkę do włosów. - Jedzenie było dobre, wszyscy wydawali się zadowoleni.

- Jedzenie było wspaniałe, a goście wyszli zachwyceni. - Matt wstał z łóżka i podszedł do Jessie. To, że wysunął się spod ciepłej kołdry, wcale nie ostudziło jego gorących zamiarów.

- Jak myślisz, czy dodałam za dużo szaławii do nadzienia?

- Nadzienie było bardzo dobre. - Naprawdę uważała, że będzie teraz roztrząsała sprawę szaławii w nadzieniu?

- Natomiast syropu klonowego w placku orzechowym było w sam raz. - Przechyliła lekko głowę i zaczęła szczotkować włosy od spodu. - Lekka klonowa nuta - ciągnęła. - Wyczuwalna, ale nie dominująca.

- Hmm. - Stał teraz tak blisko, że czuł zapach mydła, szamponu i skóry. Zapach Jessie. Upojny, uderzający do głowy.

- Wiesz, może fantazuję, ale wydaje mi się, że

między Lurene i Gabe'em coś zaiskrzyło. - Zmarszczyła czoło, wyraźnie przejęta tematem. - Pomyśl, czy nie byłoby wspaniale, gdyby zaczęli się spotykać? To znaczy, gdyby byli razem?

- Byłoby wspaniale. - Osobiście uważał, że szanse na to, by jego braciszek wytknął nos poza ekran swojego komputera i dostrzegł, że po tym świecie chodzą całkiem interesujące kobiety, były bliskie zeru, ale nie zamierzał dyskutować na ten temat z Jessie. Miał teraz inne sprawy na głowie, na przykład ile czasu może mu zająć uporanie się z gęstym rządkiem perłowych guziczków, strzegących żoninej skromności.

- Wiem, podobno każda kobieta natychmiast po wyjściu za mąż zaczyna swatać wszystkich wokół, ale myślę, że między nimi naprawdę coś zaiskrzyło.

- Oboje lubią ciemne mięso?

Jessie odłożyła szcztokę i Mart ujął między palce opadający swobodnie, jedwabisty lok.

- Może mają więcej wspólnych upodobań.

- Każda znajomość musi się od czegoś zacząć - mruknął, zanurzając palce we włosach Jessie.

Poddawała się pieszczocie, ale głowę wciąż miała wypełnioną wydarzeniami mijającego dnia. Wysiłki, planowanie, szaf zakupów i gotowania, wszystko to opłacało się, bo obiad wypadł doskonale, dokładnie tak, jak sobie wymarzyła. Jednego tylko nie sposób zaplanować: rodzinnego nastroju, który panował przy stole. Nastroju może więcej niż rodzinnego, bo rodzina nie zawsze musi się kochać i lubić, a tu wszyscy byli dla siebie serdeczni.

Chyba nawet zaczynała lubić Danę. Oczywiście jedna kilkuminutowa rozmowa nad stertą brudnych naczyń nie czyni jeszcze cudu, ale pojawiła się między nimi pewna... więź, której wcześniej z całą pewnością nie było.

- Wiesz, martwię się o Reilly'ego i Danę - powiedziała, otrząsając się z zamyślenia.

Matt zeszywniał, mimowiednie zacisnął palce na włosach Jessie i szybko je rozluźnił. On stoi przy niej, gotów do małżeńskich zatrudnień oraz pracy nad dzieckiem, a ona myśli o Reillym?

- Nie potrafię dokładnie powiedzieć, o co chodzi - ciągnęła niczego nie świadoma Jessie, spoglądając w lustro. - Tak jakby... nie wiem... istniał między nimi jakiś dystans.

Jasne, jak się przeleci inną kobietę, to człowiek ma potem problemy z ponownym zbliżeniem się do własnej żony. Matt ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć głośno, co myśli. Nie jego rzecz wyjaśniać Jessie, dlaczego między Daną i Reillym panuje wyczuwalny chłód. Gdzieś w głębi duszy, w jakimś mrocznym zakamarku zrodziło się pragnienie, by jednak uświadomić Jessie, że ten wspaniały Reilly wcale nie jest taki wspaniały.

Pięknie, Latimer. Bardzo pięknie. Możesz być z siebie dumny. Zdradziłbyś tajemnicę najlepszego przyjaciela, bo jesteś zazdrosny. Ot tak, po prostu...

Matt zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Zazdrość. Cholerna zazdrość. Gdyby nie było to takie żałosne, mogłoby być dość zabawne. Jeszcze w szkole, potem na studiach zdarzało się, że uderzali

w konkury do tej samej dziewczyny, ale nigdy z tego powodu nie odczuwał zazdrości, nigdy nie zdejmowała go chęć, by walić pięścią w ścianę. Albo przyłożyć Reilly'emu. Nie, dopiero teraz musiało się w nim obudzić to paskudne uczucie. Był zazdrosny o Jessie. O swoją własną żonę, do jasnej cholery!

- Mam nadzieję, że między nimi nic złego się nie dzieje - powiedziała Jessie, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w lustro.

Samą ją to zaskoczyło, ale naprawdę życzyła Danie i Reilly'emu jak najlepiej. W okresie ostatnich dwóch miesięcy niepostrzeżenie, nie wiedząc nawet kiedy, zaakceptowała wreszcie małżeństwo Reilly'ego, fakt, z którym nie mogła się pogodzić przez pięć długich lat.

- Nie chcę, żeby Reilly był nieszczęśliwy.

Matt wydał z siebie jeden z tych pomruków, które mogą znaczyć wszystko lub nic, i Jessie już otworzyła usta, żeby zażądać od męża zajęcia jaśniejszego stanowiska w sprawie osobistego szczęścia Reilly'ego. Nie zażądała, bo Matt położył jej dłoń na ramieniu, co ją natychmiast podnieciło.

- Wiesz, na co mam ochotę, kiedy widzę tę koszulę nocną?

Ciepły, przytłumiony, pełen obietnic głos...

Jessie spojrzała na męża. Stał obok niej w samych spodniach od piżamy, opuszczonych na biodra, wyraźnie gotów przejść do nocnych działań. Wstrzymała oddech, serce zabiło żywiej.

- Na co masz ochotę, kiedy patrzysz na moją

koszulę nocną? - Wszystko, na co było ją w tej chwili stać, to powtórzenie pytania Marta.

- Mam ochotę położyć dłonie na kołnierzyku. O tak - Tu Matt zademonstrował jak. - I zerwać ją z ciebie. - To też zademonstrował.

Rozległ się odgłos rozdieranego materiału, na podłogę posypały się perłowe guziczki... i po chwili oboje wylądowali na drewnianej podłodze.

Jessie, spocona, półprzytomna leżała pod nim bez ruchu. Jezu, chyba nie zrobił jej krzywdy. Rzucił się na nią jak zwierzę. Kapiel, gorąca czekolada, przeprosiny, wszystko to przemknęło mu przez głowę w jednym ułamku sekundy

Dźwignął się z trudem.

- Pomogę ci, kochanie.

- Hmm? - Jessie z wysiłkiem otworzyła oczy. Matt klęczał obok niej i próbował ją podnieść. - Chcesz mi pomóc?

- Ja... Nie wiem, co powiedzieć... - bąkał nieporadnie, w najwyższym stopniu skruszony. Jessie przelewała mu się przez ręce, głowa opadała jej do tyłu. Nie da rady chwycić jej w ramiona i przenieść na łóżko. Wykluczone.

- Wszystko w porządku - mruknęła, zamykając na powrót oczy. - Nic mi nie jest. Nie ruszaj mnie. Trochę sobie poleżę i sama się podniosę. Jutro, może pojutrze, jak dobrze pójdzie.

Wcale się nie gniewała. Ani trochę. On się zadręcza wyrzutami sumienia, a ona mówi tonem... Tak, to ton kobiety... nasyconej. Zaspokojonej.

Usatysfakcjonowanej. Nachylił się nad żoną. Żadnych łez, śladu gniewu czy lęku. Jessie jest najwyraźniej zadowolona. Jak osoba, która właśnie z powodzeniem odbyła zwiariowane manewry miłosne w tak zwanych trudnych warunkach terenowych.

- Nie jesteś... hmm... nie jesteś na mnie zła?

Pytanie na tyle ją zaskoczyło, że znowu otworzyła oczy.

- O co mam być zła?

- Że... że... tak, tego... na podłodze.

Uśmiechnęła się rozkosznie.

- No właśnie - przytaknęła. - Niesamowite.

Niesamowite? On ją obala na podłogę, rzuca się na nią, można powiedzieć, zniewala, a ona mówi, że to „niesamowite”? Matt przyglądał się żonie i kłębiły się w nim tak zwane mieszane uczucia: niezrozumiała irytacja, coś jakby rozbawienie i cień satysfakcji, której za wszelką cenę starał się nie dopuszczać do głosu.

- Zdarłem z ciebie koszulę.

- Zgadza się, zdarłeś. Czytałam, że ludziom zdarzają się takie przypadki, ale nigdy nie przypuszczałam, że mnie to też spotka. Niesamowite - powtórzyła i przytuliła się do Matta. - Podłoga jest jednak trochę za twarda. Myślisz, że moglibyśmy...

Matt na te słowa natychmiast odnalazł w sobie siły, dźwignął Jessie, zanim zdążyła dokończyć zdanie, i przeniósł na łóżko.

Nie tylko jej pragnął, on chciał ją naznaczyć, uczynić tylko i wyłącznie swoją. Jego Jessie. Niepo-

dzielnie jego. Był zazdrosny o Reilly'ego. Zazdrosny o to, że Jessie myśli o Reillym, że się o niego troszczy, przejmuje jego małżeństwem, szczęściem oraz samopoczuciem.

Myślał, że ma to już za sobą że nie będzie się przejmował tym, co Jessie czuje do Reilly'ego. Zaakceptował to. No dobrze, nie zaakceptował, raczej wymazał ze świadomości, zepchnął gdzieś w głąb umysłu. I w porządku. Zabieg, choć niezbyt radykalny, okazał się skuteczny. Matt nie przejmował się uczuciami, jakie Jessie żywi do przyjaciela, nawet o tym nie myślał. Nie przeszkadzało mu, kiedy Reilly obejmował Jessie, brał ją za rękę. Reilly miał taki sposób bycia, zawsze taki był: wylewny i przylepny. Wobec wszystkich. To że raz czy drugi objął Jessie, nie miało przecież najmniejszego znaczenia.

Kiedy Matt stanął obok niej, wyobraził sobie, jak zaraz zacznie rozpinać równiutki rząddek perłowych guziczków przy jej koszuli nocnej. Pragnął jej, pożądał, widział już, jak za chwilę weźmie ją w ramiona. Wtedy wspomniała o Reillym i coś się z nim stało. Przestał myśleć, już nie panował nad sobą. Tylko jedno było mu w głowie - żeby zapomnieć o Reillym, o całym świecie i była tylko z nim, tylko... dla niego. Teraz dręczyło go nie tyle to, co zrobił, ile sama motywacja.

Co prawda trudno czuć wyrzuty sumienia, kiedy żona ma taką uszczęśliwioną minę, ale podjął jeszcze jeden próbę:

- Jessie, ja...

Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach.

- Nie wiedziałam, że aż tak bardzo możesz mnie pragnąć. Żeby zerwać ze mnie koszulę?

Zamknął jej drobną dłoń w swojej.

- Mogłem zrobić ci krzywdę.

- Nie. - Pokręciła głową, nie dając mu dojść do słowa. - Ty nigdy byś mnie nie skrzywdził. - W jej głosie było tyle pewności, jakby znała Matta lepiej niż on samego siebie.

Może rzeczywiście zna mnie lepiej, pomyślał i resztki wyrzutów sumienia odpłynęły w niebyt.

Tym razem kochali się powoli, delikatnie, bez szaleństw, a kiedy wreszcie zmęczeni wtulili się w siebie, zapadając powoli w sen, Jessie szepnęła jeszcze:

- Myślisz, że możemy z tego zrobić naszą świąteczną tradycję? To ważne, żeby mieć rodzinną tradycję.

Z twarzą wtuloną w jej włosy uśmiechnął się szeroko, jak głupek. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie takiej reakcji. Jedynie Jessie zdolna była go tak rozśmieszyć. Wieczór okazał się pełen emocji - żądza, zazdrość, wyrzuty sumienia, poczucie winy, namiętność... Dość, by wypełnić kilka odcinków opery mydlanej.

A teraz śmiech.

Boże, jak on kocha tę kobietę. Zamknął oczy. przestał się uśmiechać. Czy to nie wspaniałe? Kocha ją. Przeżył pół życia i ani razu nie był zakochany, a kiedy wreszcie się zakochał, to od razu we własnej żonie. Dobra wiadomość. Zła wiadomość, że jego żona była najprawdopodobniej zakochana w jego

najlepszym przyjacielu. Cholera. To już nie kilka odcinków, to kilka sezonów opery mydlanej.

Zapał w sen i obudził się w środku nocy, zlany potem. W uszach dźwięczało mu jeszcze echo strzałów i jego własny krzyk.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W powietrzu czuło się już Boże Narodzenie. Nie było szronu na szybach, nikt nie robił sobie herbaty z rumem na rozgrzewkę, i choć wokół widziało się palmy, a nad głową lazurowe niebo, choć mróz nie szczypał w policzki, to przecież w powietrzu czuło się już Boże Narodzenie.

Jessie zatrzasnęła drzwiczki mustanga i zaczęła szukać w torebce drobnych do parkomatu. Znalazła wreszcie monety i wrzuciła do otworu, która to czynność, mająca swoje źródło w przekorze, wywołała w niej natychmiastowe wyrzuty sumienia.

Matt uważał parkomaty za diabelski wynalazek albo intrygę ufoludków szykujących się do podboju naszej planety. Wolał zaparkować dwie przecznice od celu, niż zapłacić dziesięć centów.

Jessie bawiło to jego małe dziwactwo. We wszystkim był taki racjonalny, taki rozsądny. Miło wiedzieć, że czasami jemu też odbija, jak każdemu

szanującemu się człowiekowi. Oczywiście on nigdy nie przyznałby, że ma na jakimkolwiek punkcie bzika, ale facet, który potrafi zrobić pięciominutową awanturę na temat ekonomicznych zagrożeń niesionych przez parkomaty, musi mieć lekki odchył.

Nakreśliwszy krótki rys psychologiczny swojego męża, Jessie odwróciła się, wsunęła dłonie do kieszeni płaszcza, a płaszcz był jaskrawoczerwony, i wciągnęła głęboko powietrze. Kukurydza w karmelu i cukierki na choinkę, te długie, w biało-czerwone paseczki. Gdyby ktoś ją tu przywiózł w przepasce na oczach i tak postawił na środku ulicy, po samym zapachu poznałaby, gdzie jest.

Cukiernia pani McCurdy cieszyła się wielką popularnością wśród gości „Gospody pod Wierzbą”. Umiejscowiona między sklepikiem z pocztówkami i kwiaciarnią z daleka wyróżniała się markizą w jaskrawe biało-zielone pasy i ozdobnym napisem nad wejściem. Latem na chodniku przed cukiernią pojawiały się metalowe stoliki dla łakomczuchów, a samo wnętrze, zdominowane przez wielki dębowy kontuar i pełne staroświeckiego wdzięku, pomyślane było tak, że goście mogli obserwować, jak powstają pralinki, czekoladki i kremy. Matt nazywał cukiernię Stylową Pułapką na Turystów, ale Jessie bardzo lubiła to miejsce i widziała w przesadnej, dosłownie i w przenośni przesłodzonej aranżacji rodzaj świadomego żartu. Poza tym nawet największy cynik nie mógł powiedzieć złego słowa o wyrobach pani McCurdy, jej klientela nie składała się zresztą wyłącznie z turystów.

Kiedy Jessie zamieszkała z dziadkiem, przyprowadził ją tutaj, tuż przed ich pierwszym wspólnym Bożym Narodzeniem. Kupił jej wtedy wielką torbę kukurydzy w karmelu i tuzin choinkowych cukierków, prawdziwych choinkowych cukierków, jak podkreślał. Potem posadził ją na wysokim stołku przy ladzie, by mogła zobaczyć, jak się robi pralinki i inne słodkości. Dla ośmioletniego dziecka był to świat z bajki. Zafascynowana, na chwilę mogła zapomnieć o tym, że jej rodzice odeszli na zawsze.

Od tamtej pory co roku w grudniu przychodziła z dziadkiem do cukierni pani McCurdy. W ostatnie święta był już zbyt chory, żeby jej towarzyszyć. Wybrała się sama i kupiła tradycyjnie torbę kukurydzy w karmelu oraz dwanaście cukierków choinkowych, do dekoracji drzewka i do koktajlu świątecznego.

Żadne nie powiedziało tego głośno, ale oboje wiedzieli, że to ich ostatnie wspólne Boże Narodzenie, i ta wiedza zabarwiła tamte święta smutkiem i goryczą. Natomiast te nadchodzące jeszcze kilka miesięcy temu planowała spędzić poza domem, może w Nowym Jorku, może w Paryżu. W każdym razie zamierzała wyjechać, żeby uciec od bolesnych wspomnień.

Życie jest pełne niespodzianek. Jessie uśmiechnęła się do siebie na tę myśl. Jak zupełnie inaczej wszystko się ułożyło. Zamiast w nieprzytulnym pokoju hotelowym w Paryżu, miała spędzić święta z Mattem. Ich pierwsze wspólne Boże Narodzenie. Zamiast przemierzać ulice europejskiej stolicy, kupowała prezenty pod choinkę i ozdoby. Przygotowywała tradycyjne rodzinne święta.

A w przyszłym roku... uśmiechnęła się szerzej. Ciągle jeszcze tkwiąc przy parkomacie, zakołysała się na piętach. Miała szczerą ochotę wybuchnąć głośnym, radosnym śmiechem. W przyszłym roku będą mieli nie tylko prezenty, choinkę i tradycyjne rodzinne święta. W przyszłym roku będą już prawdziwą rodziną.

Dziecko. Będą mieli dziecko.

Musiała z całych sił panować nad sobą, żeby nie rozłożyć szeroko ramion i nie wykrzyknąć radosnej nowiny wszem i wobec, całemu światu. Ona, Jessika Sinclair Latimer, będzie miała dziecko. Położyła dłoń na brzuchu. Czy to wyobraźnia płata jej figle, czy rzeczywiście brzuch trochę, odrobinę urósł?

W porządku, mało prawdopodobne, by w trzecim tygodniu było już widać ciążę, ale kto wie...

Jak tylko ciąża zacznie być widoczna, natychmiast pójde do sklepu i kupię sobie najbardziej ciężową ze wszystkich ciężowych sukien. Żebyś skrzyła się z zazdrości, Pammie Sue, pomyślała mściwie. My, kobiety robiące karierę zawodową, choćby tylko w kuchni, też możemy mieć dzieci. Nie powiedziała jeszcze Mattowi, ale wiedziała, że będzie tak samo szczęśliwy jak ona. Co prawda pomysł wyszedł od niej, ale Matt też chciał dziecka.

Zabawne, jeszcze kilka miesięcy temu była pewna, że dziecko dopełni jej życie w sposób absolutny i doskonały. A teraz okazywało się tylko swego rodzaju premią. Cudownym, zachwycającym, fantastycznym dodatkiem do życia, które już było cudowne, zachwycająco, fantastycznie spełnione.

Może powie Mattowi dzisiaj wieczorem.

Powie mu po bardzo specjalnej kolacji, którą już starannie zaplanowała. Skończyła jeść, usiadła sobie potem na kanapie w salonie. Matt wyciągnie się wygodnie, położy głowę na jej kolanach, ona zanurzy palce w jego gęstych, ciemnych włosach... Tak właśnie lubili spędzać wieczory. Czasami oglądali jakiś film na wideo, ale najczęściej Matt rozpałał ogień na kominku i patrzyli w tańczące płomienie, słuchali trzasku polan.

- Jessie?

Na dźwięk swojego imienia ocknęła się z marzeń i odwróciła z uśmiechem na ustach.

Dana.

Uśmiech Jessie zbladł, przygasł. Już myślała, że naprawdę polubi Danę, a ta wyrasta przed nią doskonała, zbyt doskonała, jakby właśnie zeszała z okładki „Glamour” czy „Vogue'a”.

Szara dziana suknia, długa do pół łydki, prosta elegancką prostotą pozbawiona ozdób i dodatków, jeśli nie liczyć szerokiego paska z czarnej, lakierowanej skóry. Do tego botki z czarnej, lakierowanej skóry, lekki czarny żakiet. Aha, jeszcze dopełniający całości łańcuszek z białego i żółtego złota, to wszystko.

Włosy zaplecione we francuski warkocz, a zimowe, ostre słońce pięknie wydobywało idealne, klasyczne rysy Dany.

- Właśnie zamówiłam kwiaty na święta - powiedziała, wskazując głową kwaciarnię. - Nie byłam pewna, czy to ty. Poznałam cię dopiero po samochodzie.

- Jeśli chciałabym wybrać się gdzieś incognito, nie powinnam brać mojego mustanga.

- Albo przemaalować go na inny, mniej rzucający się w oczy kolor.

- Wiśniowy nie należy do najsztudniejszych. - Jessie odsunęła się o krok, żeby zrobić miejsce dwóm nastolatkom na deskorolkach. - Nigdy nie potrafiłam jeździć na deskorolce - powiedziała, patrząc za chłopcami. - Matt i Reilly usiłovali mnie nauczyć, ale jedyne, co osiągnęłam, to piękne otarcia na dłoniach.

- Kiedy miałam osiem lat, byłam na obozie letnim. Jedna z wychowawczyń pokazała mi, na czym polega sztuka. - Dana też spojrzała za chłopcami. - Niesamowite uczucie. Jakby człowiek dostał skrzydeł.

- Rozumiem, że jeśli zdecydowałam się kiedyś jeździć, mam się zgłosić do ciebie?

- Nie. - Dana jakby się otrząsnęła, zanim zwróciła się do Jessie. - Od tamtego czasu ani razu nie stanęłam na desce. Moja matka nie posiadała się z wściekłości, że ktoś narażał mnie na takie niebezpieczeństwo.

- Jazda na desce tak ją przerażała? - Jessie uniosła brwi. - Rozumiem, można się przewrócić, ale to jednak nie to samo co skoki na bungee czy gonitwy z bykami w Pampelunie.

- Nie to samo, ale z poobijanymi kolanami i łokciami nie weźmiesz udziału w konkursie piękności - powiedziała Dana z przekąsem.

Jessie przypomniała sobie, że słyszała od Dany

podobne słowa w Święto Dziękczynienia, kiedy przez chwilę rozmawiały w kuchni. Dana wspomniała wtedy, że miała niewielki kontakt z bratem i siostrą, po części dlatego, że nie wolno jej było brać udziału w ich zabawach. Musiała bez przerwy uważać na siebie. Przypomniała sobie coś jeszcze. Mart powiedział, że Dana nie jest chłodna, tylko bardzo samotna. Jessie zbyła go wtedy jakąś głupią uwagą i zarzuciła mu, że broni Dany z powodu jej urody.

Cóż, zaślepiła ją zaszadość, a to naprawdę paskudne uczucie.

- Może zjemy razem lunch? - zaproponowała z serdecznym uśmiechem.

O tej porze „U Ernigo” panował zwykle tłok i trzeba było czekać na miejsce, ale miały szczęście. Akurat kiedy weszły, zwolnił się stolik. Lurene pomachała im na powitanie, ale nie wyszła zza baru. Buddy Holly wyznawał publicznie swoją miłość do Peggy Sue, w powietrzu unosił się zapach duszonej cebuli, wołowiny i chili. Jessie rozejrzała się, skinęła głową swojej dawnej nauczycielce matematyki, zerknęła na witrynę z deserami i z satysfakcją stwierdziła, że z ciast, które przyniosła poprzedniego dnia, niewiele co zostało, usiadła naprzeciwko Dany i sięgnęła po kartę.

Była zdziwiona, kiedy Dana zaproponowała, żeby zjadły tutaj. Dana McKinnon, królowa piękności, jakoś nie pasowała do tego miejsca. Jednak teraz zachowywała się zupełnie naturalnie, jakby nigdy nie jadała w innych restauracjach. Kiedy pojawiła się

kelnerka, Dana jeszcze raz zaskoczyła Jessie, zamawiając cheesburgera ze wszystkimi dodatkami.

- Jeśli mi powiesz, że należysz do tej kategorii ludzi, którzy nie muszą uważać, co jedzą, to będę musiała zrobić ci coś złego - oświadczyła Jessie, kiedy kelnerka odeszła.

Dana, w pierwszej chwili zaskoczona, uśmiechnęła się, a w jej oczach nieoczekiwanie zabłyśły wesołe iskierki.

- Bieżnia - powiedziała, sięgając po słony paluszek. - Jestem niewolnicą bieżni domowej. Zapłacę za ten lunch, ćwicząc przez cały przysły tydzień po dwadzieścia minut dłużej.

- To dobrze, bo niezręcznie jest dopuszczać się zbrodni przy tylu świadkach.

Jessie zaproponowała wspólny lunch wiedziona impulsem i teraz zastanawiała się, czy nie będzie żałowała tego nieprzemyślanego zaproszenia. Znała Danę od pięciu lat, ale właściwie nie znała jej wcale. Przez te pięć lat nigdy jeszcze nie spotkały się sam na sam, nie miały okazji porozmawiać dłużej. Byłoby śmieszne, gdyby się teraz okazało, że zazdrość zazdrością, a Dany po prostu nie da się lubić.

To były niepotrzebne obawy. Z Daną świetnie się rozmawiało. Obydwie lubiły stare filmy, chociaż Dana nie mogła zrozumieć słabości Jessie dla Bogarta, ale nie sposób mieć wszystkiego, natomiast lubiła filmy i musicale Prestona Sturgesa. Śmiały się, przypominając sobie ulubione sceny, a Dana doskonale pamiętała teksty piosenek. Kiedy godzina szczytu minęła i w restauracji zrobiło się spokojniej,

podeszła do nich Lurene i rozmowa zesłała na projekt budowy nowego centrum handlowego na obrzeżach miasta oraz ewentualne skutki, jakie otwarcie tegoż centrum może mieć dla miejscowych kupców.

Tradycyjny lunch dziewczyn, pomyślała Jessie w jakimś momencie. Lunch przyjaciółek. Z Lurene przyjaźniła się od dawna, ich przyjaźń była czymś oczywistym, niekwestionowanym, a teraz ze zdumieniem odkrywała, że chyba zaprzyjaźni się również z Dana.

Naprawdę była aż tak głupia i płytką, tak zaślepiona zazdrością, że dotąd nie potrafiła dostrzec zalet Dany? Może powinna ją przeprosić? Ale co niby powinna powiedzieć? Ojej, wybacz, myślałam, że jesteś głupia i w dodatku zimna jak lód? Raczej mało zachęcający wstęp do rysującej się na horyzoncie przyjaźni. Po prostu musi przejść do porządku dziennego nad własną głupotą.

Skończyły swoje hamburgery, czekały na rachunek, gotowe za chwilę wyjść, gdy uwagę Jessie zwróciła para siedząca przy stoliku pod oknem. Mogli mieć po dwadzieścia kilka lat. Obydwoje w dżinsach i w luźnych, jednakowych swetrach, które włożyli chyba specjalnie dla podkreślenia, że są parą. Jednak najbardziej zainteresował Jessie małuch w wysokim foteliku, ściskający w małej rączce łyżkę.

Patrzyła na uśmiechniętą buzię i czuła, jak topnieje jej serce. Za rok będzie karmić dziecko... Nie będzie mogła ruszyć się z domu bez pieluszek na zmianę, fotelika samochodowego i innych koniecznych drobiazgów.

- Śliczny dzieciak - powiedziała Dana, idąc za jej wzrokiem.

- Cudny. - Jessie miała pełną świadomość, że na jej twarzy pojawia się rozanielony i z pewnością mocno głupawy uśmiech.

- Myślicie o dziecku? - zapytała Dana lekkim tonem.

Jessie w pierwszej chwili miała nieprzepatą ochotę podzielić się swoją nowiną, powiedzieć, że właśnie wyszli poza etap myślenia, ale najpierw powinien dowiedzieć się o dziecku Matt, on pierwszy. Potem będzie mogła dać całostronicowe ogłoszenie w lokalnym dzienniku. Skinęła głową.

- Planujemy.

- Świetnie. - W uśmiechu Dany pojawił się cień smutku - Ja też chciałam mieć dzieci, ale ułożyło się inaczej.

- Jeszcze możesz mieć, jeszcze zdążysz. Nie jesteś za stara. - Jessie czuła się tak dobrze w towarzystwie Dany, że mogła nawet powiedzieć jej „nie jesteś za stara”. - Reilly byłby fantastycznym ojcem.

Wielkie nieba, i to ja namawiam ją, żeby miała dziecko z Reillym, pomyślała zaskoczona. Myśl, że Dana może mieć dziecko z Reillym, nie sprawiała jej, o dziwo, najmniejszej przykrości. I co, martwi mnie to, że mnie to nie martwi? - monologowała. - Co się ze mną dzieje?

- Powinniście... hm... porozmawiać o tym - mruknęła zmieszana i mało brakowało, żeby rzuciła się kelnerce na szyję, kiedy ta przyszła jej w sukurs, przynosząc rachunek.

Jessie cofnęła się o krok i z zadowolonym uśmiechem przyjrzała swojemu dziełu. Doskonale. Kształt-ny wierzch z bezy przybrany kandyzowanymi owocami, w środku krem czekoladowy. Matt uwielbiał tort beżowy z czekoladowym kremem. W jednym piekarniku piekł się mostek cielęcy z pieczarkami i cebulką. Do drugiego piekarnika włoży zaraz dwa duże ziemniaki. Do tego poda brokuły duszone z czosnkiem na oliwie z oliwek i będą mieli klasyczną „ich”, jak to nazywała, kolację.

Matt przez piętnaście lat włóczył się po całym świecie, z niejednego pieca jadł... kiedyś nawet podobno, zaklinał się, że to prawda, konsumował pędraki. Jessie wzdrygnęła się na wspomnienie jego relacji. Mógł próbować najbardziej egzotycznych potraw, ale prawdziwym jedzeniem w dalszym ciągu był dla niego porządny krwisty befszyk z ziemniakami.

Smakowało mu wszystko, co podała na stół, ale kawał cielęciny i kilka pieczonych ziemniaków to było to.

Zerknęła na zegar. Matt wracał do domu o różnych porach, ale zawsze dzwonił, jeśli miał zostać u Gab'e'a dłużej niż do piątej. Piętnaście po piątej, a jeszcze nie zadzwonił, to znaczy, że niedługo powinien być w domu. Jeśli Jessie teraz wstawi ziemniaki do piekarnika, Matt zdąży wziąć prysznic, przebrać się i chwilę odetchnąć, zanim siądą do stołu. Zwykle jedli w kuchni, ale dzisiaj nakryła w jadalni; porcelanowa zastawa babci, srebrne sztućce.

Matt na pewno zapyta, co to za okazja, podniesie

jedną brew w taki sposób, że Jessie od razu mocniej zabije serce.

Nie powie mu od razu. Będzie budowała napięcie. Suspens, jak w klasycznych filmach Hitchcocka. Będzie delectowała się jego zniecierpliwieniem, ciekawością. Będzie zwlekała z wyjawieniem prawdy tak długo, jak to możliwe.

Znając siebie, nie mogła wykluczyć, że rzuci mu się na szyję, ledwie Matt stanie w drzwiach, i wykrzyczy, że będą mieli dziecko. Tak też będzie dodrze, pomyślała i uśmiechnęła się szeroko, bardzo szeroko.

Odezwął się dzwonek przy drzwiach i Jessie drgnęła gwałtownie. Nie spodziewała się nikogo, co oznaczało, że albo to ktoś z kuponami promocyjnymi albo domokrażny sprzedawca jedynej słusznej drogi do zbawienia wiecznego. Nie interesowała jej żadna z tych ofert, ale wyjątkowo dobrze usposobiona, dzisiaj gotowa była wysłuchać absolutnie każdego.

- Reilly! - Uprzejmy uśmiech zamienił się w promienny.

- Cześć. - Uściskał ją i wszedł do środka. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Dostałem zlecenie kilka przecznic stąd. Remont kapitalny. Właściciele domu co chwila zmieniają koncepcje. Pojechałem tam poprosić, żeby na coś się w końcu zdecydowali, zanim mój kierownik wylądaje za kratkami za podwójne zabójstwo w afekcie.

- Wiesz, że dla ciebie drzwi są zawsze otwarte, o każdej porze. - Jessie chwilę trzymała jego dłoń w swoich. - Napijesz się kawy?

- Bardzo chętnie. - Reilly ruszył za nią do kuchni, zdejmując po drodze kurtkę. - Wieczorem ma podobno padać, ale zrobiło się tak strasznie zimno, że prędzej spodziewałbym się śniegu niż deszczu.

- Aha. Na pewno. - Jessie posłała mu rozbawione spojrzenie i nalała kawy, chyba rozmyślnie, do wielkiego kubka w rzucik w pingwiny. - Chciałeś chyba powiedzieć „prędzej piekło wybrukują lodem”. Zima w Kalifornii?

- Wiesz, czasami tutaj też pada śnieg. - Reilly wziął kubek i zamknął go w obu dłoniach.

- Mieszkam w Millers Crossing dwadzieścia lat i śnieg widziałam tu tylko raz. A nawet wtedy trudno było to coś nazwać śniegiem.

- Zawsze musi być ten pierwszy raz - mruknął Reilly. - Naprawdę zrobiło się zimno.

- Przyznaj, McKinnon, że jesteś zmarzlakiem. - Jessie obrzuciła go dla odmiany spojrzeniem pełnym niesmaku. - Jak tylko temperatura spada poniżej piętnastu stopni, zaczynasz jęczeć.

- Wcale nie -jęknął i obydwójce parsknęli głośnym śmiechem.

Jessie zaczęła nalewać kawę dla siebie, przypomniała sobie, że powinna unikać kofeiny i odstawiła dzbanek.

- Co? - Reilly przechylił głowę.

- Nic. - Jessie uświadomiła sobie, że uśmiecha się bez widocznego powodu, i pokręciła głową. - Taka myśl - rzuciła enigmatycznie. - Opowiedz mi o swoich strasznych klientach.

Reilly przez moment miał taką minę, jakby zamie-

rzał domagać się bardziej zdecydowanej odpowiedzi, w końcu wzruszył ramionami i podjął opowieść.

Jessie słuchała jednym uchem, tu wyławiając zdanie o zmianie koloru kafelków, tam o dzieleniu jednej łazienki na dwie, to znowu o kuchni, która codziennie zmieniała powierzchnię, jeśli nie kubaturę, to znowu o tym, jak to straszni klienci nie są w stanie zrozumieć, że powiększenie pokoju dziecinnego o dziesięć metrów kwadratowych musi pociągać za sobą dodatkowe koszty. Udawało się jej czynić odpowiednie uwagi w odpowiednich momentach, ale myślami błądziła gdzie indziej.

Reilly opierał się o szafki, nogi wyciągnął przed siebie, skrzyżował w kostkach, dłonie zaplótł na kubku; znajoma poza, którą i on, i Mart mieli zwyczaj przyjmować. Włosy lekko zmierzwione, opadające na czoło, to też znajomy widok. Ile razy miała nieprzepatą ochotę wyciągnąć rękę i odgarnąć niesforne kosmyki, zanurzyć palce w tych włosach...

Miała szesnaście lat, kiedy odkryła, że czuje do Reilly'ego coś więcej niż przyjaźń. Uczucie z latami się pogłębiało, umacniało. I przysparzało bólu.

Teraz patrzy na niego... i co odczuwa? Zmarszczyła w namyśle czoło, usiłując znaleźć właściwe określenie. Serdeczność, na pewno. Miłość, bez wątpienia. Jest jednym z jej najbliższych przyjaciół. Ale ból gdzieś zniknął. Teraz nie może powiedzieć o sobie, że cierpi. Położyła dłoń na sercu, jakby chciała sprawdzić, że już nie krwawi.

Kiedy się uspokoiło, ozdrowiało? Pięć lat temu, kiedy patrzyła, jak Reilly i Dana biorą ślub, pękało

z bólu. A potem? Nie potrafiła powiedzieć. Nigdy nie płała się w uczuciach dla Reilly'ego, one po prostu były.

Czy na pewno? -

- Hej, Ziemia do Jessie. - Reilly pstryknął jej palcami przed nosem i wtedy się ocknęła. Od dłuższej chwili w ogóle go nie słuchała. Spojrzała na niego, jakby spadł z Księżycy, co było z gruntu nielogiczne, bo przed chwilą wołał „Ziemia do Jessie”, ale ona oczywiście nie słyszała. Poza tym logiczne myślenie akurat tego wieczoru nie było jej najmocniejszą stroną.

- Przepraszam. - Otrząsnęła się i przywołała uśmiech na twarz. - Uciekłam gdzieś myślami. Naprawdę nie chciałam.

- Nic się nie stało - zapewnił. - Carsonowie każdego są w stanie przypawić o chwilową dysfunkcję władz umysłowych. - Upił łyk kawy i spojrzał na Jessie z zainteresowaniem. - Wyglądałaś tak, jakbyś intensywnie nad czymś myślała - powiedział poważnym już tonem.

Jessie przeraziła się, że Reilly może być obdarzony darem telepatii albo jasnowidzenia. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Nad niczym szczególnym. Jadłam dzisiaj lunch z Daną - dodała, żeby zmienić temat.

- Tak? - W Reillym dokonana się raptowna zmiana. Wyraźnie posmutniał, w oczach pojawiła się... rozpacz? Jessie zapomniała o własnym załopotaniu, położyła Reilly'emu dłoń na ramieniu.

- Co się stało?

Coś ścisnęło go w gardle. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni ktoś dotknął go tak spontanicznie, tak naturalnie. Kiedyś Dana dotykała go stale - lekkie muśnięcie dłoni, kiedy przechodziła obok niego, jej palce na jego policzku. To było tak dawno, że niemal zapomniał, jak to jest. Położył dłoń na dłoni Jessie.

- Przyjaźnimy się od niepamiętnych czasów. Powiedz, co się dzieje, Reilly.

Podniósł wzrok. Widział w oczach Jessie autentyczne zatroskanie, współczucie. Przez moment miał ochotę powiedzieć jej wszystko, ale przestraszył się, że w miejsce współczucia w oczach Jessie pojawi się pogarda.

- Nic. Nic, o czym mógłbym mówić - poprawił się, widząc niedowierzanie na jej twarzy.

Jessie z wahaniem przygryzła dolną wargę, chwilę się zastanawiała.

- Posłuchaj, wiem, że to nie moja sprawa, nie chcę się wtrącać, ale gołym okiem widać, że ty i Dana... że coś... pękło - z trudem wyrzuciła z siebie ostatnie słowo. - Może... powinniście po prostu porozmawiać ze sobą Reilly. Wiem, że to brzmi jak wyświechtany slogan, ale ludzie muszą ze sobą rozmawiać. W małżeństwie.

- Mówisz to, opierając się na swoim bogatym dwumiesięcznym doświadczeniu? - zapytał, unosząc lekko brew.

- Prawie trzymiesięcznym doświadczeniu - poprawiła go z tak zasadniczą miną, że mimo woli musiał się uśmiechnąć.

- A, to przepraszam. Prawie trzymiesięczne

doświadczenie daje ci status eksperta. - Tu żartobliwie pociągnął ją za kosmyk włosów.

- Tak, przeszłam już do grupy zaawansowanej. W przyszłym tygodniu dostanę papiery.

Minę miała śmiertelnie poważną, ale oczy jej się śmiały. Z rozpuszczonymi włosami, z zaróżowionymi policzkami, roziskrzonymi oczami, wyglądała naprawdę ładnie. Nie, więcej niż ładnie. Wyglądała ślicznie. Dziwne, że nigdy wcześniej tego nie zauważył. Znał Jessie od niepamiętnych czasów i dopiero teraz dotarło do niego, jaka ona jest śliczna.

Przesunął dłonią po jej policzku, poczuł pod palcami ciepło, jedwabistość skóry i dłoń, niemal bez udziału jego woli, przeniosła się na kark Jessie. Zobaczył, że wielkie oczy Jessie rozszerzają się jeszcze w zdumieniu. Była taka ciepła, a on od tak dawna czuł chłód w sercu. Od bardzo dawna.

Wszystko zaczęło się dziać jakby w zwolnionym tempie.

Reilly powoli nachylił głowę i Jessie już wiedziała, co za chwilę nastąpi. Nie mogła udawać, że nie wie. Powinna się odsunąć, powstrzymać go, posłuchać dzwonka alarmowego, który co prawda dźwięczał gdzieś na samym dnie świadomości, niemniej dawał znać o sobie.

Nie zrobiła nic.

Tyle lat, pół życia snuła fantazje o tym, że Reilly wreszcie dostrzeże w niej kobietę.

Jego usta zamknęły się wokół jej ust, a biedny mózg usiłował pojąć, co się właściwie dzieje. Działo się... przyjemnie. Przyjemnie? Na litość boską, Reilly

ją całuje i to ma być tylko „przyjemne”? Powinny rozbłysnąć fajerwerki, powinny zawyc syreny, ziemia powinna zadrzeć w posadach, a jest zaledwie „przyjemnie”?

Tak. Po prostu przyjemnie. I tyle. To wszystko.

Nigdy nie byłoby inaczej, uświadomiła sobie nagłe i zaszokowało ją to odkrycie.

Odsunęła się, spojrzała na Reilly'ego. Wyglądał na oszołomionego tym, co zrobił. Co razem zrobili. Otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedziała co. Zanim zdążyła znaleźć jakieś słowo, jakiegokolwiek słowo, które przerwałoby milczenie, dojrzała, że Reilly'emu krew odpływa z twarzy i robi się błydy jak płótno.

- Może powinienem wyjść i wejść raz jeszcze?
- usłyszała za swoimi plecami głos Marta.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jessie odskoczyła od Reilly'ego, obróciła się gwałtownie. Matt stał w drzwiach między kuchnią i jadalnym, jedną dłoń oparł o framugę, w drugiej trzymał kurtkę, której nie zdążył jeszcze odwiesić na wieszak w holu.

Tak naprawdę nigdy nie rozumiała, co może oznaczać określenie „czas się zatrzymał”. Aż do dzisiaj. Stali wszyscy troje nieruchomo, niczym żywa ilustracja jakiegoś kiepskiego melodramatu. Matt w drzwiach, wyprostowany, milczący. Reilly przy szafkach, z kawą ściekającą z dłoni; to Jessie go oblała, kiedy odskoczyła od niego gwałtownie. A ona? Wyobrażała sobie jak musi wyglądać: czerwona, oczy rozszerzone przerażeniem, usta jeszcze wilgotne od pocałunku Reilly'ego. Brakowało tylko dramatycznego podkładu muzycznego i napisu „Przyłapani in flagranti” zakończzonego ozdobnym zawijasem.

- Nie słyszałam, kiedy wszedłeś - wymamrotała inteligentnie, głowiąc się jednocześnie nad racjonalnym wytłumaczeniem tego, co zaszło między nią i Reillym.

- Zauważyłem. - Matt powiedział to tak spokojnie, że w swojej głupocie skłonna była już uwierzyć, że nic się nie stało, wszystko jest w najlepszym porządku. Matt zobaczył i na pewno zrozumiał. Zrozumiał, że to, co widział, nie miało żadnego znaczenia. Przecież Matt wszystko potrafi zrozumieć, zawsze. Taki już jest. Rozumiejący.

Guzik. Zaciśnięte usta nie wróżyły nic dobrego, a w oczach nie było krzty zrozumienia. Była natomiast zimna, lodowata złość. Jessie poczuła, że robi się jej sucho w gardle, serce zaczyna łomotać ze strachu. Chciała powiedzieć: „To nic nie znaczyło”, ale wiedziała, że jej słowa zabrzmiały pusto.

Reilly przerwał milczenie:

- Matt, to nie...

- To nie było to, co widziałem? - dokończył Matt za niego i uśmiechnął się cierpko. - Przywidziało mi się, że całowałeś moją żonę. A ty zapewne chcesz mi wyjaśnić, że czegoś tu nie rozumiem?

- Matt... - Jessie ruszyła w jego stronę z wyciągniętą dłonią, chciała go dotknąć, ale zmierzył ją takim spojrzeniem, że znieruchomiała w pół kroku.

Wściekłość. Zimna, zacięta wściekłość.

Przełknęła ślinę, opuściła rękę. I odetchnęła z ulgą, kiedy Matt skierował na powrót spojrzenie na Reilly'ego.

- Na ciebie chyba już czas - powiedział, odsuwając się od drzwi i robiąc przejście.

Reilly odwrócił się, odstawił kawę, którą cały czas ścisnął w dłoni. Przez chwilę przyglądał się swoim mokrym palcom, na co Jessie odruchowo sięgnęła po ręcznik, ale Reilly wycierał już rękę o nogawkę džinsów. Kiedy się z tym uporał, zdjął z oparcia krzesła kurtkę. Jeszcze chwilę się wahał, spoglądając niepewnie to na Jessie, to na Matta.

- Nie rób nic, czego później miałbyś żałować, stary.

W lodowatych dotąd oczach Matta błysnął ogień. Rozwścieczony Matt zrobił krok do przodu i Jessie aż wstrzymała oddech. Jej mąż zaraz uderzy Reilly'ego. Chryste, zaraz go zdzieli pięścią. Bez zastanowienia rzuciła się między dwóch przeciwników, wyciągnęła ręce przed siebie, jakby chciała tym gestem powstrzymać Matta. Zmierzył ją palącym spojrzeniem.

- Bronisz go?

- Bronię was obu - powiedziała, siląc się na spokój. - Jeśli go uderzysz, pogorszysz tylko sytuację. Matt...

- O to byłoby naprawdę trudno, Jess - powiedział z szyderczym uśmiechem, spojrzał na Reilly'ego i wskazał głową drzwi. - Wynos się.

A gdy Reilly ociągał się jeszcze, Matt dodał, gwałtownym, napastliwym tonem:

- Boisz się, że ją uderzę, McKinnon? Jaki ojciec, taki syn? Nie martw się. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie mam kłopotów z panowaniem nad własnymi odruchami. I popędami.

Reilly syknął tylko, jakby te słowa ugodziły go do żywego. Jessie nie wiedziała, co Matt miał na myśli,

ale Reilly musiał wiedzieć. W każdym razie nie miała wątpliwości, że Matt chciał uderzyć w czuły punkt i znakomicie mu się to udało.

- Idź już, Reilly, proszę. - Chciała, żeby wyszedł, zanim padną słowa, których nie będzie już można ani cofnąć, ani zapomnieć, ani, co gorsza, wybaczyć. Chciała rozmówić się z Mattem, chociaż nie miała pojęcia, jak mu wytłumaczyć, co zaszło, skoro sama tego nie rozumiała. Musi jednak spróbować, a dopóki Reilly nie wyjdzie, Matt na pewno nie zechce jej wysłuchać.

Reilly raz jeszcze spojrzał na nią na Matta, w końcu skinął głową.

- Porozmawiamy później, Jessie. - Zatrzymał się jeszcze w drzwiach. - Nie bądź idiotą Matt - rzucił, nie odwracając się.

Matt nie odpowiedział i Reilly wyszedł, zostawiając za sobą głucho milczenie.

Jessie czekała, aż Matt się odezwie, wyładowuje złość. Miał prawo być wściekły, pomyślała z dławiącym poczuciem winy. Całowała się przecież z innym. Trudno usprawiedliwić taki postępek. Nie mogła po prostu powiedzieć, że bardzo dobrze się stało, że się z nim pocałowała, bo dzięki temu uświadomiła sobie, że wcale go jednak nie kocha. Tak, to niewątpliwie oczyściłoby ciężką atmosferę.

Omali nie parsknęła histerycznym śmiechem. Odważyła się zerknąć na Matta. Stał ciałem w tym samym miejscu, tuż koło drzwi, nieruchomy niczym posąg.

- Matt, to nie to, co...

Odwrocił głowę, spojrzął na nią i Jessie przerwała, słowa uwięzły jej w gardle. Nie mogła mu powiedzieć, że to nie to, co zobaczył. Bzdura. To było dokładnie to, co zobaczył. Jego żona stała na środku ich kuchni i całowała się z Reillym. Przełknęła ślinę, szukając odpowiednich słów, słów, które odwróciłyby sytuację, potrafiły naprawić zło.

- To nic nie znaczyło. My... z przyjaźni. - No tak, znalazła odpowiednie słowa. Doskonałe wyjaśnienie. Pies zjadł mi zeszyt i zaraz potem babcia umarła i rura pękła... i dlatego nie odrobiłam zadania domowego. Coś jeszcze?

- Zabawne. Przyjaźnię się z Reillym, a właściwie przyjaźniłem się przez trzydzieści lat i jakoś nigdy nie zdjęła mnie ochota, żeby się z nim całować.

Powiedział to tonem tak pełnym intelektualnego namysłu nad charakterem uczucia powszechnie nazywanego przyjaźnią, że sens jego słów dotarł do Jessie z niejakim opóźnieniem.

- On nie... To nie... - bąkała. - Matt, przysięgam, to nie tak, jak myślisz. - Podeszła do Matta, nie zważając na jego wściekłość. Musi mu wyjaśnić. Musi. - On tylko... Pocałowaliśmy się. My nie... Nie posunęlibyśmy się dalej.

- Tego nie można wiedzieć, prawda? - Patrzyła na nią tym zimnym, lodowatym wzrokiem, daleki, zamknięty w sobie, we własnej urazie.

- Owszem, można. - Jessie chwyciła go za ramię, potrząsnęła. - Ja wiem. Postąpiłam głupio, bardzo tego żałuję. Chciałabym cofnąć czas, ale nie mogę i... Matt, proszę, rozmawiaj ze mną. Mów do mnie.

Krzycz, jeśli musisz. Jesteś wściekły. Masz prawo. Wykrzycz swoją złość, ale nie zamykaj się w sobie. Nie odsuwaj się ode mnie.

On się odsuwa? Raczej został odsunięty. Wykluczony. Musiał przyglądać się paskudnej scenie, oglądać własną żonę w ramionach Reilly'ego, tulącą się do Reilly'ego. Stał w drzwiach kuchni, patrzył na nich i miał wrażenie, że ziemia rozstępuje mu się pod nogami. Uczucie było tak dojmujące, tak wyraźne, że przemknęło mu przez głowę, czy to przypadkiem nie jest prawdziwe trzęsienie ziemi. No nie, żadne trzęsienie ziemi, to jego życie waliło się w gruzy.

- Matt? - Jessie zacisnęła palce na jego ramieniu. Widział je, ale nie czuł ucisku. Wpijała mu palce w ciało i wpatrywała się w niego błagalnie tymi swoimi wielkimi, brązowymi oczami. Czego oczekiwała? Co miał jej powiedzieć? Wszystko w porządku? Drobiazg, możesz się całować z Reillym, jeśli czujesz taką potrzebę? Przepraszam, że wam przeszkodziłem?

Cofnął się, uwalniając się z jej uścisku. Na twarzy Jessie odmalowały się ból, zawód, rozpacz. Trudno. Było mu przykro, ale odczuwał też jakąś pokretną satysfakcję. Dlaczego tylko on ma cierpieć? Wziął głęboki oddech, przywołując resztki mocno zachwianej samokontroli.

- Nie chcę o tym rozmawiać - powiedział powoli i dobitnie, wciskając dłonie do kieszeni. - W każdym razie nie teraz. Nie mogę.

- Zamierzasz wyjść? - Jessie hardo podniosła głowę. W miejsce bólu pojawił się na jej twarzy

gniew. - Ustaliliśmy chyba, że w ten sposób nigdy nic sobie nie wyjaśnimy.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, o czym Jessie mówi. Nawiazywała do tamtego burzliwego wieczoru, kiedy to zaproponowała, że zaprosi jego matkę na Święto Dziękczynienia, a on uniósł się, wybuchnął i wyszedł. Tym razem jednak sytuacja była zupełnie inna. Wtedy Jessie nieświadomie dotknęła czułego punktu, on stracił panowanie nad sobą, obudziły się dawne lęki, od których, tak myślał, dawno się uwolnił.

- Powiedz coś. Rozmawiaj ze mną - zażądała.
- Nie teraz. Nie dzisiaj.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Matt uniósł dłoń na znak, by milczała.

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać, dlaczego tak bardzo zainteresowała cię jama ustna Reilly'ego, że musiałaś ją dokładnie zbadać.

- My nie...
- Dość! - Patrzył, jak jego ręka unosi się gwałtownie, robi ruch do przodu, palce zaciskają się na nadgarstku Jessie. - Nie chcę słuchać twoich wynurzeń na temat tego, co robiliście tu, na środku kuchni. Całowałaś go. On całował ciebie. - Zaśmiał się drwiąco. - Chryste, moja żona i mój najlepszy przyjaciel. Gdyby nie było to takie żałosne, mogłoby być zabawne.

- Matt, proszę.
- O co prosisz, Jessie? - Przyciągnął ją do siebie, tak że teraz dzieliły ich zaledwie centymetry. - Prosisz, żebym ci powiedział: wszystko w porządku? Nie

gniewam się? Nie, nic nie jest w porządku. Nie, nie gniewam się, bo gniewać można się na nieposłuszne dziecko. Gniewać można się, kiedy ktoś spóźni się godzinę na umówione spotkanie.

- Nie proszę, żebyś powiedział, że wszystko w porządku. - Głos jej drżał, ale patrzyła mu prosto w oczy. - Proszę, żebyś ze mną porozmawiał, żebyśmy spróbowali wybrnąć jakoś z... tego impasu.

Matt panował nad sobą resztkami sił. Ona chce „wybrnąć z impasu”. Słusznie. Tak właśnie należy postąpić. Tak przecież postępują dojrzały ludzie. Tylko że on wcale nie czuł się dojrzały. Czuł się wydrażony, pusty. I nie chciał rozmawiać, słuchać tłumaczeń, usprawiedliwień, prośb o przebaczenie. Później. Mogą porozmawiać później. Później jej wysłucha. Później to załatwią. Chociaż zalewała go krew, wiedział, że pragnie wybrnąć z tego cholernego impasu. Ale nie teraz.

- Nie chcę teraz rozmawiać - powtórzył, puścił nadgarstek Jessie i cofnął się. - To nie jest odpowiedni moment, Jessie.

- Kiedy więc?

- Chcesz ustalić dogodny termin? - Powiedział to z takim uprzejmym sarkazmem, że miała ochotę mu przyłożyć. - Wyjąć kalendarzyk, długopis i zapisać cię? Wtorek, trzynasta, spotkanie z Jessie, omówić kwestię całowania się z Reillym.

- Świetnie - zachnęła się. - Nie chcesz rozmawiać. Nie chcesz przyjąć przeprosin. Chcesz uciec, zaszyć się gdzieś w ciemnym kącie i lizać rany. Proszę bardzo. Jak już się wyłizesz, ja tu w dalszym

ciągu będę czekała. I będziesz musiał ze mną porozmawiać.

Matt zawahał się. Miała rację. Nie unikną rozmowy. Problem sam z siebie nie zniknie. Prędzej czy później będą musieli rozmawiać o tym, co się stało. Ale nie teraz, kiedy czuł się tak obolały, jakby ktoś go powalił na ziemię i skopał. Nie miał siły słuchać, dlaczego całowała się z Reillym, patrzeć w jej twarz i zastanawiać się, czy kocha tamtego. Dzisiaj nie był w stanie zmusić się do czegoś podobnego.

Jessie czekała. Wstrzymała oddech i prosiła w duchu, by został, chociaż nie miała pojęcia, co mogłaby mu powiedzieć. Jak wytłumaczyć mu, co zaszło, skoro sama nie rozumiała swojego zachowania?

- Nie czekaj na mnie - powiedział Matt i tym razem w jego głosie nie było już słyhać ani sarkazmu, ani wściekłości, tylko zmęczenie.

Jessie otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale Matt po prostu się odwrócił i wyszedł. Stała na środku kuchni, słyszała brzęk kluczyków, potem odgłos cicho zamykanych drzwi frontowych. W tej samej chwili, jak na ironię, odezwał się zegar piekarnika, sygnalizując, że mostek gotowy.

Jessie trochę błędnym wzrokiem omiotła kuchnię. Tort na blacie, umyte, porozdzielane brokuły, tylko je włożyć do garnka, posiekane ząbki czosnku, oliwa. Gdyby zrobiła dwa kroki, mogłaby zajrzeć do jadalni. Zobaczyłaby stół nakryty porcelaną babci, srebrne sztucce, świece. Zapach pieczonej cielęciny mieszał się z zapachem cebuli, kremu czekoladowego i ostrą wonią czosnku.

Przełknęła ślinę, zasłoniła usta dłonią i pobiegła do łazienki. Wspaniały czas na pierwsze poranne nudności. O szóstej wieczorem, w chwilę potem jak zniszczyła własne małżeństwo.

Dana spojrzała na zegar. Po szóstej. Reilly o tej porze zwykle był już w domu. Miała nadzieję, że nie zostanie dzisiaj dłużej w pracy. Wygładziła spódnice. Spokojnie. Nie powinna się denerwować.

Diabli wiedzą, ile czasu spędziła, wybierając odpowiedni strój, w końcu zdecydowała się na długą do pół łydki spódnice z grubego, czarnego jedwabiu i ciemnoczerwoną bluzkę. Reilly powiedział kiedyś, że podoba mu się ta bluzka, i włożyła ją specjalnie dla niego, z myślą o nim.

Usłyszała, że drzwi od garażu otwierają się i wstrzymała oddech. Śmieszne, tak się denerwować. W końcu to tylko kolacja w mieście, chyba że Reilly będzie zbyt zmęczony. Dawniej często wychodzili gdzieś wieczorem, było to dla niej oczywiste, w ostatnich miesiącach zarzucili ten zwyczaj. Od czegoś muszą zacząć. Kolacja we dwoje, w jakimś spokojnym miejscu, wydawała się zupełnie niezłym początkiem. Może...

To tylko kolacja. Nie powinna robić sobie żadnych nadziei, ale całe popołudnie myślała o tym, co powiedziała Jessie, że Reilly byłby dobrym ojcem. Biorąc pod uwagę stopień rozkładu ich małżeństwa, myśl o dziecku wydawała się śmieszna, musiałyby się łączyć z wiarą w cuda, a jednak nie dawała Danie spokoju.

Oczywiście nie była tak głupia, by wierzyć, że dziecko uratuje ich związek, ale może zmniejszyłoby choć trochę dzielący ją od Reilly'ego dystans.

Usłyszała, że Reilly wchodzi z garażu do kuchni i ogarnęło ją jeszcze większe zdenerwowanie. To tylko kolacja w mieście, powtarzała sobie. Nic wielkiego. Poradzi sobie z własnymi emocjami, w końcu tego właśnie uczono ją od dziecka.

Uśmiechnęła się do Reilly'ego, gdy pojawił się w pokoju. Miała nadzieję, że wyczyta coś z jej uśmiechu, ale co by to miało być, sama dokładnie nie potrafiła powiedzieć. Może po prostu ciepłe powitanie. Tyle na początek.

- Cześć.

Spojrzał na nią bez słowa, bez uśmiechu. Dana też przestała się uśmiechać, wstała z kanapy.

- Coś się stało?

- Nic. - Reilly westchnął i pokręcił głową. - Zupełnie nic. W każdym razie nikt nie umarł, jeśli o to pytasz. Jeszcze nie.

Ostatnie słowa wypowiedział tak cicho, że Dana ledwie je dosłyszała.

- Nie strasz mnie, Reilly, tylko powiedz po prostu, co się stało.

- Nic się nie stało. Naprawdę nic. - Reilly przeczesał włosy palcami. - Nie zamierzałem nawet wspominać ci o tym. Po prostu nic się nie stało.

- Jakie nic? O czym ty mówisz? - Serce Dany biło w tej chwili zdecydowanie zbyt szybko.

- Byłem u Carlsonów - zaczął Reilly, też zbyt szybko, jakby chciał wyrzucić z siebie słowa, mieć to

już za sobą. - Pomyślałem, że zjrzę do Jessie i Marta. Jego nie było, ona zaproponowała mi kawę, zaczęliśmy rozmawiać, a potem ja... my...

Spojrzał na żonę i natychmiast odwrócił wzrok, znowu przeczesał włosy palcami, a Danie chyba serce po prostu stanęło i odmówiło pracy. Pomyślała mgliście, że nigdy nie wierzyła specjalnie w *deja vu*, ale ta scena, te słowa... mogłyby być podręcznikowym przykładem. Z jedną wszak różnicą. O ile *deja vu* kojarzy się zwykle z nie sprecyzowanym odczuciem, to Dana doskonale pamiętała, kiedy widziała u Reilly'ego takie samo spojrzenie, ten sam pełen żalu, skruchy i wyrzutów sumienia wyraz twarzy.

- Spałeś z nią? - zapytała spokojnie.

- Nie! - zawołał Reilly z przerażeniem w głosie. - Chryste, nie. Do niczego nie doszło. W ogóle. Ja... pocałowałem ją tylko. Rzecz bez znaczenia. To tylko pocałunek. Między nami...

- Nic nie było? - Dana uniosła brwi. Znowu była chłodna, pełna dystansu, doskonale opanowana. Tak lepiej. Chłód pomaga, dystans daje ochronę. Lepiej nie odczuwać za dużo. Najlepiej w ogóle nic nie czuć.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło - powiedział Reilly żałośnie. - Ale przysięgam, że to nic nie znaczyło. Kompletnie nic.

Dana przechyliła lekko głowę, na jej twarzy pojawił się wyraz umiarkowanego zainteresowania.

- Jeśli to nic nie znaczyło, jak powiadasz, to dlaczego mnie o tym informujesz? Widziałam już wcześniej, jak całowałaś Jessie.

- To nie było... no... takie zwykłe cmoknięcie

w policzek - wyznał dzielnie, po czym powtórzył po raz nie wiadomo który: - To nic nie znaczyło, ale... akurat wszedł Matt.

- Aha. - Dana skinęła głową. - Matt wszedł i nie od razu zrozumiał, że to nic nie znaczyło.

- Bo to nic nie znaczyło, do diabła.

Dana ponownie skinęła głową i wykrzywiła usta w jakimś grymasie, który miał przypominać uśmiech.

- Coś kiedyś obito mi się o uszy, że pozory mogą mylić.

- Dano... - Reilly wyciągnął rękę, zrobił taki ruch, jakby chciał jej dotknąć, ale Dana uchyliła się zrećcznie, odsunęła na bezpieczną odległość.

Nic jej nie jest. Czuje się doskonale. Nie ma tylko ochoty na dotyk, czykolwiek. Jeśli zbuduje wokół siebie wystarczająco mocny mur ochronny, nikt nie zdoła przez niego przeniknąć.

Reilly wahał się jeszcze przez chwilę, wreszcie ruszył za nią. A Dana zatrzymała się w holu, otworzyła powoli szafę i z górnej półki zdjęła czarną walizkę. Nie oglądała się na Reilly'ego, nie spojrzała nawet w jego stronę, słyszała tylko, że gwałtownie wciągnął powietrze, kiedy zobaczył, co się dzieje. Dana tymczasem, poruszając się cały czas z tym samym spokojem, zaniósła walizkę do sypialni i postawiła ją na łóżku. W pograżonym w ciszy domu szcęk otwieranych zamków zabrzmiał niczym podwójny wystrzał z pistoletu. Dana wyprostowała się i dopiero teraz spojrzała na Reilly'ego z tym samym co wcześniej, uprzejmym zainteresowaniem.

- Spakujesz się czy ja mam to zrobić?

- Dana. - Stał w drzwiach, błądy jak ściana. - Nie rób tego. Możemy chyba porozmawiać, załatwić jakoś ten problem.

- Jeśli się nie wyprowadzisz, ja się wyniosę.

Reilly podszedł do łóżka, zatrzasnął walizkę.

- Porozmawiaj ze mną do diabła.

- O czym? - Nachyliła się, by ponownie otworzyć wieko walizki. Nie chciała patrzeć na Reilly'ego, nie mogła na niego patrzeć.

- O tym, co się stało. O nas. - Reilly raz jeszcze zatrzasnął walizkę.

- Nie mamy o czym rozmawiać. - Dana znowu otworzyła walizkę. - Szczegóły omówimy później. Teraz nie mogę.

- Szczegóły? Masz na myśli rozwód? - Ciężkie, bolesne słowo. - Tego chcesz, Dano? Rozvodu?

Czy chciała rozwodu? Chciała przeciąć łączące ich więzy, zapomnieć o przysiędze „dopóki śmierć nas nie rozłączy”? Rzeczywiście chciała podpisać dokumenty, które definitywnie przekreślą ich związek? Potarła kciukiem obrączkę. W zasadzie powinna podjąć taką decyzję. Ich małżeństwo od jakiegoś czasu praktycznie już i tak nie istniało. Nie potrafiła jednak wypowiedzieć tego jednego, kategoriycznego słowa, nie była w stanie przeciąć ostatnich więzów.

- Nie chodzi wcale o to, że całowałem się z Jessie - zaczął Reilly wyjątkowo spokojnym, opanowanym głosem, podczas gdy Dana miała wrażenie, że zaraz się rozpadnie na tysiąc kawałków. - Wiesz doskonale, że poza przyjaźnią nic nas nie łączy. Pocałowałem ją głupi poryw, nic więcej. Gdyby Matt akurat nie

wszedł, w ogóle bym ci o tym nie wspomniał. Ani dla niej, ani dla mnie nie miało to żadnego znaczenia.

- Przyłapanie *in flagrante delicto* nie jest zbyt przyjemne, prawda?

- To było rok temu - powiedział Reilly, puszczając mimo uszu ironiczny ton Dany. - Od tego czasu trzymasz mnie na dystans, a teraz używasz tamtego starego błędu jako pretekstu.

- Pretekstu? - Słyszac własny podniesiony głos, Dana zamilkła i wzięła głęboki oddech. Spokojnie, tylko spokojnie. Spokój jest jej tarczą ochronną, musi o tym pamiętać.

- To był jeden niefortunny wypadek, Dano.

Kątem oka zobaczyła, że Reilly znowu wyciąga ku niej dłoń. Odsunęła się natychmiast. Nie może jej dotknąć, nie teraz. Nie zniosłaby jego dotyku. Dłoń Reilly'ego opadła, głos zabrzmiał martwo, głucho:

- Nigdy mi tego nie wybaczysz, prawda?

- Nie wiem, o co ci chodzi. Nie wspomniałam ani słowem o twoim potknięciu. Ani razu.

- Rzeczywiście, nie wspomniałaś, ale dajesz mi odczuć, co myślisz, za każdym razem, kiedy odwracasz się do mnie plecami w łóżku albo kiedy patrzysz na mnie jak na obcego człowieka. Nie musisz nic mówić, Dano. Twoje oczy mówią za ciebie.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powtórzyła, ale doskonale wiedziała. Od swojej matki nauczyła się zadawać ból bez użycia słów. Z własnego doświadczenia wiedziała, jak bardzo mogą zranić zimne spojrzenie, uprzejma obojętność. Chciała, by teraz to

on cierpiał, tak jak ona cierpiała z jego powodu. Gdzieś, w jakimś momencie tak właśnie zaczęła myśleć o ich wzajemnych relacjach i teraz nie potrafiła już tego zmienić, wycofać się. Błędne koło. Z jednej strony pragnęła zburzyć oddzielający ich mur, z drugiej ten sam mur gwarantował jej względne poczucie bezpieczeństwa.

I dobrze, pomyślała. Tak jest lepiej. Tak jest rzeczywiście bezpieczniej. Lepiej za dużo nie czuć, lepiej niczym się nie przejmować, nie mieć nic drogiego sercu.

- To się zdarzyło jeden raz, Dano. - W głosie Reilly'ego zabrzmiała błagalna nuta, prośba o zrozumienie i wybaczenie, ale Dana nie chciała rozumieć, nie chciała wybaczać. - Jedna kretyńska wpadka, na litość boską. Byłem pijany.

- Dziwne, bo kiedy ja za dużo wypiję, nie czuję jakoś ochoty, żeby natychmiast iść do łóżka z pierwszym lepszym facetem.

Chłodny ton Dany sprawił, że Reilly stracił panowanie nad sobą.

- Całe szczęście. Pijesz tyle, że mogłabyś zaliczyć wszystkich facetów w okolicy.

Dana zbladła i Reilly, widząc, jak krew odpływa jej z twarzy, pożałował rzuconych w gniewie słów.

- Dano... ja...

- Idź stąd - powiedziała zdumiona własnym opanowaniem. Myślała, że Reilly będzie protestował, ale nie. Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, w końcu skinął głową.

- Przebiegnij się w gabinecie.

- Dobrze.

Gotowa była zgodzić się na wszystko, byle tylko wyszedł, zostawił ją samą. Teraz, natychmiast. Zanim się rozsypie. Czekał, zwłóczył, jakby miał nadzieję, że coś jeszcze od niej usłyszysz.

Dana odchrząknęła, przywołując na pomoc lata treningu w ukrywaniu prawdziwych uczuć.

- Pomóc ci spakować się? - zapytała takim tonem, jakby pytała, czy Reilly woli kawę z mlekiem, czy raczej czarną.

Spojrzał na nią wzrokiem zranionej sarny i Dana odwróciła się szybko, żeby nie widzieć cierpienia w jego oczach, a kiedy popatrzyła znowu, Reilly'ego nie było już w pokoju.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zanim Jessie otworzyła oczy, zanim obróciła się w łóżku, wiedziała, że strona Matta jest pusta. Tylko zagłębienie na poduszce i pognieciona pościel stanowiły dowód, że spał obok.

Czuła ulgę, żal i lęk. Ulgę, bo jednak spał w ich wspólnym łóżku. Żal, bo nie słyszała, kiedy wyszedł do sypialni, kiedy z niej wyszedł. I lęk, że nie uda się im zażegnać kryzysu.

Nie chciała nawet o tym myśleć, brać takiej możliwości pod uwagę. W końcu to tylko głupie nieporozumienie, na pewno uda się...

Żadne nieporozumienie. Jeśli już, to tylko o tyle, że Matt trwał w przekonaniu o doniosłości tego wydarzenia, tymczasem pocałunek z Reillym zupełnie nic nie oznaczał. Bardziej już nie mogła zagmatwać sytuacji. Popełniła piramidalny idiotyzm. Monstrualny. Nic jej nie usprawiedliwiało. Oczywiście miała pod ręką dziesiątki różnych wyjaśnień: lata

durzenia się w Reillym, ciekawość, impuls, chwilowe zamroczenie umysłu. Prawda jednak przedstawiała się tak, że była żoną Matta, a Matt na własne oczy widział, jak jego żona całuje się z jego przyjacielem. Najlepszym przyjacielem.

Poczuła podejrzaną ucisk w gardle. Nie, nie będzie płakać. Łzy nic nie zmieniają. Musi porozmawiać z Mattem, do diabła.

Postąpiła głupio, zgoda. Matt miał pełne prawo wrzeszczeć, miał nawet prawo raz czy drugi wałnąć pięścią w stół, prosić bardzo. Miał prawo domagać się wyjaśnień, chociaż, Bóg świadkiem, zupełnie nie wiedziała, jak wyjaśnić własne zachowanie.

Nie miał natomiast prawa chować się do czarnej dziury i udawać, że go nie ma. Stracił to prawo w momencie, kiedy wypowiedział słowa przysięgi małżeńskiej.

Z kuchni rozchodził się wspaniały zapach świeżo parzonej kawy, choć Jessie gotowa była założyć się o swój ukochany rondel, że Matta dawno już nie ma w domu. W sytuacjach konfliktowych wołał po prostu zniknąć. Jessie nie wiedziała, czy to taka ogólnie męska cecha charakteru, czy też lęk przed tym, jak mógłby się zachować, gdyby stracił panowanie nad sobą.

Najgorsze jednak jest to, myślała, uśmiechając się gorzko, że Matt nic jeszcze nie wie o dziecku. Jak ona ma mu teraz przekazać „radosną wieść”?

Och, skarbie, no tak, całowałam się z Reillym, ale wiesz, to nawet dobrze się składa, bo jak się z nim pocałowałam, to sobie od razu uprzytomniłam, że ja

go wcale tak naprawdę nie Kocham. No i jeszcze jedno, byłabym zupełnie zapomniała. Wyobraź sobie, jestem w ciąży.

Czyż nie doskonała kwestia do wygłoszenia przy kawie?

Jessie zacisnęła powieki, powstrzymując napływające do oczu łzy.

-

Gabe przeredagowywał rozdział. W takich razach świat zewnętrzny przestawał właściwie istnieć. Mruknął coś w odpowiedzi na „dzień dobry” Matta i dalej wpatrywał się w ekran laptopa.

Wnosząc po wyglądzie brata, Matt gotów był się założyć, że Gabe od bardzo dawna nie wstawał od komputera.

Nie, chyba jednak wstawał, bo kuchnia wyglądała, jakby przeszło przez nią kilka razy tornado. Wszędzie piętrzyły się brudne naczynia i puste pojemniki po gotowych daniach do podgrzania.

Matt pierwszy raz widział swojego spokojnego, niezwykle opanowanego brata w takim szale pracy twórczej. Kiedy indziej rozbawiłoby go to, dzisiaj ograniczył się tylko do ogarnięcia bałaganu, przynajmniej z wierzchu, po czym zaparzył kawę, nie zwracając uwagi na pomruki wydobywające się z Gabe'a.

Nie był wcale pewien, czy świadomość osobnika tkwiącego przy komputerze zarejestrowała jego obecność, ale to akurat mu nie przeszkadzało. Nie był dzisiaj usposobiony do braterskich pogawędek. Szukał ciszy i spokoju, czasu i miejsca, żeby pozbierać myśli.

No dobra, szukał nory, w której mógłby się schować i lizać rany, ale żadne prawo nie zabrania człowiekowi myśleć podczas lizania ran.

Nalał sobie kawy i wyniósł się do łazienki, w której miał tego dnia kłaść glazurę. Spojrzał na przygotowane materiały i przeszedł do bawialni, stanął przy oknie. Wczoraj było jeszcze pięknie, słonecznie, dzisiaj niebo zasnuły szare chmury, od rana siał zimny deszcz. Mówiło się, że w Kalifornii pogodę wystarczy zapowiadać raz na tydzień zamiast codziennie, ale nie była to do końca prawda. Być może pogoda rzeczywiście nie przechodziła z jednej skrajności w drugą, ale zdarzały się raptowne zmiany. Jak w życiu.

Litości, co za tandetne metafory... Matt pokręcił z niesmakiem głową i upił łyk kawy.

Poprzedniego wieczoru pojechał nad jezioro, usiadł na brzegu i obserwował światła hotelu po drugiej stronie, kładące się miękkimi refleksami na powierzchni wody. Wpatrywał się z napięciem w taflę jeziora i próbował myśleć, ale mózg zdecydowanie odmawiał współpracy.

Prawdę powiedziawszy, nie było o czym myśleć. Jessie pocałowała Reilly'ego, czy też Reilly pocałował Jessie, jakoś tak, wszystko jedno. W każdym razie pocałowali się. Sam to widział.

I uciekł jak spłoszony królik.

Wczoraj był pewien, że postępuje nadzwyczaj szlachetnie. Usunął się z miejsca wypadku, zanim powiedziałyby coś przykrego, co mogło sprawić Jessie wielki ból.

Taki już był. Do szpiku kości szlachetny.

Trzy godziny snu zregenerowały umysł na tyle, że teraz już Matt mógł przyznać - to nie szlachetność wygnała go z domu, tylko zwykły strach. Był śmiertelnie przerażony, że Jessie za chwilę wyzna swoją wielką oraz głęboką miłość do Reilly'ego. Co innego podejrzewać, a co innego usłyszeć coś na własne uszy.

Gdyby rzeczywiście miała coś podobnego powiedzieć... Matt pokręcił głową i uśmiechnął się krzywo.

Przeczenie wiarygodne. Politycy budują na tym swoje kariery. On najwyraźniej zbudował na tym swoje małżeństwo.

Dopił kawę i wrócił do łazienki. Może kilka godzin wysiłku fizycznego sprawi, że chaos w jego głowie jakoś się uładzi.

Ledwie wszedł do domu, uderzył go w nozdrza zapach czosnku i jakiegoś zioła. Rozmarynu? Możliwe.

Jessie siedziała przy kuchennym stole, wzrok utkwiony w drzwiach, dłonie zaplecione na kubku kawy... Czekała na niego.

- Cześć. - Jej głos zabrzmiał niepewnie.
- Cześć. - Kamienna twarz i głos, z którego nic nie da się wyczytać. - Ładnie pachnie.
- Kaczka z jarzynami.

Chciał powiedzieć, że wspaniale, ale nadal dławiła go taka złość, że nie był w stanie prowadzić miłej konwersacji na tematy kulinarne, tu, w tej samej kuchni, gdzie Jessie wczoraj całowała się z Reillym.

— Ja... właściwie nie jestem głodny. Mam coś do zrobienia w...

- Matt, możemy porozmawiać? Proszę.
- Muszę...
- Nie możemy udawać, że nic się nie stało.
- ...do ciemni. Chciałbym teraz wywołać ostatni... - Odwrócił się na pięcie.
- Matt, przepraszam.
- ... film, a potem jeszcze... -już był za drzwiami.
- Jestem w ciąży.

Nie chciała mu tego tak zakomunikować. Nie chciała szantażować go ciążą, w ten sposób zmuszać go do rozmowy. To przecież miała być radosna, podniosła chwila dla nich obojga. Po tym, co się stało, uznała, że zatrzyma na razie wiadomość dla siebie, ale kiedy zobaczyła, jak Matt ucieka, słowa same wymknęły się z ust.

Matt zamarł, zacisnął dłoń na framudze. Stał długo, bardzo długo bez ruchu, w końcu się odwrócił i powiedział drewnianym, pozbawionym barwy i wyrazu głosem:

- To wspaniale, Jessie. Tak bardzo czekałaś na dziecko.

Jakby go to w najmniejszym stopniu nie dotyczyło. Jessie gardło się ścisnęło. Chryste, ten głupek chyba nie myśli, że...

- To twoje dziecko - wyrzuciła z siebie.
- Wiem - przytaknął Matt jakoś cicho, niemal łagodnie. - Wiem.

Jessie postanowiła powiedzieć wszystko, co miała do powiedzenia:

- Matt, wybacz. Przepraszam za to, co się wczoraj stało, ale to naprawdę nie było nic takiego. Chwila

zamroczenia. Żałuję, że do tego doszło, ale to nic nie znaczyło.

- Nie? - Oparł się teraz o framugę, na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech. Najwyraźniej coś sobie ułożył w głowie. - Powiedz, od jak dawna kochasz się w Reillym, Jessie?

Powiedział to tak spokojnie, tak zwyczajnie, że dopiero po chwili dotarł do niej sens pytania. Otworzyła usta, chciała zaprzeczyć, ale Matt pokręcił głową.

- Nie. Nie rób tego, Jessie. - Teraz w jego głosie brzmiało zmęczenie. - Kiedy byłaś smarkata, czułem, że się w nim durzysz. Myślałem, że z wiekiem ci to przeszło. Nie. Na ich ślubie miałaś taką minę, jakby ktoś żywcem wyrwał ci serce z piersi. Zapomniałem, bo nie chciałem myśleć, że cierpisz, ale teraz, po powrocie do domu zauważyłem, jak na niego patrzysz. Ty nadal się w nim kochasz.

Jessie słuchała, ale miała absolutną pustkę w głowie i ogarniała ją coraz większa panika.

- I ja mam uwierzyć, że ten pocałunek nic nie znaczył?

- Ja... ja nie...

Matt znowu pokręcił głową.

- Nie kłam, Jessie. Nie dokładaj jeszcze do tego, co się stało, kłamstwa.

Jessie przez chwilę wpatrywała się w kubek, który ścisnęła w dłoniach, wreszcie udało się jej dobyć głos ze ściśniętego gardła:

- Kochałam Reilly'ego. I nadal go kocham. - Podniosła głowę, szukając w oczach Matta zrozumienia.

- Jest moim przyjacielem i kocham go. Kiedyś rzeczywiście roiłam sobie, że może być między nami coś więcej, ale ta myśl nie wypełniała bez reszty mojego życia. Ciebie też kocham i wyszłam za ciebie. I to się liczy.

Matt wysłuchiwał jej słów z ironicznym uśmiechem.

- Powiedz, Jessie - odezwał się, kiedy skończyła.
- Gdyby Reilly nie był żonaty, którego z nas wybrałabyś na ojca swojego dziecka?

Ledwie to powiedział, zobaczył, jak krew odpływa z twarzy Jessie i pożałował swoich słów. Cała złość w jednej chwili minęła. Podszedł do niej, pogłaskał ją delikatnie po bladym policzku. Chciał zrobić coś, żeby nie cierpiała. Żeby oboje już nie cierpieli.

- Nie martw się - powiedział. Głupio powiedział, sam to słyszał. Jakby jednym, banalnym zdaniem mógł unieważnić wszystko, co zaszło i co zostało powiedziane w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin.

Jessie zacisnęła kurczowo palce na jego dłoni.

- Proszę, Matt. Budowaliśmy... budujemy razem coś niezwykłego, coś pięknego. Nie zniszczmy tego.

Westchnął ciężko, jakby nagle poczuł cały ciężar przeżytych lat.

- Daj nam trochę czasu, Jessie. Daj mi trochę czasu.

W jej wielkich, ciemnych oczach było tyle smutku i tyle lęku, że niczego w tej chwili nie pragnął bardziej niż wziąć ją w ramiona i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Nie mógł tego zrobić. Nie był w stanie. Jeszcze nie teraz.

- Tak mi przykro, Matt - szepnęła.

- Tak, mnie też.

Normalność, pomyślał, przeczesując palcami włosy. Potrzebują oboje odrobiny normalności. Dziecko. Będzie ojcem. Powinni teraz cieszyć się, robić plany na przyszłość, zastanawiać się nad imionami dla dziewczynki, dla chłopca. Uśmiechnął się z ogromnym wysiłkiem.

- Przebrniemy przez to, Jess.

Miał nadzieję, że tak będzie.

Dom Marta przepełniony był udawaniem. Otaczały go pozory. Rodzice udawali, że nie piją, udawali, że są dobrą rodziną. Wszędzie, na każdym kroku udawanie, pozory. Teraz on zdawał się realizować ten sam scenariusz. Ani on, ani Jessie nie wracali już do sprawy pocałunku, jakby bali się, że każde słowo może zniszczyć delikatną równowagę, którą udało się im stworzyć.

Nie widział Reilly'ego od tygodnia. Od tamtego feralnego wieczoru, kiedy zastał go z Jessie w ich kuchni. Zabawne. Zanim wrócił do Millers Crossing, nie widzieli się całe pięć lat i jeśli miał być szczery, to nie zastanawiał się, czy brakowało mu przez ten czas Reilly'ego, ale od chwili powrotu spotykał się z nim kilka razy w tygodniu. Szli razem na lunch albo do barn na piwo. Irytowało go, że chociaż miał szczerą ochotę policzyć McKinnonowi zęby, to tęsknił za jego towarzystwem.

Chwilami żałował, że nie może cofnąć czasu. Gdyby wtedy nie wszedł do kuchni, nie zobaczył ich

razem... Gdyby tak złapał gumę w drodze do domu... Albo gdyby małe trzęsienie ziemi sparaliżowało na kilka minut, tylko na kilka minut, ruch na szosach. Cokolwiek, byle nie musiał nosić w głowie obrazu ich dwojga. Szczęśliwi ci, co trwają w błogiej nieświadomości.

Sen zaczął się tak samo jak zawsze. On na środku starej drogi. Wokół cisza, powietrze krystaliczne, doskonałe światło. Podnosi aparat do oczu, chce fotografować zbombardowane domy, absurdatne zestawienie wojennego zniszczenia i idylli, wtedy wśród ciszy słyszy męskie głosy i błagalne krzyki przerażonej kobiety.

Widzi przez obiektyw, jak wyciągają ją na drogę. Przemyka mu przez głowę, że dziewczyna jest bardzo młoda i śmiertelnie przerażona, ale myśl przychodzi i odpływa. On jest obserwatorem, tylko obserwatorem. Nie należy do tego świata, nie powinien się mieszać. Nie wolno mu się mieszać, nie wolno ingerować. To nie jego sprawa. Zobaczyli go już. Jeden z mężczyzn wskazuje w jego kierunku i choć zaraz, przynajmniej z pozoru, tracą zainteresowanie dla jego osoby, to on wie, że są świadomi jego obecności i obecności aparatu. Dziewczyna patrzy na niego błagalnie, ale jego tak naprawdę tu nie ma. Czy ona to rozumie?

Jeden z żołnierzy ze śmiechem chwytą dziewczynę za włosy i odchyła jej głowę, tak że w obiektywie widać wyraźnie jej twarz. Widzi ją obiektywie, on nie. On nie może jej widzieć. Nie chce jej widzieć.

- Matt? Matt, obudź się.

Ktoś go woła, potrząsa nim i Matt się budzi, siada wyprostowany na łóżku. Serce wali mu tak gwałtownie, że dudnienie pulsu go ogłusza.

- Już dobrze, Matt. To tylko sen. - Jessie kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Przepraszam. - To jego głos, drewniany, skrzypiący.

- Nie przepraszaj. - Jessie zapaliła lampkę nocną.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie.

- Czasami rozmowa pomaga.

- Tu nie pomoże.

- To znowu ten sam sen?

Matt gwałtownie poderwał głowę.

Rozbudził się zupełnie. Rozbudziło go pytanie Jessie, troska w jej oczach. Troska i... miłość. Do diabła, nie chce, boi się w to uwierzyć.

- Nie wiem, o czym ty...

Jessie prychnęła cicho.

- Nie jestem idiotką. Od dnia ślubu wiem, że męczą cię koszmary. To zawsze ten sam sen?

Chciał zaprzeczyć, ale nie, nie zaprzeczył, przytaknął z ociąganiem.

- Ten sam, ale to nic. Przepraszam, przykro mi, że cię budzę po nocach. Może powinienem spać oddzielnie.

Chciał wstać z łóżka, ale Jessie chwyciła go za rękę.

- Nie bądź głupi - rzuciła ze złością. - I bez tego mamy dość problemów.

Sztorcowała go jak nieposłuszne dziecko. Omal się nie uśmiechnął. Skinął głową. Jessie ma rację. Spanie oddzielnie teraz, kiedy powinni szukać zbliżenia, byłoby idiotycznym posunięciem.

- Co ci się śni? Że idziesz do szkoły nago czy że goni cię wielki renifer na jeszcze większej różowej kosiarce?

Matt parsknął śmiechem.

- Tylko takie mam opcje?

- Najbardziej prawdopodobne. - Jessie odgarnęła mu włosy z czoła. - Porozmawiaj ze mną, Matt. Opowiedz mi ten sen.

Nie, nie opowie jej. Nikomu dotąd nie opowiedział o tym śnie.

- To nie sen tylko wspomnienie. - Usłyszał własny głos.

- Czego? - Dotknęła lekko dłonią blizny na jego ramieniu. - Tego? Nigdy nie mówiłeś, jak zostałeś postrzelony. Powiedz, Matt.

I Matt opowiedział.

Nie było to aż takie trudne, jak sądził. Kiedy już zaczął, kiedy pękła wewnętrzna blokada, słowa popłynęły same, Opowiedział więcej, niż zamierzał. O konieczności zachowania dystansu, o tym, że fotoreporter nie może się angażować emocjonalnie w swoją pracę. O tym, że pewnego popołudnia, kiedy reszta ekipy usiadła do pokera w hotelowym pokoju, on wybrał się na samotną sesję zdjęciową.

- Zrobiłem kilkanaście zdjęć na targu miejskim, który wracał do życia po bombardowaniach - mówił - i ruszyłem przed siebie, starając się nie wychodzić

poza ten rejon miasta, który władze określały „bezpieczną strefą”. Nie uszedłem daleko, kiedy zobaczyłem, że żołnierze wyciągają drogą jakąś dziewczynę. Nie do końca rozumiałem, co się dzieje, po prostu fotografowałem - uśmiechnął się z goryczą. - Nie zastanawiałem się, co ta dziewczyna musi czuć, tylko pstrykałem te cholerne zdjęcia.

- Po to właśnie tam pojechałeś, Matt. To było twoje zadanie. - Jessie zacisnęła palce na jego przedramieniu, ale Matt nie czuł tego, tak jak nie słyszał chyba jej słów.

- Szarpali ją poszturchiwali. Nie rozumiałem, co mówią ale na pewno o coś ją pytali. Nie robili jej krzywdy, chcieli tylko nastraszyć. Nie podobało mi się to, ale taka jest żelazna zasada: reporter nie ingeruje w to, co widzi. Pieprzona Żelazna Zasada. A oni tak naprawdę nie robili jej nic złego.

- Wierzę ci - powiedziała Jessie cicho i przysunęła się bliżej do Matta.

- Jeden z żołnierzy wskazał na mnie i reszta spojrzęła w moją stronę. Przyglądali mi się przez chwilę. Dziewczyna wlepiła we mnie oczy. Nie było w nich nadziei. Nie było oczekiwania. Nie było w nich zupełnie nic. - Potrząsnął gwałtownie głową. - A ja cały czas trzymałem aparat w rękach, oglądałem całą scenę przez obiektyw i pstrykałem zdjęcie po zdjęciu. Bez zastanowienia. Żołnierze chwilę mi się przyglądali, po czym jeden podniósł broń i... strzelił dziewczynie w głowę.

Krzyknąłem coś. Nie wiem co. Chyba rzuciłem się w ich stronę. Tego też nie jestem pewien. Niewiele pamiętam. Krew. Mnóstwo krwi i krzyki. Ktoś

podniósł mój aparat, położył na noszach. A potem już szpital. Jakaś pielęgniarka, która mi mówi, ile miałem szczęścia, że przeżyłem.

- Nic dziwnego, że męczą cię koszmary. Postrzelili cię, mogłeś umrzeć.

- Nie, nie o to chodzi. - Matt pokręcił głową. - Cały czas nie mogę uwolnić się od myśli, że ona zginęła z mojej winy. Gdybym się tam nie pojawił z aparatem, być może żyłaby teraz. Może ci głupcy oczami wyobraźni zobaczyli już siebie na okładce gazety. Gdyby nie moja obecność, postraszyliby ją tylko i puścili.

- Gdyby... może... - prychnęła Jessie. - Nie ty zabiłeś, nie ty pociągnąłeś za spust. Może puściliby ją a może zabiliby jeszcze dwanaścioro innych niewinnych ludzi.

- A jednak... Jeśli zginęła przeze mnie...

- Nie — powiedziała Jessie stanowczo i poprawiła poduszki. - Chodź tu.

Matt wahał się, opierał, w końcu położył głowę na jej piersi i zasnął spokojnym snem bez koszmarów. Jessie leżała jeszcze długo w ciemnościach, wsłuchując się w jego spokojny, równy oddech i dzwonienie deszczu o szyby. Mieli przed sobą długą i krętą drogę, ale ona wiedziała już, że pokonają trudności.

Następnego dnia po południu w domu Jessie i Matta pojawił się Reilly, speszony, z niepewną miną, pełen lęku, czy Jessie nie zatrzasknie mu drzwi przed nosem.

- Chciałem... wpadłem zapytać, co u ciebie - bał się nieporadnie.

- Dziękuję. A ty, jak się miewasz? - Jessie poprowadziła gościa do salonu. Kuchnia wydała się jej miejscem zupełnie niestosownym do przyjmowania Reilly'ego.

- Dziękuję, dobrze.

Chryste, wymiana uprzejmości jak z podręcznika do nauki języka obcego, pomyślała.

- To znaczy, nie najlepiej - dodał Reilly. - Powiedziałem... Danie... co się stało i... wyrzuciła mnie z domu.

- Reilly, tak mi przykro. Pogodźcie się, na pewno - próbowała pocieszyć go Jessie.

- Wy... - Reilly zmienił temat. - Wy jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi. Jesteście jak... rodzina. To, co się stało, stało się niepotrzebnie, ale ja was nie chcę stracić. Nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy ze sobą zerwać, przestać się widywać.

- Nie stracisz nas - zapewniła Jessie. Sama sobie nie wyobrażała, że tak miałoby się stać. Nie mogli przecież przez jeden głupi pocałunek zaprzepaścić tylu lat przyjaźni. I małżeństwa Reilly'ego. - Chcesz, żebym porozmawiała z Daną? Wyjaśnię jej, co się stało.

- Nie. - Reilly pokręcił głową. - Dziękuję ci, ale to nie jest dobry pomysł. My... już wcześniej mieliśmy problemy.

Jessie poczuła ogromną ulgę, co bardzo starała się ukryć. Bo co miałyby powiedzieć Danie, gdyby Reilly przyjął jej propozycję?

- A Matt? Zrozumiał? Spróbuje zapomnieć o tym, co się stało? - zapytał Reilly z niepokojem w głosie. - Ułoży się między wami?

Jessie pomyślała o tym, jak Matt zasypiał w jej ramionach ostatniej nocy. Ułoży się, musi się ułożyć, chociaż Matt jeszcze o tym nie wiedział.

- Ułoży się. Na pewno - powtórzyła na głos, z mocą, z przekonaniem.

- To dobrze. - Reilly wyraźnie się ucieszył.
- Wy... po prostu pasujecie do siebie. Początkowo bardzo trudno mi było przywyknąć do widoku was jako pary, takie dziwne mi się to wydawało, ale jesteście dla siebie stworzeni, jak dwie połówki.

Tak, stworzeni dla siebie. Brakowało jej tego określenia. Może nawet nie samego określenia, ale tych słów, wypowiedzianych przez kogoś trzeciego, kogoś z boku.

Patrzyła teraz na Reilly'ego, słuchała go i uświadamiała sobie z całą wyrazistością, że nigdy, marząc o Reillym, nie wyobrażała sobie życia z nim. Prawdę powiedziałwszy, jej fantazje, bo były to tylko fantazje, nie wykraczały poza kilka banalnych obrazów: Reilly odkrywa, że jest w niej szaleńczo, nieprzypadkowo zakochany, pada na kolana, miłość go spala... I potem nic.

Z Mattem było inaczej. Wyobrażała sobie przyszłość z Mattem. Widziała, jak razem idą przez życie, razem się starzeją.

- Kocham Matta - powiedziała na wpół do siebie.
- To oczywiste - przytaknął Reilly.
- Tak? - zdziwiła się, że dla Reilly'ego prawda, do której ona doszła dopiero w tej chwili, jest taka oczywista.

- Tak. Wystarczy na was spojrzeć, żeby wiedzieć, że żyć bez siebie nie możecie.

- Tak - szepnęła Jessie i poczuła, jak ogarnia ją wspaniała, pełna spokoju pewność.

Reilly czekał, że coś jeszcze powie, ale ona zamilkła, zamyśliła się.

- To ja już pójde-wymamrotał trochę zakłopotany. - Wpadłem tylko zapytać, czy u was wszystko w porządku.

- O tak. - Jessie zamrużyła gwałtownie, otrząsając się ze słodkiej zadumy. - Wszystko w porządku. Lepiej być nie może.

Reilly, nieco zaskoczony tą pełną emfazy deklaracją, uśmiechnął się mimo wszystko.

- Cieszę się.

Odprowadziła go do wyjścia i pożegnała jak we śnie, a potem oparła się o drzwi, objęła ramiona dłońmi, chłonąc objawienie, które spadło na nią tak nieoczekiwanie.

Kocha Matta. Jest zakochana w Mattie. W człowieku, za którego wyszła za mąż, który jest ojcem jej dziecka. Zamknęła oczy, położyła dłoń na brzuchu. Jeśli Reilly ma rację, jeśli Matt kocha ją tak samo, jak ona jego... Aż trudno uwierzyć, że jej pragnienie posiadania dziecka spełniło się w sposób tak doskonały i piękny.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Powiesz mi, co cię gryzie? - Gabe stał w drzwiach garażu i mierzył brata badawczym spojrzeniem.

- Wynurzyłeś się wreszcie ze swojej jaskini?

- Kiedy Matt widział po raz ostatni Gabe'a, wzięty autor książek o Leszczynce leżał w ubraniu na swoim łóżku i chrapał nieprzytomnie.

- Skończyłem poprawki o drugiej w nocy, a kiedy się obudziłem pół godziny temu, zobaczyłem, że przez ostatni tydzień postawiłeś dom od nowa. Musiałeś pracować po czterdzieści godzin na dobę i klonować się przy tym. - Gabe zerknął na zegarek. - No właśnie, już po piątej. Co ty tu właściwie jeszcze robisz? Chcesz, żeby moją rudere pokazali w „Domu i Wnętrzu”? A może zgłosiłeś tego grata do konkursu starych samochodów? - Wskazał głową na chevroleta. - Chyba że w ostatnich dniach zgłosiłeś akces do Kościoła metodystów i teraz ćwiczysz na moim

prywatnym terenie ich etykę pracy. Dlaczego odmrażasz sobie tu tyłek, zamiast siedzieć z Jessie przy kominku?

- Ot tak - burknął Matt - Bez specjalnego powodu. Prawdę mówiąc, właśnie zamierzałem kończyć. - Jeszcze jedno kłamstwo, ale to akurat łatwo było uprawdopodobnić, co też Matt uczynił, wycierając ręce w szmatę i ruszając ku drzwiom.

- Niebawem - zakpił Gabe. - Jakieś nagłe plany?

- Żadnych, poza tym, żeby wrócić do domu, zjeść dobrą kolację i usiąść z Jessie przy kominku.

- Wiesz, może to byłby cios poniżej pasa, ale mam w lodówce różne pyszności od Jessie.

- Mówiłem jej już kilka razy, żeby nie rzucała ostryg przed wieprze - odparował Matt.

- Jessie chyba już się oswoiła z karmieniem wieprza - zauważył Gabe, idąc za bratem do dżipa.

- No właśnie - zgodził się Matt.. - W końcu dokarmia cię od jakichś dwóch miesięcy.

Zadowolony z wymiany niegroźnych inwektyw, a jeszcze bardziej z tego, że udało mu się odwrócić uwagę irytująco spostrzegawczego braciszka, Matt usadowił się za kierownicą włożył kluczyk do stacyjki.

- Do zobaczenia jutro.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział Gabe, unosząc dłoń na pożegnanie.

Nie spieszył się z powrotem do domu, bo też nie bardzo wiedział, jak się zachowa na widok Jessie. Jeszcze nigdy w życiu nikt nie utulił go do snu, jak

ona wczoraj. Jakby chciała ochronić go przed całym światem. Może chciała. Utuliła i chroniła, bo spał jak suseł, a kiedy obudził się o świcie, długo jeszcze leżał w ramionach Jessie i wsłuchiwał się w spokojny rytm jej oddechu.

A potem delikatnie położył dłoń na jej brzuchu i próbował wyobrazić sobie ich dziecko. Ciagle jeszcze nie docierało do niego, że za kilka miesięcy będzie ojcem.

Jessie poruszyła się, mruknęła coś przez sen, a on wiedziony odruchem nachylił się i pocałował ją w czoło, szepcząc coś ciepłym głosem. Może go usłyszała, bo miał wrażenie, że uśmiechnęła się przez sen. Odczekał jeszcze chwilę i ostrożnie, tak żeby jej nie obudzić, wysunął się z łóżka. Po swoich nocnych zwierzeniach nie był jeszcze gotowy spojrzeć jej w oczy.

Nadal nie był gotowy. Z tą myślą skreślił do „Wesołego Pirata”. Wpadnie na piwo, zanim wróci do Jessie. Trochę się zdziwił, kiedy wysiadając z wozu, zobaczył na parkingu czarne porsche. Dana McKinnon miała czarne porsche, ale mało prawdopodobne, żeby wpadała na jednego do „Wesołego Pirata”.

A jednak, pomyślał, kiedy już oczy przywykły do mroku panującego we wnętrzu. Elegancką kobietę w końcu baru trudno było pomylić z kimś innym. Tylko złote włosy zdawały się odmienione. Po chwili Matt zrozumiał, na czym polega różnica - Dana je obcięła.

- Napije się pani ze mną? - zagadnął, siadając na stołku obok niej.

Kiedy na niego spojrzała, pocałował, że do niej podszedł. Szkliste spojrzenie dowodnie świadczyło, że Dana dzisiaj wychyliła o kilka drinków za dużo.

Podszedł barman, zwalisty mężczyzna z wykałaczką w zębach, i Matt zamówił colę, uznając, że Dana wyrobiła normę za dwoje.

- Witaj, Matt. - Zamrugała i uśmiechnęła się. - Co słychać?

- Dzięki, jakoś leci. A co u ciebie? - Właściwie nie musiał pytać. Nie siedziałaaby w „Wesołym Piracie”, nie piłaby tyle, gdyby całymi dniami pławiła się w szczęściu.

- Powiedziałam mu, żeby się wyprowadził - oznajmiła, przechodząc od razu do sedna.

- Cholera jasna, dlaczego? To był tylko pocałunek. - Matt uśmiechnął się do siebie i pokręcił głową jakby nie mógł uwierzyć, że on to mówi.

- Tak? - Dana zaczęła obracać w dłoni swoją szklaneczkę. - Obcięłam włosy.

- Zauważyłem. Świetnie ci w nowej fryzurze.

- Reilly lubi, jak mam długie włosy. - Powiedziała to z taką mściwą satysfakcją że Matt parsknął śmiechem.

- Dobrze mu tak.

- Dziecinne, prawda?

- Nigdy nie obcinaj włosów, jak chcesz komuś napluć w twarz - oznajmił Matt z absolutną powagą.

Teraz Dana zaśmiała się, choć trudno byłoby nazwać jej śmiech radosnym, dopiła drinka, skinęła na barmana, żeby podał jej to samo i zerknęła na Matta, jakby oczekiwała, że ten się obruszy.

- Nie powiesz mi, że mam już dość?
- A masz?

Pytanie wyraźnie ją zaskoczyło. Zamrugnęła kilka razy, w końcu skinęła głową.

- Za chwilę będę miała dość, ale nie martw się, upijam się na spokojnie.

- To dobrze, bo to mnie najbardziej martwiło, że zaczniesz rozrabiać - powiedział Mart z przekąsem.

Barman postawił przed Daną kolejną szklaneczkę z podwójną whisky. Drink raczej nie do delektowania się, ale i nie najgorszy, jeśli ktoś postanawia się upić.

- Reilly uważa, że za dużo piję - podzieliła się z Mattem opinią męża.

- A pijesz za dużo?

Spojrzała na niego trochę mętnym wzrokiem.

- Zawsze odpowiadasz pytaniem na pytanie?
- Nie wiem. Zawsze?

Musiała chwilę pomyśleć, zanim zrozumiała, a kiedy zrozumiała, uśmiechnęła się.

- Mądrała.
- Dziękuję.

Dana popadła w mroczny nastrój, zaczęła obracać szklaneczkę w dłoniach.

- Kiedy matka była ze mnie niezadowolona, patrzyła na mnie oczami smutnego spaniela, jakby chciała mi powiedzieć, że nie rozumie, co złego zrobiła, gdzie popełniła błąd. Znasz to spojrzenie? - Tu Dana zademonstrowała, co ma na myśli.

- Jakoś nie bardzo. Kiedy mój tatuś był ze mnie niezadowolony, dawał mi wpiers... hmm - Matt w porę chrząknął.

Patrzyła na niego przez chwilę, niepewna, czy Matt żartuje, czy rzeczywiście miał tatusia, który zamiast wychowywać, po prostu bił.

- Jestem marudna? - zapytała nieoczekiwanie.
- Trochę.

- O Jezu, to chyba jednak za dużo wypiłam. - Dana wyprostowała się, lekko zachwiała i Matt objął ją, żeby nie spadła przypadkiem ze stołka. Natychmiast odzyskała równowagę i zaczęła szperać w torebce.

- Pozwól, ja zapłacę.

Matt odebrał rachunek od barmana i aż uniósł brwi na widok sumy. Jeśli Dana wlała w siebie taką ilość alkoholu, to znaczyło, że miała znacznie mocniejszą głowę od niego.

- Dziękuję. - Popatrzyła na Matta z westchnieniem. - Teraz będziesz nalegał, żeby wracała do domu taksówką.

- Nie, sam cię odwiozę. - Matt schował portfel o kieszeni i ujął Danę pod łokieć, pomagając jej zsunąć się ze stołka.

- To bardzo szaman... szamran... miło z twojej strony.

Kiedy podjechali pod dom, Dana, a milczała przez całą drogę, poprosiła:

- Nie odjeżdżaj. Nie chcę teraz zostać sama.

Sama. Doskonale wiedział, co znaczą samotne godziny w pustym domu. On żył tak przez lata... Dopóki nie ożenił się z Jessie. Jessie. Spojrzał na zegar w holu. Na pewno czeka już na niego, zaczyna się niepokoić.

- Muszę zadzwonić do domu.

Dana uśmiechnęła się, szczęśliwa, że Matt się zgodził.

- Dziękuję. Wiem, że to głupie, ale nie umiem być sama.

Tak, znał to uczucie. Nie musiała mu nic mówić.

- Usiądź, Dano. Ja zadzwonię, a potem zaprowadzę cię do łóżka.

- Za wcześniej na łóżko - wymamrotała pod nosem, tonem dziecka, któremu rodzice każą iść spać po Dobranocce.

- Ty dzisiaj wiele już nie zdasz. Będzie lepiej, jeśli się położysz.

- Masz rację - przyznała w końcu z westchnieniem i ruszyła w stronę schodów. Kiedy dotarła o własnych siłach do przedostatniego, usiadła i oznajmiła: - Poczekam ta na ciebie.

Matt skinął głową i poszedł do telefonu.

Kiedy Jessie po wzięciu prysznicza weszła do salonu, zobaczyła, że mruga dioda automatycznej sekretarki. Głos Matta brzmiał... jak? Sztwno? Obojętnie? A może był zakłopotany? Jakkolwiek brzmiał, słowa nie budziły wątpliwości. Przypadkiem spotkał Danę. Była trochę... nieswoja. Odwiozł ją do domu. Zostanie przy niej, dopóki ona nie poczuje się lepiej. Niech Jessie nie czeka na niego.

Tylko tyle?

Jessie osunęła się na kanapę, nie mogąc oderwać wzroku od automatycznej sekretarki. Co to znaczy, nieswoja? A ta mała pauza, zanim padło słowo?

Miała dać jej coś do zrozumienia? W pierwszej chwili zamierzała sięgnąć po słuchawkę, ale się rozmyśliła.

Nie, nie chce rozmawiać z nim przez telefon. Chce go zobaczyć. Spojrzeć mu w twarz i powiedzieć, że jest idiotką ale mimo to go kocha i ma cichą nadzieję na wzajemność. Pewnie zabraknie jej odwagi, by sformułować to tak otwarcie, ale warto spróbować.

Wstała i przeszła do kuchni. Może jednak powinna skończyć z planowaniem specjalnych kolacji - wszędzie pełno przypraw, składników, w lodówce połówki. Dokładnie tydzień temu pojawił się tu Reilly. Dzisiaj Matt musiał odwiedzić Danę do domu. Coś ta jest nie tak...

Coś zdecydowanie jest nie tak, myślał Matt.

Prosił Danę, żeby położyła się do łóżka. Tymczasem ona wzięła prysznic i odświeżona, pachnąca mydłem, z wilgotnymi włosami, w lekkiej różowej piżamie zeszła na dół.

Ma ochotę na kawę, a poza tym - Matt, byłbyś tak dobry - zacięły się drzwi od szafy w sypialni...

Co miał powiedzieć? Boję się, że mnie zgwałcisz, raczej nie pójdę?

Okazało się, że przesuwane drzwi po prostu wypadły z prowadnicy. Udało mu się wstawić je na miejsce, ale kiedy się odwrócił, Dana blokowała mu drogę odwrotu. Cóż, nic wielkiego. Przecież go nie napastuje, prawda? Nie, ale podchodzi do niego, a w jej oczach zapalają się figlarne iskierki.

- Dana...

- Tak? - Zatrzymała się, przechyliła lekko głowę.

- Nie chcesz chyba tego zrobić...
- Nie? - Położyła mu dłoń na piersiach, zrobiła jeszcze krok, tak że Matt za plecami miał już tylko drzwi szafy.

Jest naprawdę niezwykle piękna, pomyślał, może nawet piękniejsza z krótkimi włosami, okalającymi doskonały owal jej twarzy. Chyba nigdy nie widział równie pięknej kobiety. Drugą dłoń położyła mu na ramieniu, nachyliła głowę...

- To ma być rewanż? Chcesz iść ze mną do łóżka? - zdołał wykrztusić.

Dana miała taką minę, jakby obudziła się ze snu. Mocniej zacisnęła palce na ramieniu Matta, po czym rozluźniła je z widocznym wysiłkiem.

- Dlaczego nie? - W jej głosie była wyzywająca nuta. - Skoro oni mogli.
- Oni nie poszli do łóżka. - Matt zdjął jej dłoń ze swojego ramienia.
- Tylko dlatego, że wróciłeś do domu.
- Nie. Gdybym nie wrócił, też skończyłoby się wszystko na tym jednym pocałunku.

Dana odeszła, stanęła przy łóżku, tak że jej sylwetkę częściowo oświetlało światło lampki nocnej, a twarz skrywała się w cieniu.

- Rozumiem, dlaczego chcesz w to wierzyć, ale pewności mieć nie możesz. Nikt nie może.
- Ja mam. - Matt dałby wiele, żeby w tej chwili jakaś wielka, przyjazna łapa zabrała go z tego domu i uwolniła od konieczności prowadzenia z Daną dyskusji, której prowadzić nie chciał. - Jessie nie zrobiłaby nic podobnego. Reilly również.

- Naprawdę? Wątpię. Tak się składa, że Reilly nie jest wzorem cnót męzkowskich.

- Reilly raz popełnił błąd i niczego bardziej nie żałuje, niż właśnie tego.
- Powiedział ci? - Dana była zaszokowana.
- Owszem, powiedział mi. Mówił mi też, jak bardzo cię kocha.
- Ma interesujący sposób okazywania uczuć.

Matt przechylił lekko głowę, czekał, aż Dana znowu na niego spojrzy.

- A ty, jak okazujesz swoje? A może uznałaś, że samo wyjście za niego było wystarczającą deklaracją uczuć i nie musisz robić nic więcej?

Na pięknej twarzy Dany pojawił się bolesny grymas, zaczęła drżeć.

- Nigdy tak nie myślałam. Nigdy.
- Matt podszedł do niej, objął serdecznie.

- Przepraszam. To obrzydliwe, co powiedziałem. Nie wiedział, czy Dana go słyszała; twarz ukryła na jego piersi i rozszlochała się serdecznie, jakby chciała wypłakać cały ból, który miała w sercu. Matt nie myślał już o wielkiej, ciepłej łapie, która przeniosłaby go dokądkolwiek, najchętniej na jakąś wyspę zamieszkaną przez samych mężczyzn.

Kiedy wreszcie Dana się wypłakała, położył ją do łóżka, okrył kołdrą i przyniósł z łazienki wilgotny ręcznik.

- Przepraszam, Matt. - Dana podciągnęła kołdrę pod brodę, pociągnęła nosem zupełnie jak zwykły człowiek, a nie królowa piękności. - Przepraszam, że się rozpłakałam i że chciałam...

- Zgwałcić ranie? - odpowiedział usłużnie i Dana roześmiała się przez łzy.

- To też.

- Drobiazg - uspokoił ją Matt. - Nie codziennie zdarza się, żeby rzucała się na mnie piękna kobieta.

Swoją odpowiedzią znowu sprowokował ją do śmiechu.

- Widocznie obracasz się w nieodpowiednim towarzystwie. - Spoważniała raptownie, zacisnęła palce na kołdrze. - Potrafisz... to znaczy potraficie przebrnąć... przez to?

- Tak. - Mart sam był zdumiony, jak łatwo przyszła mu ta odpowiedź. Znał ją, zanim padło pytanie. Znał ją, zanim minionej nocy zasnął w ramionach Jessie. Już wtedy wiedział, że zrobi wszystko, by ich małżeństwo przetrwało. Gdyby nie chodziło akurat o Reilly'ego, pewnie dawno opadłaby z niego cała złość, w ogóle nie chowałby urazy. - Tak - powtórzył. - A ty i Reilly? Poradzicie sobie?

- Nie wiem.

- Kochasz go?

- Jak nikogo na świecie.

- To postaraj się uratować wasz związek.

- To nie takie proste.

- Owszem, to proste. - Matt przykucnął przy łóżku, spojrzął Danie prosto w twarz. - To jest proste. Może niełatwe, ale proste. Porozmawiaj z nim, Dano. Jeszcze kilka dni temu miałem ochotę porachować mu wszystkie kości, ale oboje wiemy, że Reilly to porządny człowiek. On nie potrafi żyć bez ciebie.

Dana odwróciła wzrok, przygryzła wargę.

- Rozmawiałeś z nim?

- Od tamtego wieczoru nie, ale widzę, jaki jest nieszczęśliwy. Wybacz mu albo odejdz od niego, ale nie męczcie się dłużej.

- Uważasz, że to ja powinnam podjąć decyzję?

- Owszem. On popełnił błąd. Pewnie uważa, że zasłużył na najgorsze. Znam Reilly'ego. Będzie czekał i cierpiał, dopóki nie każesz mu odejść.

- Nie wiem, czy potrafię zapomnieć, zacząć wszystko od początku.

Matt pokiwał głową.

- Tak czy inaczej musisz podjąć decyzję.

Kiedy podniósł się, Dana chwyciła go za rękę.

- Nie idź jeszcze. - Zaśmiała się. - Nie będę już rozrabiać, ale nie zostawiaj mnie samej.

Matt zawahał się i skinął głową. Powiedział Jessie, gdzie jest, uprzedził, że nie wie, kiedy wróci i żeby nie czekała na niego. Co prawda zamierzał porozmawiać z nią dzisiaj wieczorem, oczyścić atmosferę między nimi, ale może odłożenie rozmowy zasadniczej o jeden dzień nie było wcale takim złym pomysłem. Zyska trochę czasu, będzie mógł uporządkować myśli, znaleźć właściwe słowa.

- Prześpię się na kanapie na dole.

- Możesz spać w pokoju gościnnym. Reilly twierdzi, że ta kanapa to pokutne łoże.

- Reilly zawsze był marudny i rozpuszczony - mruknął Matt i Dana znów parsknęła śmiechem.

Kiedy wyszedł, przymknęła powieki. Chryste, zrobiła z siebie kompletną idiotkę. Rzuciła się na Matta niczym jakaś wywłoka. Całe życie uczono ją,

jak ma zachować twarz w każdych okolicznościach, a dzisiaj, proszę... Zakryła oczy ramieniem. Wierzyć się nie chce, że przyszło jej do głowy uwieść Matta. Nie, uwieść to niewłaściwe słowo. Uwodzenie zakłada jednak odrobinę godności.

Obróciła się z westchnieniem i wtuliła głowę w poduszkę. Matt powiedział jej: wybacz mu albo każ odejść. Mądra rada, ale czy decyzja rzeczywiście należy do niej? Wcale nie była tego pewna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Było trochę po szóstej. Teoretycznie już dzień, ale światło brzasku nie przebiło się jeszcze przez ciężkie deszczowe chmury i w kuchni, oświetlonej tylko jedną podszafrkową jarzeniówką panował na razie półmrok.

Matt podrapał się po brodzie. Powinien wziąć prysznic i ogolić się, ale najpierw kawa, po kawie świat znowu stanie się całkiem znośny.

Sięgał właśnie po drugi kubek, kiedy usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach. Odstawił kubek, oparł się o blat kuchenny i założył ręce na piersi, gotując się przywitać Reilly'ego. Ten stanął w progu, zawahał się na widok Matta, w końcu wszedł.

- Zaraz będzie kawa - odezwał się Matt na dzień dobry. - Za stary jesteś, żeby spędzać całą noc w furgonecie. Wyglądasz koszmarnie.

- Idź do diabła - powiedział Reilly bez szczególnego przekonania.

Ekspres wydał ostatni radosny gulgot, Matt napełnił dwa kubki i posunął jeden po blacie w stronę Reilly'ego. Reilly chwycił kubek, zamknął go w dłoniach, przyjął tę samą co Matt pozę, i obydwaj popadli w milczenie, czekając, aż kawa trochę wystygnie i będą mogli upić pierwszy łyk.

- Całą noc przesiedziałeś w wozie? - Wyjrzawszy przez okno zaraz po przebudzeniu, Matt zobaczył furgonetkę Reilly'ego parkującą po drugiej stronie ulicy.

- Aha. - Reilly pokręcił szyją, próbując rozluźnić zeszywniałe mięśnie karku.

- Czekałeś, kiedy wyjdę?

- Możliwe. - Reilly wbił spojrzenie w kubek.

- Wróciłem, myślałem, że może uda mi się z nią porozmawiać i zobaczyłem twojego dżipa. - Podniósł wzrok, w jego oczach błysnął gniew. - Możesz mi powiedzieć, dlaczego spędziłeś tu noc?

- A ty powiesz mi, dlaczego całowałaś się z moją żoną? - odparował Matt.

- Dlatego, że jestem idiotą - przyznał Reilly bez wahania.

- Stary, za daleko się posuwasz w szczerości. Wprawiasz mnie w zakłopotanie. - Reilly na te słowa parsknął śmiechem. - Dana kiepsko się wczoraj czuła, więc z nią zostałem. Spałem w pokoju gościnnym - dodał dla porządku.

- Wiem, widziałem światło, poza tym wierzę ci.

Chciał zapytać, gdzie jest samochód Dany albo jakim sposobem Matt znalazł się w jego domu, bo raczej mało prawdopodobne, żeby Dana zadzwoniła

do niego i poprosiła o przyjazd, w końcu uznał jednak, że szkoda czasu na nieistotne szczegóły.

- Wracając do tego, co się stało w zeszłym tygodniu... Nie miałem nic złego na myśli. Po prostu chwilowe zaćmienie umysłu. To było... Sam nie wiem. Jessie zawsze była dla mnie kimś w rodzaju młodszej siostry... naszej młodszej siostry. Raptem ty wracasz, zaręczacie się, potem ślub. Ja... zacząłem ją dostrzegać. - Przeczesał włosy palcami. - Ale zawsze była obecna. Zawsze mogłem na nią liczyć. Schrzanilem własne małżeństwo, chodzę nieprzytomny, mam pretensje do siebie, a ona, popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby wszystko rozumiała i... pocałowałem ją. Ale to nie miało żadnego znaczenia ani dla niej, ani dla mnie.

Matt słuchał, nic nie mówił. Wiedział, że przyjaźń musi przezwyciężyć żal, pretensje, urazy. Że te są niczym wobec więzi łączącej go z Reillym. Do diabła, życie jest zbyt krótkie, a przyjaźń rzeczą zbyt rzadką i cenną żeby się obrażać.

Wyciągnął rękę do Reilly'ego i wymienili mocny uścisk dłoni.

- Ale jeśli jeszcze raz pocałujesz moją żonę, pożałujesz, że się urodziłeś - ostrzegł.

Reilly skinął głową.

- Rozumiem.

Usłyszeli dochodzący z piętra szum wody.

- Ja na twoim miejscu poszedłbym teraz do niej i spróbował porozmawiać - powiedział Matt.

- Próbowałem. Nie raz, nie dwa. - Reilly potarł niecierpliwie policzek. - Nie chce mnie słuchać.

- Chce. - Matt dopił kawę i wstawił kubek do zlewozmywaka. - Boi się tylko, jak każdy z nas. Zrób coś, żeby cię wysłuchała. Nie poddawaj się, dopóki nie powiesz tego, co masz jej do powiedzenia. - Kiedy Reilly bez przekonania pokiwał głową, Matt pacnął przyjaciela w ciemność.

- Chcesz się bić? - mruknął Reilly, ruszając ku drzwiom.

- Porozmawiaj z nią - powtórzył Matt i wyszedł w siąpiący deszcz.

- Łatwo ci mówić - burknął jeszcze Reilly, ale Matt już go nie słyszał.

Z drugiej strony, nie miał nic do stracenia. Przez ostatni tydzień spał na kanapie w swoim biurze, kapał się w małej łazience tamże i jadał w fast foodach, co każdemu normalnego człowiekowi może wyjść bokiem. Tęsknił za swoim domem i za swoim łóżkiem. Przede wszystkim tęsknił za swoją żoną. Może najwyższy czas, żeby porozmawiali i ustalili ostatecznie, co dalej.

Kiedy wszedł do sypialni, Dana właśnie wychodziła z łazienki. Znieruchomiała na widok męża. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że dojrzał w jej oczach błysk radości. A może właśnie to chciał dojrzeć?

Ułożył sobie całą przemowę, rozpoczynając się od „przepraszam” i kończąc się na „kocham cię, ale wszystko, co zdołał powiedzieć, to:

- Obcięłaś włosy.

Dana mimowolnie dotknęła czupryny, po czym przygryzła wargę i wysunęła brodę, jakby uwaga Reilly'ego była wyzwaniem do potyczki.

- Byli mężowie nie mają na ogół nic do powiedzenia w kwestii fryzur swoich byłych żon.

Reilly poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go przez głowę. Na moment zabrakło mu powietrza, zrobiło się ciemno przed oczami.

- Tego właśnie chcesz? Rozvodu?

Dana podniosła dłoń do ust, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę ze znaczenia i konsekwencji wypowiedzianych przed chwilą słów. Maska, za którą kryła się tak długo i skutecznie, opadła, i Reilly zobaczył prawdziwą twarz żony.

- Dano. - Zrobił krok w jej stronę, w tej samej chwili Dana obróciła się na pięcie i uciekła do łazienki, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Reilly nie wiedział, kiedy przemierzył pokój, w każdym razie stał przy drzwiach i szarpał za klamkę.

Dana zamknęła się na klucz!

- Wpuść mnie, Dano - zawołał, siląc się na spokój. - Kocham cię. - Z łazienki doszedł szloch, ale drzwi pozostały zamknięte. - Otwórz te cholerne drzwi - wołał już podniesionym tonem.

- Idź sobie - wyszlochała i Reilly stracił panowanie nad sobą. Odstąpił o krok i z całych sił kopnął w drzwi. Wpadł do łazienki i zdążył zobaczyć zaszokowane spojrzenie Dany, zanim ukryła twarz w dłoniach.

- Idź stąd - łkała.

- Właśnie wyważyłem drzwi, żeby wejść, więc nigdzie się stąd nie ruszę. - Chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie. Dana szarpnęła się jak dźgnięta.

- Nie patrz na mnie. Nie chcę, żebyś widział mnie zapłakaną.

- A dlaczego nie?

- Okropnie wyglądam.

- Nie bądź idiotką. - Reilly przytulił Danę do siebie i ukrył twarz w jej włosach. - Dla mnie nigdy nie będziesz wyglądała okropnie. Myślisz, że ożeniłem się z tobą z powodu twojej urody? - Ujął ją pod brodę, spojrzął w oczy. - Ty tak myślisz - powiedział zdumiony.

- A... dlaczego ożeniłeś się ze mną?

- Dlaczego? - W pierwszej chwili zdjęła go złość, gniew, że Dana tak nisko go ocenia, tak źle o nim myśli, ale nagle zrozumiał, że to nie o niego tu chodzi; Dana była przekonana, że nie ma nic więcej do ofiarowania. Dobry Boże, jak to możliwe, przeżył z nią tyle lat i dopiero teraz dostrzegł, jak bardzo jego żona potrzebuje ciepła i akceptacji.

- Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, pomyślałem, że jesteś najpiękniejszą istotą na świecie.

Dana, pewna, że znalazła potwierdzenie swoich najgorszych obaw, chciała się wyrwać, ale Reilly jej nie puścił.

- Daj mi skończyć. Jestem facetem i reaguję jak facet. Nie mogłem uwierzyć, że zgodziłaś się ze mną umówić. Podczas naszej pierwszej kolacji tylko jedno miałem w głowie. Zastanawiałem się, czy uda mi się zaciągnąć cię do łóżka. Nie pamiętam nawet, o czym rozmawialiśmy. A potem, zaraz po wyjściu z restauracji, obcas utkwiał ci w jakiejś szczelinie między płytami i wpadłaś do fontanny. Pamiętasz?

- Pamiętam, że czułam się jak idiotka - mruknęła Dana.

- Cała ociekałaś wodą i wyglądałaś wzruszająco. Zamiast wściec się albo zalać łzami, ty wybuchnęłaś śmiechem. I chyba wtedy zakochałem się w tobie.

- Bo wyglądałaś jak podtopiony szczur?

- Bo wyglądałaś jak człowiek. Przystałaś być chodzącym ideałem, byłaś prawdziwą kobietą kobietą którą chciałem poznać bliżej, lepiej. Nie powiem, że nie dostrzegałem twojej urody. Jestem dumny jak paw, kiedy widzę, jak faceci wodzą za tobą oczami, ale kochałbym cię, nawet gdybyś była łysa i miała pypcie na twarzy.

Dana zaśmiała się przez łzy.

- Bzdury opowiadasz. Gdybym miała pypcie na twarzy i była łysa, nie zwróciłbyś na mnie uwagi.

- Zwróciłbym z całą pewnością. Nieczęsto spotyka się łyse kobiety z pypciami na twarzy.

Dana zaśmiała się znowu i Reilly przytulił policzek do jej głowy. Wszystko będzie dobrze, już to wiedział. Znowu wierzył, że będzie dobrze.

Kiedy Matt wszedł do domu frontowymi drzwiami, przywitał go jakiś stuk, łoskot w kuchni. Uśmiechnął się. Jessie nie wyjrzała do holu gnana niepewnością, czy aby wraca cały i zdrowy, a przecież musiała się niepokoić, że całą noc spędził poza domem.

Nie szkodzi. Trochę czasu minie, zanim wszystko wróci do normy, ale wróci. Musi wrócić.

Zerknął w stronę kuchni, w stronę schodów, nie

mogąc się zdecydować, czy wziąć najpierw prysznic, czy od razu iść do Jessie. Zwyciężyła pierwsza opcja.

Dwadzieścia minut później był już z powrotem na dole, umyty, ogolony, w czystym ubraniu. Jessie krzątała się po kuchni, na blacie stało pachnące ciasto, co oznaczało, że musiała wstać bardzo wcześnie i że coś ją dręczyło. Zawsze, kiedy coś nie dawało jej spokoju, zaczynała szaleć w kuchni...

Dom, pomyślał Matt, stojąc w progu. Tak czuje się człowiek, który wraca do domu. I nie chodziło o miejsce w sensie przestrzennym, nawet nie o to, że spodziewali się dziecka, chociaż obie te rzeczy miały znaczenie. Dom to sieć powiązanych ze sobą uczuć, to marzenia, pragnienia. To... Jessie. Koniec końców wszystko sprowadzało się do jej osoby.

- Kocham cię. - Nie wiedział, że wypowie te słowa akurat teraz. Wypłynęły prosto z serca.

Jessie drgnęła, odwróciła się gwałtownie.

- Słucham?

- Powiedziałem, że cię kocham. Wiem, tego nie było w umowie. Zrozumiem, jeśli ty... uff.

Jessie już była przy nim, już zarzuciła mu ręce na szyję, już coś mówiła, śmiejąc się i płacząc na przemian:

- Nie wierzę... Ja też. To znaczy, ja też cię kocham. Chciałam powiedzieć to pierwsza, bo właśnie zrozumiałam, że cię kocham i powinieneś to wiedzieć. To znaczy, zawsze cię kochałam, ale nie wiedziałam, że kocham cię w ten sposób. A kiedy już zrozumiałam, ty nie wróciłeś do domu i bałam się, że to może być znak, ale ja nie wierzę w takie znaki,

więc i tak chciałam ci powiedzieć. - Obsypywała go pocałunkami, ani na chwilę nie przestając przy tym mówić. Wyrzucała z siebie słowa z taką szybkością że Matt ledwie chwycił ich sens.

- Zrobiłam pizinger, bo wiem, jak go lubisz. Pomyślałam, że będziemy mogli porozmawiać i ja...

Matt przytulił mocno żonę i pocałował gorąco.

- Jesteś jedyną kobietą jaką znam, która kojarzy uwodzenie z gotowaniem.

- Droga do serca mężczyzny...

- Kochałbym cię, nawet gdybyś nie potrafiła gotować.

Jessie odchyliła głowę, spojrzała Mattowi prosto w oczy.

- I nie będzie ci przeszkadzało, jeśli nigdy już nie zrobię ci pizingera?

Matt trochę się stropił. Tego nie przewidział.

- No tak, wiedziałam od początku, że chodzi ci nie tyle o łożo, co o stół.

EPILOG

- Uśmiechnęła się - oświadczył Matt z mocą.
- Mówię ci, to był uśmiech.

- Według poradników... - zaczęła Jessie.

- Poradniki! - prychnął ze wzgardą. - Komu będziesz wierzyła? Autorom poradników, obcym ludziom, czy mnie, który jestem jej ojcem? Myślisz, że nie potrafisz odróżnić uśmiechu od grymasu?

Jessie uznała, że najbezpieczniej będzie potraktować pytanie jako czysto retoryczne i wydała tylko niezobowiązujące mruknięcie. Jeśli Matt uważał, że jego trzytygodniowa córka uśmiecha się do niego, to jak Jessie mogłaby kwestionować jego pewność? Szczęśliwie ominęła jakiegoś niebezpiecznie ruchliwego berbecia, łukiem obeszła utuczzonego psa o ponurym wejrzeniu i dołączyła do Matta.

Bała się zabrać Sarę na piknik z okazji Święta Pracy; zbyt duży tłok, zbyt wielki hałas, wszystkiego nazbyt wiele, ale Sara, bezpieczna w ramionach oj-

ca, wpatrzona w jego twarz, nic sobie nie robiła z otoczenia.

- Trzy tygodnie i już córeczka tatusia - zauważyła Jessie z niejakim niesmakiem.

- Oczywiście. - Matt wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - To świadczy o jej niepospolitej inteligencji.

- Owszem - przytaknęła Jessie. - Na odległość potrafi poznać frajera.

Bo też mała Sara zdobyła serce ojca od pierwszej chwili i Matt spędzał z nią każdą wolną chwilę. Nie był, jak chce stereotyp, ojcem przerażonym pojawieniem się na świecie potomka, nie popadł w nerwicę. Przeciwnie, pielęgnował Sarę tak wprawnie, że Jessie czasami zdejmowała zazdrość. Pół życia marzyła o dziecku, a kiedy marzenie ciałem się stało, miała wrażenie, że nie potrafi sprostać nowej roli. Tymczasem Matt wywiązywał się ze swoich obowiązków śpiewająco, jakby całe życie nie robił nic innego tylko niańczył noworodki. Przewijanie, kąpiele, branie na ręce maleńkiej osóbkę, wszystko to robił zręcznie, z niezwykłym wyczuciem, podczas gdy Jessie przytłaczało poczucie odpowiedzialności.

- Oddychaj. Oddychaj głęboko - mówił, ilekroć czuł, że Jessie wpada w panikę. To polecenie stało się już rodzinnym porzekadłem.

- To irytujące, że nie wpadasz w panikę razem ze mną - poskarżyła się Jessie, kiedy sytuacja powtórzyła się podczas pikniku.

- Ja zacznę wpadać później. Na przykład kiedy Sara skończy szesnaście lat i wsiądzie do swojego

pierwszego samochodu. Jeśli wda się w matkę...

- otrząsnął się na myśl o podobnej możliwości.
- To było małe drzewko - obruszyła się Jessie.
- I tej wersji będziesz się trzymać.
- Zakochani nastolatki są tacy wzruszający
- rozmarzyła się Jessie na widok pary zapatrzonych w siebie młodych ludzi.
- Zakochani starcy również. - Matt uniósł dłoń Jessie do ust i zaczął całować palec po palcu.
- Ej, przestańcie, to jest kino rodzinne, a nie nocny seans - zawołał Reilly.

Kino rodzinne, pomyślała Jessie, odbierając Sarę od Marty. Rok temu marzyłam o rodzinie, nie do końca wierząc, że to marzenie się spełni, byłam pełna lęku, że ślub z Mattem okaże się największą pomyłką w życiu. Tymczasem to najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam, monologowałam w duchu, spoglądając na siedzącą opodal Danę, wytworna nawet w ciążowej sukni.

Rodzina.

Rodzina to znacznie więcej niż obrączka na palcu, to więcej niż dochowanie się dziecka. Rodzina to nasi bliscy, to ludzie, na których zawsze możemy liczyć i którzy zawsze mogą liczyć na nas.

Podniosła głowę i spojrzała w pełne miłości oczy Matta. Uśmiechnęła się. Mąż. Najlepszy przyjaciel. Kochanek. Wszystko to otrzymała od losu. Czy można chcieć więcej?

Polecamy bestseller



Kłamstwo doskonałe



Nikt nie ucieknie przed prawdą...

Jonasz Slade, agent CIA, wrócił właśnie z niebezpiecznej misji w Ameryce Południowej. Choć akcja zakończyła się sukcesem, a boss narkotykowego kartelu wylądował za kratkami, dla Jonasa to dopiero początek zmagania, w których obowiązuje zasada: oko za oko...

Dowiaduje się, że kobieta, którą przed laty kochał, została zamordowana z zimną krwią, a ich syn, o którego istnieniu Jonasz nie miał pojęcia, porwany. Wkrótce na jaw

wychodzi związek między tymi wydarzeniami i jego ostatnią misją. Jonasz i siostra zamordowanej, Macy, nie poprzestają na spekulacjach, lecz aktywnie uczestniczą w śledztwie. Dla obojga staje się jasne, że jedno kłamstwo z przeszłości odcisnęło tragiczne piętno na życiu bliskich im ludzi...

W sprzedaży do 20 czerwca



Najlepsze autorki, najlepsze tytuły

Nowa, niższa cena

14,99 zł



Dallas Schulze

Tylko
Jessie

MIRA NR 5 05/05 CENA 14,99 ZŁ W TYM 0% VAT INDEKS 324531

W imię przyjaźni,
w imię miłości...

Zycie Matta, znanego fotografa, nagle zawisło w próżni. Podróż do rodzinnego miasteczka w Kalifornii miała być wędrowką przywracającą wiarę w sens wykonywanego zawodu, a także próbą powrotu do korzeni. Okazała się czymś znacznie więcej...

Od najmłodszych lat Matt przyjaźnił się z Jessie, razem dorastali, zawsze traktował ją jak młodszą siostrę. Teraz Jessie pragnie mieć dziecko, jednak ten, którego skrycie kocha, jest żonaty. Na szczęście stary i zaufany przyjaciel, Matt, wydaje się idealnie nadawać do roli ojca...

Jessie i Matt biorą szybki ślub, co wywołuje w miasteczku duże poruszenie. A bohaterowie zamieszania coraz częściej zadają sobie pytanie, czy ich wypróbowana przyjaźń zamieni się z czasem w miłość...



ROMANS

www.harlequin.pl

ISBN 83-238-2216-6



CENA 14,99 ZŁ